

Spowiedź dziecięcia wieku





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ALFRED DE MUSSET

Spowiedź dziecięcia wieku

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

OD TŁUMACZA

Pragnę zapoznać czytelników mojej biblioteki z autorem tak dobrze znanym u nas z nazwiska i z legendy, a tak mało ze swoich dzieł: z Alfredem de Musset, jednym z najbardziej uroczych pisarzy francuskich; artystą, który łączy wszystkie przymioty galijskiego umysłu z rzadką w tej rasie wibracją liryzmu, czyniącą zeń niby grającą harfę poezji. Zanim przedstawię inne jego pisma, dojrzałe niewątpliwie i pełniejsze pod względem artystycznym, daję tę oto *Spowiedź*, która najbardziej bezpośrednio pozwala zajrzeć w duszę poety, a zarazem stanowi jeden z nader znamiennych dokumentów romantyzmu. Jest ona ciekawa i przez to, iż dotyczy właśnie owego epizodu życia Musseta, koło którego oplata się jego legenda: miłości do George Sand. Epizodem tym zajmowano się aż do przesyty; jest to zresztą dosyć zrozumiałe. Miłość ta, która, jak górnołotnie mówi jeden z jej historiografów¹, stała się „równie sławną jak miłość Eneasza i Dydony”, jest jedynym (chyba że postawimy obok niej panią de Stael i Benjamina Constant) w świecie przykładem namiętnego uczucia łączącego dwoje genialnych twórców, dwoje pisarzy wielkiej, mimo iż, bądź co bądź, nierównej miary. Wycisnęła ona piętno zarówno na całym dalszym życiu, jak i na twórczości Musseta. Epoka, na którą przypada owa miłość, pełna fala romantyzmu niosąca z sobą osobliwy styl tych przeżyć, rozgłos, jaki towarzyszył im współcześnie, artystyczna rama wreszcie, którą, jakby wiedziony romantycznym instynktem, dramat ten obrał sobie na swe urzeczywistnienie — wszystko to zapewnia „epizodowi weneckiemu” miejsce zupełnie wyjątkowe.

Literatura osnuta dokoła tego wydarzenia jest ogromna; a rozpoczyna się równocześnie niemal z faktami. George Sand „na ciepło” jeszcze włożyła strzępy przeżyć weneckich w swoje *Listy podróżnika* pisane jakoby do Musseta i drukowane (za jego wiedzą zresztą) w „Revue des deux mondes”. Po zerwaniu Musset pisze *Spowiedź dziecięcia wieku* i *Noce*; w dwa lata po jego śmierci (Musset urodził się w 1810, umarł w 1857), George Sand wydaje powieść *Ona i on*² malującą pod przejrzystą osłoną dzieje ich stosunku; na co brat Musseta, Paweł, nieubłagany mściciel cierpień ukochanego Alfreda i nienawidzący George Sand ponad wszelką miarę, odpowiedział krwawą inwektywą w formie powieściowej pt. *On i ona*³. Wszczęła się przykra polemika, w której nawet sędziwa matka Musseta zabrała głos. Powstały stronnictwa *Mussetystów* i *Sandystów* obrzucające zniewagami bohaterów przeciwnego obozu. Nawet trzeciego aktora dramatu, Bogu ducha winnego lekarzynę włoskiego Pagello, wciśnięto do sporu: jeszcze w r. 1896, interviewowali⁴ skrzętni biografowie sędziwego patriarchy, który dożył dziewięćdziesiątki, o szczegóły tego chlubnego epizodu z jego życia z r. 1834! Sam Pagello w kilkanaście lat po wypadkach spisał *Pamiętnik*, kreśląc w sposób, zdaje się, więcej barwny niż ścisły dzieje swoich przygód z George Sand i Mussetem. Rodzina Musseta sprzeciwiała się długo ogłoszeniu listów kochanków; krążyły jedynie w urywkach, w odpisach; wreszcie w r. 1904 ogłoszono je drukiem w Brukseli w całości: tj. o tyle o ile, niektóre bowiem zdania padły już wprzód ofiarą nożyczek George Sand.

Jak można się domyślać, komentatorowie rzucili się na tę historię, widząc w niej łup obfity i ponętny. Napisano całe tomy; mimo to, nie mówiąc o uczuciach, nie wyświetlono nawet wszystkich faktów w tym romantycznym epizodzie. Znadto jest załgany poezją. Literatura przeszła tędy w dwojakim kierunku: raz stylizując już same przeżycia bohaterów na modłę literacką o wybitnym zabarwieniu epoki; po wtóre stylizując je tym bardziej w chwili, gdy przelewały się na papier. W rezultacie posiadamy tu garść bardzo ciekawych dokumentów, z których niektóre są klejnotami poezji, i każdy z badaczy układa z tych kamyczków swoją mozaikę, kształtując ją wedle własnych sympatii i poglądów.

Im bardziej wczytywać się w akta tej sprawy, tym bardziej wydaje się ona psychologicznie zawilgą i złożoną. Czyż nie jest zresztą zawilgą każda kontrowersja tego rodzaju? Pojęcia nasze o miłości, jak w ogóle o życiu są bardzo konwencjonalne, ponieważ, zanim

¹jeden z jej historiografów — Charles Maurras w *Les amants de Venise*. [przypis tłumacza]

²George Sand *Ona i on* — Później George Sand powróci jeszcze do tych wspomnień w dziele pt. *Historia mego życia*. [przypis tłumacza]

³George Sand *Ona i on*, Paul Musset *On i ona* — Na ten sam temat Ludwika Colot napisała powieść pt. *On*. [przypis tłumacza]

⁴interviewować kogoś (neol.) — przeprowadzać z kimś wywiad. [przypis edytorski]

zaczniemy myśleć i patrzeć, już otrzymujemy je w gotowej postaci z literatury z pierwszej, czy też z drugiej ręki. Literatura, niezdolna ogarnąć życia w jego niezmiennym bogactwie, upraszcza je, schematyzuje (przykładem choćby ta *Spowiedź dziecięcia wieku* w zestawieniu z wydarzeniami, z których się urodziła!). Wstydlivość, lenistwo, rutyna oddalają nas od szczerości. Jeden Rousseau w swoich *Wyznaniach* chciał być szczerym za wszelką cenę: cena okazała się diabelnie wysoka. Ileż obrzydliwości nam odsłonił, których mu potomność do skończenia świata nie daruje! Ach, tak! życie ujawnia się w gabinecie lekarza, przy konfesjonale (o tyle o ile, bo i tam wciska się rutyna kategorii myślenia), przed kratkami sądowymi pod krzyżowym ogniem pytań brutalnych i ostrych jak nóż chirurga... Ale też biada człowiekowi, bodaj „najporządniejszemu”, który zahaczy się przypadkowo o straszliwą machinę sądową i narazi się na wywleknięcie na światło tajemnic jego życia. Najbardziej delikatne i bolesne problemy egzystencji w jakże szpetnym, trywialnym, komicznym nieraz występują świetle! A właśnie przedmiotem takiego śledztwa, prowadzonego przez „historię literatury”, stają się wielcy ludzie, wielcy artyści, typem swojej psychiki, swego życia z konieczności tak bardzo oddaleni od dogmatów przeciętności. A wreszcie, gdzie jest „prawda”? czy jest nią *fakt*, czy *uczucie*, czy jakieś X, które nie jest żadnym z nich?

Nie mam zbyt dużego zamiłowania do takich analiz; ograniczę się tedy do rzeczowego przypomnienia faktów tej znanej historii, ponieważ są one niezbędne jako komentarz do *Spowiedzi dziecięcia wieku*; książka ta, gdybyśmy jej nie brali jako fantazję na tle istotnych przeżyć poety, straciłaby wiele na prawdzie i kolorze. Zarazem wplotę w tok opowiadania nieco dokumentów, bardziej niż cokolwiek innego pozwalających czytelnikom pochwycić *tonację*, na którą były nastrojone dusze uczestników dramatu.

Zatem 22-letni Musset, głośny już i rokujący najpiękniejszą przyszłość poeta, oraz 29 letnia Aurora Dudevant, separowana z mężem, matka dwojga dzieci, nie mniej głośna (pod pseudonimem literackim George Sand) autorka *Indiany*, *Walentyny* i drukującej się właśnie *Lelii*, spotkali się po raz pierwszy na obiedzie u redaktora „Revue des deux Mondes”, Buloza. Stało się to w czerwcu 1833, z końcem zaś sierpnia tegoż samego roku byli kochankami. Musset, smukły, nerwowy, pełen wdzięku i iskrzącej werwy z odcieniem dandyzmu, miał za sobą parę lat hulanki oraz światowych miłostek; George Sand, brunetka o typie kreolki i ogromnych, czarnych oczach, skupiona, małomówna, pochłonięta pracą, miała również przeszłość miłosną, a figurowały w niej dwa nazwiska literackie: Juliusz Sandeau (prototyp Balzakovskiego Stefana Lousteau; powieść Balzaka *Muza z zaścianka* zawiera niewątpliwie wiele rysów z pożycia tej pary) oraz Prosper Mérimée. Doświadczenia te zostawiły w jej sercu jedynie osad zawodu i goryczy. Nowy stosunek miłosny, zrazu podjęty przez obie strony z entuzjazmem, szybko zaczął się męcić; główną przyczyną był tu charakter Musseta, nierówny, szukający w miłości kanwy do dramatycznych przeżyć, obdarzony jakąś frenetyczną potrzebą cierpienia i zadawania bólu. Brutalny sceptycyzm w stosunku do kobiet i miłości, wybuchy zazdrości o przeszłość kochanki, dawały przyczynę do ciągłych burz. Raz po raz zerwanie wisiało na włosku; ale nazajutrz po najgwałtowniejszej scenie Alfred wracał do stóp kochanki skruszony, pełen tklivości i żalu...

Spodziewając się w ucieczce od świata znaleźć uspokojenie, kochankowie udają się z końcem r. 1833 do Włoch. Począwszy od Genui, George Sand zaczęła nedomagać na zdrowiu; tuż po przybyciu do Wenecji położyła się do łóżka wśród objawów jakiejś febry. Musset, nerwowy, niecierpliwy, niezdolny do roli siostry miłosierdzia, ucieka od smutnego pokoju chorej, zaniedbuje ją, ugania po Wenecji, pije (skłonność do pijaństwa, która miała później pochłonąć go zupełnie, datuje się od młodych lat), słowem, na wszelki sposób „używa życia”. *Sandyści* notują, iż poeta zgrał się na słowo na 10 000 franków, na którą to sumę towarzysza jego musiała znaleźć pokrycie, hipotekując ją na przyszłych płodach swego pióra; *Mussetysci* sprowadzają tę sumę do skromniejszych rozmiarów 360 franków, na które kredyt Musseta w „Revue des deux Mondes” wystarczał w zupełności... Rys ten cytuję na dowód, jaka rozbieżność sądów zachodzi tu nawet w rzeczach tak ścisłych jak cyfry: cóż dopiero mówić o zakresie uczuć! Podobno Musset oświadczył wręcz towarzysze, że się pomylił i że jej nie kocha; przychodzi do gwałtownych scen, niemal do zerwania; mieszkają obok, ale drzwi łączące ich pokoje zostają zamknięte.

Wśród tego George Sand, która była niezmordowaną pracowniczką pióra⁵, pisze swoim zwyczajem bez wytchnienia, aby nastarczyć potrzebom wspólnego gospodarstwa. Z kolei Musset zapada na zdrowiu; dostaje silnej gorączki (tyfus?), która (być może na tle alkoholicznym?) przybiera charakter ostrej maligny. George Sand, stłumiwszy urazy, pielęgnuje go z tym oddaniem macierzyństwa, które stanowi dominującą cechę jej charakteru. Pomaga jej w tych trudach młody miejscowy lekarz Pietro Pagello. Jakiej natury uczucia popychają George Sand w ramiona Pagella, nie silę się wyjaśniać; dość iż, podjąwszy sama trudy pierwszych kroków, zostaje, podobno jeszcze przy łożu chorego Musseta, jego kochanką. Tak twierdzą uporczywie *Mussetyści*; *Sandyści* oddalają ten fakt jako nazbyt „potworny”; pozostawiam czytelnikom i czytelniczkom swobodę psychologizowania na ten temat. (Zaciekli *Mussetyści* utrzymują nawet, opierając się na podejrzanym co prawda świadectwie Pawła de Musset, iż chory poeta *widział* wręcz George Sand w objęciach Pagella, ale że później kochanka, przy pomocy lekarza-wspólnika, wmówiła weń, że to była halucynacja, ba, nawet dała do zrozumienia, iż, gdyby się upierał, byłoby to dowodem, że jest *obłąkany*, i pociągnęłoby odpowiednie następstwa!...)

Spokojne i wolne od literackich subtelności uczucie Pagella nęci George Sand jako wypoczynek po szalach poety, którego znowuż zazdrość sprowadza do stóp kochanki. Tutaj następuje okres, który w piątej części *Spowiedzi dziecięcia wieku* znajduje, jak się zdaje, wierne odbicie: miłość, przyjaźń, lzy, braterstwo dusz, troje serc zespolonych jednym węzłem, licytacja na heroizm, na poświęcenie, oto ton, jaki dla tych dwojga poetów, wykarmionych na *Nowej Heloizie*⁶, dających w zupełnej izolacji od realnego życia swobodny bieg fantazji, stał się chlebem powszednim. A Pagello też dostroił się do stylu i, całując z rozczuleniem George Sand, powtarzał o „*il nostro amore per Alfredo*”... Nie obyło się przedtem bez burz, w których takie ewentualności jak zabójstwo, pojedynki, samobójstwo były na porządku dziennym; w końcu jednak rzeczy wzięły taki obrót: Musset *odkrywa* wzajemną miłość George Sand i Pagella, wydobywa z tego ostatniego wyznanie i czyni ze swego szczęścia ofiarę na ołtarzu przyjaźni; ustępuje dobrowolnie, kojarząc ręce kochającej pary. Wszyscy troje wylewają lzy radości i entuzjazmu, po czym Musset, wyciskany przez kochankę i Pagella, z którym wymienili zaklęcia dozgonnej przyjaźni (czyż młody lekarz nie ocalił poecie życia? a teraz czyż nie wraca mu go drugi raz, dając szczęście ubóstwianej przez Alfreda kobiecie?), zostawia George Sand jej nowej miłości i sam wyjeżdża do Paryża.

Tak przedstawiały się poecie te sprawy tuż po rozstaniu i poniekąd w epoce, gdy pisał *Spowiedź dziecięcia wieku*. Później, kiedy — w części pod wpływem „życliwych” języków — ochłonął z tej wzniosłej egzaltacji, jad podejrzeń wmieszał się w czyste wspomnienie. Jeżeli George Sand była kochanką Pagella już wcześniej, jeżeli całe jej postępowanie było grą i miało na celu łagodne pozbycie się Alfreda, jeżeli on w porywie wzniosłości pobłogosławił miłość dwojga osób, które się dawno bez tego błogosławieństwa obeszły, w takim razie w istocie poeta odegrał w swoich oczach dość komiczną rolę... Daleki zresztą jestem od ironizowania sytuacji, które życie spłaszcza swoją nieubłaganą ciężką stopą, ale które wynikły ze szlachetnej chęci wzniesienia się ponad płaskość życia.

Na razie jednak jesteśmy na szczytach egzaltacji. Musset z drogi do Paryża pisze do dawnej kochanki gorące i tkliwe listy; ona odpowiada mu w tonie macierzyńskiej serdeczności. Przytoczę parę urywków tej korespondencji, którą George Sand odczytywała wspólnie z oddanym Pagellem.

Musset pisze z Genui:

„Ujrzałem się w lustrze, poznałem to samo dziecko. Cóż ty uczyniła, biedactwo moje drogie? I to był człowiek, któregoś chciała kochać! Miałaś dziesięć lat cierpienia w sercu, miałaś od dziesięciu lat nieugaszone pragnienie szczęścia i to była trzcina, na której chciałaś się oprzeć! Ty, ty kochałaś mnie! Mój biedny Jerzy, dreszcz mnie przechodzi na tą myśl. Byłaś przy mnie tak nieszczęśliwa! I w jakież straszliwe klęski omal cię nie wtrąciłem!

⁵była niezmordowaną pracowniczką pióra — Opowiadają, iż raz, skończywszy jednej nocy powieść przed upływem zwyczajnej ilości godzin pracy, natychmiast rozpoczęła drugą, czyniąc tylko tyle przerwy, ile było potrzeba na zapakowanie rękopisu i położenie na nim adresu wydawcy. [przypis tłumacza]

⁶*Nowa Heloiza* — powieść sentymentalna Jeana Jacques’a Rousseau. [przypis edytorski]

⁷*il nostro amore per Alfredo* (wł.) — naszej miłości do Alferda. [przypis edytorski]

Długo będę widział, Jerzy mój, tę twarz pobladłą od czuwania, która przez ośmnaście nocy pochylała się nad moim wezłowiec, długo będę cię widzieć w tej nieszczęsnej izdebce, gdzie popłynęło tyle łez. Biedny Jerzy, biedne drogie dziecko! Omyliłaś się, uważałaś się za matkę kochankę, a byłaś jedynie moją matką. Niebo stworzyło nas dla siebie wzajem; dusze nasze w swej wyniosłej sferze poznały się niby dwa ptaki w górach; pomknęły jedna ku drugiej; ale uścisk był za mocny. Popełnialiśmy kazirodztwo.

Tak, moja jedyna przyjaciółko, byłem dla ciebie istnym katem, przynajmniej w ostatnich czasach. Zadałem ci wiele cierpień, ale, Bogu chwała, nie zrobiłem najgorszego, co mogłem. Och, dziecko moje, żyjesz, jesteś młoda, przechadzasz się pod najpiękniejszym niebem, wsparta na ramieniu człowieka, którego serce jest godne ciebie. Zacny młodzieniec! Powiedz mu, że go kocham i że nie mogę powściągnąć łez, myśląc o nim”.

George Sand podejmuje ten ton. Napawając się spokojną miłością Pagella, pracując przy tym po siedem, osiem, czasem trzynaście godzin na dobę, czuje jeszcze w sercu nadmiar tkliwości, która teraz, wyzwolona wyjazdem poety z drażliwej komplikacji życiowej, płynie swobodnie za odjeżdżającym:

„Czy byłem twoją kochanką czy matką, mniejsza; czy zrodziłam w tobie miłość czy przyjaźń, czy byłem z tobą szczęśliwa czy nieszczęśliwa, wszystko to nie zmienia nic w obecnym stanie mojej duszy. Wiem, że cię kocham, to wszystko. Czuwać nad tobą, chronić cię od wszelkiej przeciwności, dostarczać ci przyjemności i rozrywek, oto potrzeba, oto żal, jakich doświadczam od czasu, jak cię straciłam. Czemu to zadanie tak słodkie, i które byłabym spełniała z taką radością, stało się stopniowo tak gorzkie, a potem zupełnie niemożliwe? Co za fatalność zmieniła w truciznę lekarstwa, które ci podawałam? Czemu ja, która wysączyłabym wszystką krew, aby ci dać jedną noc spokoju i wytchnienia, stałam się dla ciebie męczarnią, plagą, upiorem? Kiedy te straszne wspomnienia nawiedzą mnie (a czyż jest godzina, w której by mnie poniechały?) czuję się bliską szaleństwa. Oblewam poduszkę łzami, słyszę głos twój wołający mnie w ciszy nocnej. Któż mnie zawoła teraz? kto będzie potrzebował mego czuwania? dla kogo zużyję siłę, którą zgromadziłam dla ciebie, a która teraz obraca się przeciw mnie samej? O moje dziecko! moje dziecko! jak ja potrzebuję twojej tkliwości i twego przebaczenia!”

W innym liście:

„Pagello jest to prawdziwy anioł i zasługiwałby na to, aby być szczęśliwym... Spędzam z nim najszczęśliwsze chwile w dniu, rozmawiając o tobie. Ten człowiek jest taki tkliwy, taki dobry! Tak dobrze rozumie mój smutek, szanuje go tak religijnie”.

I znowuż:

„Twoje wspomnienie jest świętą relikwią, imię twoje jest uroczystym słowem, które wymawiam wieczór wśród ciszy lagun, a odpowiada na nie wzruszony głos, i to słowo słodkie, proste i zwięzłe, ale które wydaje mi się wówczas tak piękne: *To l'amo*⁸!”

Urywki z listów Musseta:

„Pomyśl, ja mam tylko ciebie: wszystkiemu przeczyłem, wszystkiemu bluźnię, wątpię we wszystko, wyjąwszy w ciebie. Czy wiesz, dlaczego kocham tylko ciebie?... Nie łudzę się co do żadnej z twoich wad; nie kłamiesz, oto dlaczego cię kocham. Przypominam sobie dobrze ową noc... Ale, powiedz, gdyby nawet wszystkie moje podejrzenia były prawdą i w czym mnie oszukiwałaś? Czy mówiłaś mi, że mnie kochasz? Czy nie uprzedziłaś mnie?

⁸*To l'amo* — kocham go. [przypis tłumacza]

Czy miałem jakie prawo? O, moje ukochane dziecko, wówczas gdyś mnie kochała, czyś mnie oszukała kiedy? Czyż mogłem ci uczynić najłżejszą wymówkę przez te siedem miesięcy, które widywałem cię dzień po dniu? I gdzież jest człowiek tak nikczemny, aby nazwać przewrotną kobietę, która ceni go na tyle, aby go uprzedzić, że godzina jego nadeszła? Kłamstwo, oto czym się brzydzę, i co mnie czyni najbardziej nieufnym z ludzi, może najniezszczęśliwszym. Ale ty jesteś równie szczerą jak szlachetną i dumną. Oto dlaczego wierzę w ciebie i będę cię bronił przeciw całemu światu do ostatniego tchu”.

„Czy wiesz, co mnie zachwyciło w twoim liście? To sposób, w jaki mówisz o Pagellu, o jego dbałości o ciebie, o twoim dlań przywiązaniu i szczerości, z jaką pozwalasz mi czytać w swoim sercu... Wierzę, kobieta która tak mówi o nowym kochanku temu, którego opuszcza i który kocha ją jeszcze, daje mu najwyższy dowód szacunku, jaki mężczyzna może otrzymać od kobiety.”

O, Janie Jakubie⁹, zaiste, twoje ziarno nie padło na opokę!

„Powiedz Pagellowi, że dziękuję mu za to, że cię kocha i że czuwa nad tobą. Czyż to nie jest najpociesniejsza rzecz w świecie to uczucie? Kocham tego chłopca prawie tak jak ty: wytłumacz to, jak umiesz. Jest przyczyną, iż straciłem całe bogactwo mego życia, a kocham go, jak gdyby mi je dał. Nie chciałbym was widzieć razem, a szczęśliwy jestem myśląc, że jesteście razem. Och, mój aniele, mój aniele, bądź szczęśliwa, wówczas i ja będę szczęśliwy”.

Pagello nie pozostaje nieczuły na te wylewy. Oto urywek z jego listu:

„Drogi Alfredzie, nie pisaliśmy jeszcze do siebie, może dlatego że żaden z nas nie chciał być pierwszy. Ale to w niczym nie uszczupła tego wzajemnego przywiązania, które zawsze nas będzie spajało za pomocą węzłów tak wzniosłych a niezrozumiałych dla świata”.

Mimo tej doskonałej harmonii trojga dusz George Sand odczuwa niekiedy w objęciach Pagella tęsknotę za burzliwą miłością poety, która tak szczerze umiała wypełnić jej życie:

„Przywykłam do entuzjazmu i brakuje mi go niekiedy... Tutaj nie jestem panią Sand; pocziwy Pietro nie czytał *Lelii* i nie sądzę, aby z niej coś zrozumiał. Pierwszy raz w życiu kocham bez namietności.

Otóż ja potrzebuję cierpieć dla kogoś; potrzebuję zużyć ten nadmiar energii i czucia, jaki jest we mnie. Potrzebuję dać pokarm tej macierzyńskiej troskliwości, która przywykła czuć nad cierpiącą i znużoną istotą. Och! czemuż nie mogę żyć między wami dwoma i dawać wam szczęście, nie należąc do żadnego z was”.

Tutaj zaczyna się nowy akt tej romantycznej tragikomedii. George Sand wraca do Paryża i z osobliwym jak na tak rozumną kobietę brakiem orientacji wlecze za sobą Pagella. Jedną z pobudek podróży Pagella jest chęć „uściskania Alfreda”, który również gorąco go do tego zachęca. Od pierwszego dnia fikcja tej wzniosłej „trójcy” wyrojona w egzotycznych warunkach pobytu w Wenecji staje się niemożliwą: życie codzienne spłaszcza ją i wykrzywia. Nicość biednego Włocha, który na tle lagun odniósł tryumf nad poetą, ujawnia się w sceptycznej atmosferze Paryża zbyt jaskrawo. Pagello, nie czując pewnego gruntu pod nogami, robi się drażliwy, zazdrosny; nie wie, co z sobą począć w tym artystycznym światku, w którym kochanka jego odnalazła się jak w swoim żywiole. George Sand wymyka mu się, Musset jest dlań uprzejmy, ale sztywny; w dodatku jest kuso z pieniędzmi, mieszka osobno w nędznym hoteliku... Aby zabić czas i spożytkować tę niewczesną podróż, Pagello uczęszcza do szpitali paryskich.

Spotkanie Musseta z George Sand rozpałiło na nowo w sercu poety wszystkie ognie miłości. Postanawia uciec, opuścić kraj na zawsze; jakoż w istocie wyjeżdża do Badenu, ale jedynie po to, aby stamtąd pisywać w coraz płomienniejszym tonie:

⁹Jan Jakub — tu: Jean Jacques Rousseau (1712–1778), francuskojęzyczny pisarz i myśliciel pochodzący ze Szwajcarii, twórca epoki schyłkowego oświecenia, sentymentalizmu, prekursor romantyzmu. [przypis edytorski]

„Nigdy żaden człowiek nie kochał tak, jak ja ciebie kocham... Tonę, pławię się w miłości; nie wiem już, czy żyję, czy jem, czy chodzę, czy oddycham, czy mówię: wiem, że kocham. Ach! jeżeli miałas przez całe życie niewygasłe pragnienie szczęścia, jeżeli to jest szczęście być kochaną, jeżeli kiedy prosiłaś o nie Boga, och ty, moje życie, moje dobro, moja ubóstwiana, spójrz na słońce, na kwiaty, na zieloność, na świat! Jesteś kochaną, powiedz to sobie, tak jak Bóg może być kochany przez swoich lewitów, wyznawców, męczenników. Kocham cię, ty moja krwi, moje ciało! Umieram z miłości, miłości bez końca, bez nazwy, szalonej, rozpaczliwej, zatraconej; kocham cię, uwielbiam, ubóstwiam aż do ostatniego tchu! Nie, nie wyleczę się. Nie, nie będę próbował żyć; i wołę to: umrzeć kochając cię, to więcej warte niż żyć. Dużo dbam o to, co ludzie powiedzą! Powiedzą, że masz innego kochanka. Wiem o tym, płacę to życiem. Ale kocham, kocham, kocham! Niech mi zabronią kochać!”

„Powiedz mi, że mi dajesz twoje wargi, twoje zęby, włosy, wszystko, tę głowę, która była moją, i że mnie tulisz do siebie, ty, mnie! O Boże, o Boże, kiedy myślę o tym, gardło mi się ściska, w oczach mi się ćmi, kolana uginają się pode mną. Och! straszne jest umierać, straszne jest kochać w ten sposób. Cóż za pragnienie, Jerzy mój, cóż za pragnienie ciebie!... Umieram. Żegnaj”.

Jak można się domyślić, Musset nie umiera, ale wraca do Paryża. George Sand, którą wszystko popycha w objęcia Alfreda, upiera się przez konsekwencję w marzeniu o związku trojga dusz, wyzwolonych od zmysłów. Ale już i Pagello zbuntował się przeciw tej mistycznej trójcy:

„On, który wszystko rozumiał w Wenecji, z chwilą gdy stąpił nogą we Francji, nie rozumie już nic i jest w rozpacz. Wszystko we mnie rani go i drażni. Mamż powiedzieć? Jedzie, już może pojechał w tej chwili, a ja go nie zatrzymam, ponieważ jestem obrażona do głębi duszy tym, co mi pisze, i ponieważ, czuję to dobrze, nie ma w nim już wiary, tym samym więc nie ma i miłości”.

Wielkie kobiece słowo: wierzysz swoim oczom raczej niż mnie, *zatem* już mnie nie kochasz!

Kobieta, Wiara, Miłość,
Oko

„Rozwiązał się tedy piękny poemat naszej świętej przyjaźni i tego idealnego związku, jaki się wytworzył między nami trojgiem wówczas, kiedy zeń wydarłeś w Wenecji wyznanie, że mnie kocha, i kiedy ci poprzysiągł, że mnie uczyni szczęśliwą... Wszystko to było tedy jedynie bajką? Tak, tylko mająkiem i ja jedna, ja głupia jak dziecko, brnęłam z ufnością i z dobrą wiarą! I ty chcesz, abym po przebudzeniu, kiedy widzę, że jeden mnie pragnie, a drugi porzuca mnie i znieważa, abym wierzyła jeszcze w szczytną miłość!”

„Fatalność”, jak mówi libretto *Pięknej Heleny*¹⁰, zrobiła swoje. Jerzy¹¹ skłonił się w ramiona Alfreda, zanim jeszcze Pagello opuścił Paryż. Oto jak w swoim dzienniku Włoch kreśli chwilę rozstania:

„Pożegnanie nasze było nieme; uścisnąłem jej rękę, nie mogąc patrzeć na nią. Była jakby pomięszana; nie wiem, czy cierpiała; czuła się zakłopotana moją obecnością. Nużył ją ten Włoch, który swoim prostym zdrowym rozsądkiem, podcinał niezrozumianą wzniosłość, w jaką miała zwyczaj spowijać przesyty swoich miłostek.”

Ostatni rozdział romansu, jaki następuje, przynosi moment równie nieoczekiwany jak wzruszający. Można się domyślić, iż pożycie złączonych na nowo kochanków dalekie było od harmonii. Ten sam Musset, już poprzednio do szaleństwa zazdrosny o przeszłość,

¹⁰*Piękna Helena* — operetka francuskiego kompozytora Jacques'a Offenbacha (1819–1880). [przypis edytorski]

¹¹*Jerzy* — fr. George. [przypis edytorski]

do której nie miał żadnego prawa, czyż mógł zapomnieć o tym, co tak świeżo przeorało jego życie, zbrukano jego miłość? Od pierwszej chwili szarpanie, piekło, brutalne plwanie w oczy wszystkich faktów odartych już z idealnej frazeologii... Raz po raz, poeta grozi zamordowaniem kochanki; to znów ucieka, rzuca ją, zamyka się w domu. Egzaltacja udziela się i jej; ta spokojna, zrównoważona kobieta rywalizuje z kochankiem w szaleństwach miłości. Jest tu zarazem coś z gry, w której każda strona kładzie swą ambicję w tym, aby mieć ostatnie słowo. Dodajmy, iż cały Paryż przyglądał się z zaciekawieniem temu turniejowi, którego wszystkie etapy były znane publiczności. Po którymś zerwaniu George Sand, nie mogąc wdrzeć się do drzwi Alfreda, ucina swoje wspaniałe włosy i posyła mu je. Ale tym razem, mimo romantyzmu gestów, to miłość, prawdziwa miłość, która sięgnęła do samych trzewi kobiety. Daleko jesteśmy od surogatu macierzyństwa, który przeważał w pierwszym okresie stosunku jej z Alfredem. Znamy karty niewydanego *Dziennika* George Sand: „słynne listy zakonnicy portugalskiej są letnie i spokojne w porównaniu do tych stron, które można zaliczyć między najpłomienniejsze, jakie kiedykolwiek miłość wydarła kobiecie”, pisze o tym *Dzienniku* inna kobieta...¹² Przytoczę parę ustępów:

„Kocham cię całą moją duszą, a ty, ty nie masz dla mnie nawet przyjaźni. Pisałam do ciebie, dziś wieczór; nie odpowiedziałeś. Powiedziano, że wyszedłeś, i nie wstąpiłeś do mnie ani na pięć minut. Wróciłeś tedy bardzo późno i gdzie byłeś, Boże ty mój? Ach, wszystko skończone, nie kochasz mnie już wcale. Stałabym ci się wstrętna i nienawistna, gdybym została tutaj... Daruj mi, żeś cierpiał przeze mnie; jesteś pomszczony: nie ma na świecie istoty nieszczęśliwszej ode mnie”.

„Gdyby uwiesić się u dzwonka i dzwonić póki mi nie otworzy? Gdyby się położyć w poprzek pod progiem, aż będzie przechodził? Gdyby się rzucić — nie do jego stóp, to byłoby szaleństwo, to by znaczyło błagać go, a wszak z pewnością robi dla mnie, co może, okrucieństwem jest nękać go i żądać niepodobieństwa — ale gdybym mu się rzuciła na szyję, w ramiona, gdybym powiedziała: Kochasz mnie jeszcze, cierpisz, rumienisz się, że kochasz, ale nadto litujesz się, aby nie kochać. Widzisz wszak, że cię kocham, że mogę kochać tylko ciebie. Uściskaj mnie, nie mów nic, nie spierajmy się; powiedz mi parę słodkich słów, popieść mnie, skoro podobam ci się jeszcze mimo uciętych włosów, mimo dwóch wielkich bruzd, jakie wyłobily się od owego dnia na mej twarzy. Więc dobrze! Kiedy uczujesz, że twoja tkliwość się kończy i niechęć wraca, odpędź mnie, znęcaj się nade mną, ale niech to nie będzie nigdy z tym okropnym słowem: *ostatni raz!* Będę cierpieć, ile zechcesz, ale pozwól mi czasem, choćby tylko raz na tydzień, zajść do ciebie po łzę, po pocałunek, który by mi wrócił życie i dodał siły”.

„Och! on źle czyni, nieprawdaż? mój Boże, źle czyni, że mnie porzuca teraz, kiedy moja dusza oczyściła się i kiedy pierwszy raz zawładnęła we mnie surowa wola... Ta miłość mogłaby mnie zawieść na koniec świata. Ale nikt jej nie chce; płomień zgaśnie niby bezużyteczne całopalenie. Nikt nie chce!... Och! nie, nie można kochać dwóch mężczyzn naraz. Mnie się to zdarzyło. Zdarzyło się, ale nie zdarzy się już więcej”.

„Czyż ja nie pokutuję za szaleństwa i błędy jakie popełniam? Czyż lekcje nie idą na pożytek kobietom takim jak ja? Czyż nie mam trzydziestu lat? Czy nie jestem w pełni sił? Tak, wielki Boże, czuję to, mogę być jeszcze radością i dumą mężczyzny, jeśli ten mężczyzna zechce mi szczerze pomóc. Potrzebuję krzepkiego ramienia, aby mnie wsparło, serca wolnego od próżności, iżby mnie przygarnęło i zachowało. Gdybym była znalazła takiego człowieka, nie byłabym, gdzie jestem. Ale tacy ludzie to są sękaty dęby, szorstkość ich kory odpycha. A ty poeto, piękny kwiecie, ach, chciałam pić twoją rosę. Upoiła mnie, zatrula i w godzinie gniewu sięgnęłam po inną truciznę, która mnie dobiła. Byłeś zbyt słodki i zbyt subtelny, drogi mój zapachu, abys mógł nie ulotnić się, ilekroć wargi moje cię wdychały. Urocze krzewy Indyj i Chin

¹²pisze o tym *Dzienniku* inna kobieta — Arvede Barine, *Alfred de Musset*. [przypis tłumacza]

gną się na wątlej lodydze i chylą się przy lada wietrze. Nie z nich to ciosa się belki, aby budować dom!”

„Och, te listy, których już nie mam, które tak całowałam, tak zlewałam łzami, tak cisnęłam do nagiego serca, kiedy tamten (Pagello) nie widział!”

„Tak, to nawrót twojej miłości w Wenecji stał się przyczyną mej rozpacz i mojej zbrodni. Czy mogłam ci wyznać? Nie byłbyś już ścierpiał mej opieki, umarłbyś z wściekłości, poddając się jej. I cóż byś począł beze mnie, mój biedny umierający gołębiu? Och, Boże! ni razu nie mogłam pomyśleć o tym, co wycierpiałeś przez tę chorobę i przeze mnie, iżby pierś moja nie łamała się łkaniem. Oszukiwałam cię, byłam między dwoma mężczyznami, z których jeden mówił: »Wróć do mnie, naprawię wszystkie winy, będę cię kochał, umrę bez ciebie!«, drugi zaś szeptał mi cicho w drugie ucho: »Strzeż się, jesteś moją, nie ma już powrotu. Kłam, Bóg tak chce. Bóg ci odpuści.« — Ach, biedna kobieto, biedna kobieto, wówczas to trzeba było umrzeć”.

„O, moje błękitne oczy, nie patrzycie już na mnie! Ty piękna głowo, już nie ujrzę, jak się pochylasz nade mną i przesłaniasz słodkim omdleniem. Moje ty ciałko, tak gibkie i ciepłe, nie położysz się już na mnie, jak Elizeusz na martwym dziecięciu, aby mnie ożywić. Nie dotkniesz mi już ręki, jak Jezus córki Jaira, mówiąc: »Dzieweczko, wstań«. Żegnajcie włoski blond, żegnajcie białe ramionka, żegnaj wszystko com kochała, wszystko co było moje. Będę ścisła teraz, w czas moich płomiennych nocy, pnie sosen i skały w lasach, krzycząc twoje imię, kiedy zaś wymarzę sobie rozkosz, padnę zemdlona na wilgotną ziemię”.

„Jakież żary wszczepiłyście w szpik moich kości, wy duchy pomsty bożej? Cóż uczyniłam aniołom niebieskim, iż zstępują na mnie, tchnąc we mnie za karę miłość lwicy? Czemu krew moja zmieniła się w ogień i czemu w chwili, gdy mam umrzeć, poznałam uściski gorętsze niż uściski ludzi? Jakież szal cię ogarnął, ty który popychasz mnie nogą do trumny, podczas gdy usta twoje sycą się mięszem mego ciała? Chcesz tedy, abym się zabiła? Bronisz mi tego, ale cóż stanie się ze mną z dala od ciebie, jeżeli ten płomień będzie mnie nadal trawił? Skoro nie mija jedna noc, iżbym nic krzyczała za tobą i nie tarzała się po łóżku, cóż pocznę, skoro stracę cię na zawsze? Czy wyschnę i zblednę jak zakonnica pożerana żądzą? Czy oszaleję i będę budzić mieszkańców domu swoim wyciem? Och! ty chcesz, abym się zabiła!”

George Sand pierwsza ocknęła się z *transu*. Może dopomógł jej w tym imperatyw jej talentu. Twórczość Musseta żyła jak salamandra w ogniu namiętności; regularna praca, wysiłek obce były kapryśnej muzie poety. Natomiast dzieło życia George Sand miało popłynąć jak rzeka szerokim, spokojnym łożyskiem. Musiała się wyzwolić. Potajemnie dnia 9 marca 1835 ucieka do Nohant (imię kawałka ziemi, który posiadała George Sand), przechodzi atak wątroby, wraca do zdrowia i — opamiętuje się. Krzepka jej natura, utrzymywana w równowadze pracą, przychodzi do siebie i niebawem wyciąga ręce do nowych uczuć; życie Musseta natomiast, tak człowieka jak artysty, wlecze się od tej pory śmiertelnie podcięte.

Kiedy Musset, wyjechawszy z końcem 1833 ostentacyjnie z Paryża z George Sand, wrócił po kilku miesiącach sam, miasto zawrzało od plotek. Na wszystkie strony komentowano przegodę wenecką i to w duchu mocno niekorzystnym dla przyjaciółki poety. Musset bardzo po rycersku kruszy za nią kopie, gdzie może; wówczas to rodzi się w nim myśl spisania dziejów ich dwojga. Koncepcja przyszłej książki układa się w głowie poety w kształcie zgodnym ze stanem idealnej egzaltacji, w jakim opuścił Wenecję. Dzieli się tym planem z przyjaciółką:

„Zabieram się do napisania powieści. Mam ochotę skreślić naszą historię: zdaje mi się, że to by mnie uleczyło i skrzepiło mi serce. Chciałbym ci zbudować ołtarz, chociażby ze swoich kości, ale zaczekam na twoje wyraźne pozwolenie.

Co do mnie, nie umrę, dopóki nie napiszę mojej książki o sobie i o tobie (zwłaszcza o tobie); nie, moja piękna, moja święta oblubienico, nie spocznieś

w tej chłodnej ziemi, iżby ta ziemia nie dowiedziała się, kogo nosiła. Nie, nie, przysięgam na mą młodość i mój geniusz, na twoim grobie wejść jedynie lilie bez zmały. Tymi oto rękami wzniosę na nim nagrobek z marmuru czystszy niż posągi naszych jednodniowych chwał. Potomność będzie powtarzać nasze imiona jak imiona owych nieśmiertelnych kochanków, którzy we dwoje mają już tylko jedno miano, jak Romeo i Julia, jak Heloiza i Abelard... Będzie to małżeństwo świętsze niż to, które kojarzą księża; niezniszczalne i czyste małżeństwo ducha”.

Książka ta, to była *Spowiedź dziecięcia wieku*; w niej to postanowił poeta wnieść ko-chance pomnik wobec potomności. Był to okres, w którym wszystkie występki widział po swojej stronie; on był zbrodniarzem, ona aniołem dobroci, czystości, poświęcenia. Odmalował ją pod postacią Brygidy Pierson, zacierając zresztą zupełnie podobieństwo zewnętrznych rysów oraz tło wydarzeń; on sam jako Oktaw wypowiadał się z własnych przewin i słabości. Pagello przedzierzgnął się również we wzór wszelakiej cnoty: w kryształowego Smitha. Ta chęć oddania *prawdy* przy równoczesnym przekształceniu jej pewnych rysów nie zawsze wychodzi książce na korzyść; obok kart tętniących życiem znajdują się inne, wręcz blade; czasem opowiadanie łamie się w niekonsekwencjach lub banalności wyrojonych szczegółów. Tak np. końcowy epizod z filiżanką herbaty, noszący wyraźne cechy autentyczności i zrozumiały pod gorącym niebem Włoch, tutaj w stosunku anielskiej Brygidy do limfatycznego Smitha, „detonuje” wręcz komicznie. I sama Brygida gubi się nam w ciągu opowiadania: trudno nam rozpoznać początkową *miłosiermiczkę* z części trzeciej w klasycznej miłośnicy części dalszych. Rola „czarnego charakteru”, Merkanson, ujęta dziwnie niezaradnie i w gruncie dość zbyteczna, razi swoim „wolterianizmem”, z którym Mussetowi tak bardzo jest nie do twarzy!

Jednakże biorąc tę książkę pod kątem owego „pomnika” dla kochanki, znajdziemy na tym pomniku i poważniejsze pęknięcia. Poznanie Oktawa z Brygidą Pierson poprzedzone jest inną przygodą miłosną bohatera; przygodą, w której ten, oddawszy z całą ufnością swe młodzieńcze serce, spotyka się ze strony niegodnej kobiety z czarną zdradą. Otóż komentatorowie omawiający *Spowiedź dziecięcia wieku* nie dość może, moim zdaniem, zwrócili uwagę na to, ile ta pierwsza część zawiera *realnych* szczegółów wiążących postać tej *pierwszej* kobiety z George Sand. Idealną Brygidę wyposażył poeta w rysy raczej konwencjonalne; ta jasnowłosa osóbką, pieszcząca się z kózką i wędrująca po okolicy, szukając chorych do pielęgnowania, niewiele ma wspólnego z autorką *Lelii*; tamtej natomiast *pierwszej*, owemu złemu duchowi swego życia, dał poeta niewątpliwie prawdziwe rysy kochanki: ten „kark, gładki i pachnący, na którym splatają się dwa lśniące czarne warkocze” — to ona; ta piosenka włoska, którą zwykła była nucić, to, jestem pewien, piosenka wyjęta z własnych ust George Sand. Mam uczucie, że cały epizod z obróceniem głowy i słowami „Czy to ty?” oraz brutalny wybuch Oktawa, że owa nocna scena, w której Oktaw grozi kochance nożem, a może i sama scena z początku trzeciego rozdziału, że to są również echa przeżyć weneckich!... To, że równocześnie wplatają się tu i wspomnienia innych młodzieńczych doświadczeń poety, to w niczym rzeczy nie zmienia.

Tak więc, świadomie czy nieświadomie, Musset prowadzi w tej książce podwójną grę; bije na pamiętkę swej męki medal o podwójnej fizjonomii; równocześnie apoteozuje swą kochankę i piętnuje ją dotkliwie. I czyż właśnie ta dwoistość nie jest bardzo ludzka? czyż nie wyraża wiernie nastrojów uczuciowych poety, który to plwał wzdrganą na swoją miłość, to włóczył się przed nią na kolanach, kajając się za to świętokradztwo? I nie zapominajmy, iż później im bardziej poeta oddala się od tego wspomnienia, tym bardziej w duszy jego rysuje się obraz kochanki nie jako słodkiej Brygidy, ale jako owego czarnookiego demona z pierwszej części *Spowiedzi*.

Szczytowym punktem tego stanu ducha poety jest wspaniała *Noc październikowa* (pisana w 1837), w której — zanim wypowie ostateczne słowo przebaczenia — smaga hańbą wspomnienie kochanki:

*Honte à toi qui la première
M'as appris la trahison,
Et d'horreur et de colère
M'as fait perdre la raison!*

*Honte à toi, femme à l'oeil sombre,
Dont les funestes amours
Ont enseveli dans l'ombre
Mon printemps et mes beaux jours*¹³!

Czyż Oktaw de T***, bohater *Spowiedzi dziecięcia wieku*, inaczej mówiłby o swej czarnowłosej zmiennicy?

Starałem się tu przedstawić najciekawsze dokumenty tego zawilego procesu dwojga serc, nie pozwalając sobie na wyrażanie osobistych zapatrywań. Muszę wszelako zaznaczyć, iż im więcej czytywałem się w akta sprawy, tym bardziej sympatie moje przechylały się na stronę George Sand. Jest w tej pełnej, dojrzałej kobiecie pewien akcent ludzkiej dobroci, szczerości, więcej budzący zaufania niż zaczyniona romantyzmem egzaltacja zbyt młodocianego jej partnera. A jeżeli zechcemy uważać, iż ta właśnie ludzkość i dobroć, czasem wykraczająca w swoich przejawach poza ramy utartych wzorków obyczajowych, zapędziła ją w drażliwe nieco życiowe sytuacje, nie zapominajmy, że życie uczuciowe dwojga (a tym bardziej trojga) ludzi nigdy nie jest przeznaczone do publicznych roztrząsań, że zatem cała niedelikatność jest po naszej stronie.

Jako utwór literacki *Spowiedź dziecięcia wieku* jest istotnie — jak mało która książka — dzieckiem swej epoki. To romantyzm dziewięćdziesiątej próby; orgia liryzmu, przewalająca się nieustannie poza brzegi quasi-powieściowej ramy. Maurycy Donnay, w doskonałych swoich prelekcjach o Mussecie, dowcipnie nazwał tę powieść *roman à „je” continu*¹⁴. Możemy tu studiować geologiczne warstwy romantyzmu: *Spowiedź* ta wiedzie się w prostej drodze z *Wyznań* Jana Jakuba¹⁵ („ja, który zawsze, mimo wszystko, choćbym nawet popełnił zbrodnie, powtarzałbym sobie, że serce moje jest niewinne (...)” etc.), ale drogę tę skrzyżował już Chateaubriand ze swoim przepychem języka, pompą obrazowania i swoim dumnym znudzeniem. A porównajmy współczesną tej powieści *Panne de Maupin* Gautiera (1834), a będziemy mieli — przy całej olbrzymiej różnicy temperamentów — dwie odmiany lirycznego *weltschmerzu*¹⁶ i nieraz, ach! lirycznej biegunki słów... Nawet owe arcyromantyczne braki gustu, jakie nieraz nam przychodzi zanotować przy lekturze tej książki, jakże są „stylowe”! Np. część pierwsza: po grzmiącym dytyrambie drugiego rozdziału i jego przepysznym skrócie katastrofy napoleońskiej — rozdział trzeci: spódniczka, serweta, upuszczony widelec... A ta ciągła mieszanina rozlewności religijnej i erotycznej; ten „grób ojca”, ten „Bóg”, któremu, jak w powieściach George Sand, każe się spełniać osobliwe funkcje; ta „dobroczynność”, jakże pocieszna dla nas, dzisiejszych ludzi, przeoranych demokracją, socjalizmem, syndykalizmem, bolszewizmem...; ta „dobroczynność” niby jedwabna sakiewka ze złotymi pomponikami, z której rozdawało się z wdziękiem miedziaki, odbierając w zamian potoki błogosławieństw!

Ale wśród tych stron o nierównej wartości, niecierpliwących nas nieraz swą pretenstjonalnością, „dandyzmem”¹⁷, swoim arealizmem, ileż znajdziemy takich, które stanowią najcenniejsze perły prozy francuskiej, owej prozy, jaka się rodzi jedynie pod piórem poety czystej wody! I wiele rzeczy może być w tej książce fałszywych, ale zawsze zostanie prawdziwą, szczerą jedna: to serce, szalone serce, które w obłądnie swym chciało, aby każde jego bicie było biciem miłości, ten rozpalony mózg, który chciał, aby każda jego myśl była myślą o miłości. I w całej literaturze francuskiej, w której miłość kobiety odgrywa tak przemożną rolę, nikt może tak zupełnie nie oddał jej wszystkich włókien swej twórczości jak ten poeta, który w jednym ze swoich klejnocików scenicznych powiada:

¹³*Honte à toi (...) mes beaux jours* — Hańba tobie, która pierwsza nauczyłaś mnie, co to zdrada, i przyprawiałaś o szaleństwo ze zgrozy i gniewu! Hańba tobie, kobieto o posepnym oku, której złowrogie miłości pogrzebały w mrokach wiosnę mego życia i moje piękne dni. [przypis tłumacza]

¹⁴*roman à „je” continu* (fr.) — powieść ustawicznego „ja”. [przypis edytorski]

¹⁵*Jan Jakub* — Jean Jacques Rousseau. [przypis edytorski]

¹⁶*weltschmerz* (z niem.) — dosł. ból świata; egzystencjalne cierpienie. [przypis edytorski]

¹⁷*stron (...) niecierpliwących (...) „dandyzm”* — Gdybyśmy nie wiedzieli, że Oktaw de T*** to sam autor, byłby on jako bohater powieści nie do zniesienia, gdyż Musset zaniedbał mu dać jakiegokolwiek rysy stanowiące rękojmię iż próżniactwo, jakie przez cały czas uprawia, jest płodnym próżniactwem poety, a nie jałowym próżniactwem walkonia [*dandyzm* — wyszukana elegancja zachowania i stroju, granicząca z ekstrawagancją; w XIX w. praktykowana w kołach artystycznych jako sprzeciw wobec mieszczańskiego etosu opartego na pragmatyzmie; Red. WL]. [przypis tłumacza]

„Powiedz mi — jeśli istniała kiedy chwila w której wszystko było stworzone — na mocy jakiej siły zaczęły się poruszać te światy, które nie zatrzymają się nigdy?... Przez wieki miłość. Ręka, która je zawiesiła w przestworzu, wypisała tylko jedno słowo niezatartymi głoskami. Żyj, ponieważ dążą do siebie; te słońca rozpadłyby się w pył, gdyby jedno z nich przestało kochać... Tak, całe życie jest w tym, — od Oceanu, który wzdyma się pod bladymi pocałunkami Diany, aż do chrząszczyka, który zazdrośnie usypia w swoim ukochanym kwiecie. Spytaj lasów i kamieni, co by rzekły, gdyby umiały mówić. Mają miłość w sercu i nie umieją jej wyrazić. Kocham cię; oto co wiem, droga moja; oto co powie ci ten kwiat, on, który wybiera w łonie ziemi soki mające mu służyć za pokarm; który usuwa i odtrąca nieczyste składniki zdolne skazić jego krasę! On wie, że trzeba, aby był piękny w blasku dnia i aby umarł w swojej szacie ślubnej, w obliczu słońca, które go stworzyło”.

Jakoż w tej inwazji problemów miłosnych, jaka zalała literaturę romantyczną i poromantyczną wszystkich krajów, nie najmniejszą z pewnością odpowiedzialność ponosi ów złotowłosey cherubinek, Fantazjo-Musset, o którym można by powiedzieć jak Słowacki o swoim bohaterze:

„...dziwnie ten Fantazjusz żyje,
Z babami się jak na pałasze bije...”

Boy.

Kraków, w czerwcu 1920.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I

Aby napisać historię swego życia, trzeba przede wszystkim żyć; nie moją własną też historię piszę.

Sięgnięty, w młodym wieku jeszcze, okropną chorobą moralną, opowiadam, co mi się zdarzyło w ciągu trzech lat. Gdybym tylko sam jeden był chory, milczałbym: ale ponieważ wielu prócz mnie cierpi na tę samą chorobę, piszę dla nich. Nie wiem nawet, czy zwrócą uwagę na moje słowa; ale gdyby nawet miały się spotkać z zupełną obojętnością i tak zyskałbym tyle, iż uleczyłbym lepiej sam siebie. Jak lis ujęty w pułapkę, odgryzam przyciętą w paści nogę.

ROZDZIAŁ II

W czasie wojen Cesarstwa, podczas gdy mężowie i bracia byli w Niemczech, niespokojne matki wydały na świat pokolenie płomienne, blade, nerwowe. Poczęte między dwoma bitwami, wychowane w szkole wśród warczenia bębnow, dzieci spoglądały po sobie wzajem chmurnym okiem, próbując swych wątych mięśni. Od czasu do czasu zjawiali się zakrwawieni ojcowie, podnosili je do piersi szamerowanych złotem, następnie stawiali na ziemi i siadali z powrotem na koń.

Jeden człowiek żył wówczas w Europie; reszta starała się napełnić płuca powietrzem, które on wydychał. Co roku Francja składała temu człowiekowi w darze trzysta tysięcy młodych ludzi; był to haracz płacony Cesarzowi. Gdyby nie miał za sobą tej trzody, nie mógłby biec za swoją fortuną. Była to eskorta, której potrzebował, aby przebyć świat i paść w końcu w małej kotlinie bezludnej wyspy, w cieniu płaczącej wierzby.

Nigdy nie spędzono tylu bezsennych nocy, co za czasu tego człowieka; nigdy nie widziało się takiego tłumu zrozpaczonych matek, wychylających się z szaniców miasta; nigdy nie było takiej ciszy dokoła tych, którzy mówili o śmierci. A mimo to nigdy nie było tyle radości, tyle życia, tyle fanfar wojennych we wszystkich sercach. Nigdy nie wschodziło na niebie czystsze słońce niż to, które osuszało wszystką tę krew. Powiadano, że Bóg zsyła je dla tego człowieka i nazwano je jego słońcem spod Austerlitz. Ale to on sam stwarzał je swoimi wciąż grzmiącymi armatami, po których zostawały chmury jedynie nazajutrz po bitwie.

Tym to powietrzem oddychały wówczas dzieci: atmosferą owego nieba bez plamki, gdzie błyszczało tyle chwały, gdzie lśniło się tyle stali. Wiedziały, że są przeznaczone na hekatombę, ale wierzyły w to, iż Murata nie imają się szable, cesarz zaś przeszedł most, gdzie świstało tyle kul, iż nie wiedziano wręcz, czy on może umrzeć. A gdyby nawet trzeba było umrzeć, i cóż? Śmierć była wówczas tak piękna, tak wielka, tak wspaniała w swojej dymiącej purpurze! Tak bardzo podobna była do nadziei, kosiła tak zielone kłosie, że stała się jakby czymś młodym i że przestano wierzyć w starość. Wszystkie kolebki Francji stały się puklerzami, wszystkie trumny również; w istocie nie było już starców; były tylko trupy albo półbogi.

Tymczasem nieśmiertelny cesarz znalazł się jednego dnia na pagórku, patrząc, jak siedem narodów wyrzyna się wzajem; podczas gdy jeszcze nie wiedział, czy będzie panem świata czy tylko jego połowy, Azrael przeszedł mu drogę, musnął go końcem skrzydła i pchnął w ocean. Na odgłos jego upadku, konające mocarstwa podniosły się na łóżach boleści; wysuwając haczykowate łapy, królewskie pająki rozdrapały Europę i z purpury Cezara uczyniły sobie strój Arlekina.

Tak samo jak podróżnik, dopóki jest w drodze, spieszy dniem i nocą po deszczu i słońcu, zaledwie świadom bezsenności i niebezpieczeństw; ale skoro znajdzie się pośród rodziny i usiądzie przy kominku, odczuwa bezgraniczne znużenie i z trudem może dowiec się do łóżka; tak Francja, owdowiała po Cezarze, uczuła nagle swą ranę. Popadła w niemoc i zasnęła tak głębokim snem, iż starzy jej królowie, uważając ją za umarłą, spowili ją w biały całun. Stara osiwiła armia wróciła do domu wyczerpana znużeniem i ogniska opustoszałych zamków zapłonęły smutnymi ogniami.

Literat

Zwierzę, Obyczaje, Niewola

Historia, Wojna, Dziecko,
Ojciec, Matka

Przywódca, Państwo,
Ofiara, Los

Wojna, Naród, Dziecko,
Śmierć, Młodość,
Bohaterstwo

Przywódca, Wojna, Los,
Przemiana, Historia, Król,
Władza

Wojna, Klęska, Żołnierz,
Ojciec, Syn

Wówczas ci woje cesarscy, którzy tyle się nagonili i tyle namordowali, uścisnęli wy- chudłe żony i wspomnieli dawną miłość; przejrzeni się w strumieniu płynącym przez ro- dzinne łąki i spostrzegli, iż są tak starzy, tak zmarnowani, iż przypomnieli sobie o synach, aby mieć kogoś, kto by im zamknął powieki. Zapytali o nich; chłopcy wyszli z murów kolegium i nie widząc już ani szabel, ani pancerzy, ani piechurów, ani jeźdźców, spyta- li z kolei, gdzie są ojcowie. Odpowiedziano im, że wojna skończona, że Cezar nie żyje i że portrety Wellingtona¹⁸ i Blüchera¹⁹ wiszą w przedpokojach konsulatów i ambasad z podpisem: *Salvatoribus mundi*²⁰.

W chmurnej zadumie usiadła młodzież na ruinach świata. Wszystkie te dzieci, to były krople palącej krwi, którą spłynęła ziemia; urodziły się w łonie wojny, dla wojny. Marzyły przez piętnaście lat o śniegach Moskwy i słońcu Piramid. Chłopcy ci nie opuścili swego miasta; ale powiedziano im, że każdą rogatką tego miasta idzie się do którejś ze stolic Europy. Mieli w głowie cały świat; spoglądali na ziemię, na niebo, na ulice i drogi; wszystko było puste, jedynie dzwony parafialnego kościoła odzywały się w dali.

Blade widma okryte czarnymi szatami przechodziły wolno przez siola; inne pukały do drzwi domostw i, skoro im otwarto, wydobywały z kieszeni wielkie, zużyte do szczytu pergaminy, mocą których wypędzały mieszkańców. Ze wszystkich stron przybywali ludzie jeszcze cali drżący od strachu, jaki ich chwycił przy ucieczce dwadzieścia lat temu. Wszyscy dopominali się czegoś, klócili się i krzyczeli; dziw był, iż jedna śmierć mogła ściągnąć tyle kruków.

Król Francji zasiadał na tronie, zaglądając to tu, to tam, czy nie dojrzy jakiej psz- czoły²¹ w swoich dywanach. Jedni podsuwali mu kapelusz i rzucali weń pieniądze; drudzy ukazywali mu krucyfiks i całował go; inni krzyczeli mu jeno w ucho wielkie brzmia- ce nazwiska, tym odpowiadał, aby przeszli do wielkiej komnaty, że tam jest dźwięczne echo; inni wreszcie pokazywali mu, jak skrzętnie zatarli pszczoły na swych starych płaszczach, i tym dawał nową odzież.

Dzieci patrzyły na to wszystko, myśląc ciągle, iż cień Cezara wylądaje w Cannes i zdmuchnie te widma; ale cisza trwała ciągle, na niebie zaś widniał jeno odbłask białych lilii. Kiedy chłopcy mówili o sławie, powiadano im: „Zostańcie księżmi”; kiedy mówili o ambicji: „Zostańcie księżmi”; o nadziei, miłości, sile, życiu: „Zostańcie księżmi!”.

Tymczasem wstąpił na krasomówczą trybunę człowiek, który trzymał w dłoni pakt między królem a narodem; zaczął od oświadczenia, iż sława to ładna rzecz i ambicja wo- jenna również; ale że istnieje rzecz ładniejsza, a nazywa się wolność.

Dzieci podniosły głowę i przypomniały sobie dziadków, którzy też mówili o wolno- ści. Przypomniały sobie, iż widywały w jakimś zakątku rodzicielskiego domu tajemnicze biusty²² z długimi włosami z marmuru i rzymskim napisem; przypomniały sobie, jak wieczorem, wśród gawędy przy kominku, babki potrzasały głową i mówiły o strumieniu krwi jeszcze o wiele straszliwszym niż za cesarza. Było dla nich w tym słowie *wolność* coś, co przyprawiało ich o bicie serca, zarazem jak odległe i straszne wspomnienia, i jak jeszcze bardziej odległa droga nadzieja.

Zadrżeli, słysząc to słowo; ale, wracając do domu, ujrzeli trzy zakratowane wozy cią- gnące do Clamart: byli to trzej młodzi ludzie, którzy wymówili zbyt głośno słowo *wolność*.

Osobliwy uśmiech przemknął im po wargach na ten smutny widok: ale inni mówcy zaczęli obliczać publicznie z trybuny, co kosztuje ambicja oraz że sława jest to rzecz bardzo droga; ukazali okropność wojny i nazwali hekatombę jatkami. Mówili tyle i tak długo,

Strój, Król, Służalność

Książd, Ambicja, Sława,
Pozycja społeczna

Wolność, Historia

Wolność, Sława, Wojna,
Pieniądz, Władza, Lud,
Słowo

¹⁸Wellington właśc. *Arthur Wellesley* (1769–1852) — dowódca wojsk brytyjskich, przedstawiciel Wielkiej Brytanii na kongresie wiedeńskim; przywódca zachowawczego stronnictwa torysów w brytyjskim parlamencie; premier 1828–1830; tytuł księcia Wellington otrzymał za zwycięstwa nad armią napoleońską odniesione w Hiszpanii i Portugalii, a przede wszystkim pod Waterloo, gdzie Napoleon I poniósł ostateczną klęskę. [przypis edytorski]

¹⁹Blücher, *Gebhard Leberecht von* (1742–1819) — feldmarszałek, dowódca armii pruskiej w czasie wojen napoleońskich, m.in. pod Lipskiem i Waterloo. [przypis edytorski]

²⁰*salvatoribus mundi* (łac.) — zbawcom świata. [przypis edytorski]

²¹*pszczoła* — tu: rozpoznawalny element heraldyki wprowadzonej przez Napoleona I w 1808 r.; nowy herb Francji w miejsce królewskich złotych lilii na niebieskim tle miał złote pszczoły na tle czerwonym; taki płaszcz okalał złotego cesarskiego orła trzymającego w szponach błyskawicę. [przypis edytorski]

²²*biust* (daw.) — popiersie; forma rzeźby. [przypis edytorski]

iz wszystkie złudzenia ludzkie, niby drzewa w jesieni, opadały liść po liściu dokoła nich, słuchacze zaś przeciągali ręką po czole niby człowiek, który się budzi z gorączki.

Jedni mówili: „Przyczyną upadku cesarza było to, że lud go już nie chciał”; drudzy: „Lud chciał króla; nie wolności; nie rozumu; nie religii; nie konstytucji angielskiej; nie absolutyzmu”; ostatni dodał: „Nie, niczego zgoła, tylko spoczynku”.

Między trzy żywioły dzieliło się tedy życie, które nastęczało się wówczas młodym ludziom: poza nimi przeszłość na zawsze zniweczona, szamocąca się jeszcze na własnych gruzach, wraz z wszystkimi wykopaliskami wieków absolutyzmu; przed nimi świt olbrzymiego widnokregu, pierwsze brzaski przyszłości; i między tymi dwoma światami... coś podobnego do oceanu, który dzieli stary ląd od młodej Ameryki, coś dziwnie niepewnego i mglistego, morze rozkołysane i pełne szczątków, przerywane od czasu do czasu jakimś białym, odległym żagle lub okrętem zionącym ciężkimi kłębami pary; obecny wiek, jednym słowem, który dzieli przeszłość od przyszłości, który nie jest jednym ani drugim, a podobny jest do obu naraz, w którym, stawiając krok, nie wiadomo nigdy, czy się depce po nasieniu czy po zgliszczach.

Oto w jakim chaosie trzeba było wówczas wybierać; oto co cię nastęczało dzieciom pełnym siły i męstwa, synom Cesarstwa a wnukom Rewolucji.

Owóż, przeszłości już nie chcieli, wiary bowiem nie da się wmówić; przyszłość kochali, ale cóż! tak jak Pigmalion Galateę: była dla nich niby kochanką z marmuru, czekali, aby ożywiła się, aby krew ubarwiła jej żyły.

Zostawała im tedy obecność, duch czasu, anioł zmierzchu będącego ni to dniem ni nocą; siedział na worku z wapnem pełnym kości, zatulony w płaszcz samolubstwa, drżący od strasliwego zimna. Lęk śmierci wniknął im w duszę na widok tego upiora, półmumii półfetusu; zbliżyli się doń tak, jak podróżny, któremu pokazują w Strassburgu córkę staro hrabiego de Sarvenden zabalsamowaną w stroju narzeczonej: ten dziecięcy szkielec przyprawia o dreszcz, na wątłych bowiem i sinych rączkach błyszczą pierścienie oblubienicy, głowa zaś rozpada się w proch w obramieniu pomarańczowego kwiatu.

Podobnie jak za zbliżeniem się burzy przebiega przez lasy strasliwy wiatr, od którego drżą wszystkie drzewa, po czym następuje głęboka cisza, tak Napoleon wstrząsnął wszystkim, przechodząc przez świat; królowie uczyli, jak się chwieją ich korony, i podnosząc rękę ku głowie, zmacali jedynie włosy jeżące się ze strachu. Papież przebył trzysta mil, aby go pobłogosławić w imię boże i włożyć mu diadem; ale Napoleon wziął mu go z rąk. Tak wszystko zadrżało w posępnym lesie starej Europy; po czym zaległa cisza.

Powiadają, iż gdy kto spotka wściekłego psa, jeśli ma odwagę iść z wolna, nie odwracając się, regularnym krokiem, pies podąży jeno jakiś czas za śmiałkiem warcząc; natomiast jeśli się ujawni gest przerażenia, uczyni jeden szybszy ruch, rzuca się na człowieka i pożera go; skoro bowiem zada pierwsze ukąszenie, nie ma już sposobu mu się wymknąć.

Otóż w historii Europy zdarzało się często, iż panujący uczynił ten gest lęku i że lud go pożarł; ale zdarzało się to jednemu, nie wszystkim równocześnie; to znaczy, zniknął król, ale nie majestat królewski. Wobec Napoleona majestat królewski uczynił ów śmiertelny gest; i nie tylko majestat, ale religia, ale szlachectwo, ale wszelka władza boska i ludzka.

Ze śmiercią Napoleona, władze boskie i ludzkie zmartwychwstały faktycznie, ale wiara w nie przestała istnieć. Jest strasliwe niebezpieczeństwo w świadomości tego co możliwe, duch bowiem wciąż idzie dalej. Inna rzecz powiedzieć sobie; „To mogłoby być”, a powiedzieć: „To było”; to pierwsze ukąszenie psa.

Napoleon-despota był ostatnim błyskiem lampy despotyzmu: zniweczył i sparodiował królów jak Wolter Pismo św. Po nim rozległ się strasliwy hałas: to kamień św. Heleny runął na stary świat. Natychmiast pojawiła się na niebie lodowata gwiazda rozsądku, a promienie jej, podobne promieniom chłodnej bogini nocy, lejąc światło bez ciepła spowiły świat sinym całunem.

Widywano, aż dotąd, ludzi którzy nienawidzili szlachty, grzmieli przeciw księżom, spiskowali przeciw królom; nakrzyczano się dość przeciw nadużyciom i przywilejom; ale wielką nowością było patrzeć, jak lud się z nich uśmiecha. Kiedy przechodził szlachcic albo ksiądz, albo monarcha, ten i ów chłop, który bywał na wojnie, potrząsał głową i mówił: „He he! widywaliśmy tego kompana; inną miał minę wówczas!” A kiedy im było mówić o tronie i ołtarzu, odpowiadali: „Toć to cztery tarcice drzewa; składaliśmy je i rozkładaliśmy”. A kiedy im mówiono: „Ludu, ocknąłeś się z błędów i zaślepienia; wezwalesz z powrotem

Młodość, Czas

Przywódca, Wiatr, Historia,
Władza, Cisza

Pies

Lud, Przemiana

swoich królów i kapłanów”, odpowiadali: „To nie my, to te tam gaduły”. A kiedy im mówiono: „Ludu, zapomnij przeszłości, uprawiaj rolę i słuchaj”, prężyli się na siedzisku, i słyhać było głuchy szcęk. To zardzewiała i wyszczerbiona szabla poruszyła się w kącie izby. Za czym dodawano natychmiast: „Zostań bodaj w spokoju; skoro tobie nie czynią krzywdy, staraj się nie czynić krzywdy drugim”. Niestety! zadowalali się tym.

Ale młodzież się nie zadowalała. Faktem jest, iż istnieją w człowieku dwie tajemne potęgi, które walczą z sobą aż do śmierci: jedna, jasnowidząca i zimna, chwyta się rzeczywistości, oblicza ją, waży i sądzi przeszłość; druga ma pragnienie przyszłości i pręży się ku nieznanemu. Kiedy namiętność ponosi człowieka, rozsądek podąża za nim płacząc i ostrzegając o niebezpieczeństwie; ale skoro człowiek zatrzyma się na głos rozsądku, skoro sobie powie: „To prawda; jestem szalony; gdzieżem ja pędził?” — namiętność krzyczy doń: „A ja, mamż umrzeć?”

Uczucie niewysłowionej młodości zaczęło tedy fermentować we wszystkich młodych sercach. Skazani przez panów świata na bezwład, wydani na łup wszelakiego rodzaju bakałarzy, na pastwę beczynności i nudy, młodzi ludzie patrzyli, jak umykają się im spienione fale przeciw którym gotowali ramiona. Wszyscy ci namaszczeni oliwą gladiatorzy czuli w głębi ducha nieznośną czczość. Bogatsi rzucali się w hulankę; średnio majątni obierali zawód podejmując z rezygnacją bilet lub szpadę; najbiedniejsi rzucali się w entuzjazm na zimno, w wielkie słowa, w okropne morze czynności bez celu. Ponieważ słabość ludzka szuka stowarzyszenia się i ponieważ człowiek jest z natury trzodą, weszła w grę polityka. Młodzież biegła bić się na stopniach izby prawodawczej, biegła na widowisko, gdzie Talma za pomocą peruki upodobiał się do Cezara, tłoczyła się na pogrzebie posła z lewicy. Ale wśród członków dwu przeciwnych stronnictw nie było ani jednego, który by, wracając do domu, nie czuł gorzko pustki istnienia i nędzy swoich rąk.

Podczas gdy życie zewnętrzne było tak mizerne i blade, wewnętrzne życie społeczeństwa przybierało wygląd posępny i milczący; w obyczajach panowała najsurowsza obluda; angielskie poglądy skojarzone z dewocją wyгнаły nawet wesołość. Może Opatrzność to przygotowywała już nowe drogi; być może, anioł-zwiastun przyszłych społeczeństw siał już w sercu kobiet nasiona ludzkiej niepodległości, o którą kiedyś się upomną. Ale faktem jest, iż nagle — rzecz niesłychana! — we wszystkich salonach paryskich mężczyźni skupili się po jednej stronie a kobiety po drugiej; i tak, jedno ubrane biało jak młode oblubienice, drudzy czarno jak sieroty, zaczęli się wzajem mierzyć oczami.

Nie ludźmy się; ten czarny strój, jaki noszą mężczyźni w naszej epoce jest straszliwym symbolem; aby dojść do niego, musiały zbroje opaść sztuka po sztuce, a hafty kwiat po kwiecie. To rozum ludzki obalił wszystkie złudzenia; ale sam nosi po nich żalobę, iżby go pocieszano.

Obyczaj studentów i artystów, ten obyczaj tak swobodny, tak ładny, tak pełen młodości, również odczuł tę powszechną zmianę. Mężczyźni, oddalając się od kobiet, szepnęli słowo, które rani śmiertelnie: wżgarda. Rzucili się w wino i ladacznice. Studenci i artyści uczynili toż samo; miłość doznała podobnego losu, co sława i religia; okazała się przestarzałym złudzeniem. Zapęłniły się domy rozpusty; *gryzетка*²³, owa klasa tak marzycielska, tak romantyczna, o sercu tak tkliwym i słodkim, wziędła wżgardzona za ładą sklepową. Była biedna, nie budziła już miłości; zapragnęła sukien i kapeluszy, sprzedała się. O nędzo! młody człowiek, który powinien był ją kochać, którego ona byłaby kochała, ten który prowadził ją niegdyś w lasy Verrières i Romainville, aby tańczyć na trawie i wieszczać w cieniu drzew; ten który zachodził gwarzyć z nią wieczór pod lampą, w sklepie, podczas długich zimowych wieczorów; ten który dzielił z nią kawałek chleba zwilżony potem swego czoła i swoją szczytną i ubogą miłość, ten sam, ten sam człowiek, porzuciwszy ją, odnajdywał ją w jakąś noc orgii na dnie lupanaru, bladą, z podkrążonymi oczyma, zgubioną na zawsze, z głodem na wargach i plugastwem w sercu!

Otóż w owym czasie dwaj poeci, najwięksi geniusze wieku po Napoleonie, poświęcili swoje życie temu, aby skupić wszystkie pierwiastki niepokoju i bólu rozprószone po świecie. Goethe, patriarcha nowej literatury, odmalowawszy w Werterze namiętność wiodącą do samobójstwa, nakreślił w swoim Fauście najbardziej posępną postać ludzką,

²³*gryzетка* (z fr. *gris*: szary; *gizette*: tania, szara tkanina ubraniowa) — młoda robotnica, szwaczka, ekspedientka; nazwa od koloru odzieży noszonej z konieczności przez takie osoby. [przypis edytorski]

Rozum, Serce

Nuda, Polityka, Młodość

Kobieta, Mężczyzna,
Przemiana, Strój, Walka

Mężczyzna, Kobieta,
Miłość, Kobieta "upadła"

Literat, Słowo, Młodość,
Rozczarowanie, Rozpacz

jaka kiedykolwiek wcieliła w siebie zło i niedolę. Pisma jego zaczynały wówczas przenikać z Niemiec do Francji. Z głębi swojej pracowni, otoczony obrazami i posągami, bogaty, szczęśliwy i spokojny, patrzył z ojcowskim uśmiechem, jak ku nam idzie jego dzieło ciemności. Byron odpowiedział mu krzykiem bólu, od którego zdrząła Grecja i zawiesił Manfreda nad przepaściami, jakby nicość była słowem ohydnej zagadki, którą się spowiadał.

Przebaczcie mi, o wielcy poeci, którzy jesteście obecnie garstką popiołów i spoczywacie w ziemi! przebaczcie! wy jesteście półbogi, a ja jestem jeno dzieckiem, które cierpi. Ale pisząc te słowa, niepodobna mi was nie przekląć. Czemuście nie opiewali zapachu kwiatów, głosów natury, miłości, winnej latorośli i słońca, lazuru i piękności? Bez wątpienia znaleźcie życie i bez wątpienia znaleźcie cierpienie, i świat walił się dokoła was, i płakaliście na jego ruinach, i rozpaczaliście; i kochanki was zdradziły, i przyjaciele spowtarzyli, i ziomkowie zapoznali²⁴; i mieliście pustkę w sercu, śmierć w oczach, i byliście olbrzymami bólu. Ale powiedz mi ty, szlachetny Goethe, czy nie znalazł się już głos pociechy w uroczystym szumie waszych starych niemieckich lasów? Dla ciebie poezja była siostrą wiedzy: czyż one we dwie nie mogły w nieśmiertelnej przyrodzie znaleźć zbawczej rośliny dla serca swego ulubieńca? Ty, który byłeś panteistą, antycznym poetą Grecji, kochankiem świętych kształtów, czy nie mogłeś zamknąć nieco miodu w tych pięknych wazach, które umiałeś sporządzać, ty, któremu wystarczyłoby uśmiechnąć się i pozwolić, aby pszczoły usiadły ci na wargach? A ty, Byronie, czy tam, w pobliżu Rawenny, pod pomarańczowymi gajami Italii, pod pięknym weneckim niebem, blisko twego ukochanego Adriatyku, czy nie miałaś swojej ukochanej? O Boże, ja, który mówię do ciebie i który jestem jedynie wątłym dzieckiem, poznałem może męki, których ty nie wycierpiałeś, a mimo to wierzę w nadzieję, a mimo to błogosławię Bogu.

Skoro duch angielski i niemiecki przesiąknął tak w nasze głowy, nastał niby martwy i milczący wstręt do życia, a potem straszliwe konwulsje. Formułować bowiem idee, znaczy zmieniać saletrę w proch; homerycki zaś mózg wielkiego Goethego wyssał, niby alembik²⁵, wszystkie sok z zakazanego owocu. Ci, którzy go nie czytali wówczas, zachowywali się jakoby obojętnie. Biedne istoty! Wybuch porwał ich jak ziarna pyłu w otchłanie powszechnego wątpienia.

Było to jakby zaprzeczenie wszystkich rzeczy na niebie i na ziemi; zaprzeczenie, które można nazwać rozczarowaniem lub, jeśli kto chce, *zrozpaczeniem*: ludzkość pogrążona w letargu zdała się martwą tym, którzy obmacywali jej puls. Tak jak ów żołnierz, którego zapytano niegdyś: „W co wierzysz?” i który pierwszy odpowiedział: „W siebie”; tak samo młodzież francuska, słysząc to pytanie, pierwsza odpowiadała: „W nic”.

Odtąd wytworzyły się dwa obozy: z jednej strony umysły gorące, bolesne, dusze rozlewne i potrzebujące nieskończoności, pochylały głowę płacząc; spowiły się w chorobliwe marzenia: wątłe trzciny na oceanie goryczy. Z drugiej strony ludzie z krwi i ciała stali nieugięci w sferze ziemskiego używania i nie znali innej troski prócz liczenia pieniędzy. Był to jakby jeden szloch i jeden wybuch śmiechu; jeden idący z duszy, drugi z ciała.

Oto co mówiła dusza:

„Biada! biada! religia znika, chmury niebieskie opadają w dżdżu; ani nam już spodziewać się ani czekać, zbrakło nam dwóch kawałków czarnego drzewa złożonych na krzyż, do których moglibyśmy wyciągać ręce. Gwiazda przyszłości zaledwie wschodzi; nie może się wyłonić z widnokregu; tkwi spowita w chmury i niby słońce w zimie tarcza jej jawi się obwiedziona czerwoną obwódką, którą zachowała od roku 93²⁶. Nie ma już miłości, nie ma sławy. Jakaż gęsta noc na ziemi! A kiedy przyjdzie dzień, nas już nie będzie”.

Oto co mówiło ciało:

„Człowiek żyje po to, aby używać swoich zmysłów; posiada mniej albo więcej kawałków żółtego lub białego metalu, dzięki czemu ma prawo do mniejszego lub większego szacunku. Jeść, pić i spać, to znaczy żyć. Co się tyczy węzłów, jakie istnieją między ludźmi, przyjaźń zasadza się na pożyczaniu pieniędzy; ale rzadko posiada się przyjaciela, którego

Wiara, Upadek, Dusza,
Ciało, Śmiech, Łzy

Dusza, Wiara

Noc, Świt, Historia

Ciało, Pieniądz

²⁴zapoznać kogoś (daw.) — zapomnieć o kimś. [przypis edytorski]

²⁵alembik — destylator; aparat destylacyjny. [przypis edytorski]

²⁶czerwoną obwódką, którą zachowała od roku 93 — odwołanie do okresu krwawego terronu podczas rewolucji francuskiej, który rozpoczął się w marcu 1793 roku; szczytowe jego nasilenie przypadło na połowę 1794 r.; zgilotynowano wówczas w sumie nawet do 20 tys. ludzi. [przypis edytorski]

by się kochało na tyle. Krewieństwo służy do dziedziczenia; miłość jest ćwiczeniem cielesnym; jedynym użyciem umysłowym jest próżność”.

Podobne azjatyckiej dżumie wznoszącej się z oparów Gangesu, okropne *zwątpienie* stąpało wielkimi krokami po ziemi. Już Chateaubriand, książę poezji, otulając straszliwe bożyszcze swym płaszczem pielgrzymim, umieścił je na marmurowym ołtarzu, pośród woni świętych kadzielnic. Już pełne bezużytecznej obecnie siły dzieci wieku przeżyły bezczynne ręce i piły zatruty napój ze swego jałowego pucharu. Wszystko rozpadało się w proch, szakale wyszły już z ziemi. Trupia i cuchnąca literatura, która posiadała tylko formę, ale formę ohydłą, zaczęła polewać zgniłą krwią wszystkie monstra przyrody.

Któż odważy się kiedy opowiedzieć, co się działo wówczas w szkołach. Dojrzały mężczyźni wątpili o wszystkim; młodzi ludzie przeczyli wszystkiemu. Poeci opiewali rozpacz; młodzieńcy wychodzili ze szkół z pogodnym czołem, ze świeżą i rumianą twarzą, i z przekleństwem na ustach. Zresztą charakter francuski, z natury wesoły i otwarty, przeważył, mimo iż mózgi nasiąkły angielskimi i niemieckimi pojęciami; ale serca, zbyt lekkie, aby walczyć i aby cierpieć, wędły niby podcięte kwiaty. Tak więc zimno i bez wstrząśnień pierwiastek śmierci zstąpił z głowy do trzewiów. Zamiast mieć entuzjazm złego, mieliśmy jedynie obojętność na dobre; zamiast rozpaczyci nieczułość. Piętnastoletni chłopcy, siedząc niedbale pod ukwieconym krzakiem, toczyli dla zabicia czasu rozmowy, od których zdrząłby od grozy sztywne gaiki Wersalu. Komunia Chrystusowa, hostia, ów wieczny symbol niebiańskiej miłości, służyła do pieczętowania listów; dzieci wypluwały chleb boży.

Szczęśliwi, którzy umknęli się tej epoce! Szczęśliwi, którzy przeszli nad przepaścią, spoglądając w niebo! Byli tacy z pewnością i ci użalają się nad nami.

Prawdą jest, na nieszczęście, iż w bluźnierstwie mieści się wielki upust sił, który przynosi ulgę zbyt wezbranemu sercu. Gdy ateusz, dobywając zegarka, dawał Bogu kwadrans czasu na powalenie go piorunem, nie ulega wątpliwości, iż gotował sobie kwadrans wściekłej i okrutnej rozkoszy. Był to paroksyzm rozpaczyci, niewymowny apel do wszystkich władz niebieskich; biedne, nędzne stworzenie wijące się pod miażdżącą je stopą; wielki krzyk bólu. I kto wie? w oczach tego, który widzi wszystko, to była może modlitwa.

Młodzi ludzie zużywali zatem bezczynną siłę w upajaniu się rozpaczą. Drwić ze sławy, z religii, z miłości, ze wszystkiego w świecie, to wielka pociecha dla tych, którzy nie wiedzą, co począć; drwią w ten sposób z samych siebie, i rozgrzeszają się, krytykując. Miło jest wreszcie uważać się za nieszczęśliwego, wówczas gdy się jest tylko pustym i znudzonym. Rozpusta wreszcie, ta najbliższa konkluzja pierwiastków śmierci, jest strasliwym narzędziem, gdy chodzi o szarpanie sobie nerwów!

Tak więc bogaci mówili sobie: „Prawdą jest tylko bogactwo, wszystko inne to majak; używajmy i mrzymy”. Średniozamożni mówili: „Prawdą jest tylko zapomnienie; wszystko inne to majak; zapominajmy i mrzymy”. Biedni zaś mówili: „Prawdą jest jedynie nieszczęście; wszystko inne to majak; bluźnijmy i mrzymy”.

Zbyt czarny obraz? Przesadzony? Jak wam się zdaje? Czy jestem mizantropem? Pozwólcie mi na jedną uwagę.

Czytając dzieje upadku Cesarstwa rzymskiego, niepodobna nie spostrzec szkód, jakie chrześcijanie, tak cudowni na pustyni, zadali Państwu z chwilą, gdy doszli do władzy. „Kiedy myślę, powiada Monteskiusz, o głębokim nieuctwie, w jakim grecki kler zanurzył ludzi świeckich, mimo woli nasuwa mi się porównanie z owymi Scytami, o których mówi Herodot, a którzy wykluwali oczy niewolnikom, iżby nic nie mogło ich rozproszyć i oderwać od ubijania mleka. Żadna sprawa państwowa, pokój, wojna, rozejm, układy, małżeństwa, nic nie działo się inaczej jak za pośrednictwem mnichów. Nie uwierzyłby nikt, ile złego stąd wynikło”.

Monteskiusz mógłby dodać: chrystianizm zgubił cesarzów, ale zbawił ludy. Otworzył barbarzyńcom pałace Konstantynopolu, ale otworzył drzwi chatki Chrystusowym aniołom-pocieszycielom. Właśnie tu chodziło o mocarzy świata! cóż nas obchodzi te ostanie rżenia skażonego aż do szpiku cesarstwa, te posępne skurcze galwaniczne wstrząsające jeszcze szkielet tyranii na grobie Heliogabala i Karakalli! Było w istocie co zachowywać, tę mumię Rzymu zabalsamowaną w olejkach Nerona, spowitą w całun Tyberiusza! Chodziło, panowie politycy, o to, aby iść między biednych i zwiastować im pokój; chodziło

Słowo, Książka, Zwątpienie,
Choroba, Śmierć

Szkoła, Dziecko,
Zwątpienie

Bóg, Zwątpienie, Rozpacz,
Modlitwa

Rozpacz

Religia, Państwo, Historia

o to, aby pozwolić robakom i kretom toczyć pomniki hańby, ale zarazem wydobyć z łona mumi dziewięć równie piękną jak matka Odkupiciela, nadzieję, przyjaciółkę uciśnionych.

Oto co uczynił chrystianizm; a obecnie, od tylu lat, co zrobili ci, którzy go zniweczyli? Widzieli, iż biedny dawał się gnieść bogatemu, słaby silnemu, dzięki temu, iż powiadali sobie: „Bogaty i silny będą mnie gnietli na ziemi; ale kiedy zechcą wejść do raju, ja znajduję się u bramy i oskarżę ich przed trybunałem Boga”. I tak, niestety! znosili wszystko cierpliwie.

Wrogowie Chrystusa rzekli tedy biedakowi: „Znosisz wszystko cierpliwie aż do dnia sprawiedliwości: nie ma sprawiedliwości; czekasz żywota wiecznego, aby domagać się pomsty: nie ma żywota wiecznego; gromadzisz łzy swoje i swojej rodziny, krzyk dzieci i szlochanie żony, aby je zanieść do stóp Boga w godzinie śmierci: nie ma Boga”.

Wówczas, jasne jest, iż biedny przestał ronić łzy, kazał żonie, aby zmiłkła, dzieciom, aby poszły za nim, i podniósł się z ziemi z bawolą siłą. Bogaczowi rzekł: „Ty, który mnie ciśniesz, jesteś tylko człowiekiem”; a kapłanowi: „Ty, któryś mnie pocieszał, skłamałeś”. Tego właśnie pragnęli wrogowie Chrystusa. Może sądzili, iż spełniają w ten sposób szczęście ludzi, wysyłając biednego na zdobycz wolności.

Ale jeżeli biedny, zrozumiałwszy wreszcie jasno, iż księża go oszukują, iż bogacze go okradają, iż wszyscy ludzie mają równe prawa, że wszystkie dobra są z tego świata i że nędza jego jest hańbą; jeżeli biedny, zafawszy jeno w swe ramiona, rzecze sobie pewnego dnia: „Wojna bogaczom i dla mnie używanie na tym świecie, skoro innego nie ma! dla mnie ziemia, skoro niebo jest puste! dla mnie i dla wszystkich, skoro wszyscy są równi!” — o wzniosli filozofowie, którzyście go przywiedli do tego punktu, co mu powiecie, jeżeli będzie zwyciężony?

Bez wątpienia jesteście filantropami, bez wątpienia macie rację na przyszłość i przyjdzie dzień, w którym będziecie zbierać błogosławieństwa; ale dziś jeszcze, zaiste, nie sposób nam błogosławić was. Gdy niegdyś ciemiężca mówił: „Moją jest ziemia!” — „Moim niebo!” odpowiadał ciemiężony. Obecnie cóż odpowie?

Cała choroba obecnego wieku pochodzi z dwóch przyczyn: lud, który przebył rok [17]93 i 1814, nosi w sercu dwie rany. Wszystko co było, już nie jest; wszystko co będzie, jeszcze nie jest. Nie szukajcie gdzie indziej tajemnicy naszych bólów.

Oto człowiek, którego dom rozpada się; zburzył go, aby zbudować inny. Gruzy leżą na jego polu, on zaś czeka nowych kamieni na nowy gmach. W chwili, gdy gotuje się z kielnią w dłoni, z zawiniętymi rękawami obrabiać ciosy i przyrządzać wapno, powiadają mu że brakło kamieni i radzą otynkować dawne, iżby służyły jeszcze. Cóż ma czynić ów człowiek, który nie chce z gruzów budować gniazda dla swojej gromadki? Łom jest głęboki, narzędzia zbyt słabe, aby zeń dobyć ciosy. „Czekaj, powiadają mu, dobędzie się ich pomału; ufaj, pracuj, idź naprzód, cofaj się wstecz”. Czegóż mu nie prawią? I przez ten czas ów człowiek, nie mając ani starego ani nowego domu, nie wie, jak się ochronić od deszczu, ani jak przygotować wieczorny posiłek, ani gdzie pracować, gdzie spocząć, gdzie żyć, ani gdzie umrzeć; a dzieci jego to niemowlęta.

Albo się bardzo mylę, albo my podobni jesteśmy do tego człowieka. O, ludy przyszłych wieków! kiedy w gorący letni dzień pochylicie się nad pługiem wśród zieleniejących łąk ojczystych; kiedy pod słońcem czystym i bez plamki ujrzycie ziemię, waszą płodną matkę, uśmiechającą się w porannej szacie do rolnika, swego ukochanego dziecięcia; kiedy, ocierając na spokojnym czole święty chrzest znoju, będziecie wieść spojrzenie po bezkresnym widnokręgu, gdzie ani jedno kłosie w łanie ludzkim nie będzie wyższe od drugiego, jedynie tylko bławatki i rumianki będą się barwić wśród złotego zboża; — o ludzie wolni! kiedy wówczas będziecie dziękować Bogu, iż zrodziliście się do tego żniwa, pomyślcie o nas, których już tam nie będzie, powiedzcie sobie, żeśmy bardzo drogo kupili spokój, którego wy będziecie zażywać; żałujcie nas bardziej niż wszystkich swoich ojców; cierpimy bowiem niejeden z bólów, które ich czyniły godnymi współczucia, a straciliśmy to, co im dawało pociechę.

ROZDZIAŁ III

Chcę opowiedzieć, w jaki sposób nawiedziła mnie po raz pierwszy choroba wieku.

Siedziałem przy stole przy sutej wieczerzy po maskaradzie. Dokoła mnie przyjaciele w bogatych kostiumach, pełno młodzieży i kobiet, wszyscy błyszczący urodą i weselem; na stole wyborne potrawy, dzbany, świeczniki, kwiaty, nad głowami huczna orkiestra, naprzeciw zaś moja kochanka, wspaniała istota, którą ubóstwiałem.

Miałem wówczas dziewiętnaście lat; nie przeszedłem żadnego nieszczęścia ani choroby; miałem charakter dumny i otwarty zarazem, serce kipiące nadzieją przyszłości. Opary wina burzyły mi się w żyłach; był to jeden z tych momentów pijaństwa, w których wszystko, co się widzi, co się słyszy, mówi nam o ukochanej. Cała przyroda zdaje się wówczas niby kosztowny migotliwy kamień, na którym wyryte jest tajemnicze imię. Człowiek uściskałby chętnie każdego, kto się uśmiecha, czuje się bratem wszystkiego, co istnieje. Luba naznaczyła mi schadzkę na tę noc, niosłem z wolna kieliszek do ust, patrząc na nią.

Podczas gdy odwracałem się, aby wziąć talerz, spadł mi widelec. Schyliłem się i, nie znajdując go zrazu, podniosłem nieco obrus, aby zobaczyć, gdzie się potoczył. Spostrzegłem wówczas stopę mej kochanki spoczywającą na stopie młodego człowieka obok; nogi ich krzyżowały się zaplatając o siebie, od czasu do czasu zaś zaciskali je lekko.

Podniosłem się zupełnie spokojny, poprosiłem o inny widelec i wieczerzałem dalej. Luba moja i jej sąsiad byli również bardzo spokojni; prawie nie rozmawiali z sobą i nie patrzyli na siebie. Młody człowiek oparł się łokciami o stół i żartował z inną kobietą, która mu pokazywała swój naszyjnik i naramienniki. Kochanka moja siedziała nieruchomo z martwymi i pełnymi omdłałości oczyma. Przyglądałem się obojgu przez cały czas biesiady i nie dostrzegłem w ruchach ani w twarzy nic, co by mogło ich zdradzić. Pod koniec, przy deserze, upuściłem serwetę i, schyliwszy się znowu, zastałem ich w tej samej pozycji, ciasno zaplecionych o siebie.

Przyrzekłem lubej, że ją odwiozę tego wieczora do domu. Była wdową i tym samym bardzo swobodną, dzięki staremu krewniakowi, który towarzyszył jej i służył za przyzwolitkę. Kiedy mijalem przedsionek, zawołała na mnie: „Chodź, Oktawie, rzekła, jedźmy, już jestem gotowa”. Zaśmiałem się, i wyszedłem bez odpowiedzi. Uszedłszy kilka kroków, przysiadłem na kamiennym słupie. Nie wiem, o czym myślałem; niewierność tej kobiety, o którą nigdy nie czułem się zazdrosny i której nie przyszło mi na myśl podejrzewać, wprawiła mnie w stan jakiejś odrętwiałości, zidiocenia. Ponieważ to, co widziałem przed chwilą, nie zostawiało żadnej wątpliwości, byłem jak ogłuszony maczugą; nie pamiętam, co się działo we mnie przez czas spędzony na owym kamieniu; pomnę tylko, iż, patrząc bezmyślnie w niebo i widząc spadającą gwiazdę, pozdrowiłem to ulotne światło, w którym poeci widzą zniweczony świat, i uchyliłem przed nim z powagą kapelusza.

Wróciłem do domu bardzo spokojnie, nie doświadczając niczego, nie czując nic, jakby wyzuty z myśli. Zacząłem się rozbierać i rzuciłem się w łóżko; ale zaledwie przyłożyłem głowę do poduszki, duchy zemsty pochwyciły mnie z taką siłą, iż wsparłem się nagle o ścianę, jak gdyby wszystkie mięśnie mego ciała stały się z drzewa. Wyskoczyłem z łóżka krzycząc, z wyciągniętymi ramionami, zdolny stąpać jedynie na piętach, tak ścięgnięta u kciuków były skurczone. Spędziłem w ten sposób blisko godzinę, zupełnie oszalały i sztywny jak szkielet. Był to pierwszy atak gniewu, jakiego w życiu doznałem.

Człowiek, którego zeszedłem z mą lubą był jednym z moich najbliższych przyjaciół. Udałem się doń nazajutrz w towarzystwie młodego adwokata nazwiskiem Desgenais; wzięliśmy pistolety, drugiego świadka i znaleźliśmy się w lasku Vincennes. Przez całą drogę starałem się nie odzywać do przeciwnika, a nawet nie zbliżać doń z obawy, aby mi nie przyszła chęć uderzyć go i zelżyć: gwałty tego rodzaju są zawsze wstrętne i zbyteczne z chwilą, gdy prawo cierpi prawidłowy pojedynek. Ale nie mogłem się powstrzymać od upartego wlepiania weń oczu. Był to jeden z towarzyszy mego dzieciństwa; od wielu lat łączyły nas liczne wzajem sobie świadczone usługi. Wiedział doskonale o mej miłości; parę razy nawet dawał mi do zrozumienia, że tego rodzaju węzły święte są dla przyjaciela, i że nie byłby zdolny wchodzić mi w drogę, gdyby nawet kochał tę samą kobietę. Słowem, pokładałem w nim pełne zaufanie i nigdy może nie ścisnąłem serdeczniej ręki ludzkiej istoty.

Przyglądałem się ciekawie, chciwie, temu człowiekowi, który rozprawiał o przyjaźni niby bohater starożytności, a którego zdybałem, jak pieścił mą kochankę. Pierwszy raz w życiu widziałem potwora: mierzyłem go błędnym okiem, aby się przypatrzeć, jak wygląda. Znałem go od dziesiątego roku życia, żyłem z nim dzień po dniu w najdoskonalszej

Gniew, Zemsta, Ciało

Pojedynek

Przyjaźń, Zdrada, Potwór,
Kłamstwo

i najbliższej przyjaźni: — i oto miałem wrażenie, że go nigdy nie widziałem. Posłużę się tu porównaniem.

Istnieje znana powszechnie hiszpańska sztuka, w której kamienny posąg, zesłany sprawiedliwością niebios, przychodzi wieczerzać u rozpustnika²⁷. Rozpustnik nadrabia miną i sili się na obojętność; ale posąg ujmuje go za rękę, i z chwilą, gdy mu ją podał, nieszczęśnik czuje śmiertelny chłód i popada w konwulsje.

Otóż ilekroć w życiu zdarzyło mi się wierzyć przez dłuższy czas z ufnością przyjacielowi lub kochance i nagle odkryłem, że mnie oszukują, niepodobna mi oddać inaczej wrażenia, jakie to odkrycie na mnie uczyniło, niż porównując je do uścisku dłoni owego posągu. Jest to w istocie niby uścisk zimnego marmuru: jak gdyby rzeczywistość w swoim śmiertelnym chłodzie mroziła mnie pocałunkiem; dotknięcie kamiennego człowieka. Niestety! okropny biesiadnik niejedną raz zapukał do moich drzwi; niejedną raz wieczerzaliśmy społem.

Tymczasem po dopełnieniu przygotowań stanęliśmy obaj u mety, idąc wolno jeden na drugiego. Strzelił pierwszy i skałczył mnie w prawe ramię. Ująłem natychmiast pistolet drugą ręką, ale nie mogłem go dźwignąć, sił mi brakło, upadłem na kolano.

Przeciwnik mój zbliżył się spiesznie, niespokojny, bardzo błady. Równocześnie nadbiegli świadkowie, widząc, że jestem ranny; ale on ich usunął i ujął mnie za chorą rękę. Ścisnął zęby, nie mógł mówić; widziałem jego lęk. Cierpiał tak okrutnie, jak tylko człowiek cierpieć może. „Idź precz! — krzyknąłem — idź się wytrzeć w prześcieradła tej...!” Dławił się, ja także.

Wsadzono mnie do powozu, gdzie znalazł się lekarz. Rana okazała się lekka, kula nie tknęła kości; ale byłem w stanie takiego podniecenia, iż niepodobna mnie było natychmiast opatrzyć. W chwili gdy fiakier²⁸ ruszał, ujrzałem przez okno drżącą rękę: to przeciwnik mój jeszcze raz objawiał chęć pojednania. Wstrząsnąłem głową za całą odpowiedź: byłem tak wściekły, iż na próżno siliłbym się mu przebaczyć, mimo że czułem szczerłość jego żalu.

Krew, która spływała obficie z ramienia przyniosła mi znaczną ulgę; osłabienie uśmierzyło mą wściekłość, która dokuczała mi bardziej od rany. Położyłem się z rozkoszą, nigdy chyba nie piłem nic smaczniejszego niż pierwsza szklanka wody, jaką mi podano.

Skoro się znalazłem w łóżku, chwyciła mnie gorączka. Zacząłem płakać. Nie mogłem pojąć nie tego, że kochanka przestała mnie kochać, ale że mnie oszukiwała. Nie rozumiałem, dla jakiej przyczyny kobieta, której nie zmusza ani obowiązek, ani interes, może kłamać mężczyźnie wówczas, gdy kocha innego. Pytałem po dwadzieścia razy przyjaciela mego Desgenais, w jaki sposób to jest możliwe. „Gdybym był jej mężem, mówiłem, albo gdybym jej płacił, rozumiałbym, iż mnie oszukuje; ale dlaczego, jeśli mnie już nie kochała, nie powiedzieć mi tego? dlaczego oszukiwać?” Nie pojmowałem, aby można było kłamać w miłości, byłem wówczas dzieckiem, a wyznaję, iż dziś nie rozumiem tego jeszcze. Za każdym razem, kiedy zakochałem się w kobiecie, powiedziałem jej to; za każdym razem, kiedy przestałem kochać, powiedziałem również, z tą samą szczerością, mniemając zawsze, iż w tego rodzaju sprawach wola nasza jest niczym i że zbrodnią jest tylko kłamstwo.

Na wszystko, com mówił, Desgenais odpowiadał: „To nędznica; przyrzeknij mi, że już jej nie ujrysz na oczy”. Przysięgłem uroczyście. Poradził mi dalej, abym nie pisał do niej, nawet z wymówkami, w razie zaś gdyby ona pisała, abym nie odpowiadał. Przyrzekłem wszystko, zdziwiony niemal, iż tego żąda i oburzony samym przypuszczeniem.

Tymczasem pierwszą rzeczą, jaką uczyniłem z chwilą, gdy mogłem wstać i opuścić pokój, było pognać do mej kochanki. Zastałem ją samą; siedziała na krześle w kącie pokoju, z przygnębioną twarzą, w nieładzie. Obsypałem ją najgwałtowniejszymi wymówkami, byłem pijany rozpaczą. Krzyczałem tak, iż rozlegało się w całym domu; równocześnie lzy przerywały niekiedy słowa tak gwałtownie, iż padłem na łóżko, aby im dać folgę. „Ha!

Pojedynek, Gniew, Krew

Miłość, Kłamstwo

Kochanek, Kobieta,
Kłamstwo, Przemoc

²⁷ sztuka, w której kamienny posąg (...) przychodzi wieczerzać u rozpustnika — chodzi o sztukę Tirso de Molina z 1630 r. *Zwodziciel z Sewilli i kamienny gość*; temat opracowany został następnie przez Molière'a, Mozarta (opera *Don Giovanni*) i Byrona. [przypis edytorski]

²⁸ fiakier a. fiakr (z fr. *fiacre*) — dorożka; lekki, miejski pojazd konny przeznaczony do wynajmowania do przewozu osób. [przypis edytorski]

niewierna! ha! niegodziwa! — mówiłem płacząc — czy wiesz, że ja to życiem przyplączę, czy to ci sprawia przyjemność? co ja ci uczyniłem?”

Rzuciła mi się na szyję, rzekła, że coś ją poniosło, oszołomiło, że rywal mój spoił ją na tej nieszczęsnej wieczerzy, ale że nigdy nie należała do niego; że poddała się chwili zapomnienia; że popełniła błąd, ale nie zbrodnię; widzi dobrze krzywdę, jaką mi uczyniła, ale jeśli jej nie przebaczę, i ona przypląci to życiem. Wyczerpała wszystkie łyżki szczerego żalu, całą wymowę bólu, aby mnie pocieszyć; błada i nieprzytomna, z na wpół rozwartą szatą, z włosami rozsypanymi na ramiona, zdała mi się tak piękną jak nigdy. Drżałem ze zgrozy, podczas gdy wszystkie me zmysły rwały się ku niej.

Wyszedłem złamany, w oczach mi się ćmiło, chwiałem się na nogach. Postanawiałem nigdy jej już nie widzieć, ale po upływie kwadransa wróciłem. Parła mnie jakaś rozpaczliwa siła, czułem jakby jakąś głuchą żądzą posiadania jej jeszcze raz; chciałem wypić na jej wspaniałym ciele wszystkie te gorzkie łyżki i potem zabić ją i siebie. Brzydziłem się nią i ubóstwiałem zarazem; czułem, że jej miłość jest mą zgubą, ale że żyć bez niej jest mi niepodobieństwem. Wpadłem jak błyskawica, nie oznajmiając się; wszedłem prosto, znając dom, i pchnąłem drzwi od jej pokoju.

Zastałem ją przed gotownią; siedziała bez ruchu, okryta klejnotami. Pokojówka chesała ją; ona trzymała w ręku kawałek czerwonej krepki, który przeciągała lekko po policzkach. Myślałem, że śnieg; zdało mi się niepodobieństwem, aby to była ta sama kobieta, która kwadrans temu w moich oczach tonęła we łzach i wlokła się po podłodze. Stałem jak posąg. Ona słysząc, iż drzwi się otwierają, zwróciła głowę z uśmiechem. „Czy to ty?” rzekła. Szła na bal i czekała na mego rywala, który miał jej towarzyszyć.

Cofnąłem się ku drzwiom. Patrzyłem na jej kark, gładki i pachnący, nad którym w związanych włosach połyskiwał diamentowy grzebień; ten kark, siedziba siły życiowej, czarniejszy był od piekła; na nim spletały się dwa lśniące warkocze, nad którymi kołysało się srebrne kłosie. Obfity i gęsty puszek odbijał od ramion i od bielszych niż mleko pleców. Było w tej podwiniętej grzywie coś bezwstydnie pięknego; coś co zdawało się urągać mi za bezład, w jakim widziałem ją chwilę przedtem. Podbiegłem i uderzyłem w ten kark grzbietem zaciśniętej pięści. Nie wydała krzyku, padła na ręce, ja zaś wyszedłem śpiesznie.

Za powrotem do domu gorączka pochwyciła mnie znów z taką siłą, iż byłem zmuszony się położyć. Rana otwarła się, cierpiałem bardzo. Zaszedł do mnie Desgenais, opowiedział mi wszystko, co zaszło. Wysłuchał mnie w skupieniu, po czym przechadzał się jakiś czas po pokoju jak człowiek, który się waha. Wreszcie zatrzymał się przede mną i parsknął śmiechem.

— Czy to twoja pierwsza kochanka? — rzekł.

— Nie — odparłem — ostatnia.

Około północy, podczas gdy spałem niespokojnym snem, zdało mi się, iż słyszę głębokie westchnienie. Otwarłem oczy i ujrzałem mą lubą, stojącą koło łóżka, ze skrzyżowanymi ramionami, podobną do widma. Nie mogłem wstrzymać okrzyku przerażenia, biorąc to za zjawę mego chorego mózgu. Wyskoczyłem z łóżka i uciekłem w kąt pokoju; podeszła bliżej.

— To ja — rzekła i ujmując mnie w pól, przyciągnęła mnie.

— Czego chcesz? — krzyknąłem — puść mnie! byłbym zdolny zabić cię w tej chwili!

— Więc zabij! — rzekła. — Zdradziłam cię, skłamałam, jestem podła, niegodziwa, ale kocham cię i nie mogę żyć bez ciebie.

Spojrzałem na nią; jakaż była piękna! Całe jej ciało drżało; oczy, zamglone żądzą, sączyły strumienie rozkoszy; pierś lśniła naga, wargi płonęły. Wziąłem ją w ramiona.

— Dobrze więc — rzekłem — ale, w obliczu Boga, który nas widzi, na duszę ojca, przysięgam, że cię zabiję w tej chwili, i siebie także.

Wziąłem nóż, który leżał na kominku i wsunąłem go pod poduszkę.

— Oktawie, no — rzekła z uśmiechem, tuląc mnie — nie rób szaleństw. Chodź, dziecko, szkodzisz sobie tym wszystkim, masz gorączkę. Daj mi ten nóż.

Próbowała mi go odebrać.

— Słuchaj — rzekłem — nie wiem, kto jesteś i co za komedię odgrywasz, ale, co do mnie, ja nic nie gram. Kochałem cię tyle, ile człowiek może kochać na ziemi; i, na moje nieszczęście i zgubę, wiedz, iż jeszcze kocham cię do szaleństwa. Mówisz, że i ty mnie

Miłość romantyczna,
Kobieta, Mężczyzna,
Własność

kochasz; chcę wierzyć; ale, na wszystko co jest świętego na ziemi, jeśli ja będę twoim kochankiem dziś wieczór, inny nie będzie nim jutro. Klnę się na Boga, klnę się na Boga — powtarzałem — nie wezmę cię, nienawidzę cię bowiem tyle, ile kocham.

To mówiąc, padłem na łóżko zupełnie nieprzytomny. Narzuciła płaszcz na ramiona i wybiegła.

Skoro Desgenais wysłuchał tej przygody, rzekł:

— Dlaczegoś ją odrzucił? bardzoś wybredny; to śliczna kobieta.

— Żartujesz? — odparłem. — Sądziś iż podobna kobieta może być moją kochanką? że zgodzę się kiedykolwiek na podział? Pomyśl, ona sama wyznaje, że inny ją posiada, i ty chcesz, bym zapomniał, że ją kocham, aby ją posiadać również? Jeśli tak pojmujesz miłość, lituję się nad tobą.

Desgenais odparł, iż lubi jedynie łatwe dziewczęta i nie wgląda w rzeczy tak ściśle.

— Drogi Oktawie — rzekł — jesteś bardzo młody; chciałbyś wielu rzeczy, i ładnych rzeczy, ale które nie istnieją. Wierzysz w osobliwy gatunek miłości; może jesteś do niej zdolny; wierzę w to, ale ci nie życzę. Poznasz inne kobiety, mój przyjacielu, i pożałujesz kiedyś tego, co ci się zdarzyło tej nocy. Kiedy ta kobieta przyszła tu do ciebie, to pewna, iż cię kochała; nie kocha cię może w tej chwili, jest może w objęciach innego; ale kochała cię owej nocy, w tym pokoju; i cóż ci o resztę? Mogłeś mieć oto ładną noc i pożałujesz jej, bądź pewny, już bowiem nie wróci. Kobieta przebacza wszystko, wyjąwszy to, że jej ktoś nie chce. Musiała cię straszliwie kochać, skoro przyszła tutaj czując się winną i przyznając się do winy, domyślając się może, iż ją odepchniesz. Wierz mi, pożałujesz tej nocy, ja ci bowiem powiadam, że nie będziesz już miał takiej.

Desgenais mówił to wszystko tonem tak prostego i głębokiego przekonania, z tak rozpaczliwym spokojem doświadczenia, iż, słuchając go, zadrzałem. Doznawałem gwałtownej pokusy, aby iść jeszcze raz do mej kochanki lub też napisać do niej, aby przyszła. Byłem niezdolny wstać, to mnie ocaliło od wstydu narażenia się jeszcze raz na to, iż zastanę ją czekającą na mego rywala albo też gruchającą z nim sam na sam. Ale mogłem napisać: mimo woli zadawałem sobie pytanie, czy, w razie gdybym napisał, czy by przyszła.

Skoro Desgenais odszedł, ogarnął mnie tak nieznośny zamęt, iż postanowiłem położyć mu kres w jakikolwiek sposób. Po straszliwej walce wstręt przeważył wreszcie miłość. Napisałem do niej, iż nie chcę jej widzieć na oczy i proszę, aby nie przychodziła, jeśli nie chce znaleźć drzwi zamkniętych. Zadzwońnię gwałtownie i kazałem odnieść list jak najspieszniej. Ledwie służący opuścił pokój, zacząłem go wołać z powrotem. Nie usłyszał; nie śmiałem wołać drugi raz i zasłoniwszy twarz rękami, pozostałem zatopiony w najgłębszej rozpacz.

ROZDZIAŁ IV

Nazajutrz o wschodzie słońca pierwszą myślą, jaka mnie zbudziła, było pytanie: „Co pocznę teraz?”

Nie miałem żadnego zawodu, żadnego zajęcia. Studiowałem medycynę i prawo, nie mogąc się namyślić na żadną z tych dróg życia; pracowałem pół roku u bankiera z taką niepunktualnością, iż byłem zmuszony złożyć na czas swoje funkcje, aby unikać odprawy. Studia moje były rozległe, ale powierzchowne; pamięć, nieskrzepiona ćwiczeniem, zapomniała równie szybko, jak się uczyła.

Jedynym moim skarbem, po miłości, była niezależność. Od chwili dojrzałości żywiłem dla niej dziki kult i uświęciłem ją niejako w mym sercu. Pewnego dnia ojciec, myśląc już o mej przyszłości, poddał mi kilka zawodów, pozostawiając wybór między nimi. Stałem wsparty o okno, patrząc na chudą i samotną topolę kołyszącą się w ogrodzie. Zastanawiałem się nad tymi rozmaitymi zajęciami, roztrząsałem je kolejno w głowie; po czym, nie mogąc wzbudzić w sobie żadnego zamiłowania, pozwalałem bujać myślom. Zdało mi się nagle, iż czuję, jak ziemia się porusza i że głucha i niewidzialna siła pędząca ją w przestrzeni staje się uchwytna moim zmysłem; widziałem ją, jak wstępuje w niebo; miałem wrażenie, że jestem niby na statku; topola, którą miałem przed oczami, widziała mi się niby maszt; wstałem, wyciągając ramiona, i krzyknąłem: „To już dość mało być przelotnym podróżnym na tym okręcie żeglującym w eterze; dość mało być człowiekiem,

Młodość, Ojciec, Syn,
Praca, Obraz świata,
Kondycja ludzka

czarnym punktem na tym okręcie; chcę być człowiekiem, ale nie jakimś poszczególnym gatunkiem człowieka”.

Oto pierwszy ślub, jaki, czternastoletnim chłopcem, wyrzekłem w obliczu natury. Od tego czasu, jeżeli brałem się do czego, to jedynie przez posłuszeństwo dla ojca, ale nigdy nie mogąc przewyciężyć odrazy.

Byłem tedy swobodny nie przez lenistwo, ale z własnej woli; zresztą, kochałem wszystkie dzieła boże, a bardzo niewiele ludzkich. Znałem z życia jedynie miłość, ze świata jedynie mą lubą i nie chciałem znać nic innego. Toteż zakochawszy się tuż po wyjściu z kolegium, wierzyłem szczerze, że to na całe życie i wszelka inna myśl pierzchła mi z głowy.

Życie wiodłem mało ruchliwe. Spędzałem dzień u lubej; największą mą przyjemnością było wyciągać ją na wieś w piękny letni dzień, kłaść się obok niej w lesie, na trawie lub mchu: widok natury w całej krasie był dla mnie zawsze najpotężniejszym *aphrodisiacum*. W zimie (ona lubiła się bawić), uganialiśmy po balach i maskaradach; znowuż tedy życie spływało na próżniactwie. Ponieważ, dopóki była mi wierna, myślałem tylko o niej, z chwilą gdy mnie zdradziła, zostałem bez jednej myśli.

Najlepsze pojęcie o ówczesnym stanie mego ducha mogę dać, porównując go do owych dzisiejszych modnych mieszkań, gdzie znajdują się, zebrane i pomieszane razem, meble wszystkich czasów i krajów. Nasz wiek nie posiada form. Nie wycisnęliśmy piętna epoki ani na domach, ani na ogrodach, ani na niczym. Widuje się na ulicy ludzi z brodą strzyżoną jak za czasu Henryka III, innych wygolonych, innych z włosami jak na portretach Rafaela, innych jak za czasu Jezusa Chrystusa. Toteż apartamenty bogaczy są niby muzea starożytności: antyki, gotyk, Odrodzenie, Ludwik XIII, wszystko razem. Słowem, mamy coś ze wszystkich wieków, wyjąwszy nasz, rzecz niewidziana w żadnej innej epoce. Eklektyzm to nasz smak; bierzemy wszystko, co napotkamy, jedno dla piękności, drugie dla wygody, to znów dla starożytności, inną rzecz wreszcie zgoła dla jej szpetoty. Żyjemy jedynie wśród szczątków, jakby koniec świata był bliski.

Oto był mój stan ducha; wiele czytałem, prócz tego uczyłem się malować. Umiałem na pamięć mnóstwo rzeczy, ale nic porządnie; głowę miałem równocześnie pustą i spęczniałą jak gąbkę. Kochałem się kolejno we wszystkich poetach; ale ponieważ miałem naturę bardzo wrażliwą, ostatni z kolei zbrzydził mi zawsze resztę. Stworzyłem w sobie wielki lamus ruin, aż w końcu, zabiwszy w sobie pragnienie długim spijaniem wszystkiego, co nowe i nieznanne, sam uczułem się ruiną.

Jednakże w tej ruinie żyło coś bardzo młodego: nadzieja mego serca, które było jeszcze dzieckiem.

Nadzieja ta, której nic nie skaziło ani nie zepsuło, i która pod wpływem miłości wybujała ponad miarę, otrzymała nagle śmiertelny cios. Zdrada kochanki ugodziła ją w pełni lotu; kiedy myślałem o tym, czułem, że mi w duszy omdlewa coś konwulsyjnie niby ranny ptak w agonii.

Społeczeństwo, które czyni tyle złego, podobne jest do owego indyjskiego węża, którego mieszkaniem jest gąszcz rośliny leczącej jego ukąszenie: tak i ono podsuwa prawie zawsze lekarstwo równocześnie z cierpieniem, jakie sprawiło. I tak człowiek, który posiada uregulowany tryb życia, z rana interesy, o tej godzinie wizyty, o tej pracy, o tej miłości, może bezpiecznie utracić kochankę. Zajęcia jego i myśli są niby owi niewzruszeni żołnierze ustawieni w ordynku podczas bitwy; kula unosi jednego, sąsiedzi ściskają się w szeregu i nie znać ubytku.

Nie miałem tej ucieczki, odkąd zostałem sam: natura, moja ukochana matka, zdała mi się, przeciwnie, bardziej rozległa i pusta niż kiedykolwiek. Gdybym mógł zupełnie zapomnieć mą lubą, byłbym ocalony. Iluż ludziom nie trzeba ani tyle do wyleczenia! Tacy, niezdolni kochać niewierną kobietę, okazują w podobnych okolicznościach podziwu godny hart. Ale czyż taką jest miłość dziewiętnastoletniego chłopca, który, nie mając pojęcia o świecie, cały żyjąc pragnieniem, czuje w sobie zaród wszystkich namiętności? Czyż ten wiek wątpi o czymkolwiek? Na prawo, na lewo, hen, na widnokręgu, wszędzie woła go jakiś głos. Wszystko jest żądzą, wszystko marzeniem. Nie ma rzeczywistości, która by się ostała dla młodego serca; nie masz tak sękatego i twardego dębu, z którego by nie wyszła driada; gdyby się miało sto ramion, nie lękałoby się otworzyć ich w próżnię; wystarczy utulić w nie kochankę i — próżnia zapełniona.

Obraz świata, Sztuka

Ruiny, Miłość romantyczna

Obraz świata, Wąż

Co do mnie, nie pojmowałem, iżby można robić co innego niż kochać; kiedy mi mówiono o innym zatrudnieniu, wzruszałem ramionami. Miłość moja była wpółdzika; na całym życiu moim wyciskała coś jakby mniszego i surowego. Przytoczę tylko jeden przykład. Luba dała mi medalion ze swoją miniaturą; nosiłem go na sercu, co jest zresztą rzeczą dość pospolitą; ale znalazłszy pewnego dnia u antykwariusza żelazną dyscyplinę z blaszką najeżoną gwoździkami na końcu, kazałem przytwierdzić medalion do tej blaszki i tak go nosiłem. Gwoździe te, które wchodziły mi w pierś za każdym ruchem, sprawiały mi tak osobliwą rozkosz, iż przyciskałem niekiedy rękę, aby je czuć tym głębiej. Wiem, że to szaleństwo; alboż miłość robi takie tylko szaleństwa?

Od czasu jak mnie ta kobieta zdradziła, zdjąłem okrutny medalion. Nie umiem opisać, z jakim smutkiem odjąłem żelazną blachę i jakie westchnienie wydało moje serce, skoro się uczuło wyswobodzone! „Biedne blizny — mówiłem — macie się zatem zatrzeć? Ach rano moja, droga rano, jakież balsam przyłożę na ciebie?”

Daremnie nienawidziłem tej kobiety; miałem ją, można rzec, we krwi; przeklinałem ją, ale śniłem o niej. Co poradzić na to? co poradzić na sen? jakież argument przeciwstawić wspomnieniom krwi i ciała? Makbet, zabijwszy Dunkana, powiada, iż ocean nie umyłby jego rąk; nie byłby też obmył moich blizn. Mówiłem Desgenais’mu: „Cóż chcesz? z chwilą gdy usnę, jej głowa znajduje się tu, na tej poduszce”.

Zyłem dotąd jedynie przez tę kobietę; zwątpić o niej, znaczyło zwątpić o wszystkim; przekląć ją, wszystkiego się zaprzeczyć; stracić ją, wszystko zniweczyć. Przestałem gdziekolwiek bywać; świat zdawał mi się rojowiskiem dzikich zwierząt, potworów, krokodyli. Co bądź mi mówiono, aby mnie rozerwać, odpowiadałem: „Tak, to doskonała rada, i możecie być pewni, że z niej nie skorzystam”.

Stawałem w oknie i powiadałem sobie; „Ona przyjdzie, pewien jestem; idzie, skręca w ulicę, czuję, jak się zbliża. Nie może żyć beze mnie, jak ja bez niej. Co jej powiem? Z jaką twarzą ją przyjmę?” Tu przypominała mi się jej zdrada. „Ha! niech nie przychodzi! — wołałem — niech się nie zbliża! byłbym zdolny ją zabić!”

Od ostatniego listu nie słyszałem już o niej. „Cóż ona robi wreszcie? — mówiłem sobie. — Kocha innego? kochajmyż i my inną. Kogo?” I szukając w duchu, słyszałem równocześnie niby daleki głos, mówiący: „Ty, inną niż mnie? Dwie istoty, które się kochają, tułają w uścisku i które nie są tobą i mną? Czy to możliwe? Czyś ty oszalał?”

— Człowieku małego serca! — mówił Desgenais — kiedyż wreszcie zapomnisz tę kobietę? Czyż to taka strata? Piękne mi szczęście! Weź pierwszą z brzegu.

— Nie — odpowiadałem — niewielka strata. Czyż nie uczyniłem tego, com był powinien? czy nie wypędziłem jej stąd? Co możesz mi tedy zarzucić? Reszta, to moja rzecz; bykowi zranionemu w cyrku wolno lec w kącie ze szpadą matadora w grzbiecie i skończyć w spokoju. Cóż ja mam, powiedz mi, począć z sobą na świecie? Co to są te twoje *pierwsze z brzegu*? Pokażesz mi czyste niebo, drzewa i domy, ludzi mówiących, pijących, śpiewających, kobiety w tańcu i konie w galopie. Wszystko to, to nie życie, to próżny zgiełk życia. Zostaw mnie, zostaw mnie w spokoju.

ROZDZIAŁ V

Skoro Desgenais ujrzał, iż nie ma lekarstwa na mą rozpacz i że nie chcę nikogo słuchać ani też wyjść z pokoju, spoważniał. Jednego wieczora zjawił się z uroczystą miną; zagadnął mnie o mą kochankę i przeszedł w ton silnie drwiący, wyrażając się jak najgorzej o kobietach. Na wpół siedząc na łóżku, wsparty na łokciu, słuchałem go z uwagą.

Był to jeden z owych posępnych wieczorów, kiedy to świst wiatru podobny jest do jęku umierającego; ostry deszcz smagał szyby, od czasu do czasu zaś zalegała śmiertelna cisza. Cała natura cierpi wówczas; drzewa poruszają się boleśnie lub też pochylają smutno głowę; ptaństwo kuli się w krzakach; ulice pustoszeją. Rana dolegała mi. Wczoraj jeszcze miałem kochankę i przyjaciela; kochanka zdradziła mnie, przyjaciel rozciągnął mnie na łożu boleści. Nie rozróżniałem jeszcze jasno, co się dzieje w mej głowie; miałem uczucie na przemian, to żem prześnił sen pełen grozy i że wystarczy mi zamknąć oczy, aby się obudzić nazajutrz szczęśliwym; to znów całe życie moje zdało mi się pociesznym i dziecięcnym majakiem, którego fałsz oto się odsłonił. Desgenais siedział naprzeciw mnie, blisko lampy; był stanowczy i poważny, z wiecznym uśmiechem. Był to zacny człowiek, ale suchy jak

kamień szlifierski. Przedwczesne doświadczenie przyprawiło go w młodym wieku o łysinę; znał życie i wypłakał się swojego czasu; ale cierpienie jego nosiło pancerz; był materialistą, czekał śmierci.

— Oktawie — mówił — patrząc na ciebie, widzę, że wierzysz w miłość wedle romanopisarzy i poetów; wierzysz, jednym słowem, w to, co się tu mówi, a nie w to, co się robi. To pochodzi stąd, że nie myślisz logicznie i to może cię zagnać w wielkie nieszczęścia.

Poeci przedstawiają miłość tak, jak rzeźbiarze malują nam piękność, jak muzycy tworzą melodie; obdarzeni wrażliwą i subtelną organizacją, skupiają z inteligencją i zapałem najczystsze pierwiastki życia, najpiękniejsze linie materii, najharmonijniejsze głosy przyrody. Była, powiadają, w Atenach mnogość ładnych dziewczyn; Praksyteles wyrysował je wszystkie kolejno; po czym ze wszystkich tych piękności, z których każda miała swoją wadę, uczynił piękność jedyną, bez skazy, i stworzył Wenus. Pierwszy człowiek, który sporządził instrument muzyczny i dał tej sztuce zasady i prawa, słuchał długo przedtem szumu trzciny i śpiewu ptaków. Tak poeci, znający życie, napatrzili się licznych miłości mniej lub więcej przemijających, odczuli głęboko, do jakiego stopnia wzniosłej egzaltacji może się wzniesć chwilami namiętność: za czym, wyłączając z natury ludzkiej wszystkie czynniki, które ją ponizają, stworzyli tajemnicze imiona przekazywane z wieku na wiek przez usta ludzkie: Dafnis i Chloe, Hero i Leander, Pyram i Tysbe.

Chcieć szukać w życiu rzeczywistym miłości równie wiecznej i zupełnej, jest to to samo, co szukać na rynku kobiet równie pięknych jak Wenus albo żądać, aby słowiki śpiewały symfonie Beethovena.

Doskonałość nie istnieje; zrozumieć ją jest tryumfem ludzkiej inteligencji; pragnąć ją posiadać, najniebezpieczniejszym z szaleństw. Otwórz okno, Oktawie; czy nie widzisz nieskończoności? nie czujesz, że niebo jest bez granic? czy rozum ci tego nie mówi? Mimo to, czy pojmujesz nieskończoność? czy masz pojęcie o czymś, co jest bez końca, ty, który urodziłeś się wczoraj i umrzesz jutro? Ten widok bezkresu spowodował wszędzie po świecie największe szaleństwa. Religie płyną z tego źródła; aby osiągnąć nieskończoność, Katon poderżnął sobie gardło; chrześcijanie oddawali się na pastwę lwom, hugonoci katolikom; wszystkie ludy na ziemi wyciągały ramiona ku tej bezmiernej przestrzeni i chciały się w nią rzucić. Szaleniec chce osiągnąć niebo; mędrzec podziwia je, klęka i nie pragnie.

Doskonałość, mój drogi, tak samo nie jest dla nas jak nieskończoność. Nie trzeba jej szukać w niczym, żądać od niczego, ani od miłości, ani od piękności, ani od szczęścia, ani od cnoty; ale trzeba ją kochać, aby być cnotliwym, pięknym i szczęśliwym tyle, ile człowiek zdoła.

Przypuśćmy, że masz u siebie obraz Rafaela, który uważałeś za doskonały; przypuśćmy, iż wczoraj wieczór, przyglądając się z bliska, odkryłeś w jednej z figur obrazu gruby błąd rysunku, zwichnięty członek lub źle umieszczony mięsień, jak to podobno ma miejsce w owej figurze starożytnego gladiatora; sprawi ci to, oczywiście, wielką przykrość, nie rzucisz wszelako obrazu w ogień; powiesz jedynie, że nie jest doskonały, ale że są w nim szczegóły godne podziwu.

Istnieją kobiety, którym wrodzona poczciwość i szczerłość serca bronią mieć dwóch kochanków naraz. Myślałeś, że twoja luba jest z ich liczby; byłoby to lepiej, przynajmniej. Odkryłeś, że cię oszukuje; czyż to powód, aby nią gardzić, znęcać się nad nią, uważać ją wreszcie za godną nienawiści?

Gdyby nawet twoja luba nigdy cię nie oszukała i gdyby dziś kochała tylko ciebie, pomyśl, Oktawie, jak miłość jej byłaby daleką od doskonałości, jak byłaby ludzka, mała, określona prawami światowej obłudy; pomyśl, że inny posiadał ją przed tobą, ba, niejeden nawet; że inni będą ją posiadali po tobie.

Zastanów się; przyczyną twej obecnej rozpaczki jest pojęcie doskonałości, jakie sobie wytworzyłeś o kochance, a które ona zawiodła. Ale z chwilą, gdy dobrze zrozumiesz, iż samo to zasadnicze pojęcie było ludzkie, małe i ograniczone, ujrzyś, iż jeden stopień więcej lub mniej na tej wielkiej przegnanej drabinie ludzkiej niedoskonałości, to bardzo niewiele...

Przynasz chętnie, nieprawdaż? że twoja kochanka należała i będzie należała do innych; powiesz bez wątpienia, że nie dbasz o to, byleby kochała ciebie i była tylko twoją, dopóki cię będzie kochać. Ale ja ci mówię: skoro należała do innych, cóż znaczy, czy to było wczoraj, czy przed dwoma laty? Skoro będzie należała do innych, cóż znaczy, czy to będzie

Sztuka, Miłość, Miłość
romantyczna

Przestrzeń, Idealista,
Realista, Kondycja ludzka

Sztuka, Kobieta, Mężczyzna

Kobieta, Mężczyzna, Miłość
romantyczna, Miłość

jutro, czy znów za dwa lata? Skoro ma cię kochać tylko przez jakiś czas i skoro cię kocha, cóż znaczy, czy to będzie przez dwa lata, czy przez jedną noc? Czy jesteś człowiekiem, Oktawie? Widzisz, jak liście opadają z drzew, jak słońce wschodzi i zachodzi? Słyszysz, jak zegar życia drga przy każdym uderzeniu twego serca? Czyż tak wielka jest tedy dla nas różnica między miłością trwającą rok a godzinę? Powiedz, szaleńcze, który przez to okno wielkości dłoni możesz widzieć nieskończoność?

Nazywasz uczciwą kobietę, która cię kochała wiernie przez dwa lata; posiadasz widocznie jakiś osobny kalendarz dla ocenienia, ile czasu potrzeba, aby pocałunki męczyzny obeschły na wargach kobiety. Czynisz wielką różnicę między kobietą, która się oddaje dla pieniędzy, a tą, która się oddaje dla rozkoszy; między tą, która się oddaje z próżności, a tą, która się oddaje z poświęcenia. Pośród kobiet, które kupujesz, płacisz jedne drożej od innych; pośród tych, u których szukasz rozkoszy zmysłów, powierzasz się z większym zaufaniem jednym niż drugim; pośród tych, które posiadasz przez próżność, czujesz się bardziej dumny z tej niż z owej; wśród tych wreszcie, którym poświęcasz życie, są takie, którym oddałbyś trzecią część serca, innym czwartą, innym połowę, wedle ich wychowania, obyczajów, nazwiska, urodzenia, piękności, temperamentu, okoliczności, zależnie od tego, co o tym mówią, zależnie od godziny, od tego, co pijeś na obiad.

Podobasz się kobietom, Oktawie, dlatego że jesteś młody, jurny, że masz regularny owal twarzy, że jesteś starannie uczesany; ale z tej samej przyczyny, mój przyjacielu, nie wiesz, co to jest kobieta.

Naturze przede wszystkim chodzi o utrwalenie gatunku; wszędzie, od szczytu gór do dna oceanu, życie lęka się zagłady. Dla zachowania swego dzieła Bóg ustanowił tedy prawo, iż największą rozkoszą żyjących istot będzie czynność płodzenia. Drzewo palmowe, śląc swojej samiczce żyzny pył, drży z miłości w gorącym powiewie wiatru; jeleni w czasie rykowiska rozpruwa brzuch łani, która się opiera; gołębica omdlewa pod skrzydłami samca niby rozkochana mimoza; człowiek zaś, dzierżąc w ramionach swoją towarzyszkę, na łonie wszechpotężnej natury, czuje jak w sercu jego drga boska iskra, która go stworzyła.

O mój przyjacielu! kiedy w nagich ramionach tulisz piękną i krzepką kobietę, jeżeli rozkosz wyciska ci łzy, jeżeli czujesz jak na twych wargach lękają zakłęcia wiekuistej miłości, jeżeli nieskończoność zstępuje w twoje serce, nie lękaj się poddać wzruszeniu, bodaj w objęciach kurtyzany.

Ale nie mieszaj wina z pijaństwem; nie przypisuj boskości czarze, z której pijesz boski napój; nie dziw się wieczorem, iż znajdziesz ją pustą i strzaskaną. To kobieta, to kruche naczynie, ulepione przez garncarza z gliny.

Podziękuj Bogu, że ci ukazał niebo, ale dlatego, że trzepoczesz skrzydłami, nie uważaj się za ptaka. Nawet ptaki nie mogą przebyć chmur; jest sfera, w której zbywa im powietrza; skowronek, który wzbija się z pieśnią w mgły poranne, opada niekiedy martwy na ziemię. Bierz z miłości tyle, ile wstrzemięźliwy człowiek z wina; nie stawaj się pijakiem. Jeśli kochanka jest szczerą i wierną, kochaj ją za to; jeśli nie posiada tych cnót, ale jest młoda i ładna, kochaj ją, że jest młoda i ładna; jeśli miła i pełna dowcipu, kochaj ją także; jeśli zaś nie ma żadnej z tych zalet, ale cię kocha, kochaj ją i za to. Miłości nie spotyka się co dzień.

Nie wydzieraj sobie włosów i nie myśl o samobójstwie dlatego, że masz rywala. Powiadasz, że luba oszukuje cię z drugim, i duma twoja cierpi; zmień jedynie słowa; powiedz sobie, że to jego oszukuje dla ciebie, i oto możesz się puszyć.

Nie twórz sobie zasad i nie mów, że żądasz miłości wyłącznej; sam jesteś człowiekiem i sam jesteś zmienny; mówiąc to zatem, zmuszony jesteś dodać po cichu: „O ile to możliwe”.

Bierz pogodę, jak ją Bóg nadarzy, wiatr taki, jaki dmie, kobietę, jaka jest. Hiszpanki, najprzedniejsze z kobiet, kochają wiernie; serce mają szczerze i gwałtowne, ale noszą sztylet na sercu. Włoszki są lubieżne, ale szukają szerokich barów i mierzą kochankę krawieckim łokciem. Angielki są egzaltowane i melancholiczne, ale zimne i wymuszone. Niemki są tkliwe i słodkie, ale mdłe i jednostajne. Francuzki są sprytne, wykwintne i rozkoszne, ale kłamią jak istne demony.

Przede wszystkim nie wiń kobiet, iż są tym, czym są; myśmy to uczynili je takimi, niszcząc dzieło natury, gdzieśmy tylko mogli.

Kobieta, Mężczyzna

Natura, Seks, Obraz świata

Rozkosz, Kobieta,
Mężczyzna

Miłość, Wino
Miłość, Kobieta,
Mężczyzna, Kochanek

Kobieta, Mężczyzna,
Kochanek, Zazdrość,
Duma, Słowo

Miłość, Kondycja ludzka

Kobieta

Kobieta, Mężczyzna,
Natura, Miasto, Matka,
Kochanek

Przemysłna natura stworzyła dziewicę na kochankę: ale za pierwszym dzieckiem włosy jej wypadają, pierś się zniekształca, ciało jej szpeci blizna; kobieta jest stworzona, aby była matką. Mężczyzna, zmierzony szczyrbami jej piękności, odleciałby ją może; ale dziecko czepia się go z płaczem. Oto rodzina, prawo ludzkie; wszystko, co się odeń oddala, jest potworne. Cnota wieśniaków zasadza się na tym, iż żony ich są to przyrzędy do rodzenia i karmienia, jak oni znów przyrzędy do uprawy roli. Nie znają fałszywych włosów ani blanszu, ale uściski ich nie sięją zarazy; prostoduszne ich pieśczęty nie użyczają pamiątki odkrycia Ameryki. Te kobiety nie są zmysłowe, ale są zdrowe; mają szerokie i zgrubiałe ręce, ale nie serca.

Cywilizacja robi wszystko na wspaniałą naturze. Dziewicę stworzoną na to, aby biegała w słońcu, aby podziwiała nagich szermierzy jak w Sparcie, aby jej wolno było wybierać, kochać, miejskie nasze obyczaje zamykają pod kluczem; w zamian za to chowa romans pod krucyfiksem; wyblakła i beczynna daje folgę swym chuciom w obliczu zwierciadła; wśród ciszy nocnej kala tę piękność, która ją dławi i której trzeba powietrza. Następnie z dnia na dzień wydobywa się ją na światło, niewiedzącą nic, niekochającą nic, pragnącą wszystkiego; stara baba daje jej nauki, szepce jej plugastwa do ucha i rzuca ją w łóżce obcego mężczyzny, który ją gwałci. Oto małżeństwo, to znaczy rodzina wedle cywilizacji. I oto biedna dziewczyna rodzi dziecko; włosy jej, kształtna pierś, ciało, wszystko niszczy je i więdnie; straciła wdzięk kochanki, a nie kochała! Poczęła, urodziła, pyta się sama, czemu. Przynoszą jej dziecko i mówią: „Jesteś matką”. Odpowiada: „Nie jestem matką; dajcie to dziecko kobiecie, która ma mleko; w moich piersiach go nie ma; nie tą drogą kobieta przychodzi do pokarmu”. Mąż odpowiada, iż żona ma słuszność, że dziecko by mu ją zbrzydziło. Schodzą się krewni, stroją ją, obrzucają koronkami zakrwawione łóżko; pielęgnują ją, leczą z choroby macierzyństwa. Za miesiąc już jest w Tuilleriach, na balu, w Operze; dziecko w Chaillot, w Auxerre, mąż w lupanarze. Tuzin młodych ludzi mówi jej o miłości, poświęceniu, sympatii, wiecznym uścisku, o wszystkim, czym wzbiera jej serce. Bierze jednego z nich, tuli go do łona; on hańbi ją, odwraca się i idzie na giełdę. Początek już zrobiony: biedaczka płacze przez jedną noc i spostrzega, że od lez czerwienią oczy. Bierze pocieszyciela, po którego stracie pociesza ją znów inny; i tak aż do trzydziestu lat i dalej. Wówczas to, zużyta i skażona, wypruta ze wszystkiego, co ludzkie, nawet ze wstępu, spotyka jednego wieczora pięknego młodzieńca o czarnych włosach, płomiennym oku, sercu drgającym nadzieją; poznaje swoją młodość, przypomina sobie, co wycierpiała, i, oddając mu lekcje, jakie jej dało życie, odczuwa go na zawsze od kochania.

Oto kobieta taka, jakąśmy ją zrobili; oto nasze kochanki. Ale cóż! zawsze to kobiety i można spędzić z nimi miłą chwilę!

Jeżeli jesteś ostro kuty, pewien samego siebie, naprawdę mężczyzna, oto co ci radzę: rzuć się bez obawy w wir świata; bierz kolejno kurtyzany, tancerki, mieszczanki i margrabiny. Bądź stały i niewierny, smutny i wesoły, niech cię zwodzą czy szanują; pytaj tylko o to, czy cię kochają: z tą chwilą bowiem cóż ci znaczy reszta?

Jeżeli jesteś człowiekiem miernym i przeciętnym, radzę, rozglądaj się jakiś czas, zanim uczynisz wybór, ale nie licz ani trochę na to, co będzie ci się zdawało, żeś znalazł w swej lubej.

Jeśliś jest człowiekiem słabym, łatwym do opanowania, skłonny zapuścić korzenie tam, gdzie widzisz trochę ziemi, sporządź sobie pancierz który by oparł się wszystkiemu; jeżeli bowiem dasz folgę swej wątłej naturze, nie wzrośnie z ciebie nic, uschniesz, nie wydasz kwiatu ni owocu. Soki twoje przejdą w obcy miąższ; wszystkie twoje czyny będą blade jak liść wierzbowy; jedyną twą wilgocią będą własne łzy, jedynym pokarmem własne serce.

Ale jeśli jesteś naturą marzycielską, wierzącą w majaki i pragnącą je urzeczywistnić, odpowiem ci wręcz: „Miłość nie istnieje”.

Wchodzę bowiem w twoją myśl i mówię: Kochać znaczy oddać się ciałem i duszą lub, aby rzec lepiej, uczynić jedną istotę z dwojga; znaczy przechadzać się po słońcu, po wietrze, wśród pól i łąk, ciałem o czterech ramionach, dwóch głowach i dwóch sercach. Miłość to wiara, to religia ziemskiego szczęścia, to promienny trójkąt umieszczony w sklepieniu świątyni, którą nazywamy światem. Kochać znaczy poruszać się swobodnie w tej świątyni i mieć u boku istotę zdolną zrozumieć dlaczego myśl jakaś, słowo, kwiat sprawia, iż zatrzymujesz się i podnosisz głowę ku niebiańskiemu trójkątowi. Zaży-

Kobieta, Mężczyzna, Miłość

Siła, Łzy, Serce

Miłość romantyczna,
Kochanek romantyczny,
Kobieta, Idealista

wać szlachetnych przymiotów człowieka jest wielkim dobrem; oto dlaczego geniusz jest piękną rzeczą; ale zdawając swoją zdatność, tulić drugie serce i inteligencję do swojej inteligencji i serca, oto najwyższe szczęście. Nic ponad to nie uczynił Bóg dla człowieka; oto dlaczego miłość jest czymś więcej niż geniusz. Czy znasz kobiety, które by tak kochały? Nie, nie, sam przyznaj. Kochać dla nich to co innego; to wychodzić z domu zakwefioną, pisywać ukradkiem, stąpać ze drzeniem na końcach palców, spiskować i szydzić, zawracać omdlewającymi oczami, wydawać skromne westchnienia w sztywnej i nakrochmalonej sukni, a potem, zamknąwszy drzwi na klucz, zedrzyć ją przez głowę; upokorzyć rywalkę, oszukać męża, przywieść do rozpaczki kochanków; kochać dla nich to bawić się w kłamstwo, tak jak dzieci bawią się w chowanego: ohydna rozpusta serca, gorsza niż wszelkie wyuzdania rzymskie na saturnaliach Priapa; zbękarcona parodia zarówno występku jak cnoty; głucha i podła komedia pełna szeptów i kosych spojrzeń, gdzie wszystko jest małe, wytworne i zniekształcone niby owe chińskie monstra z porcelany; oplakane przedrzeźnianie wszystkiego, co jest pięknego i szpetnego, boskiego i piekielnego w świecie, cień bez ciała, szkielet boskiego stworzenia.

Tak mówił Desgenais świszczącym głosem, w milczeniu nocy.

ROZDZIAŁ VI

Nazajutrz przed obiadem znalazłem się w Lasku Bulońskim; czas był posepny. Przybywszy do bramy Maillot, puściłem cugle wolno i utonąwszy w głębokiej zadumie, przechodziłem stopniowo w głowie słowa Desgenais'go.

Mijając aleję, usłyszałem, że ktoś mnie woła. Obróciłem się i ujrzałem w otwartym powozie przyjaciółkę mej kochanki. Kazała woźnicy zatrzymać i podając przyjaźnie rękę, zaprosiła mnie, o ile nie mam nic do roboty, na obiad.

Osoba ta, nazwiskiem pani Levasseur, była mała, pulchna i jasna blondynka; nie lubiłem jej nigdy, nie wiem czemu, gdyż stosunki nasze były zawsze raczej przyjazne. Mimo to nie mogłem się oprzeć: uściśnąłem jej rękę dziękując za zaproszenie; czułem, że będziemy mówili *o tamtej*.

Poleciła słuzącemu aby odprowadził mego konia; wsiadłem do powozu i ruszyliśmy w stronę Paryża. Deszcz zaczął padać, woźnica podniósł dach; tak zamknięci sam na sam trwaliśmy zrazu w milczeniu. Patrzałem na nią z niewysłowionym smutkiem; nie tylko była przyjaciółką zdrabcyżni, ale i jej powiernicą. Często za szczęśliwych dni wieczorem dotrzymywała nam towarzystwa. Z jakąż niecierpliwością znosiłem ją wówczas! Jak rachowałem chwile, które była z nami! Stąd zapewne moja niechęć. Za nic mi stało to, iż życzliwie patrzy na naszą miłość, że mnie broni nawet wobec lubej w dniach sprzeczki; cała jej przyjaźń nie mogła okupić w moich oczach jej natręctwa. Mimo dobroci i usług zdawała mi się brzydka, męcząca. Ach, jakże teraz wydała mi się ładna! Patrzałem na jej ręce, suknie; każdy jej ruch wnikał mi do serca; cała przeszłość była w nich wypisana. Widziała to, czuła, co przechodzę i ile wspomnień mnie tłoczy. Tak upłynęła droga; ja patrzałem na nią, ona uśmiechała się do mnie. Wreszcie, kiedy wjechaliśmy w ulice Paryża, ujęła mnie za rękę:

— I cóż? — rzekła.

— Więc tak — odparłem szlochając — niech jej to pani powie, jeśli pani chce.

To mówiąc, zalałem się łzami.

Skoro po obiedzie znaleźliśmy się przy kominku, rzekła:

— Powiedz mi pan, czy ta cała sprawa jest nieodwołalna? czy nie ma sposobu?

— Niestety! — odparłem — nieodwołalną jest jedynie boleść, która mnie zabija.

Dzieje moje zamykają się w niewielu słowach: nie mogę ani jej kochać, ani kochać innej, ani istnieć bez miłości.

Zanurzyła się w fotelu, twarz jej przybrała wyraz współczucia. Długo zdawała się dumać i zagłębiać w siebie, jakby znajdując oddźwięk we własnym sercu. Oczy jej zamglily się, utonęła niby we wspomnieniu. Wyciągnęła rękę, zbliżyłem się.

— I ja — szepnęła — i ja także poznałam toż samo.

Żywe wzruszenie przerwało jej.

Ze wszystkich sióstr miłości jedną z najpiękniejszych jest litość. Trzymałem panią Levasseur za rękę; osunęła mi się niemal w ramiona; zrazu zaczęła gorąco przemawiać

Miłość, Rozczarowanie,
Współczucie, Cierpienie,
Łzy

w obronie mej lubej, bolejąc ze mną i usprawiedliwiając ją zarazem. Było mi coraz smutniej; co mogłem odpowiedzieć? Stopniowo zaczęła mówić o sobie.

Niedawno temu (mówiła), człowiek którego kochała porzucił ją. Poświęciła dlań bardzo wiele; nadszarpnęła zarówno swój majątek jak dobrą sławę. Mąż, którego mściwość znała, odgrażał się. Mówiąc, płakała; przejąłem się do tego stopnia, iż słuchając o jej niedolach, zapomniałem o własnych. Wydano ją za mąż niemal przemocą, walczyła długo; ale nie żałuje niczego, chyba straconej miłości. Miałem nawet wrażenie, iż obwinia się poniekąd, że nie umiała zachować serca kochanka i że poczyniła sobie wobec niego zbyt lekko.

Ulżywszy sercu, trwała przez chwilę zakłopotana i niema.

— Pani — rzekłem — to nie przypadek zawiódł mnie dziś do Lasku. Pozwól mi wierzyć, że boleści ludzkie są niby zbłąkane siostry, ale że istnieje kędyś dobry anioł, który kojarzy niekiedy z umysłu wstępnie dłonie wyciągające się ku Bogu. Skoro panią spotkałem i skoro mnie pani zawołała, nie żałuj, żeś mi otworzyła serce; i kto bądź by cię słuchał, nie żałuj nigdy łez. Sekret, jaki mi powierzasz, jest tylko łzą spadłą z twoich oczu, ale ta łza została na mym sercu. Niech mi pani pozwoli odwiedzić się jeszcze i cierpmy niekiedy razem.

Mówiąc te słowa, uczulem przyływ tak żywej sympatii, iż nie zastanawiając się, uści- skalem ją; nie przyszło mi nawet na myśl, abym ją mógł obrazić, i ona sama jakby nie zauważyła tego.

Głęboka cisza panowała w całym domu. Któryś z lokatorów był chory, rozsypano słomę na ulicy, tak iż pojazdy nie czyniły najłżejszego hałasu. Siedziałem koło niej, trzymając ją w ramionach i oddając się jednemu z najśłodszych wzruszeń serca, uczuciu podzielnego bólu.

Rozmowa nasza przybrała odcień najserdeczniejszego wylania. Ona zwierzała mi swoje cierpienia, ja opowiadałem jej swoje; z tych dwóch boleści, które zaplatały się z sobą, czulem, jak wznosi się jakaś słodycz, jakiś pocieszający głos, niby czysty i niebiański akord zrodzony z współdziewczenia dwóch skarżących się jęków. Wśród tego, pochylony nad panią Levasseur, widziałem tylko jej twarz. Powstawszy i oddaliwszy się nieco, spostrzegłem, iż podczas gdyśmy rozmawiali, ona oparła stopę dość wysoko o obramienie kominka, tak iż odsłoniła nogę niemal do kolana. Zdało mi się osobliwe, iż widząc moje pomieszanie, nie zmieniła pozycji; cofnąłem się o kilka kroków, odwracając głowę, aby jej dać czas na uporządkowanie stroju; ani drgnęła. Podeszedłem bliżej, oparłem się o kominiek i stałem w milczeniu, patrząc na ten nieład stroju, w istocie nazbyt odrażający. Spotkałem wreszcie jej oczy i ujrzałem jasno, iż ona ma zupełną świadomość tego, co czyni. Piorun we mnie strzelił; zrozumiałem, iż byłem igraszką potwornego bezwstydu, że boleść sama była dla tej kobiety jedynie podrażnieniem zmysłów. Bez słowa wziąłem kapelusz; opuściła z wolna suknie, ja zaś wyszedłem, składając głęboki ukłon.

Kobieta, Męczyzna,
Cierpienie, Strój, Flirt

ROZDZIAŁ VII

Wróciwszy do domu, zastałem na środku pokoju wielką drewnianą skrzynię. Ciotka umarła i na mnie przypadła część nieznacznego zresztą dziedzictwa. Skrzynia ta zawierała, prócz innych obojętnych przedmiotów, sporo starych, zakurzonych ksiązek. Nie wiedząc, co począć z sobą, żarty nudą, zabrałem się do czytania. Były to przeważnie romanse z epoki Ludwika XV; ciotka, osoba bardzo nabożna, odziedziczyła je prawdopodobnie sama i przechowała nie czytając; były to bowiem, można rzec, istne katechizmy rozpusty.

Posiadam osobliwą skłonność do zastanawiania się nad najdrobniejszymi wydarzeniami i nadawania im głębszego moralnego znaczenia; czynię z nich poniekąd niby ziarna różańca i staram się mimo woli nizać je na jedną nitkę.

Choćby się to miało wydać dziecinne z mej strony, przybycie tych ksiązek w okolicznościach, w jakich się znajdowałem, uderzyło mnie. Pochłonałem je z goryczą i smutkiem bez granic, ze złamanym sercem i z uśmiechem na ustach. „Tak, macie słusność — mówiłem — wy jedne znacie tajemnice życia; wy jedne ośmielacie się mówić, że nic nie istnieje poza rozpustą, obłudą i zepsuciem. Bądźcie mymi przyjaciółmi, przypalcie ranę mej duszy waszą żrącą trucizną; nauczcie mnie wierzyć w was”.

Książka, Zwątpienie, Słowo

Podczas gdy się tak zatapiałem w ciemnościach, ulubieni poeci i uczeni spoczywali rozsypani w kurzu. Deptałem ich nogami w przystępie gniewu: „A wy — mówiłem — obłądzeni marzyciele, którzy uczycie jeno cierpieć, nędzni kuglarze frazesów, szarlatani, jeśliście znali prawdę, głupcy, jeśliście byli szczyrzy, kłamcy w każdym wypadku, którzy kłecicie swoje baśnie kosztem ludzkiego serca, spałę was wszystkich aż do ostatniego!”

Wśród tego lzy przychodziły mi z pomocą; czułem iż jedyną prawdą jest moja boleść. „Dobrze więc! — krzychałem w obłądzeniu — powiedzcie mi, dobrzy i źli geniusze, dobrzy i źli doradcy, powiedzcie, co trzeba czynić! Wybierzcież rozjemcę z pośród siebie”.

Pochwyciłem starą Biblię i otwarłem na los szczęścia. „Odpowiedz ty, księgo boża — rzekłem — posłuchajmyż twego zdania”. Trafiłem na te słowa Eklezjasty, rozdział IX:

„Zaprawdę to wszystko uważałem w sercu swym, abym to wszystko objaśnił, że sprawiedliwi i mądrzy z sprawami swymi są w rękach Bożych, a iż ani miłości ani nienawiści nie zna człowiek ze wszystkich rzeczy, które są przed obliczem jego.

Wszystko się dzieje jednakowo wszystkim; jednoż przychodzi na sprawiedliwego i niezbożnego, na dobrego i na złego, na czystego i nieczystego, na ofiarującego i na tego, który nie ofiaruje; na dobrego i na grzesznego; na przysięgającego i na tego, co się przysięgi boi.

A toć jest najgorsza między wszystkim, co się dzieje pod słońcem, iż jednoż przychodzi na wszystkich; a owszem iż serce synów ludzkich pełne jest złego, a iż głupstwo trzyma się serca ich za żywota ich, a potem idą do umarłych”.

Zdumiałem się, przeczytawszy te słowa; nie spodziewałem się znaleźć podobnego uczucia w Biblii. „Tak więc — rzekłem — i ty także wątpisz, księgo nadziei!”

Co wyobrażają sobie tedy astronomowie, kiedy w oznaczonym punkcie, o danej godzinie, przepowiadają zjawienie komety, najbardziej kapryśnego z wędrowców niebieskich? Co przyrodnicy, kiedy pokazują przez szkiełko mikroskopu żyłką w kropli wody? Czy sądzą tedy, iż wymyślili to, co widzą i że ich mikroskopy i lunety narzucają prawa naturze? Co wyobrażał sobie tedy pierwszy prawodawca ludzki, kiedy, siłąc się położyć pierwszy kamień społecznej budowli, podrażniony zapewne przez jakiegoś niewczesnego gadułę, uderzył w tablice spiżowe i uczuł krzyczące w swych wnętrznościach prawo odwetu? Czyż tedy wymyślił sprawiedliwość? A ten, który pierwszy wydarł z ziemi owoc zasadzony przez sąsiada, ukrył go pod płaszczem i uciekł rozglądając się dokoła, czy on wynalazł wstyd? A ten, który, dopadłszy łupieżcą owocu swej pracy, pierwszy przebaczył mu winę i zamiast podnieść nań rękę rzekł: „Posiądź się i przyjm jeszcze to”; kiedy, oddawszy tak dobre za złe, podniósł głowę ku niebu i uczuł, jak serce mu drży i oczy wilżą się łzami, a kolana gną się do ziemi, czyż on wynalazł cnotę? O Boże! Boże! oto kobieta mówi o miłości i oszukuje mnie; oto mężczyzna mówi o przyjaźni i radzi mi szukać zapomnienia w rozpuście; oto druga kobieta płacze i na pociechę częstuje mnie swą łydką; oto Biblia mówi o Bogu i odpowiada: „Może wszystko to jest obojętne”.

Rzuciłem się ku otwartemu oknu. „Prawdaż to, żeś ty jest puste? — krzychałem, spoglądając na wielkie blade niebo, rozciągające się nad mą głową. — Odpowiedz, odpowiedz! Czy zanim umrę, dasz mi co innego niż majak w te oto ramiona?”

Głęboka cisza zalegała na placu pod oknami. Gdy tak stałem z wyciągniętymi ramionami i oczyma zgubionymi w przestrzeni, jaskółka wydała żalony krzyk; mimo woli pobiegłem za nią spojrzeniem; podczas gdy ginęła w przestworzu jak strzała, jakaś dziewczynka przeszła śpiewając.

ROZDZIAŁ VIII

Nie chciałem wszelako ustąpić. Nim bym doszedł do tego, aby wziąć życie ze strony uciśnionej, która mi się zdawała najbardziej posępną, postanowiłem wszystkiego próbować. W ten sposób na długo stałem się pastwą niezliczonych zgryzot i dręczących straszliwych snów.

Główną przeszkodą do wyleczenia była moja młodość. Gdziekolwiek byłem, czymkolwiek chciałem się zająć, mogłem myśleć tylko o kobietach; widok kobiety przyprawiał

Kondycja ludzka, Nauka,
Prawo, Sprawiedliwość,
Cnota

Bóg, Fałsz, Niebo,
Przestrzeń

Kobieta, Mężczyzna,
Młodość

mnie o drżeniu. Ileż razy zrywałem się w nocy zlany potem, przyklejając usta do ściany, dusząc się niemal!

Miałem to wielkie szczęście, może jedno z najrzadszych, iż oddałem miłości moje dziewictwo. Ale następstwem tego było, iż wszelka myśl o rozkoszy zmysłów zespałała się u mnie z pojęciem miłości; to było mą zgubą. Nie mogąc się bowiem wstrzymać od ustawicznego myślenia o kobietach, równocześnie obracałem w głowie wszystkie obrazy rozpusty, fałszu i zdrady niewieściej, które mnie prześladowały. Posiadać kobietę, znaczyło dla mnie *kochać*; owóż myślałem wciąż tylko o kobietach, a nie wierzyłem w możliwość prawdziwej miłości.

Wszystkie te cierpienia przeradzały się w jakąś głuchą wściekłość; to miałem ochotę iść w ślady mnichów i udręczać się, aby zwyciężyć zmysły; to miałem ochotę iść na ulicę, na wieś, sam nie wiem gdzie, rzucić się do stóp pierwszej spotkanej kobiety i przysiąc jej wieczną miłość.

Bóg mi świadkiem, że czyniłem wszystko, co mogłem, aby się rozerwać i uleczyć. Zrazu, przejęty tą mimowolną myślą, że społeczność ludzka jest jaskinią występków i obłudy, gdzie wszystko podobne jest do mej kochanki, postanowiłem odciąć się od świata i odosobnić zupełnie. Podjąłem dawne studia; rzuciłem się w historię, w starożytnych poetów, w anatomię. Mieszkał w tym samym domu, na czwartym piętrze, wielce uczony stary Niemiec, samotnik i odludek. Skłoniłem go nie bez trudu, aby mnie uczył po niemiecku; raz zrobiwszy początek, nieborak zapalił się do tego. Moje ustawiczne roztrągnięcie doprowadzało go do rozpaczki. Ileż razy, siedząc naprzeciw mnie, pod zakopconą lampą, przyglądał mi się z cierpliwym zdumieniem, z rękami skrzyżowanymi na książce, podczas gdy ja, zatopiony w marzeniach, nie spostrzegałem ani jego obecności ani współczucia.

— Mój dobry panie — rzekłem w końcu — jesteś pan najzacniejszym z ludzi, ale to darmo. Cóż za zadania pan się podjął! Zostaw mnie pan memu losowi; nic na to nie poradzimy obaj.

Nie wiem, czy mnie zrozumiał; uściśnął mi ręce bez słowa i już nie było mowy o nauce niemieckiego.

Uczulem rychło, iż samotność, zamiast mnie leczyć, szkodzi mi, i zmieniłem zupełnie system. Wyjeżdżałem na wieś, galopowałem po polach, polowałem; robiłem bronią aż do utraty tchu; zamordowywałem się znużeniem i kiedy po dniu znojów i gonitwy, pachnący kurzem i stajnią kładłem się wieczór do łóżka, zatapiałem głowę w poduszkę, zawijałem się w kołdrę i krzychałem: „Och, ty upiorze! czy i ty się zmęczyłeś? czy porzucisz mnie wreszcie tej nocy?”

Próżne wysiłki! Samotność wiodła mnie do natury, natura do miłości. W prosek-torium, wśród trupów, wycierając ręce o zakrwawiony fartuch, błady pośród umarłych, dławiąc się zaduchem zgnilizny, odwracałem się mimo woli: przed oczami bujały mi zielonejące łąny, balsamiczne łąki, harmonijna zaduma wieczoru. „Nie — powiadałem sobie — wiedza nie da mi pociechy; daremnie bym się zatapiał w tej martwej naturze, zamrę w niej sam niby siny topielec w skórze obłupionego jagnięcia. Nie wyleczę się z młodości; idźmyż żyć tam, gdzie jest życie lub umrzeć bodaj w słońcu”. Wybiegałem pędem, dosiadałem konia, zapuszczałem się w aleje Sèvres i Chaville, wyciągałem się na ukwieconej łące w jakiejś ustronnej dolinie. Niestety! lasy, łąki, wszystko wołało do mnie:

„Czego tu szukasz? Jesteśmy zielone, biedne dziecko, nosimy kolor nadziei”.

Wracałem do miasta; gubiłem się w mrocznych ulicach, spoglądałem w oświetlone okna, owe tajemnicze gniazda... Przejeżdżały powozy, ludzie potrącaли się. Och! cóż za samotność! cóż za smutek w dymie wznoszącym się z dachów! ile cierpienia w tych krętych ulicach, gdzie ludzie drepają, pracują i pocą się, gdzie tysiące nieznajomych ocierają się o siebie! O, ta kloaka, w której jedynie ciała obcują z sobą, dusze zaś pozostają samotne, i gdzie jedynie prostytutki, mijając, wyciągają do ciebie rękę! Zanurz się, zachłyśnij się zepsuciem! przestanieś cierpieć! Oto co miasto krzyczy do człowieka, co widzi się napisane na murach węglem, na bruku błotem, na twarzach wynaczynieniami krwi.

Nieraz, zaszyty gdzieś w salonie na uboczu, przyglądałem się świetnej zabawie, patrzył jak pląsają kobiety różowe, białe, niebieskie, z obnażonymi ramionami, w puklach włosów, niby cherubiny pijane światłem w kręgach harmonii i piękności: „Ha! co za ogród! — powiadałem sobie — tylko rwać, tylko oddychać! O, margerytki, margerytki, co po-

Mężczyzna, Kobieta,
Dziewictwo, Seks, Rozkosz,
Miłość

Kobieta, Zabawa, Otchłań

wie wasz ostatni listek temu, kto was oskubie! *Trochę, trochę, wcale*. Oto sens świata, oto cel waszych uśmiechów. Nad tą to smutną otchłanią powiewacie tak lekko gazami usianymi kwieciami; nad tą to ohydłą prawdą uganiacie jak sarenki na koniuzkach drobnych stópek”.

— Ech, Boże — mówił Desgenais — po cóż wszystko brać poważnie? To niesłychane rzeczy! Czy płaczesz nad każdą prózną butelką? Są beczki w piwnicach, a piwnic jest, chwała Bogu, dosyć. Sporządź sobie dobry haczyk złożony słodkimi słówkami, z apetyczną muszką na przynętę, i dalej! wylów sobie w rzece zapomnienia ładną pocieszycielkę, chłodną i gładką jak węgorz; zostanie ich dość jeszcze, skoro ta wyśliźnie ci się z palców. Kochaj, kochaj, masz wścieklą ochotę. Młodość musi się wyszumieć; gdybym był tobą, raczej bym wykrał królową portugalską, niżbym miał krajać nieboszczyków.

Oto rady, jakich musiałem słuchać przy każdej sposobności; wracałem do domu z obrzmiałym sercem, z twarzą zasloniętą płaszczem; klękałem przy łóżku i biedne serce dawało sobie folgę. Co za lzy! Co za pragnienia! Co za modlitwy! Galileusz tupał o ziemię, krzycząc: „A przecież się obraca!” Tak ja uderzałem się w serce.

ROZDZIAŁ IX

Naraz, pośród najczarniejszej zgryzoty, rozpacz, młodość i przypadek kazały mi spełnić czyn, który rozstrzygnął o moim losie.

Napisałem do kochanki, że nie chcę jej widzieć na oczy, dotrzymałem w istocie słowa, ale spędzałem noce pod jej domem, siedząc na ławce naprzeciw bramy; patrzałem w oświetlone okna, słyszałem dźwięk fortepianu, niekiedy widziałem ją niby cień poza rozchyłonymi firankami.

Pewnej nocy, kiedy siedziałem na ławce zanurzony w okropnym smutku, przeszedł, zataczając się, zapóźniony robotnik. Bełkotał jakieś słowa bez związku, przeplatane okrzykami radości; to znów zaczynał śpiewać. Był pijany; chwiejne nogi niosły go od jednego rysztołka do drugiego. Upadł na ławkę, znajdującą się koło sąsiedniego domu, tuż naprzeciw mnie. Kołysał się jakiś czas z głową wspartą na łokciach, po czym zasnął głęboko.

Ulica była pusta, suchy wiatr zamiętał kurz; wśród nieba bez chmurki księżyc oświetlał miejsce, gdzie spał ów człowiek. Znalazłem się tedy oko w oko z tym drągałem, który nie domyślał się mej obecności i spał na tym kamieniu rozkoszniej może niż we własnym łóżku.

Mimo mej woli człowiek ten oderwał mnie od mego cierpienia; wstałem, aby mu ustąpić miejsca, następnie wróciłem i znów usiadłem. Nie mogłem opuścić tej bramy, do której nie zapukałbym za żadne skarby świata; wreszcie pochodziwszy tam i z powrotem, zatrzymałem się machinalnie przed śpiącym.

„Cóż za sen! — mówiłem sobie. — Temu człowiekowi nic się nie śni, to pewne; w tej chwili żona jego otwiera może sąsiadowi drzwi od stryszku, na którym sypia. Odzież jego jest w łachmanach, lica zapadłe, ręce pomarszczone; znać, iż nieszczęśnik nie co dzień ma co do ust włożyć. Tysiąc trosk, zgryzot czeka go za przebudzeniem; ba, miał dziś wieczór talara w kieszeni, zaszedł do szynku, gdzie mu sprzedano zapomnienie bólów; zarobił w ciągu tygodnia tyle, aby kupić sobie noc snu, odkradł ją może z wieczerzy swoich dzieci. Obecnie kochanka może go zdradzić, przyjaciel może się wśliznąć jak złodziej do jego nory; ja sam mógłbym go bić po ramieniu i wołać, że go mordują, że dom jego stoi w ogniu; obróci się na drugi bok i zaśnie na nowo.

A ja, a ja! — ciągnąłem, przemierzając wielkimi krokami ulicę — ja nie śpię, ja, który mam w kieszeni dość, aby mu kupić snu na cały rok; jestem tak pyszny i tak szalony, iż nie mam odwagi wejść do szynkowni! Toć jeżeli wszyscy nieszczęśliwi tam wchodzą, to dlatego iż wychodzą stamtąd szczęśliwi. O Boże! rozgniecione pod stopami winne grono wystarcza, aby rozprószyć najczarniejsze troski i zerwać wszystkie niewidzialne nici, jakie duchy złego zastawiają nam na drodze. Płacemy jak kobiety, cierpimy jak męczennicy; zdaje się nam w naszej rozpacz, iż świat zawalił się nam nad głowę, i siadamy we łzach niby Adam u wrót Edenu. I ot, aby uleczyć ranę szerszą niż świat wystarczy uczynić mały ruch ręki i zwilżyć nieco wnętrzości. Cóż za nędza te nasze zgryzoty, skoro można je ukoić w ten sposób! Dziwimy się, iż Opatrzność, widząc je, nie zsyła aniołów, iżby spełnili nasze prośby; nie potrzebuje zadawać sobie tyle trudu; przejrzała wszystkie nasze męki,

Młodość, Wino, Miłość,
Kobieta, Mężczyzna

Serce

Pijaństwo, Alkohol,
Cierpienie, Wino

pragnienia, całą naszą dumę strąconych demonów i ocean zła, jaki nas otacza, i zadowolili się tym, aby zawiesić przy drodze mały czarny owoc. Skoro ten człowiek śpi tak smacznie na swojej ławce, czemuż i ja nie miałbym spać równie dobrze? Rywał spędza może noc u mej kochanki; wyjdzie o świcie; ona odprowadzi go wpół naga do drzwi, ujrzą mnie śpiącego. Pocałunki ich nie zbudzą mnie, któreś z nich trąci mnie w ramię, odwrócę się na drugi bok i zasnę na nowo”.

Za czym, pełen dzikiej radości, zacząłem szukać winiarni. Było po północy, wszystko prawie było zamknięte, wpadłem we wściekłość. „Cóż u kaduka, myślałem, nawet i ta pociecha ma mi być wzbroniona!” Biegałem tam i sam, tłukąc się do sklepów i wołając: „Wina! wina!”

Wreszcie znalazłem jakiś szynczek otwarty: zawołałem o butelkę i, nie zwracając uwagi na jakość napoju, wypróżniłem ją prawie duszkiem, potem drugą, potem trzecią. Traktowałem się jak chorego, piłem gwałtem, jakby chodziło o lekarstwo nakazane przez lekarza pod groźą utraty życia.

Niebawem opary mocnego trunku, który z pewnością nie był czysty, spowiły mnie mgłą. Ponieważ piłem szybko, pijaństwo owładnęło mną nagle; czułem, iż myśli mi się mącą, potem uspokajają, potem znów mącą. Świadomość zaczynała mnie z wolna opuszczać, wzniosłem oczy do nieba, jakby żegnając się z samym sobą, i skłoniłem się z łokciami na stole.

Wówczas dopiero spostrzegłem, że nie jestem sam. W drugim końcu sali znajdowało się kilka odrażających postaci o wynędzniałych twarzach i ochrypłych głosach. Sądząc ze stroju, nie byli oni z ludu, ani też z mieszczaństwa; należeli snadź do tej dwuznacznej klasy, najszpetniejszej ze wszystkich, która nie ma ani pozycji, ani majątku, ani nawet rzemiosła, chyba jakieś plugawe, która nie jest ani biedna ani bogata, a kojarzy wszystkie nędze i wszystkie przywary bogatych i biedaków.

Kłócili się wpół głośno nad zatłuszczonymi kartami; wśród nich siedziała dziewczyna, bardzo młoda i bardzo ładna, schludnie ubrana, niepodobna do nich niczym, chyba tylko głosem, który — przy różowej twarzyczce — był schryply i zmęczony jak u starej przekupki. Przyglądała mi się uważnie, jakby zdziwiona, że widzi mnie w tym szynku: byłem bowiem ubrany starannie, niemal wykwiłtnie. Pomału zbliżyła się; przechodząc koło mego stołu, podniosła znajdujące się na nim butelki i, widząc iż są próżne, uśmiechnęła się. Ujrzałem, iż ma przepyszne, lśniące białe zęby; ująłem ją za rękę i poprosiłem, by usiadła; usłuchała chętnie i kazała sobie podać wieszczkę.

Patrzałem na nią, nie mówiąc słowa; oczy miałem pełne łez; spostrzegła to i spytała o przyczynę. Ale nie mogłem mówić; potrząsałem głową, jakby chcąc dać obfitszy upust łzom, czułem bowiem, jak mi spływają po licach. Pojęła, że mam jakieś tajemne zmartwienie i nie starała się zgadywać; wyjęła chustkę i, wieszczając wesoło, ocierała mi od czasu do czasu twarz.

Było w tej dziewczynie coś tak okropnego i słodkiego, jakiś bezwstyd tak osobliwie skojarzony ze współczuciem, że nie wiedziałem, co myśleć. Gdyby mnie ujęła za rękę na ulicy, wzdrygnąłbym się; ale wydawało mi się tak dziwne, aby istota — mniejsza o to kto — której nigdy w życiu nie widziałem, usiadła bez słowa i wieszczała naprzeciw mnie ocierając mi łzy chustką, iż patrzałem w zdumieniu, oburzony i zachwycony zarazem. Słyszałem, iż szynkarz pyta jej, czy mnie zna; odpowiedziała twierdząco, prosząc, aby mnie zostawiono w spokoju. Niebawem gracze odeszli, szynkarz, zamknąwszy drzwi i okiennice, przeszedł do pokoju za sklepem, zostałem sam z dziewczyną.

Wszystko to stało się tak szybko, działałem pod wpływem tak dziwnego odruchu rozpaczy, iż zdawało mi się, że śnię; myśli moje szamotały się w jakimś labiryncie. Miałem uczucie, iż albo jestem szalony, albo też ulegam jakiejś nadprzyrodzonej mocy.

— Kto jesteś? — wykrzyknąłem nagle — czego chcesz ode mnie? skąd mnie znasz? kto ci kazał ocierać mi łzy? Czy to czynisz z rzemiosła, myślisz, że ja zechcę...? Nie tknę cię ani końcem palca. Co ty tu robisz? odpowiedz. Trzeba ci pieniędzy? Po czemu sprzedajesz litość, jaką mi okazujesz?

Wstałem i chciałem wyjść; ale czułem, że się zatacam. Oczy zaszyły mi mgłą, owładnęła mną śmiertelna niemoc, osunąłem się na ławkę.

Łzy

Kobieta "upadła",
Współczucie

— Niedobrze panu — rzekła, ujmując mnie pod ramię — pił pan jak istne dziecko, nie wiedząc, co pan robi. Niech pan tak zostanie i zaczeka, aż nadjedzie jaka dorożka; powie mi pan, gdzie mieszka pańska mama, i każe pana odwiedzić do domu, skoro naprawdę — dodała śmiejąc się — nie podobam się panu.

Podniosłem na nią oczy. Może omamało mnie pijaństwo; nie wiem, czy źle widziałem wprzód, czy też w tej chwili, ale spostrzegłem nagle w tej dziewczce jakieś nieszczęsne podobieństwo do mej kochanki. Wrażenie to zmroziło mnie lodem. Bywają chwile, iż jakby jakiś dreszcz chwytą człowieka za włosy; ludzie prości powiadają, że to śmierć zagląda w oczy, ale w moje zajrzała nie śmierć.

To była choroba wieku lub raczej była nią ta dziewczyna; ona to, z tą wybladłą i drwiącą twarzą, z tym ochryplem głosem, usiadła naprzeciw mnie w zaułku szynkowni.

ROZDZIAŁ X

Z chwilą gdy spostrzegłem, iż ta kobieta podobna jest do mej kochanki, okropna, nieodparta myśl chwyciła się mego chorego mózgu, i wykonałem ją natychmiast.

W początkach naszej miłości luba zachodziła niekiedy ukradkiem do mnie. Było to wielkie święto dla mojej izdebki; zjawiały się kwiaty, ogień płonął radośnie, przyrządzałem smaczną wieczerzę; łóżko również stroiło się weselnie na przyjęcie oblubienicy. Często, siedząc na kanapie pod lustrem, przyglądałem się jej w owej milczącej godzinie, kiedy serca nasze mówiły do siebie. Patrzałem na nią, jak, podobna do wróżki Mab, zmienia w raj ten samotny zakątek, w którym tyle razy płakałem. Była tu: pośród tych książek, rozrzuconej odzieży, okaleczonych sprzętów, wśród tych czterech ścian tak smutnych: jakże słodko jaśniała w tej całej nędzy!

Od czasu, jak ją straciłem, wspomnienia te prześladowały mnie bez ustanku i odbierały mi sen. Książki, ściany mówiły mi o niej: nie mogłem ich znieść. Łóżko moje wypędzało mnie na ulicę; czułem doń wstręt, o ile w nim nie płakałem.

Wziąłem tedy z sobą tę dziewczynę; kazałem jej usiąść plecami do mnie; rozdziałem ją do półnaga. Następnie urządziłem wszystko w pokoju tak, jak niegdyś dla mej lubej. Ustawiałem fotele tak, jak stały pewnego pamiętnego wieczora. Na ogół we wszystkich naszych myślach o szczęściu jest pewne wspomnienie, które przesłania resztę; dzień, godzina, która przewyższyła wszystkie inne lub bodaj stała się ich jakby typem i niezatar-tym wzorem; chwila, w której człowiek wykrzyknął jak Teodor w komedii Lope de Vega: „Fortuno, wbij złoty gwóźdź w swoje koło”.

Tak ustawivszy wszystko, rozpałem silny ogień i, usiadłszy w kuczki, zacząłem się upijać rozpaczą bez granic. Zstępowałem aż na dno serca; czułem, jak się skręca i ściska. Wśród tego nucilem w głowie tyrolską piosenkę, którą luba moja śpiewała bez ustanku:

*Altra volta gieri biele,
Blanch' e rossa com' un' fiore;
Ma ora nô. Non son piu biele,
Consumatis dal' amore²⁹.*

Słuchałem echa tej biednej piosnki, jak rozlegało się w pustkowiu mego serca. Mówiłem: „Oto szczęście ludzkie; oto mój raik; oto moja wróżka Mab; dziewczka uliczna. Kochanka moja nie więcej warta. Oto, co znajduje się na dnie szklanki, z której piło się nektar bogów, oto zewłok miłości”.

Dziewczyna, słysząc, iż śpiewam, zaczęła śpiewać również. Zbladłem jak trup; ten schryply i plugawy głos, wychodzący z istoty podobnej do mej kochanki, wydał mi się niby symbol wszystkiego, co się we mnie działo. To uosobiona rozpusta charczała jej w gardle, w rozkwicie młodości. Zdało mi się, że moja kochanka od czasu swej zdrady musi mieć taki głos. Przypomniałem sobie Fausta, który, tańcząc w Broken z młodą, nagą Czarownicą, widzi, jak jej wychodzi z ust czerwona mysz.

— Milcz! — krzyknąłem. Wstałem i podszedłem do niej; siadła z uśmiechem na łóżku, wyciągnąłem się obok niej niby własny posąg na mym grobowcu.

Proszę was, ludzie światowi, wy którzy, o tej porze, pędzicie za swymi uciechami na

²⁹*Altra volta (...) amore* — Niegdyś bylam piękna, biała i różowa jak kwiat, dziś już nie. Nie jestem już piękna, strawiła mnie miłość. [przypis tłumacza]

bal lub do Opery i którzy wieczór, kładąc się, odczytacie do poduszki jakieś zużyte bluźnierstwo starego Woltera, jakieś rozsądne bajdurzenie Pawła Ludwika Courier, jakąś rozprawę ekonomiczną komisji parlamentarnej, którzy, słowem, wdychacie swymi porami chłodne wyziewy tego potwornego nenufaru zwanego Rozumem; proszę was, jeśli ta skromna książeczka wpadnie wam w ręce, nie uśmiechajcie się ze szlachetną wzgardą, nie wzruszajcie nadto ramionami; nie mówcie sobie ze zbytnim przekonaniem, że ja się skarżę na cierpienie urojone; że, ostatecznie, rozum ludzki jest najpiękniejszą z naszych właściwości i że prawdą na tej ziemi są jedynie szacherki giełdowe, cztery tuzy w kartach, faszka Bordeaux przy stole, dobre trawienie, obojętność dla drugich, wieczorem zaś, w łóżku, lubieżne ciało obleczone pachnącą skórą.

Albowiem któregoś dnia wśród waszego zgnitego i gnuśnego życia może się zerwać huragan wichru. Opatrzność może wstrząsnąć te piękne drzewa, które podlewacie spokojnymi wodami rzeki zapomnienia; może was chwycić rozpacz, panowie Obojętni; toć są lzy w waszych oczach! Nie powiem, że kochanka może was zdradzić; to dla was mniejsze strapienie, niż kiedy koń wam zdechnie; ale powiem wam, iż można stracić na Giełdzie; że, kiedy ma się w karcie *wózek*, można spotkać się z wyższym; jeśli zaś nie gracie, pomyślcie, iż wasze dukaty, wasz brzęczący spokój, wasze złote i srebrne szczęście znajduje się u bankiera, który może zlikwidować lub w papierach, które mogą zlecieć na łeb; powiem wreszcie, iż, mimo że tak wystudzeni, możecie coś pokochać; może się odstroić jakaś struna w waszych piersiach i możecie wydać krzyk podobny do bólu. Pewnego dnia, wążając się po błotnistych ulicach, kiedy nie stanie wam już materialnych rozkoszy, aby zatrudnić waszą beczynną energię, kiedy zabraknie wam tego, co istotne i codzienne, może się wam przypadkiem zdarzyć, iż spojrzycie dokoła siebie z zapadłymi policzkami i osuniecie się na samotną ławkę o północy.

O ludzie z kamienia, szczytni egoiści, niezrównani rezonerzy, którzy nigdy nie popełniliście aktu rozpaczki ani też arytmetycznego błędu, jeśli wam się to kiedy zdarzy, przypomnijcie sobie w godzinie klęski Abelarda, kiedy stracił Heloizę. Kochał ją bowiem więcej niż wy swoje dukaty i swoje kochanki; stracił, rozłączając się z nią, więcej, niż wy straciecie kiedykolwiek; więcej niż sam wasz książę, Szatan, straciłby spadając powtórnie z niebios; kochał ją bowiem miłością, o której gazety nie wspominają i której żony wasze i córki nie znajdują na scenie ani w książkach; spędził pół życia, całując ją w czyste czoło, ucząc ją śpiewać psalmy Dawida i hymny Saula; miał tylko ją jedną na ziemi; a mimo to Bóg pocieszył go.

Wierście mi, kiedy w godzinie rozpaczki wspomnicie Abelarda, innym będziecie patrzeć okiem na miłe bluźnierstwo starego Woltera i bajdurzenia Courierowe; uczujecie, iż rozum ludzki może leczyć ze złudzeń, ale nie z cierpień; że Bóg uczynił naszą inteligencję dobrą gospodynią, ale nie siostrą miłosierdzia. Uznacie, iż, mówiąc: „Nie wierzę w nic, albowiem nic nie widzę”, serce człowieka nie rzekło swego ostatniego słowa. Zaczniecie szukać dokoła siebie jakiejś nadziei; spróbujecie wstrząsać bramy kościoła, aby się przekonać, czy chwieją się jeszcze, ale zastaniecie je zamurowane; zaczniecie myśleć o wstąpieniu do trapistów, los zaś, szydząc z was, rzuci wam butelkę taniego wina i ladacznice.

A jeśli wysącycie butelkę, jeśli skiniecie na ladacznice i zawiedzicie ją do łóża, wiedzcie, co może się zdarzyć.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ I

Zbudziwszy się nazajutrz, czułem tak głęboki wstręt do siebie, czułem się tak splugawiony, tak poniżony we własnych oczach, iż w pierwszej chwili owładnęła mną straszliwa pokusa. Wyskoczyłem z łóżka, kazałem dziewczynie ubrać się i iść sobie jak najprędzej; następnie usiadłem i, wodząc rozpaczynymi oczyma po ścianach, utkwilem je machinalnie w kącie, gdzie wisiały pistolety.

Wówczas nawet, kiedy udręczona myśl idzie, można rzec, z wyciągniętymi rękami ku zagładzie, kiedy dusza chwyta się straszliwej decyzji, jest, zdaje się, jakaś niezależna od woli materialna groza w fizycznym akcie odczepienia broni, narzędzenia jej; palce drżą, ramię sztywnieje. Człowiek idzie ku śmierci, ale cała natura w nim się cofa. Tak więc niepodobna mi wyrazić tego, czego doświadczałem, podczas gdy dziewczyna się ubierała; zdawało mi się jeno, że pistolet mówi: „Zastanów się”.

W istocie, nieraz później zastanawiałem się, co by się stało, gdyby, tak jak chciałem, dziewczyna ubrała się spieszenie i wyszła. Bez wątpienia pierwsze wrażenie wstydu byłoby się uśmierzyło; smutek nie jest rozpaczą. Bóg zaś zespolił ich jak dwóch braci, iżby jeden nie zostawiał nas sam na sam z drugim. Skoro raz ta kobieta znikłaby mi z oczu, ulżyłoby mi się w sercu. Zostaliby jedynie żal, któremu niebiański anioł przebaczenia zabronił kogokolwiek zabijać. Ale zarazem byłbym wyleczony na całe życie; rozpusta byłaby na zawsze wygnana z mego progu i nigdy bym się nie otrząsnął z uczucia grozy, jakim natchnęły mnie pierwsze jej odwiedziny.

Ale stało się inaczej. Walka, jaka toczyła się we mnie, gryzące refleksje, wstręt, obawa, gniew nawet (odczuwałem bowiem tysiąc rzeczy równocześnie), wszystkie te siły przygwoździły mnie do krzesła. Podczas gdy ja odchodziłem wręcz od zmysłów, dziewczyna, pochylona przed lustrem, myślała jedynie o sukni i kapeluszu i dopełniała stroju uśmiechając się najspokojniej w świecie. Mizdrzenie to trwało więcej niż kwadrans, w czasie którego niemal zapomniałem o niej. Upuściła jakiś przedmiot; obróciłem się zniecierpliwiony, prosząc, aby mnie zostawiła samego, z tak wyraźnym podrażnieniem, iż dokończyła toalety w jednej chwili i ujęła za klamkę, przesyłając mi pocałunek.

W tej chwili ktoś zadzwonił. Zerwałem się i zaledwie zdążyłem otworzyć jej drzwi od alkierza, gdzie się schroniła. Równocześnie prawie wszedł Desgenais w towarzystwie dwóch młodych ludzi.

Pewne wypadki w życiu podobne są do owych wielkich prądów, jakie spotyka się na pełnym morzu. Fatalność, traf, Opatrzność, cóż znaczy nazwa? Ci, którzy sądzą, iż zwalczają jedno z tych pojęć drugim, igrają jeno ze słowami. Każdy z tych ludzi wszelako, mówiąc o Cezarze lub Napoleonie, powie bez wahania: „To był człowiek *opatrnościowy*”. Uważają widocznie, że jedynie bohaterowie warci są, aby niebo się nimi zajmowało, i że kolor purpurowy przyciąga bogów jak byki.

Rola, jaką odrywają w świecie najmniejsze drobiazgi, zmiany, jakie najbłahsze na pozór przedmioty i okoliczności sprowadzają w naszych losach, oto, moim zdaniem, istna otchłań dla dumań ludzkich. Zwyczajne nasze czynności są niby stępione strzałki, które zwykliśmy wysyłać do celu; z sumy tych drobnych rezultatów czynimy oderwaną i regularną istotę, którą nazywamy rozsądkiem lub wolą. Przychodzi podmuch wiatru i oto najmniejsza z tych strzałek, najlżejsza, najbłahsza, wzbija się w przestworza, hen poza granice widnokregu, na bezkresne łono Boga.

Jakież szal ogarnia nas wówczas! W cóż się obraca majak spokojnej dumy, woli i rozważagi? W co nawet siła, ta pani świata, ten miecz człowieka w walce życia! Daremnie potrząsamy nim z gniewem, daremnie staramy się osłonić, aby uniknąć grożącego ciosu; niewidzialna ręka uchyla ostrze i cały nasz rozmach, zwichnięty w próżni, czyni jedynie tym cięższym nasz upadek.

Tak, w chwili gdy z całej duszy pragnąłem się obmyć z błędu, jaki popełniłem, być może nawet ukarać się zań, w tej samej chwili, w której owładał mną głęboki wstręt, czekała mnie niebezpieczna próba, w której uległem.

Desgenais promieniał; wyciągnąwszy się na sofie, rzucił parę konceptów na temat

Samobójstwo, Bronń

Kobieta, Mężczyzna, Seks,
Kobieta ”upadła”

Los, Bóg, Kondycja ludzka

Kobieta, Mężczyzna,
Kochanek, Obyczaję,
Plotka, Kobieta ”upadła”

mojej miny świadczącej, jak mówił, o niespokojnej nocy. Nie będąc usposobionym do żartów, poprosiłem sucho, aby mi ich oszczędził.

Udał, że nie zwraca uwagi; po czym w tym samym tonie, przeszedł do przedmiotu, który go sprowadzał. Przybył, aby mnie powiadomić, że moja dama miała naraz nie tylko dwóch, ale trzech kochanków, to znaczy, iż zadrwiła sobie z mego rywala na równi ze mną; spostrzegłszy to, nieborak narobił straszliwego hałasu, tak iż cały Paryż o tym tylko mówi. Słuchałem z roztargnieniem, zrazu nie bardzo rozumiejąc; skoro wreszcie, kazawszy sobie powtórzyć rzecz trzy razy z najdrobniejszymi szczegółami, ogarnąłem całkowicie tę straszną historię, stanąłem oghupiały i tak zdumiony, że nie wiedziałem co odpowiedzieć. W pierwszej chwili, miałem ochotę się śmiać, jasne mi było bowiem, że kochałem prostą ladacnicę; mimo to faktem było, że ją kochałem i, aby rzec lepiej, że ją kocham jeszcze. „Czy to możliwe?” powtarzałem tylko.

Towarzysze Desgenais'go potwierdzili wszystko. Kochanka moja, zdybana w swoim własnym domu między dwoma gachami, otrzymała od nich lekcję, którą cały Paryż podawał sobie z ust do ust. Stała się niemożliwa, trzeba jej było opuścić Paryż, o ile się nie chciała narazić na najokrutniejsze afronty.

Łatwo mi było spostrzec, że z wszystkich tych żarcików, niemała dawka śmieszności spływała na mój pojedynek o tę kobietę, na mą szaloną miłość dla niej i całe moje postępowanie. Głosząc, iż kobieta ta zasługuje na najohydniejsze imiona, że jest prostą ścierką, która robiła może rzeczy sto razy gorsze od tych, które wyszły na jaw, opinia dała mi gorzko odczuć, że byłem jeno prostym dudkiem jak tylu innych.

Wszystko to nie było mi przyjemne; młodzi ludzie spostrzegli to i pomiarkowali się rychło; ale Desgenais miał swój plan; postanowił uleczyć mnie z mej miłości i traktował ją bezlitośnie niby chorobę. Dawna, oparta na wzajemnych usługach przyjaźni, dawała mu pewne prawa; że zaś pobudka wydała mu się chwalebna, nie wahał się robić z tych praw użytku.

Nie tylko zatem nie oszczędzał mnie, ale, z chwilą gdy spostrzegł moje pomieszanie i wstyd, tym bardziej zaczął mi przypiekać. Niebawem podrażnienie moje stało się zbyt wyraźne, aby mógł iść dalej na tej drodze; wówczas, urwał i przerzucił się w milczenie, które stało się dla mnie jeszcze bardziej niecierpliwiące.

Chodząc po pokoju wzdłuż i wszerz, zacząłem go wypytywać. Wprzód nie mogłem znieść tego opowiadania; teraz pragnąłem, aby je podjął na nowo. Siłęm się to śmiać, to przybierać obojętną maskę, ale na próżno. Desgenais, przed chwilą najnieznośniejszy gaduła, zaniemiał zupełnie. Podczas gdy chodziłem wielkimi krokami, on patrzył obojętnie i pozwolił mi się miotać.

Nie umiałbym opisać, co się we mnie działo. Kobieta, która tak długo była bóstwem mego serca, której strata przyprawiła mnie o tyle cierpienie, jedyna, którą w życiu kochałem, ta, którą chciałem oplakiwać do śmierci, stała się nagle ladacnicą bez sromu, przedmiotem żarcików młodzieży, powszechnego zgorszenia i oburzenia! Zdało mi się, że czuję na barku odcisk rozżarzonego żelaza, że mnie nacechowano palącym piętnem.

Im więcej myślałem o tym, tym bardziej noc zagęszczała się dokoła mnie. Od czasu do czasu odwracałem się i widziałem lodowaty uśmiech oraz wlepione we mnie ciekawe spojrzenie. Desgenais nie opuszczał mnie; zdawał sobie sprawę z tego, co robi; znaliśmy się od dawna; wiedział, że jestem zdolny do wszelkich szaleństw i że gwałtowność mego charakteru może mnie pociągnąć poza wszelkie granice, na każdej drodze, wyjąwszy jedną. Oto dlaczego płwał na moje cierpienia, oto dlaczego przyżęgał mi serce.

Skoro mnie ujrzał wreszcie takim, jakim mnie pragnął, nie ociągał się z zadaniem ostatniego ciosu.

— Nie podoba ci się ta historyjka? — rzekł. — Oto więc na zakończenie najlepszy szczegół. Mianowicie, drogi Oktawie, scena u pani *** odbyła się pewnej nocy, gdy księżyc świecił bardzo pięknie; otóż gdy dwaj rywale brali się w najlepsze za lby u pięknej pani i skakali sobie do gardła, widziano ponoć na ulicy cień przechadzający się bardzo spokojnie, a tak podobny do ciebie, iż uznano, że to byłeś ty.

— Kto to powiadał? — zawołałem — kto mnie widział na ulicy?

— Twoja luba we własnej osobie; rozповіда to całemu światu równie wesoło, jak my opowiadamy tobie jej własną historię. Twierdzi, że jeszcze ją kochasz, że wystajesz

na czatach pod bramą, słowem... co ci się podoba; niech ci wystarczy wiedzieć, że mówi o tym publicznie.

Nie umiałem nigdy kłamać; za każdym razem, kiedy zdarzyło mi się sprzeniewierzyć prawdzie, twarz zdradziła mnie zawsze. Miłość własna, wstyd przyznania się do mej słabości wobec świadków, sprawiły, iż zdobyłem się na ten wysilek. „Faktem jest — mówiłem sobie zresztą — że byłem pod domem. Ale gdybym wiedział, że ta kobieta gorsza jest jeszcze niż przypuszczałem, nie byłbym tam z pewnością”. Wmówiłem w siebie wreszcie, iż nikt nie mógł mnie dojrzeć wyraźnie; próbowałem przeczyć. Rumieniec wystąpił mi na twarz z taką siłą, iż sam uczułem bezcelowość udania. Desgenais uśmiechnął się.

— Uważaj — rzekłem — uważaj, nie idźmy za daleko.

Biegałem po pokoju jak szalony, nie wiedziałem, kogo się czepić; należałoby się śmiać, a to było jeszcze bardziej niemożliwe. Zarazem niepodobna mi było wątpić o mej omyłce; przekonali mnie.

— Czyż ja wiedziałem? — wykrzyknąłem — czy wiedziałem, że ta nędznica...

Desgenais zacisnął wargi, jakby chciał powiedzieć: „Wiedziałeś dosyć”.

Urwałem, mamrocąc jakieś niedorzeczne frazesy. Krew kipiąca we mnie od kwadransa zaczynała mi walić w skroniach z siłą, za którą nie mogłem już ręczyć.

— Ja na ulicy, zalany łzami, w rozpaczy i równocześnie to spotkanie u niej! Jak to! tej samej nocy, sztychła ze mnie! ona sztychła! Doprawdy, Desgenais, tobie się nie majaczy? Czy to prawda? Czy to możliwe? skąd wiesz?

Tak gadałem na oślep, tracąc głowę; równocześnie ogarniał mnie coraz bardziej niepohamowany gniew. Usiadłem wreszcie wyczerpany, z drżącymi rękoma.

— Mój drogi — rzekł Desgenais — nie bierz rzeczy tak poważnie. To pustelnicze życie, jakie wiesz od dwóch miesięcy, bardzo ci zaszkodziło; widzę to, potrzebujesz rozrywki. Chodź dziś wieczór z nami na kolację, a jutro wyprawimy sobie śniadanie na wsi.

Ton, jakim przemawiał, sprawił mi większą przykrość niż wszystko inne. Czulem, że budzę w nim litość i że mnie traktuje jak dziecko.

Nieruchomy, przysiadłszy w kącie, czyniłem daremne wysiłki, aby nieco zapanować nad sobą. „Ha! — myślałem — zdradzony przez tę kobietę, zatruty okropnymi radami, nie znalazłszy nigdzie ucieczki, ani w pracy, ani w umęczeniu, kiedy w dwudziestu leciech jako jedyną tarczę przeciw rozpaczy i zepsuciu, posiadam świętą i przemożną boleść, o Boże! kruszą mi w rękach tę boleść, tę relikwię mego cierpienia! Bluźnią już nie mojej miłości, ale mej rozpaczy! Drwi! ona drwi, gdy ja płaczę!” To mi się, zdało nie do wiary. Wszystkie wspomnienia przeszłości napływały mi do serca, gdy o tym myślałem. Zdało mi się, iż widzę, jak kolejno wstają widma naszych miłosnych nocy; nachylały się nad przepaścią bez dna, wieczną, czarną jak nicość; nad głębiami zaś otchłani tańczył słodki i drwiący wybuch śmiechu: „Oto twoja nagroda!”

Gdyby mi powiedziano tylko że cały świat drwi ze mnie, odpowiedziałbym: „A niech sobie!” i nie obeszłoby mnie to zbyt; ale dowiedziono mi równocześnie, że moja kochanka była prostą bezecnicą. Tak więc z jednej strony, śmieszność moja była publiczna, jawna: dwaj świadkowie, którzy mnie widzieli, nie kryli z pewnością tego, w jakich to było okolicznościach; świat miał prawo sztychnąć; z drugiej zaś strony, co mogłem odpowiedzieć? czego się uczepić? gdzie się schronić? co czynić, skoro zabito mnie, zrujnowano, unicestwiono w centrum mego życia, w moim własnym sercu? Co mówię? skoro ta kobieta, dla której byłbym ścierpiał wszystko, śmieszność i hańbę, dla której zniósłbym górę cierpień walącą się na mnie; skoro ta kobieta, którą kochałem i która kochała innego, od której nie żądałem, aby mnie kochała, od której nie chciałem nic, prócz pozwolenia płakania u jej drzwi, nic prócz tego, aby mi wolno było poświęcić z dala od niej młodość moją jej wspomnieniu i wypisać jej imię, tylko jej imię na grobie mych nadziei!... Ha! kiedy myślałem o tym, zamierało coś we mnie; ta kobieta drwiła ze mnie; ona pierwsza pokazywała mi palcem; wydawała mi na łup tej próżniaczej ciźbie, temu pustemu i znudzonemu tłumowi, podśmiewającemu się ze wszystkich, którzy nim gardzą i zapominają o nim; to ona, to jej wargi, tylekroć sklezione z moimi, to ciało, ta dusza mego życia, moje ciało i moja krew, to stamtąd wyszła ta zniewaga; tak, ta ostatnia ze wszystkich, najpodlejsza i najbardziej gorzka, bezlitosny śmiech, który pluje w twarz boleści.

Kobieta, Męczyzna,
Miłość, Śmiech, Gniew,
Kobieta "upadła", Honor

Im bardziej zatapiałem się w myślach, tym bardziej rósł mój *gniew*. Czy można powiedzieć gniew? Nie wiem, jaką nazwę ma uczucie, które mną miotало. Tyle wiem, iż bezładne pragnienie zemsty wzięło w końcu górę. Jak zemścić się na kobiecie? Zapłaciłbym, co by kto chciał za broń, która by ją mogła dosięgnąć; ale jaka broń? Nie miałem żadnej, nawet tej, której ona użyła; nie mogłem odpowiedzieć jej językiem.

Nagle spostrzegłem cię za firanką na oszklonych drzwiach: to dziewczyna czekała w alkierzu.

Zapomniałem o niej.

— Słuchajcie! — wykrzyknąłem zrywając się w uniesieniu — kochałem, kochałem jak szaleniec, jak głupiec. Zasłużyłem na śmieszność, ile się wam tylko podoba. Ale, na honor! muszę wam pokazać coś, co wam dowiedzie, że nie jestem jeszcze tak głupi jak myślicie.

To mówiąc, kopnąłem w oszklone drzwi i pokazałem dziewczynę zaszytą w kąt.

— Wejdziesz — rzekłem do Desgenais'go — ty, który uważasz mnie za szaleńca dlatego, że kocham, i uznajesz jedynie dziewczki publiczne, widzisz oto swoją najwyższą mądrość rozłożoną tam na fotelu? Spytaj jej, czy całą noc spędziłem pod oknami pani ***; może coś o tym opowiedzieć! Ale to nie wszystko — dodałem. — Urządzenie dziś wieczór kolację, jutro pohulankę na wsi; jestem z wami, możecie być pewni, nie puszcę was bowiem. Nie rozstaniemy się, spędzimy dzień razem; znajdziecie tu floretty, karty, kości, poncz, co chcecie, ale nie puszcę was stąd. Wyście moi, jam wasz: ręka! Chciałem zrobić z mego serca mauzoleum miłości; ale wrzucę ją miłość do innego grobu, o Boże sprawiedliwy, gdybym go miał nawet wygrzebać we własnym sercu.

To rzekłszy, usiadłem, podczas gdy oni weszli do alkierza; uczułem, ile może dać rozkoszy wybuch wściekłości. A kto by się dziwił, iż od tego dnia zmieniłem zupełnie życie, ten nie zna ludzkiego serca: nie wie, że można się wahać dwadzieścia lat zanim się zrobi krok, ale nie można się cofnąć, skoro się go zrobiło.

ROZDZIAŁ II

Nauka rozpusty podobna jest do zawrotu głowy; znajduje się w niej zrazu jakąś grozę pomieszaną z rozkoszą, niby na wysokiej wieży. Podczas gdy haniebne i skryte wyuzdanie kała najszlachetniejszego człowieka, w otwartym i śmiałym rozpasaniu, w tym, co można nazwać jawną rozpustą, istnieje pewna wielkość, nawet przy największym skażeniu. Ten kto z zapadnięciem nocy idzie z twarzą zakutaną płaszczem brudzić incognito swoje życie i strząsać potajemnie całodzienną obłudę, podobny jest do Włocha, który uderza wroga z tyłu, nie śmiejąc wyzwąć go na pojedynek. Jest to niby morderstwo w odludnej ulicy, po nocy; podczas gdy w bohaterze szumnych orgii jest niemal coś z rycerza, coś, co trąci bitwą, pozór wspaniałej walki. „Wszyscy czynią to i kryją się; czynią, ale się nie kryją”. Tak mówi duma; i skoro raz wdzieje się ten pancerz, połyskuje w nim słońce.

Opowiadają, że Demokles widział nad głową miecz; podobnie rozpustnicy widzą jakoby nad sobą coś, co woła bez ustanku: „Naprzód, tylko naprzód, wiszę na nitce”. Owe pojazdy pełne masek, które się spotyka w karnawale, są wiernym obrazem ich życia. Rozhulana karoca otwarta na cztery wiatry, płonące pochodnie oświecające ubielone twarze; ci śmieją się, tamci śpiewają; wśród tego kłębi się coś niby kobiety: są to w istocie resztki kobiet z pozorami prawie ludzkimi. Pieszczą je, rzucają im w twarz obelgi; nikt nie wie, ani jak się zowią, ani czym są. Wszystko to buja i kołysze się przy blaskach żywicznych, w beztrosce pijaństwa, nad którym, powiadają, czuwa jakiś Bóg. Ktoś się nachyla, ktoś kogoś całuje; ktoś tam spadł w ścisku; co tam o to? jadą tędy, owędy, konie rwą z kopyta.

Ale o ile pierwszym uczuciem jest podziw, drugim jest groza, trzecim litość. Jest w istocie w tym życiu tyle siły, lub raczej tak osobliwe nadużycie siły, iż najszlachetniejsze charaktery i najbujniejsze natury często dają mu się porwać. Widzą w tym śmiałość i niebezpieczeństwo; dają w ten sposób upust własnej bujności; przywiązują się do rozpusty, jak Mazepę przywiązano do dzikiego rumaka; wiążą się do niej sznurami, czynią z siebie Centaurów; nie widzą ani krwawej drogi, jaką strzępy ich ciała znaczą na drzewach, ani wilczych ślepiów czerwieniących się w ich tropy, ani pustkowiec, ani kruków.

Pchnięty w owo życie okolicznościami, które przytoczyłem, opowiem obecnie co tam widziałem.

Miłość, Serce, Grób

Rozpacz, Zabawa, Upadek

Za pierwszym razem, kiedy ujrzałem z bliska owe sławne zabawy noszące miano *maskarad*, słyszałem opowiadki o wybrykach Regencji i o królowej francuskiej przebranej za dziewczynę sprzedającą fiołki. Znalazłem przekupki fiołków przebrane za markietanki. Spodziewałem się szału, ale go nie znalazłem. Kopcące lampy, bijatyka, pijane na umór dziewczki leżące pokotem na stłuczonych butelkach — to nie szał.

Zabawa, Nuda

Za pierwszym razem, kiedy widziałem rozpustę biesiad, słyszałem o ucztach Heliogabala i o filozofie greckim, który z rozkoszy zmysłów uczynił sobie rodzaj naturalnej religii. Spodziewałem się znaleźć, jeżeli nie radość, to bodaj zapomnienie; znalazłem, co może być w świecie najgorszego, nudę silącą się żyć i Anglików powiadających sobie: „Robię to i to: zatem, bawię się. Zapłaciłem tyle a tyle: zatem odczuwam tyle przyjemności”. I ścierają życie w tych żarnach.

Za pierwszym razem, kiedy ujrzałem kurtyzany, słyszałem o Aspazji, która, siedząc na kolanach Alcybiadesa, dysputowała z Sokratesem. Spodziewałem się czegoś swobodnego, zuchwałego, ale wesołego, iskrzącego się, żywego; czegoś niby piana szampańskiego wina; znalazłem głupawą twarz, martwe oko i drapieżne palce.

Za pierwszym razem, kiedy ujrzałem kurtyzany utytułowane, czytałem Boccaccia i Bandella; czytałem przede wszystkim Szekspira. Marzyłem o tych jurnych pięknościach, o tych piekielnych cherubinach, o tych niefrasobliwych artystkach życia, którym kawalerowie z Dekameronu podają wodę święconą przy wyjściu z kościoła. Szkicowałem po tysiąc razy te główki tak pełne lekkomyślnej poezji, tak pomysłowe w swym zuchwałstwie, umiejące zawrzeć cały romans w jednym spojrzeniu, poruszające się w życiu jedynie falą i wstrząśnieniem, niby płynne syreny. Wspominałem owe wróżki z *Nowych opowiadek*, wciąż zaproszone, o ile nie do szczytu pijane, miłością. Znalazłem bazgraczki sążnistych listów, amatorki miłości na godziny, umiejące jedynie kłamać i grzebać swoje trudy w swojej hipokryzji i mieszczać wszystko w tym, aby się oddawać i zapominać.

Kobieta "upadła", Słowo

Za pierwszym razem, kiedy wszedłem do domu gry, słyszałem o strumieniach złota, o fortunach zdobytych w kwadrans, o dworzaninie Henryka IV, który wygrał na jedną kartę sto tysięcy talarów, cenę swego ubrania. Ujrzałem szatnię, gdzie robotnicy mający ledwie jedną koszulę wypożyczają frak za franka na wieczór, żandarmów siedzących u drzwi i głodomorów grających o kawał chleba lub kulę w łeb.

Gra, Pieniądz

Za pierwszym razem, kiedy ujrzałem jakieś zebranie publiczne lub inne, dostępne dla którejś z trzydziestu tysięcy kobiet, które mają w Paryżu patent na sprzedawanie się, słyszałem o saturnaliach wszystkich wieków, o wszystkich możliwych orgiach, od Babilonu aż po Rzym, od świątyni Priapa aż po Parc-aux-Cerfs, i widziałem wciąż wypisane nad progiem jedno słowo; „Rozkosz”. Za naszych czasów ujrzałem też tylko jedno słowo: „Prostytucja”; niezatarte, wyrzyte nie w tym pysznym metalu, który nosi kolor słońca, ale w najbledszym ze wszystkich, tym który zimne światło nocy powlekło, zda się, swoimi promieniami — srebrze.

Lud, Zabawa, Tłum,
Pozycja społeczna

Za pierwszym razem kiedy ujrzałem lud... było to pewnego ohydneho ranka, w Popecie, w podług *la Courtille*. Przez całą noc padał drobny, lodowaty deszcz; ulice zmieniły się w kałużę. Powozy pełne masek jechały bezładnie, zawadzając o siebie, potrącając się, między dwoma szpalerami wstrętnego tłumu stojącego na chodnikach. Ta ściana posępnych widzów, długa na milę, miała w oczach nabiegłych winem tygrysią nienawiść. Mruczeli przez zęby, nie cofając się ani na krok przed kołami pojazdów, które ocierały się im o pierś. Stałem na siedzeniu w otwartym powozie; od czasu do czasu wychylał się ze szpaleru jakiś człowiek w lachmanach, rzygał nam w twarz strumieniem obelg, po czym obrzucał nas chmurą mąki. Od czasu do czasu, dostawało się nam i błotem; mimo to jechaliśmy wciąż dalej, dążąc do *Wyspy Miłości* i do owego ładnego lasku Roumainville, gdzie niegdyś wymieniało się na trawie tyle słodkich całusów. Jeden z naszych, siedzący na koźle, spadł, na łeb na szyję, na bruk. Motłoch rzucił się nań, aby go zatłuc: trzeba było biec z odsieczą. Trębacz, który jechał przed nami konno, dostał kamieniem w plecy: snadź mąki zabrakło. Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym.

Zaczyznałem rozumieć naszą epokę i pojmovać, w jakich czasach żyjemy.

ROZDZIAŁ III

Desgenais urządził u siebie na wsi bankiet młodzieży. Najlepsze wina, świetna kuchnia, gra, taniec, wyścigi, niczego nie brakło. Desgenais był bogaty i miał szeroką rękę³⁰. Łączył starodawną gościnność z dzisiejszym obyczajem. Poza tym miał w domu doskonałą bibliotekę, w rozmowie był swiatły i gładki. Człowiek ten był istną zagadką.

Przybyłem w pośępnym humorze, którego nic nie mogło przemóc; uszanował go najskrupulatniej. Nie odpowiadałem na jego pytania, przestał pytać: szło mu jedynie o to, abym zapomniał o mej kochance. Chodziłem na polowanie, przy stole dotrzymywałem placu nie gorzej od innych; nie żądał więcej.

Bywają w świecie ludzie tego typu, którzy, zacieklszy się w tym, aby komuś oddać usługę, rzuciliby nań bez wahania najcięższy kamień dla zabicia muchy, która go kąsa. Chodzi im jedynie o to, aby was sprowadzić na dobrą drogę: to znaczy, nie mają spokoju, póki was nie uczynią podobnymi sobie. Osiągnąwszy ten cel, mniejsza o to, w jaki sposób, zacierają ręce i nie przyjdzie im na myśl, że może wpadliście z deszczu pod rynnę; wszystko ze szczerej przyjaźni.

Jednym z wielkich nieszczęść niedoświadczonej młodości jest to, iż wyobraża sobie świat wedle pierwszych wrażeń, jakie ją uderzą; ale też istnieje, trzeba przyznać, rasa bardzo nieszczęśliwa: to ci, którzy w podobnym wypadku zawsze są gotowi powtarzać młodemu: „Masz słuszność, że wierzysz w zło; wiadomo, jak kręci się ten światek”. Słyszałem na przykład o takiej osobliwości: coś pośredniego pomiędzy dobrem a złem; rodzaj układu między kobietami bez serca a godnymi ich mężczyznami: nazywali to *przelotnym uczuciem*. Mówili o tym niby o machinie parowej wymyślonej przez inżyniera lub budowniczego. Objaśniali mnie: „Wszystko zasadza się na porozumieniu; wymawia się pewne zdania, które znów pociągają pewne odpowiedzi; pisze się listy w ten sposób, pada się na kolana znowuż w ten”. Wszystko było uregulowane niby parada wojskowa; a ci dobrzy ludzie mieli szpakowate włosy!

Rozśmieszyło mnie to. Nieszczęściem dla siebie, nie umiem kobiecie, którą gardzę, powiedzieć, że ją kocham, nawet wiedząc, że to konwencja i że ona nie weźmie tego inaczej. Nie zgąłem nigdy kolana, iżbym równocześnie i serca nie kładł jej pod stopy. Tak więc klasa kobiet, którym się daje miano *latwych*, jest mi nieznaną; lub, jeśli dałem się wciągnąć, to bez wiedzy i przez naiwność.

Rozumiem, iż można odłożyć duszę na bok, ale nie żeby jej pozwolić dotykać. Takie oświadczenie trąci dumą; być może; nie mam zamiaru ani się chełpić ani się obniżyć. Nienawidzę ponad wszystko kobiet, które śmieją się z miłości, i pozwalam im to odwzajemnić; nie przyjdzie nigdy między nami do zwady.

Te kobiety stoją o wiele poniżej kurtyzan: kurtyzany mogą kłamać i te kobiety także; ale kurtyzany mogą kochać, a te kobiety nie. Przypominam sobie kobietę, która mnie kochała i która mówiła do człowieka trzy razy bogatszego ode mnie, żyjąc z nim zresztą: „Nudzisz mnie, idę do mego kochanka.” Ta dziewczyna była lepsza od wielu innych, którym się nie płaci.

Spędziłem całe lato u Desgenais'go; wśród tego dowiedziałem się, że moja kochanka wyjechała i że porzuciła Francję; wiadomość ta wtrąciła serce moje w omdłość, która go już nie opuściła.

Na widok tego tak nowego dla mnie świata, który mnie otaczał, o władnęła mną zrazu dziwna, smutna i głęboka ciekawość; patrzałem na wszystko spode łba, niby narowisty koń. Oto pierwsza rzecz, która dała do tego sposobność.

Desgenais miał wówczas śliczną dziewczynę, która była doń bardzo przywiązana. Jednego wieczora przechadzając się w jego towarzystwie, zacząłem się nią zachwycać, sławiąc zarówno jej piękność jak oddanie. Słowem, wyśpiewałem z ogniem jej pochwałę, dając mu do zrozumienia, iż powinien się czuć szczęśliwy.

Nie odpowiedział nic. Taki miał już zwyczaj; był to jeden z najsuchszych ludzi. Zapadła noc, każdy udał się do siebie. Ledwie od kwadransa byłem w łóżku, kiedy usłyszałem pukanie. Krzyknąłem „proszę”, sądząc, iż to jakiś cierpiący na bezsenność towarzysz.

Przyjaźń, Mucha

Młodość, Obraz świata

Flirt, Gra

Kobieta, Kobieta "upadła",
Miłość, Pogarda, Pieniądz

Mężczyzna, Kobieta,
Przyjaźń, Dar, Łzy

³⁰ miał szeroką rękę — dziś popr.: mieć szeroki gest; być hojnym. [przypis edytorski]

Ujrzałem wchodzącą kobietę bledszą niż śmierć, wpólną, z bukietem w ręku. Podeszła i podała mi bukiet; widniał przy nim kawałek papieru, na którym wyczytałem tych kilka słów: „Oktawowi, przyjaciel jego Desgenais, z prośbą, w danym razie, o wzajemność”.

Kiedym czytał te słowa, błyskawica przeszła mi mózg. Zrozumiałem postępek Desgenais’go; przysłał mi w ten sposób swą kochankę i czynił mi z niej poniekąd podarek turecką modą na te kilka słów, które powiedziałem. Znając jego charakter, wiedziałem, że nie ma w tym ani udanej wspaniałomyślności ani deprawacji; była jedynie lekcja. Ta kobieta kochała go; zachwycam się nią przed nim: chciał mi dać naukę, abym się w niej nie zakochał, czy ją wezmę czy też odrzucę.

Zadumałem się; tymczasem biedna dziewczyna płakała, nie śmiejąc otrzeć łez z obawy, abym ich nie spostrzegł. Czym jej zagroził, aby ją skłonić do tej wizyty? Nie wiedziałem.

— Pani — rzekłem — niech się pani nie trapi. Proszę wrócić do siebie i niczego się nie obawiać.

Odparła, iż jeśli wyjdzie z mego pokoju przed nadejściem ranka, Desgenais odeśle ją do Paryża; że matka jej jest biedna i że niepodobna jej narazić się na to.

— Wybornie — rzekłem — matka twoja jest biedna, ty prawdopodobnie także, tak iż, gdybym zechciał, usłuchałabyś Desgenais’go. Jesteś ładna i mógłbym ulec pokusie. Ale ty płaczesz, że zaś twoje łzy nie są dla mnie, nic mi po reszcie. Idź do siebie; podejmuję się uzyskać, aby cię nie odesłano do Paryża.

Mam tę właściwość, iż medytacja, która u większości ludzi jest stałą i określoną właściwością umysłu, u mnie jest jedynie niezależnym od woli instynktem, który mnie chwytta napadowo niby gwałtowna namiętność. Nawiedza mnie okresami, wedle kaprysu, mimo mej chęci, bez względu na miejsce. Ale gdziekolwiek mnie chwyci, jestem bezbronny. Porywa mnie, gdzie sama zechce, i tą drogą, jaką się jej spodoba.

Skoro dziewczyna wyszła, usiadłem na łóżku.

„Mój przyjacielu — rzekłem do siebie — oto Opatrzność... Gdyby Desgenais nie był ci ofiarował swej kochanki, nie mylił się może w przypuszczeniu, że byłbyś się w niej zakochał.

Czyś się jej dobrze przyjrzał? Wzniosła i boska tajemnica spełniła się w łonie, które ją poczęło. Natura hoduje taką istotę najbardziej tkliwym macierzyńskim spojrzeniem; mimo to człowiek, który chce cię uleczyć, nie zawahał się pchnąć cię ku jej wargom, iżbyś się na nich odczył kochania.

Czemu się to dzieje? Inni podziwiali ją zapewne, ale nic im nie groziło; mogła na nich doświadczać wszystkich swoich uroków; dla ciebie jednego była niebezpieczna.

A jednak, jakie bądź jest jego życie, ten Desgenais musi mieć serce, skoro żyje. W czym różni się on od ciebie? To człowiek, który w nic nie wierzy, niczego się nie lęka, nie ma może żadnej troski ani zgryzoty; mimo to jasne jest, iż lekkie zakłucie w piętę napełniłoby go przerażeniem: gdyby bowiem ciało go opuściło, cóż by się z nim stało? Żywe jest w nim tylko ciało. Cóż to jest tedy za człowiek, który obchodzi się ze swą duszą tak jak biczownicą z ciałem? Czyż można żyć bez głowy?

Pomyśl. Oto człowiek jakiś trzyma w ramionach najpiękniejszą kobietę w świecie; jest młody i krewki; dziewczyna zdaje mu się piękną, mówi jej to, ona odpowiada słowami miłości. Na to, ktoś trąca go w ramię i rzece: »To ladacznica«. Nic więcej; jest pewien swego. Gdyby mu powiedziano: »To trucicielka«, kochałby ją może, nie ująłby jej ani jednego pocałunku; ale to dziewczka; z tą chwilą, wszelka myśl o miłości stała się dlań tak odległą jak Saturn od ziemi.

Cóż to jest tedy to słowo? słowo słuszne, zasłużone, jasne, hańbiące, zgoda. Ale ostatecznie, co? ot, słowo. Czy można zabić ciało słowem?

A jeśli ty kochasz to ciało? Nalewa ci ktoś szklankę wina i powiada: »To nic niewarte, można mieć cztery takie za sześć franków«. A jeśli tobie idzie do głowy?

Toć i Desgenais musi kochać tę dziewczynę, skoro ją oplaca; ma zatem jakiś osobliwszy sposób kochania? Nie, to nie miłość; tak samo nie jest zdolny kochać kobiety, która jest tego warta, jak i tej, która jest niegodna. Nie kocha nikogo, po prostu.

Któż go tedy uczynił takim? Czy takim się urodził, czy stał się nim z czasem? Kochać jest rzeczą równie przyrodzoną, co jeść albo pić. To nie jest człowiek. Pokurcz czy olbrzym? Jak to! zawsze pewny tego obojętnego ciała? Doprawdy, tak dalece, iż może

Kobieta, Kobieta "upadła",
Wino, Słowo

się rzucić bez niebezpieczeństwa w objęcia kochanej kobiety? Jak to! nie blednąc? Nigdy innej wymiany prócz złota i ciała? Cóż to za uczta tedy to jego życie i jakie trunki pija się w jego pucharach? Oto jest, w trzydziestu leciech, niby stary Mitrydates; trucizny żmij są mu niestraszne i poufale.

Jest w tym wielki sekret, moje dziecię; klucz, który trzeba by znaleźć. W jakikolwiek sposób bronilby ktoś rozpusty, może dowieść, iż jest naturalną przez dzień, przez godzinę, dziś wieczór, ale nie jutro, ale nie co dzień. Nie ma na świecie ludu, który by nie uważał kobiety albo za towarzyszkę i pociechę mężczyzny, albo za święte narzędzie jego życia, i który by jej pod tymi dwiema formami nie czcił. I oto uzbrojony rycerz skacze w przepaść, którą Bóg wykopał własnymi rękami między człowiekiem a zwierzęciem; toć to niemal to samo, co zaprzec się mowy. Cóż to za niemy Tytan, który ośmiela się dławić pod wyuzdaniem zmysłów ukochanie myśli i który wyciska na swoich wargach piętno zwierzęce, pieczęć wiekuistego milczenia?

Trzeba znać słowo tajemnicy. Pod tym wszystkim dmie wiatr owych posepnych lasów, które się zowią tajnymi stowarzyszeniami, jedna z tych tajemnic, które anioły zniszczenia szepcą sobie do ucha, skoro noc zstąpi na ziemię. Ten człowiek jest lepszy albo gorszy niż Bóg go stworzył. Trzewia jego są niby trzewia bezpłodnych kobiet lub też natura zaznaczyła je tylko, lub też wsączyło się w nie w mroku jakiegoś zatrute ziele.

Otóż, mój przyjacielu, ani praca, ani nauka nie mogły cię uleczyć. Zapomnieć i uczyć się, to twoje godło. Przewracałeś kartki martwych ksiąg; zbyt młody jesteś na zgłiszczą. Spójrz dokoła siebie, na bladą trzodę ludzką, która cię otacza. Pośród boskich hieroglifów, błyszczą oczy sfinksa; odcyfruj księgę życia! Odwagi, szkolarzu, rzuć się w Styks, rzekę chroniącą od ran, i niechaj jej żalobne fale niosą cię ku śmierci lub ku Bogu”.

ROZDZIAŁ IV

„Cała korzyść — przypuściwszy iż mogła być jaka — była w tym, iż one fałszywe rozkosze stały się zarodkiem cierpienia i goryczy, które mnie męczyły do niewytrzymania”. Te proste słowa powiada, mówiąc o swej młodości, najbardziej ludzki człowiek, jaki kiedykolwiek istniał, św. Augustyn. Z tych, którzy żyli jak on, niewiele powiedziałyby te słowa, ale wszyscy mają je w sercu; i ja w moim znajduję te, a nie inne.

Wróciwszy do Paryża w grudniu, spędziłem zimę na zabawach, maskaradach, kolarcjach, rzadko opuszczając Desgenais’go, który był mną zachwycony; ja natomiast zgola nie. Im dalej brnąłem, tym większy czułem niesmak. Miałem wrażenie, po upływie bardzo krótkiego czasu, że ten świat tak osobliwy, który na pierwszy rzut oka wydał mi się przepaścią, ścieśniał się z każdym krokiem; tam gdzie zdało mi się, że widzę upiora, w miarę jak się posuwałem, widziałem tylko cień.

Desgenais pytał, co mi jest. „A ty — odpowiadałem — co tobie jest? Czy przypomniałeś sobie jakiego zmarłego krewniaka? czy rana jaka otworzyła ci się pod wpływem wilgoci?” Zdawało mi się niekiedy, iż rozumie mnie, mimo iż nie odpowiada. Siadaliśmy do stołu, pijąc na umór; w nocy braliśmy pocztowe konie i jechaliśmy śniadać gdzieś na wsi o kilkanaście mil; za powrotem kąpiel, wieczerza, gra, łóżko; wówczas układając się do spoczynku... zasnuwałem rygle u drzwi, padałem na kolana i płakałem. Był to mój pacierz wieczorny.

Rzecz dziwna! Ambicją moją było uchodzić za to, czym w gruncie nie byłem ani trochę; chelpiłem się, iż żyję gorzej niż żyłem i znajdowałem w tej fanfaronadzie dziwną przyjemność zmieszaną ze smutkiem. Skoro w istocie robiłem to, co opowiadałem, odczuwałem jedynie nudę; ale kiedy zmyśliłem jakieś szaleństwo, na przykład dzieje jakiej hulanki lub opowieść o orgii, w której nie brałem udziału, zdawało mi się, że odczuwam w sercu jakieś zadowolenie, nie wiem czemu.

Najwięcej cierpiałem, kiedy w wesołej kompanii udawaliśmy się gdzieś w okolice Paryża, gdzie bywałem niegdyś z mą kochanką. Zapadałem w jakieś odrętwienie, szedłem sam na ubocze, spoglądając z goryczą bez granic na drzewa i krzaki; kopałem je nogą, jak gdyby chcąc je skruszyć w pył. Wracałem potem, mamrocąc raz po raz przez zęby: „Bóg mnie nienawidzi, Bóg mnie nienawidzi!” Trwałem potem godziny całe bez ruchu.

Ta złowroga myśl, że prawda to nagość, nawiedzała mnie bez ustanku. „Świat — powiadałem sobie — nazywa swoje bielidło cnotą, różaniec religią, swój fałdzisty płaszcz

Zabawa, Łzy, Modlitwa

Słowo, Kłamstwo, Zabawa,
Nuda

Obraz świata, Fałsz, Danse
macabre

obyczajnością. Honor i moralność to jego pokojówki; spija w winie lży ubogich duchem, którzy weń wierzą; przechadza się ze spuszczoneymi oczami, póki słońce jest na niebie; idzie do kościoła, na bal, między ludzi; skoro zaś zapadnie wieczór, rozwiązuje suknię i wówczas widzi się nagą bachantką z kozłimi nogami”.

Ale tak mówiąc, dozwalałem wstrętu do samego siebie; czułem bowiem, że jeśli pod ubraniem jest ciało, pod ciałem jest szkielet. „Czy podobna, aby to było wszystko?” pytałem mimo woli. Następnie wracałem do miasta, spotykałem po drodze ładną dziewczynkę, prowadzącą się z matką pod rękę, wiodłem za nią oczyma wzdychając i stawałem się z powrotem jak dziecko.

Mimo że utrzymywałem z przyjaciółmi codzienne stosunki i że ujęliśmy poniekąd w normę nasze wybryki, bywałem pomimo to i w świecie. Widok kobiet przyprawiał mnie zawsze o niezdolne wzruszenie; nie byłem zdolny dotknąć ich ręki bez drżenia. Poprzysiągłem sobie nie kochać już nigdy.

Pewnego wieczora wszelako, wróciłem z balu z sercem tak chorym, iż uczułem, że to miłość. Posadzono mnie przy wieczerzy obok jednej kobiety, najbardziej uroczej i wykwintnej, jaką widziałem w życiu. Skoro zamknąłem oczy, ujrzałem przed sobą jej obraz. Przeraziłem się; postanowiłem natychmiast nie spotykać jej już, unikać domów, gdzie wiedziałem, że bywa. Gorączka ta trwała dwa tygodnie, które spędziłem wciąż prawie leżąc na kanapie i przypominając sobie bez końca mimo woli każdy najdrobniejszy wyraz, jaki z nią wymieniałem.

Nie ma miejsca pod słońcem, gdzie by się ludzie zajmowali bardziej drugimi niż w Paryżu; rychło tedy znajomi moi, którzy mnie spotykali w towarzystwie Desgenais'go, orzekli, że jestem skończonym rozpustnikiem. Podziwiałem logikę świata: tak samo jak uchodziłem za dudka i fryca w epoce zerwania z kochanką, tak samo obecnie ogłoszono mnie człowiekiem nieczułym i bez serca. Ba! ludzie mówili mi wręcz, iż jasne jest, że nie kochałem nigdy tej kobiety, że traktuję oczywiście miłość jako zabawkę: mówiono to w formie wielkiej pochwały; najgorsze zaś jest, iż, nadęty nędzną próżnością, przyjmowałem to z zachwytem.

Ambicją moją było uchodzić za przeżytego wówczas, gdy byłem pełen pragnień i kiedy rozpalona wyobraźnia ponosiła mnie poza wszelkie granice. Mawiałem, iż kobiety są mi zupełnie niczym; wyczerpywałem się w chimerach, które rzekomo przekładałem nad rzeczywistość. Słowem, jedyną mą przyjemnością było wynaturzenie. Wystarczyło, aby myśl jakaś była niezwykła, aby się sprzeciwiała zdrowemu rozsądkowi, iżbym się natychmiast stał jej szermierzem, choćby mi przyszło paradować najbardziej nagannymi uczuciami.

Największą mą wadą było naśladowanie wszystkiego, co mnie uderzało nie pięknnością, ale dziwactwem; nie chcąc zaś przyznać się do naśladownictwa, rzucałem się w przesadę, aby się wydać oryginalnym. Nic mi nie było dobre ani nawet znośne; nic nie było warte trudu odwrócenia głowy; mimo to gdy się rozgrzałem w dyspacie, zdawałoby się, iż nie ma w języku francuskim dość napuszonych słów na pochwałę mego twierdzenia; wystarczyło jednak stanąć po mojej stronie, aby zgasić cały ten zapal.

Był to naturalny skutek mego życia. Tryb ten mierzył mnie, nie chciałem go wszelako zmienić:

*Simigliante a quella 'nferma
Che non puo trovar posa in su le fiume,
Ma con dar voltà, suo dolore scherma.*³¹

Dante.

Podobnie i ja dręczyłem mą duszę, aby ją omamić, i brnąłem we wszystkie przywary, aby wyjść z samego siebie.

Ale podczas gdy próżność moja zabawiała się w ten sposób, serce cierpiało; prawie stale był we mnie jeden człowiek, który się śmiał, a drugi, który płakał. Była to jakby nie-

³¹*Simigliante a quella inferna (...) suo dolore scherma.* (wł.) — Podobny człowiekowi choremu, który nad rzeką nie może znaleźć ukojenia, ale gdy dać mu czas, osłoni swój ból [wolne tłumaczenie; Red. WL]. [przypis edytorski]

Plotka, Miasto

Konflikt wewnętrzny

Konflikt wewnętrzny, Serce,
Rozum, Śmiech, Łzy,
Sobowtór

ustanna walka głowy z sercem. Własne drwiny sprawiały mi niekiedy dotkliwą przykrość, a najgłębsze zgryzoty pobudzały mnie do śmiechu.

Pewien człowiek chępnął się raz, iż nieprzystępny jest zabobonny lękom i nie boi się niczego. Przyjaciele włożyli mu do łóżka szkielet, następnie zaś zasadzili się w sąsiednim pokoju, aby podpatrzeć chwilę jego powrotu. Nie usłyszeli nic; ale nazajutrz rano, skoro weszli do pokoju, zastali go siedzącego na łóżku i bawiącego się kośćmi: postradał rozum.

Było we mnie coś z tego człowieka, z tą różnicą, iż moje ulubione kostki należały do ukochanego szkieletu; były to szczątki mej miłości, wszystko, co z przeszłości we mnie zostało.

Nie powiem wszelako, aby to szalone życie nie miało swoich dobrych chwil. Kompani Desgenais'go byli to młodzi ludzie, bardzo interesujący, w znacznej części artyści. Niekiedy pod pozorem orgii spędzaliśmy rozkoszne wieczory. Jeden z nich kochał się wówczas w pięknej śpiewaczce, która czarowała nas świeżym i melancholijnym głosem. Ileż razy zapamiętywaliśmy się, siedząc dokoła niej i słuchając, podczas gdy stół czekał nakryty! Ileż razy któryś z nas w chwili, gdy otwierano butelki, trzymał w ręku tom Lamartine'a i czytał wzruszonym głosem! Trzeba było widzieć wówczas, jak znikła wszelka inna myśl! Godziny uciekały tymczasem; i kiedy zasiadaliśmy do stołu, osobliwe, zaiste, były z nas hulaki! nie mówiliśmy ani słowa i mieliśmy łzy w oczach.

Desgenais zwłaszcza, zazwyczaj człowiek najbardziej zimny i suchy pod słońcem, był w te dni niesłychany; można by rzec poeta w szale liryzmu! Ale po takich wylewach ogarniała go znowuż wściekła wesołość. Z chwilą gdy wino go rozgrzało, thukł wszystko; geniusz zniszczenia wyskakiwał mu z głowy w pełnym rynsztunku. Pamiętam jak zupełnie już nieprzytomny ciskał krzesłem w zamknięte okno, czyniąc piekielny hałas.

Z ciekawością oddawałem się studiom nad tym dziwnym człowiekiem. Zdawał mi się wybitnym typem pewnej klasy ludzi, którzy muszą gdzieś istnieć, ale których nie znałem. Nie wiedziało się, patrząc na jego postępowanie, czy to rozpacz chorego, czy kaprysy zepsutego dziecka.

W dniu świątecznym zwłaszcza zdradzał stan nerwowego podniecenia, w którym zachowywał się jak istny student. Można było skonać ze śmiechu, patrząc na zimną krew z jaką spełniał swoje szaleństwa. Jednego dnia namówił mnie, abyśmy wyszli pieszo o zmierzchu, ustrojeni w dziwaczne kostiumy, w maskach, z jakimiś instrumentami muzycznymi. Przechadzaliśmy się w ten sposób całą noc, poważnie, pośród najokropniejszego zgiełku. Spotkaliśmy dorożkarza, który spał siedząc na koźle; odpręgliśmy konie, następnie, udając gości wracających z balu, zaczęliśmy nań wołać głośno. Woźnica zbudził się; za pierwszym uderzeniem bata, konie popędziły klusem, zostawiając go w osłupieniu na koźle. Tegoż samego wieczora zasłaliśmy na Pola Elizejskie; Desgenais, widząc przejeżdżającą inną dorożkę, zatrzymał ją zupełnie jak opryszek; przestraszył woźnicę groźbami i zmusił go, aby zszedł z koźla i położył się brzuchem na ziemi. Był to koncept, który można było przypłacić życiem. Otworzył wszelako powóz; ujrzelśmy wewnątrz młodego człowieka i damę zmartwiały z przerażenia. Desgenais szepnął mi, abym naśladował jego ruchy; za czym, otwarłszy oboje drzwiczek, zaczęliśmy wchodzić jednymi, a wychodzić drugimi, tak iż w karetce nieszczęśliwa para wyobrażała sobie całą procesję bandytów.

Sądzę, iż ludzie, którzy głoszą, że świat daje doświadczenie, muszą być bardzo zdumieni, że im się wierzy. Świat to jedynie mnóstwo *wirów* i nie ma żadnej styczności między tymi wirami; wszystko trzyma się gromadami jak stada ptaków. Nawet poszczególne dzielnice jednego miasta nie są podobne do siebie: mieszkaniec Chaussée d'Antin tyleż się może nauczyć na Marais co w Lizbonie. Prawdą jedynie jest, iż od czasu, jak świat istnieje, przez wiry te przewija się siedem osobistości, zawsze tych samych: pierwsza nazywa się nadzieja; druga sumienie; trzecia opinia; czwarta zawiść; piąta smutek; szósta duma; siódma zaś nazywa się człowiek.

Byliśmy tedy, towarzysze moi i ja, niby stado ptaków i trzymaliśmy się razem do wiosny, to igrając, to lecąc...

„Ale — powie czytelnik — wśród tego życia, co za kobiety miałeś? Nie widzę tu rozpuszty ucieleśnionej”.

O istoty, które nosiłyście miano kobiet, przeszłyście jak sen przez życie, które samo było tylko snem, cóż o was powiem? Tam, gdzie nie było nigdy cienia nadziei, czy może

Zabobony, Szaleństwo,
Miłość

Zabawa, Sztuka

Zabawa

Obraz świata, Kondycja
ludzka

Kobieta, Wspomnienia

być wspomnienie? Gdzież was mam szukać? Cóż jest w pamięci ludzkiej bardziej niemego, cóż bardziej zapomnianego od was?

Skoro mam mówić o kobietach, wymienię dwie; oto jedna:

Pytam was, co ma czynić biedna szwaczka, młoda i ładna, mająca osiemnaście lat, a tym samym pragnienia? Na ladzie ma powieść, w której jest mowa tylko o miłości; nie ma żadnego wykształcenia, żadnych pojęć moralnych; wiecznie szyje przy oknie, pod którym wskutek zakazu policji nie przechodzą już procesje, ale pod którym krąży co wieczór tuzin patentowanych dziewczyn uznanych przez tęż policję. Co ma czynić, powiedzcie, kiedy, zmęczony rękę i oczy całodzienną pracą nad suknią albo kapeluszem, oprze się przez chwilę o okno z zapadnięciem wieczoru? Ta suknia, którą uszyła, kapelusz, który ubrała swymi biednymi i uczciwymi rękami, aby nakarmić rodzinę, stroją oto głowę i ciało publicznej dziewczyny. Trzydzieści razy w ciągu dnia najęty powóz zatrzymuje się u drzwi magazynu i wysiada zeń prostytutka opatrzona numerem jak ta dorożka, która ją nosi; wchodzi, z lekceważącą miną mizdrzy się przed lustrem, przymierza, zdejmuje i wkłada po dziesięć razy to smutne i cierpliwe dzieło jej niedospanych nocy. Widzi, jak ta dziewczyna wyjmuje z kieszeni kilka sztuk złota, ona, która ma jedną na tydzień; ogląda ją od stóp do głów, mierzy oczyma jej strój, przeprowadza ją do powozu; a potem, cóż chcecie? w ciemną noc jednego wieczora, gdy nie ma roboty, kiedy matka jest chora, uchyla drzwi, wyciąga rękę i zaczepia przechodnia.

Oto historia pewnej znanej mi dziewczyny. Umiała trochę grać na fortepianie, trochę rachować, trochę rysować, nawet trochę historii i gramatyki, wszystkiego po troszku. Ileż razy przyglądałem się z przejmującym współczuciem temu smutnemu szkicowi natury, okaleczonemu jeszcze przez społeczeństwo! Ileż razy śledziłem w tej głębokiej nocy blade i chwiejne błyski cierpiącej i poronionej iskierki! Ileż razy sililem się rozniecić kilka zgasłych węgielków pod tym biednym popiołem! Długie jej włosy były istotnie koloru popiołu, nazywaliśmy ją Kopciuszką.

Nie byłem dość bogaty, aby ją dać kształcić; za moim wpływem zainteresował się nią Desgenais; kazał ją ćwiczyć we wszystkich talentach, których posiadała zarodki. Ale niepodobna było uzyskać wyraźnych postępów; skoro nauczyciel odszedł, zakładała ręce i siedziała tak przez całe godziny, wyglądając oknem. Cóż za dni! co za nędza! Zagroziłem jej raz, że jeżeli nie zechce pracować, zostawię ją bez pieniędzy; wzięła się w milczeniu do roboty; niebawem dowiedziałem się, że wychodzi po kryjomu. Dokąd? Bóg to wie. Zanim odeszła, prosiłem, aby mi wyhaftowała sakiewkę; zachowałem długo tę smutną relikwię; wisiała w moim pokoju jako jedna z najsmutniejszych pamiątek wszystkiego co tu, na ziemi, istnieje i ginie.

A oto druga.

Około dziesiątej wieczór, po zgiekliwym i wyczerpującym dniu, udaliśmy się do Desgenais'go, który wyprzedził nas o kilka godzin, aby dopełnić przygotowań. Skorośmy przybyli, orkiestra różnęła już od ucha i salon był pełny.

Większość kobiet stanowiły podrzędne aktorki; wytłumaczono mi, dlaczego więcej są warte od innych: bo wszyscy dobijają się o nie.

Natychmiast rzuciłem się w wir walca. Zawsze przepadałem za tym rozkosznym w istocie tańcem; nie znam nic szlachetniejszego, nic godniejszego pięknej kobiety i młodego chłopca; w porównaniu do walca wszystkie tańce są jedynie mdlą gimnastyką lub też pozorem do najbardziej czczych rozmówek. Wszak to jest poniekąd prawdziwe posiadanie kobiety: trzymać ją pół godziny w ramionach, unosić ją, drżącą mimo woli i nie bez przyczyny, w ten sposób, iż trudno określić, czy się ją ochrania, czy się ją gwałci. Niektóre poddają się wówczas z tak rozkosznym zawstyżeniem, z tak słodką i czystą ufnością, iż sami nie wiemy, czy to, czego się doświadczają przy nich, jest pragnieniem czy lękiem i czy, przyciskając je do serca, chciałoby się zemdleć lub złamać je jak trzcinę. Niemcy, gdzie wynaleziono ten taniec, są z pewnością krajem miłości.

Trzymałem w ramionach wspaniałą tancerkę włoskiego teatru przybyłą do Paryża na karnawał; była w stroju bachantki, w sukni ze skóry pantery. Nigdy nie widziałem nic równie lubieżnego jak ta istota. Była wysoka i szczupła; walcząc z nadzwyczajną chyżością, robiła wrażenie, że się wleczę; patrząc na nią, rzekłoby się, że musi ciężyc tancerzowi, tymczasem nie czuło się jej, biegła niby czarem.

Kobieta, Bieda, Strój,
Kobieta "upadła", Miłość

Taniec, Kobieta, Mężczyzna

Kobieta, Mężczyzna,
Taniec, Ciało

Miała na piersiach olbrzymi bukiet, którego zapach upajał mnie mimo mej woli. Za najlżejszym drgnieniem ramienia czułem ją, jak gnije się niby liany Indiołów, tak słodko i sympatycznie miękka, iż spowijała mnie niby zasłoną pachnącego jedwabiu. Za każdym obrotem słychać było leciuchny szelest naszyjnika o metalowy pasek; poruszała się tak bosko, iż zdawało mi się, że widzę piękną gwiazdę; a to wszystko z uśmiechem wróżki gotowej ulecieć. Czuła i rozkoszna melodia walca zdawała się wypływać z jej warg, podczas gdy głowa, obciążona lasem czarnych włosów splecionych w warkocze, chyliła się w tył, jakby szyja za słaba była, aby ją udźwignąć.

Skoro walc się skończył, rzuciłem się w buduarze na krzesło; serce mi biło, byłem nieprzytomny. „O Boże — wykrzyknąłem — jak to możliwe? O potworze wspaniały! o cudny płazi! jak ty się oplatasz, jak falujesz, słodka żmijo o gibkiej i cętkowanej skórze! Jak krewniak twój, wąż, nauczył cię owijać się dokoła drzewa życia, z jabłkiem w ustach. O Meluzyno! o Meluzyno! serca męskie należą do ciebie. Wiesz dobrze o tym, czarodziejko, mimo tej miękkiej omdłości, która wygląda, jakby się jej o tym nie śniło! Wiesz dobrze, że gubisz, wiesz dobrze, że topisz, wiesz dobrze, że będzie cierpiał, kto cię dotknie; wiesz dobrze, że umiera się od twoich uśmiechów, od woni twoich kwiatów, od muśnięcia twego czaru: oto dlaczego się poddajesz tak miękko, oto dlaczego twój uśmiech jest tak słodki, kwiaty tak świeże; oto dlaczego wspierasz tak łagodnie twoje ramię na naszym ramieniu. O Boże! o Boże! czegoż ty więc chcesz od nas?”

Profesor Hallé rzekł straszne słowo: „Kobieta jest nerwową częścią ludzkości, mężczyzna jej częścią mięśniową”. Sam Humboldt, ów poważny mędrzec, powiedział, że dokoła nerwów ludzkich istnieje niewidzialna atmosfera. Nie mówię o marzycielach, którzy idą za okrężnym lotem nietoperzy Spalanzanego i myślą, że znaleźli szósty zmysł w naturze. Tajemnice tej natury, która nas stwarza, drwi z nas i nas zabija, takiej jak jest, dość są straszliwe, potęgi jej dość głębokie, aby było jeszcze potrzeba zagęszczać otaczające nas ciemności. Ale któryż człowiek może sądzić, że żył, jeśli przeczy potędze kobiet? jeśli nigdy nie drżały mu ręce, w których trzymał kibić pięknej tancerki? jeśli nigdy nie odczuł tego nieujętego czegoś, tego drażniącego magnetyzmu, który w pełni balu, wśród zgłębku instrumentów, wśród upału, od którego bledną świeczniki, wydziela się z młodej kobiety, elektryzuje ją samą i unosi się dokoła niej niby zapach aloesu nad kadzielnicą kołyszącą się na wietrze?

Trwałem w głębokim zdumieniu. Że podobne upojenie istnieje, kiedy się kocha, wiedziałem; wiedziałem, co to jest ta aureola, którą promieniuje ukochana. Ale żeby można wzniecać takie bicie serca, wywoływać podobne wizje jedynie swą pięknnością, kwiatami i cętkowaną skórą dzikiego zwierzęcia, pewnymi ruchami, pewnym sposobem obracania się w kółko wyuczonym od jakiegoś pajaca, zarysem pięknego ramienia; i to bez słowa, bez myśli, nie racząc zdradzić, iż się wie o tym! Czymże był tedy chaos, jeśli to jest dzieło siedmiu dni?

To co odczuwałem, to nie była wszelako miłość; nie mogę rzec inaczej, tylko że było to pragnienie w tym znaczeniu, jakby mi się *chciało pić*. Po raz pierwszy w życiu czułem, jak w mej istocie drga struna obca memu sercu. Na widok tego pięknego zwierzęcia zaryczyła drugie zwierzę w moich trzewiach. Czułem dobrze, że nie powiedziałbym tej kobiecie, że ją kocham, ani że mi się podoba, ani nawet że jest ładna; nie było na moich ustach nic prócz ochoty ucałowania jej ust, powiedzenia jej: „Opleć mnie tymi niedbalymi ramionami; oprzyj o mnie tę pochyloną głowę; przylgnij do moich ust tym słodkim uśmiechem”. Moje ciało kochało jej ciało; byłem zamroczony jej pięknnością niby winem.

Desgenais, przechodząc, zapytał co mi jest.

— Kto jest ta kobieta? — spytałem. Odparł:

— Co za kobieta? o kim mówisz?

Wziąłem go pod ramię i zawiodłem do sali. Włoszka dostrzegła nas z daleka. Uśmiechnęła się; uczyniłem krok wstecz.

— A, a — rzekł Desgenais — tańczyłeś z Marko?

— Któż to jest ta Marko? — spytałem.

— Ot, ta szelmeczka, która tam się śmieje; podoba ci się?

— Nie — odparłem — przetańczyłem z nią walca i chciałem wiedzieć jej imię; zresztą nie widzę w niej nic osobliwego.

Mówiłem tak przez wstyd, ale zaledwie Desgenais odszedł, pobiegłem za nim.

Kobieta, Mężczyzna

Kobieta

Ciało, Pożądanie, Miłość,
Zwierzę, Piękno

— Bardzoś nagły! — rzekł śmiejąc się — Marko to nie jest zwyczajna dziewczyna; żyje z nią — prawie po małżeńsku — pan de***, ambasador w Mediolanie. Jeden z jego przyjaciół przyprowadził ją do mnie. Ale — dodał — licz na mnie: pomówię z nią; nie damy ci zginąć, chyba że nie będzie innej rady. Może się da uzyskać, aby została na wieczerzy.

Z tym odszedł. Nie umiałbym wyrazić niepokoju, jaki uczułem, widząc, iż zbliża się ku niej; ale nie mogłem podsunąć się do nich, zginęli w tłumie.

„Więc to prawda? — mówiłem sobie — do tego doszedłem? Jak to! w jednej chwili? O Boże! czyżby to była istota, którą mam pokochać? Ale ostatecznie — myślałem — to tylko zmysły; serce nie ma w tym żadnego udziału”.

W ten sposób sililem się uspokoić. W chwilę później Desgenais uderzył mnie po ramieniu.

— Za chwilę wieczerza — rzekł — poprowadzisz Marko; wie, że ci się podobała i tak już ułożone.

— Słuchaj — rzekłem — nie wiem, co się ze mną dzieje. Mam uczucie, że jestem Wulkanem kuternogą, który z zadymioną brodą, w kuźni swej okrywa Wenus pocałunkami. Wpija oszalone oczy w jędrną skórę swej ofiary. Skupia się w widoku tej kobiety, swego jedyne go skarbu; sili się na śmiech radości, udaje, że drży ze szczęścia, równocześnie zaś pamięta o ojcu swym Jowiszu, siedzącym na wysokości niebios.

Desgenais popatrzył na mnie bez odpowiedzi; ujął mnie za ramię i pociągnął z sobą.

— Zmęczony jestem — rzekł — smutny jestem; ten zgiełk mnie zabija. Chodźmy wieczerzać, to nas skrzepi.

Kolacja była wspianiała, ale ja się tylko przyglądałem. Nie mogłem tknąć niczego, wargi miałem jak zastygłe. „Co panu?” — pytała Marko. Ale ja siedziałem jak posąg i przyglądałem się jej od stóp do głów w niemym zdumieniu.

Zaczęła się śmiać, Desgenais, który przyglądał się nam z daleka, także. Stał przed nią wielki kryształowy puchar, który odbijał tysiącem lśniących powierzchni blask świeczników i mienił się jak pryzmat siedmioma kolorami tęczy. Wyciągnęła niedbale ramię i napełniła go po brzegi złocistym cypryjskim winem, tym słodkim winem Wschodu, które zdało mi się tak gorzkie na opustoszałym wybrzeżu na Lido.

— Masz — rzekła, podając mi — *per voi, bambino mio*³².

— Dla ciebie i dla mnie — odparłem, podając jej z kolei puchar. Umoczyła usta i wychyliłem go ze smutkiem, który zdawała się czytać w mych oczach.

— Niedobre? — rzekła.

— Nie — odparłem.

— Czy pana głowa boli?

— Nie.

— Czy pan zmęczony?

— Nie.

— Aha! zatem miłość?

Podczas gdy tak mówiła w swoim narzeczu, oczy jej spoważniały. Wiedziałem, że jest z Neapolu, i że mimo woli, kiedy mówiła o miłości, Włochy tętniły w jej sercu.

Szaleństwo rosło. Trunek uderzał do głowy, trącano się szklankami; już na najbledsze lica występowała ta lekka purpura, jaką wino ubarwia twarze, jakby broniąc przystępu rumieńcowi wstydu; zmieszany gwar, podobny przypływowi morza, szemrał jakby falą; tu i ówdzie spojrzenia rozplomieniały się, po czym nagle martwiały i zapadały w tępotę; jakiś wiatr popychał wszystkie te mętne pijaństwa ku sobie. Kobieta jakaś podniosła się, niby na morzu jeszcze spokojnym pierwsza fala, która czuje burzę i wzdyma się, aby ją oznajmić; ręką nakazała milczenie, wypróżniła duszkiem szklankę: od szybkiego ruchu rozplotły się jej włosy; złocisty płaszcz spłynął jej na ramiona; otworzyła usta, aby zaintonować bachancką piosenkę, oczy miała na wpół przymknięte. Oddychała z wysiłkiem; parę razy chrapliwy dźwięk wyszedł z jej zdławionej piersi; śmiertelna bladość okryła ją nagle, opadła z powrotem na krzesło.

³²*per voi, bambino mio* (wł.) — dla ciebie, moje dziecko. [przypis edytorski]

Wówczas rozpoczął się zgiewk, który aż do końca wieczery — godzinę przeszło — nie ustał ani na chwilę. Niepodobna było nic rozróżnić, ani śmiechów, ani śpiewu, ani nawet krzyków.

— Cóż ty na to? — spytał Desgenais.

— Nic — odparłem — zatykam uszy i patrzę.

Pośród tej bachanalii piękna Marko siedziała niema, nie pijąc, wsparta spokojnie na swym nagim ramieniu, pogrążona w leniwej zadumie. Nie wydawała się zdziwiona ani wzruszona.

— Czy nie chce pani iść w nasze ślady? — spytałem — ofiarowałaś mi przed chwilą cypryjskiego wina; czy nie chcesz i sama skosztować?

Mówiąc to, napełniłem po brzeg duży kieliszek; podniosła go wolno, wypila duszkiem, następnie postawiła na stole i znowu stała się jakby nieobecna.

Im bardziej przyglądałem się tej Marko, tym bardziej zdała mi się dziwną; nic nie bawiło jej, ale nic też nie nudziło. Równie trudne zdawało się pogniewać ją, co zrobić jej przyjemność; robiła to, o co się ją prosiło, ale nic z własnego popędu. Wyobraziłem sobie geniusza wiekiustego spoczynku i myślałem, że gdyby ten blady posąg nabrał somnambulicznej zdolności ruchu, byłby podobny do Marko.

— Czy jesteś dobra czy zła? — mówiłem — smutna czy wesoła? Czy kocha cię kto? Czy chcesz, aby cię kochano? Czy lubisz pieniądze, rozkosz, mów! konie, wieś, bale? Czym żyjesz? o czym marzysz?

I na wszystkie te pytania, ten sam uśmiech, uśmiech bez radości i bez smutku, który mówił: „Cóż mi to...?” — i nic więcej.

Zbliżyłem usta do jej ust; dała mi pocałunek roztargniony i niedbały jak ona sama, następnie podniosła chusteczkę do ust.

— Marko — rzekłem — biada temu, kto by cię pokochał!

Opuściła na mnie czarne oczy, następnie zwróciła je do nieba i, podnosząc palec owym gestem Włoszki niepodobnym do naśladowania, rzekła łagodnie wielkie kobiece słowo swej ojczyzny: *Forse*³³!

Podano deser; wielu biesiadników wstało; jedni palili, drudzy siedli do gry, część została przy stole; kobiety tańczyły, inne drzemały. Wróciła orkiestra, założono nowe świece. Przypomniała mi się uczta Petroniusza: lampy gasnące dokoła uszpionych panów, podczas gdy niewolnicy wchodzą na palcach i kradną srebra. Wśród tego piosenki szły swoim trybem; trzej Anglicy, z typu owych martwych postaci, dla których kontynent jest szpitalem, zawodzili na przekór wszystkim najbardziej posępną balladę, jaka wyłoniła się kiedykolwiek z ich moczarów.

— Chodź — rzekłem do Marko — jedźmy!

Wstała i ujęła mnie pod ramię. „Do jutra!” — krzyknął za mną Desgenais i wyszliśmy z sali.

Kiedyśmy się zbliżali do mieszkania Marko, serce biło mi gwałtownie; nie mogłem mówić. Nie miałem pojęcia o podobnej kobiecie; nie doświadczała ani pragnienia, ani wstrętu, nie wiedziałem, co myśleć, widząc, jak ręka moja drży obok tej martwej istoty.

Pokój jej był jak ona pełen mroku i rozkoszy; alabastrowa lampa oświecała go mdłym blaskiem. Fotele, sofa były wygodne jak łóżko; sądzę, że wszystko tam było z puchu i jedwabiu. Na wstępie uderzył mnie silny zapach pastylek tureckich, nie tych, które u nas sprzedaje się po ulicach, ale owych konstantynopolińskich, które są najbardziej drażniącym i niebezpiecznym narkotykiem. Weszła pokojówka. Marko udała się z nią do alkowy, nie mówiąc do mnie ani słowa, i za kilka chwil ujrzałem ją wyciągniętą, wspartą na łokciu, wciąż w owej niedbalej pozie, jaką miała zazwyczaj.

Stałem i patrzyłem na nią. Szczególna rzecz, im więcej ją podziwiałem, im zdawała mi się piękniejsza, tym bardziej gasły pragnienia, jakie we mnie budziła. Nie wiem, czy to było magnetyczne oddziaływanie, ale milczenie jej i martwota udzielały mi się. Zrobiłem jak ona; wyciągnąłem się na sofie na wprost alkowy i zimno śmierci zstąpiło mi w duszę.

Pulsowanie krwi w tętnicach to osobliwy zegar, którego tykanie czuje się jedynie w nocy. Tracąc z oczu zewnętrzne przedmioty, człowiek skupia się w sobie; *słysz* własne

³³*forse* (wł.) — może. [przypis edytorski]

życie. Mimo zmęczenia i smutku nie mogłem zamknąć powiek; Marko utkwiała oczy we mnie; patrzyliśmy na siebie w milczeniu i z wolna, jeżeli można się tak wyrazić.

— Co ty tam robisz? — rzekła wreszcie — nie przyjdiesz bliżej?

— Owszem — odparłem — jesteś bardzo piękna!

Ushyślałem słabe westchnienie podobne do skargi; jedna ze strun harfy odstroiła się. Zwróciłem głowę i ujrzałem, iż blade światło jutrzeńki barwi okna.

Wstałem i odsunąłem firanki; żywy blask wniknął do pokoju. Zbliżyłem się do okna i zatrzymałem się kilka chwil; niebo było czyste, słońce bez chmur.

— Przyjdiesz wreszcie? — powtórzyła Marko.

Dałem znak, aby czekała jeszcze. Mieszkanie Marko znajdowało się w dzielnicy dość odległej; być może miała gdzieś i inne, dawała bowiem niekiedy przyjęcia. Bywali u niej przyjaciele jej kochanka; toteż pokój, w którym znajdowaliśmy się w tej chwili był z pewnością jedynie rodzajem *garsoniery*; wychodził na Luksemburg; ogród rozciągał się w dali przed moimi oczyma.

Niby korek, który zanurzony w wodzie drga niespokojnie pod obejmującą go ręką i wyslizguje się między palcami, aby wypłynąć na powierzchnię, tak we mnie poruszało się coś, czego nie mogłem pokonać ani usunąć. Na widok alej Luksemburgu zadrgało mi serce, wszelka inna myśl zgasła. Ileż razy, wymknąwszy się poza szkołę, wyciągałem się w cieniu na tych wzgórkach, z dobrą książką, pełen jakiejś szalonej poezji! Niestety bowiem, takie tylko wybryki znało moje dzieciństwo... Na ogołoconych drzewach, na pożółkłych trawnikach, odnajdywałem wszystkie te wspomnienia. Tu, mając dziesięć lat, przechadzałem się z bratem i z nauczycielem domowym, rzucając chleb biednym zziębniętym ptaszynom; tam, siedząc w kąci, patrzyłem godziny całe na dziewczynki tańczące wkoło; słuchałem, jak moje naiwne serce bije w takt refrenu ich dziecinnych piosneczek; tam, wracając z kolegium, przeszedłem tysiąc razy tę samą aleję, zatopiony w jakimś wierszu Wergilego, podbijając nogą kamyczek.

— O, moje dzieciństwo! tyżeś to! — wykrzyknąłem. — O Boże! tyżeś to tutaj!

Obróciłem się. Marko usnęła, lampa zgasła, światło dzienne przeobraziło cały wygląd pokoju; obicia, które wydawały mi się lazuroniebieskie, miały odcień zielonkawy i spłowiwały; Marko, piękna statua wyciągnięta w alkwie, była sina jak trup.

Zadrzałem mimo woli; spojrzałem w alkwę, potem na ogród; głowa moja, wyczerpana, zaczęła mi ciężyc. Postąpiłem kilka kroków i usiadłem przed otwartym sekretarzykiem koło drugiego okna. Oparłem się oń i patrzyłem machinalnie na list zostawiony na wierzchu; zawierał tylko kilka słów. Odczytałem je kilka razy bezmyślnie, aż wreszcie stopniowo pojąłem ich znaczenie; uderzyło mnie ono nagle, mimo iż niepodobna mi było zrozumieć wszystkiego. Wziąłem list i przeczytałem te słowa skreślane lichą ortografią:

„Umarła wczoraj. O jedenastej wieczór, czuła że słabnie; przywołała mnie i rzekła: »Ludwisiu, idę za moją koleżanką; idź do szafy i zdejm prześcieradło, które wisi na gwoździu; to od pary z tamtym.« Przypadłam z płaczem do jej kolan; ale ona wyciągnęła rękę, wołając: »Nie płacz! nie płacz!« I wydała takie westchnienie...”

Reszta była podarta. Nie umiem oddać wrażenia, jakie wywarł na mnie ten posępny urywek; odwróciłem papier i ujrzałem adres Marko, wczorajszej daty.

— Umarła? kto umarł? — wykrzyknąłem mimo woli, idąc ku alkwie. — Umarła? kto taki? kto taki?

Marko otworzyła oczy, ujrzała mnie siedzącego na łóżku z listem w dłoni.

— Moja matka — rzekła — umarła. Nie przyjdiesz?

To mówiąc, wyciągnęła rękę.

— Cicho — rzekłem — śpij, zostaw mnie tu.

Odwróciła się i zasnęła. Patrzyłem na nią jakiś czas, aż wreszcie, upewniwszy się, że nie słyszy, oddaliłem się i wyszedłem po cichu.

ROZDZIAŁ V

Jednego dnia siedziałem w towarzystwie Desgenais'go przy kominku. Okno było otwarte; był to jeden z pierwszych dni marca, owych zwiastunów wiosny; było po deszczu, łagodny zapach wionął od ogrodu.

Dzieciństwo,
Wspomnienia, Trup,
Kobieta, Mężczyzna

— Co zrobimy, przyjacielu — rzekłem — kiedy przyjdzie wiosna? Czuję chętkę do podróży.

— Będę robił — odparł Desgenais — to, co robiłem w zeszłym roku: skoro przyjdzie pora, pojedę na wieś.

— Jak to! — odparłem — co roku zatem robisz jedno i to samo? Rozpoczniesz tedy na nowo życie z ubiegłego roku?

— A cóż mam robić? — odparł.

— Słusznie! — wykrzyknąłem, zrywając się — tak, cóż mam robić? dobrze powie-działeś. Och! Desgenais! jak mnie to wszystko męczy! Czy ciebie nigdy nie znużyło życie, jakie prowadzisz?

— Nie — odparł.

Stałem przed ryciną przedstawiającą Magdalenę na pustyni; mimo woli złożyłem ręce...

— Cóż ty robisz? — spytał Desgenais.

— Gdybym był malarzem — odparłem — i chciał wymalować melancholię, nie przedstawiłbym młodej zadumanej dziewczyny z książką w ręku.

— Co ciebie dziś napadło? — rzekł, śmiejąc się.

— Nie, doprawdy — ciągnąłem — ta płacząca Magdalena ma czoło wezbrane nadzie-ją; ta blada i chorowita ręka, na której wspiera głowę, jeszcze nasycona jest wonnościami, jakie wylała na stopy Chrystusa. Czy nie widzisz na tej pustyni całego tłumy myśli, które się modlą? To nie jest melancholia.

— To kobieta, która czyta — odparł suchym głosem.

— I szczęśliwa kobieta — rzekłem — i szczęśliwą książkę.

Deagenais zrozumiał; ujrzał, iż owłada mną głęboki smutek. Spytał, czy mam jaką przykrość. Wahalem się z odpowiedzią; czulem, jak mi się serce łamie.

— Mój drogi Oktawie — rzekł — jeżeli masz jaki powód do zgrzyoty, nie wahaj się mi go powierzyć; mów otwarcie, a znajdziesz we mnie przyjaciela.

— Wiem — odparłem — ja mam przyjaciela; ale moja zgrzyota nie ma przyjaciela.

Nalegał, abym się wytłumaczył.

— I na cóż się to zda — rzekłem — skoro ty nic nie poradzisz, ani ja też nie? Czy chodzi ci o dno mego serca, czy o byle słowo i zdawkową wymówkę?

— Bądź szczery — rzekł.

— Zatem — odparłem — zatem, przyjacielu, udzieliłeś mi swego czasu, rady, proszę cię tedy, abys mnie wysłuchał, jak ja cię wysłuchałem wówczas. Pytasz, co mam na sercu; powiem ci.

Weź pierwszego z brzegu człowieka i powiedz mu: „Widzisz tu ludzi, którzy trawią życie na pijatyce, konnej jeździe, zabawie, grze, na wszystkich uciechach; żadna zapora ich nie wstrzyma, prawem jest dla nich zachcenie, kobiet mają w brud; zwyczajnie, bogacze. Innych trosk ani śladu; każdy dzień jest dla nich świętem”. Jak myślisz? O ile ten człowiek nie jest pobożnym ascetą, odpowie ci, że to, ot, słabość ludzka, o ile nie powie po prostu, że to najwyższe szczęście, jakie sobie można wyobrazić.

Daj mu tedy skosztować tego życia; posadź go do stołu z kobietą przy boku, z kieliszkiem w ręku, nasyp mu co rano garść złota do kieszeni, a potem powiedz: „Oto twoje życie. Podczas gdy będziesz zasypiał przy boku kochanki, koniki będą parskać w stajni; podczas gdy będziesz harcował na koniu po wysypanej piaskiem alei, wino będzie trawiło się w piwnicy; podczas gdy będziesz w nocy pił i hulał, bankierzy będą pomnażali twój dobytek. Wystarczy ci pragnąć, pragnienie twoje jest rzeczywistością. Jesteś najszczęśliw-szym z ludzi; ale bacz, że jednego dnia wypijesz ponad miarę i nie odnajdziesz w sobie zwyczajnej jurności. Oto wielkie nieszczęście; po każdej bowiem klęsce można się po-cieszyć, wyjąwszy tę. Pewnej nocy będziesz galopował po lesie z wesołymi kompanami; koń potknie się, wpadniesz w dół pełen błota i oto grozi ci, że towarzysze, zamroczeni winem, pośród radosnych fanfar, nie usłyszą twoich rozpaczliwych krzyków; uważaj, aby nie przejechali, nie zauważywszy cię; aby zgiełk ich wesela nie przepadł w lesie, pod-czas gdy ty będziesz się włócił w ciemności z połamanymi członkami. Jednego wieczora zgrasz się; bywają takie złe dni. Kiedy wrócisz do domu i usiądziesz w podłe kominka, strzeż się bić w czoło, dawać upust łzom żalu wilżącym twoje powieki, wodzić z goryczą oczami szukając przyjaciela; strzeż się zwłaszcza pomyśleć nagle w samotności o tych,

Zabawa, Pożądanie,
Rozkosz, Bogactwo,
Samotność

którzy gdzieś, pod słomianą strzechą, żyją w spokojnym stadle i zasypiają, trzymając się za rękę; naprzeciwko ciebie bowiem, na twym wspaniałym łożu będzie siedziała, jako jedyna powiernica, blada istota będąca kochanką twoich talarów. Nachylish się nad nią, aby ulżyć swej zdławionej piersi, ona zaś pomyśli, że jesteś bardzo smutny i że musiałeś zgrać się porządnie; lzy w twoich oczach zatroskają ją bardzo, są bowiem zdolne pozba-
wić ją nowej sukni i ściągnąć jej pierścienie z palców. Nie mów jej, do kogo zgrałeś się dziś wieczór; mogłaby go łatwo spotkać jutro i zacząć się wdzięczyc do twojej ruiny. Oto słabość ludzka; czy jesteś do niej zdolny? Czy jesteś człowiekiem? strzeż się przesyty; to też nieuleczalna choroba; nieboszyk wart jest więcej niż żywy zmierzony do życia. Czy masz serce? strzeż się miłości; to dla rozpustnika więcej niż choroba, to śmieszność; rozpustnicy płacą swoje kochanki, a kobieta przedajna ma prawo gardzić tylko jednym człowiekiem: tym, który ją kocha. Czy masz namiętności? uważaj na swą twarz; to wstyd dla żołnierza odrzucać zbroję, a dla rozpustnika zdradzać, iż zależy mu na czymkolwiek: chlubań jego jest dotykać wszystkiego rękami z marmuru pomazanymi oliwą, po których wszystko powinno się ześlizgiwać. Jesteś zapalny? Jeżeli chcesz żyć, naucz się zabijać: wi-
no wiedzie niekiedy do zwady. Masz sumienie? bacz na swój sen; rozpustnik, który kaja się zbyt późno, jest jak okręt który nabrnie wodą: nie może ani wrócić do brzegu, ani dalej płynąć; daremnie popychają go wiatry. Ocean ciągnie go, okręca się tedy kilka razy i znika. Jeśli masz ciało, lękaj się cierpienia; jeśli masz duszę, lękaj się rozpacz. O nie-
szczęśliwy! Strzeż się ludzi; dopóki będziesz szedł drogą, po której stąpasz, będzie ci się zdawało, iż widzisz olbrzymią równinę, gdzie ukwieconą girlandą rozwija się korowód tancerzy, trzymających się za ręce niby ogniwa łańcucha; ale to jedynie zwodny cud; ci, którzy patrzą pod stopy, wiedzą, że tańczą na nitce jedwabiu rozpiętej nad otchłanią i że otchłań chłonie w milczeniu wiele spadających ciał bez jednej zmarszczki na powierzchni. Niech ci się noga nie powinie! Sama natura czuje, jak umykają się przed tobą jej boskie wnętrzości; drzewa i trzciny nie poznają cię już; zgwałciłeś prawa swej matki, nie jesteś już bratem maluczkich, ptaszyny polne milkną na twój widok. Jesteś sam! Myśl o Bogu! Jesteś sam w jego obliczu, stoisz przed nim niby zimny posąg na piedestale swej woli. Niebieskie deszcze nie orzeźwiają cię już, ale podmywają cię, drażą. Wiatr, który wieje mimo, nie daje ci już pocałunku życia, świętego współlistnienia ze wszystkim, co oddycha; chwije tobą, potrząsa tobą. Każda kobieta, którą tulisz w ramiona, bierze iskrę twej siły, nie oddając ci w zamian swojej; szpik twój kradną majaki; tam, gdzie padnie kropla twego potu, kielkują owe posępne rośliny, które wschodzą na cmentarzach. Umieraj! Jesteś wrogiem wszystkiego, co kocha; załam się pod brzemieniem samotności; nie czekaj, aż się zestarzejesz; nie zostawiaj po sobie dziecka, nie utrwalaj skażonej krwi; rozwiej się, jak dym, nie odbieraj kielkującemu ziarnu ani jednego promyka słońca!

Domawiając tych słów, padłem na fotel; strumień łez puścił mi się z oczu.

— Ach, Desgenais — wykrzyknąłem, szlochając — nie to mi mówiłeś. Czyż nie wiedziałeś tego? a jeśli wiedziałeś, czemuś mi nie powiedział?

Ale Desgenais siedział sam ze złożonymi rękami; blady był jak giezło, długa łza spływała mu po licu.

Nastała chwila milczenia. Zegar zaczął bić; nagle przypomniałem sobie, iż ściśle rok temu, o tej samej godzinie, odkryłem, że kochanka mnie zdradza.

— Słyszysz ten zegar? — wykrzyknąłem — słyszysz? Nie wiem, co wydzwania w tej chwili; ale to jakaś straszliwa godzina, która zaważy w moim życiu.

Tak mówiłem w uniesieniu, niezdolny rozróżnić, co się dzieje we mnie. Równocześnie wbiegł do pokoju służący; ujął mnie za rękę, odciągnął na bok i rzekł po cichu:

— Panie, przychodzę oznajmić, że ojciec pański umiera; miał atak apopleksji i lekarze nie mają nadziei.

Czas

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ I

Ojciec mieszkał na wsi, dość daleko od Paryża. Skoro przybyłem, spotkałem w drzwiach lekarza, który rzekł:

— Spóźnił się pan; ojciec pragnął pana widzieć ostatni raz.

Wszedłem i ujrzałem ciało.

— Proszę — rzekłem do lekarza — każ pan, aby wszyscy wyszli i aby mnie zostawiono samego; ojciec miał mi coś do powiedzenia i powie mi.

Służba oddaliła się; wówczas, zbliżyliśmy się do łóżka: podniosłem łagodnie całun. Ale zaledwie ujrzałem ojca, rzuciłem się, aby go uściskać, i straciłem przytomność.

Kiedy przyszedłem do siebie, usłyszałem, jak ktoś mówił: „Jeśli zażąda, odmówcie, pod jakim bądź pozorem”. Zrozumiałem, iż chciano mnie oddalić od mar; udałem, że nie słyszę. Widząc, że jestem spokojny, zostawiono mnie. Zaczekałem, aż wszyscy ułożą się do snu, i wzięwszy świecznik, udałem się do pokoju ojca. Zastałem tam młodego księdza, który sam siedział przy łóżku.

— Księżę — rzekłem — wydzierać sierocie ostatnią noc przy łożu ojca, to śmiałe przedsięwzięcie: nie wiem, kto mógł je panu zlecić. Niech ksiądz zostanie w przyległym pokoju; biorę wszystko na siebie.

Ksiądz wyszedł. Jedyne świecznik stojący na stole oświecał łóżko; usiadłem na miejscu duchownego i odsłoniłem jeszcze raz twarz, której nigdy już nie miałem oglądać.

— Co chciałeś mi rzec, ojcze? — spytałem — jaka była twoja ostatnia myśl, kiedyś szukał oczyma swego dziecka?

Ojciec pisywał dziennik, gdzie miał zwyczaj notować dzień po dniu wszystko, co robił. Dziennik ten leżał na stole; zbliżyłem się doń i ukląknęłam; na otwartej stronie widniały tylko te słowa: „Bądź zdrow, synu, kocham cię i umieram”.

Nie wylałam ani jednej łzy, żaden szloch nie wyszedł z moich warg; gardło mi się ścisnęło, usta były jak zapieczętowane; patrzyłam na ojca bez ruchu.

Znał moje życie; wybryki moje niejedną raz dały mu przyczynę do skargi lub nagany. Za każdym widzeniem mówił mi o przyszłości, o młodości mej i szaleństwach. Rady jego ocaliły mnie nieraz w krytycznej chwili; a miały wielką moc, ponieważ życie jego było od początku do końca wzorem cnoty, spokoju i dobroci. Domyślałem się, iż przed śmiercią pragnął mnie widzieć, aby próbować jeszcze raz odwrócić mnie od drogi, na jaką zabrnąłem; ale zgon przyszedł zbyt szybko; uczuł nagle, iż ma zaledwie czas na powiedzenie jednego słowa, i powiedział, że mnie kocha.

ROZDZIAŁ II

Skromna drewniana krata okalała grób ojca. W myśl jego stanowczej i od dawna wyrażonej woli, pochowano go na wiejskim cmentarzu. Bywałem tam codziennie, spędzałem po kilka godzin na ławeczce wewnątrz grobowca. Poza tym żyłem samotnie w tym samym domu, gdzie ojciec umarł; miałem przy sobie tylko jednego służącego.

Mimo wszystkich mąk, jakie niosą ze sobą namiętności, nie można porównywać utrapień życia z grozą śmierci. Pierwsza rzecz, jaką uczułem siadając przy łóżku ojca, było to, że jestem dzieckiem, które nic nie wie i nic nie zna; mogę rzec nawet, iż serce moje odczuło jego śmierć jako ból fizyczny; ugiąłem się niekiedy wylamując ręce niby zbudzony ze snu terminator.

Przez pierwsze miesiące pobytu na wsi nie powstało mi w głowie myśleć ani o przeszłości, ani o przyszłości. Nie miałem uczucia, abym to *ja* żył dotąd; to, czego doświadczałem, to nie była rozpacz; nie było to w niczym podobne do wściekłych bólów, jakie przeszedłem; była to tylko jakaś omdłałość, jakieś powszechne znużenie i obojętność, ale połączone z trawiącą mnie wewnątrz ostrą goryczą. Trzymałem cały dzień książkę w ręku, ale czytałem niewiele lub, aby rzec lepiej, nic; sam nie wiem, nad czym dumałem. Nie miałem w głowie żadnej myśli; wszystko we mnie było milczeniem; otrzymałem cios tak gwałtowny, a zarazem tak trwały, iż stałem się jak gdyby zupełnie bierną istotą, nic nie odzywało się we mnie.

Ojciec, Syn, Syn
marnotrawny, Miłość,
Śmierć

Śmierć, Żaloba, Milczenie,
Ojciec, Syn, Dziecko

Służący mój, nazwiskiem Larive, bardzo był przywiązany do ojca; był to może, po samym ojcu, najlepszy człowiek, jakiego kiedy znałem. Był tego samego wzrostu i donaszał ubrania ojca, nie miał bowiem liberii. Był prawie w tym samym wieku, to znaczy, iż włosy zaczynały mu się bielić; nie rozstając się z ojcem dwadzieścia lat, nabrał coś z jego obejścia. Podczas gdy ja przechadzałem się w pokoju po obiedzie, słyszałem, jak on robi to samo w przedpokoju; mimo iż drzwi były otwarte, nie wchodził nigdy i nie mówiliśmy do siebie ani słowa; ale od czasu do czasu spoglądaliśmy na siebie płacząc. W ten sposób mijają wieczory i słońce od dawna się schowało, zanim mi przyszło na myśl zażądać światła lub też jemu przynieść mi je.

Wszystko zostało w domu tak jak wprzód; nie ruszyliśmy z miejsca ani kawałka papieru. Wielki skórzany fotel, w którym siadywał ojciec, stał koło kominka; stół, książki, toż samo; szanowałem nawet kurz na meblach, pomnąc, iż ojciec nie lubił, aby je ktoś ruszał. Ten samotny dom, przywykły do ciszy i spokoju, nie zauważył nic; zdawało mi się tylko, iż niekiedy mury spoglądają na mnie ze współczuciem, kiedy się zawijałem w robdeszan³⁴ ojcowski i siadałem w jego fotelu. Zdawało mi się, iż jakiś wątyły głos szepce: „Gdzież ojciec? toć widzimy, że to sierota”.

Otrzymałem z Paryża kilka listów; odpisałem, iż pragnę spędzić lato sam na wsi, jak to zwykł czynić ojciec. Zaczynałem czuć tę prawdę, iż w każdym nieszczęściu jest coś dobrego, i że mimo wszystko wielka boleść jest wielkim wycieczkiem. Jaką bądź nowinę przynosi wysłaniec boży, kiedy nas uderza w ramię, spełnia zawsze ten dobry uczynek, iż budzi nas do życia, i że tam, gdzie on mówi, wszystko milknie. Przelotny ból bluźni i obwinia niebo; wielka boleść nie bluźni i nie obwinia, ale słucha.

Rankiem spędzałem godziny całe na kontemplacji przyrody. Okna moje wychodziły na głęboką dolinę, pośród której wznosiła się dzwonnica wiejska; okolica była uboga i spokojna. Widok wiosny, rodzących się kwiatów i liści, nie wywierał na mnie owego posępnego wrażenia, o którym mówią poeci, w kontrastach życia dopatrujący się szyderstwa śmierci. Sądzę, iż ta pusta myśl, o ile nie jest rozmyślnie ukutą antytezą, da się odnieść jedynie do serc czujących połowicznie. Gracz, który z płonącymi oczami i próżnymi rękoma wychodzi o świcie z jaskini, może się czuć w niezgodzie z naturą, niby świecznik dogasający przy orgii; ale co mogą rzec rozwijające się liście dziecku, które straciło ojca? Łzy płynące mu z oczu to siostry rosy; liście wierzb toż to także łzy! Patrząc na niebo, na lasy i łąki, zrozumiałem, czym są ludzie wierzący w to, iż zdołają się pocieszyć.

Larive zarówno nie miał ochoty pocieszać mnie, jak pocieszać samego siebie. Tuż po śmierci ojca lękał się, bym nie sprzedał domu i nie zabrał go do Paryża. Nie wiem, czy znał moje ubiegłe życie; ale zrazu był widocznie niespokojny, skoro zaś ujrzał, iż się rozgaszczam w domu, pierwsze jego spojrzenie wniknęło mi aż do serca. Było to w dniu, w którym sprowadziłem z Paryża wielki portret ojca; kazałem go zawiesić w jadalni. Skoro Larive wszedł, aby nakryć do stołu, ujrzał go; stanął wahając się, spoglądając kolejno to na portret, to na mnie; miał w oczach radość tak smutną, iż nie mogłem się jej oprzeć. Zdawał się mówić: „Cóż za szczęście! będziemy tedy cierpieć w spokoju!” Podąłem mu rękę, którą okrył pocałunkami szlochając.

Pielęgnował, aby tak rzec, moją boleść niby panią swojego bólu. Kiedy szedłem rano na grób, zastawałem go, jak podlewał kwiaty; na mój widok oddalał się i wracał do domu. Towarzyszył mi w moich wycieczkach; ponieważ ja jechałem konno, a on szedł piechotą, nie chciałem pozwolić na to; ale ledwie zapuściłem się sto kroków w dolinę, widziałem go z kijem w rękę, jak szedł za mną ocierając sobie czoło. Kupiłem mu we wsi małego konika i w ten sposób włóczyliśmy się po lasach.

Kilka znajomych osób z okolicy bywało wprzód często w naszym domu. Zamknąłem się przed nimi, mimo iż z przykrością; ale nie mogłem znieść niczyjego widoku. Zagrzebany tak w samotności wziąłem się po upływie jakiegoś czasu do przejrzenia papierów ojca. Larive przyniósł mi je z pobożnym szacunkiem i, rozwiązując pliki drżącą ręką, położył je przede mną.

Już przy pierwszych stronicach uczulem w sercu ową świeżość, jaka ożywia powietrze dokoła spokojnego jeziora; słodka pogoda duszy mego ojca wydzielala się niby za-

³⁴robdeszan — szlafrok; luźny, długi płaszcz wełniany noszony po domu; popularny w XVIII. [przypis edytorski]

pach z tych zapyłonych kartek w miarę, jak je rozwijałem. Objąłem oczyma dziennik jego życia; mogłem liczyć dzień po dniu uderzenia tego szlachetnego serca. Zatopiłem się w łagodnym i głębokim marzeniu; mimo poważnego i męskiego charakteru, który nadawał ton całości, odkrywałem niewymowny wdzięk, kwiat jego dobroci. Podczas czytania wspomnienie jego śmierci mieszało się bez ustanku z opowieścią tego życia; nie umiem wyrazić, z jakim smutkiem szedłem za tym przejrzytym strumieniem, który oto utonął w oceanie.

„O mężu sprawiedliwy! — wykrzyknąłem — człowieku bez trwogi i zmazy! ileż niewinności w twoim doświadczeniu! Oddanie dla przyjaciół, anielska tkliwość dla mej matki, podziw dla natury, wzniosła miłość Boga, oto twoje życie; nie było w twoim sercu miejsca na nic innego. Dziewiczy śnieg na szczycie gór nie jest czystszy niż twoja święta starość; twoje białe włosy są doń podobne. O ojcze! ojcze! daj mi je; młodsze są niż moje jasne kędziory. Daj mi żyć i umrzeć jak ty; w ziemi, w której ty śpisz, pragnę zasadzić zieloną gałązkę mego nowego życia; zroszę ją mymi łzami, Bóg, opiekun sierot, pozwoli temu zbożnemu zielu wyrósć na boleści dziecka i wspomnieniu starca”.

Odczytawszy szacowne karty, ułożyłem je po porządku. Postanowiłem też pisać dziennik; kazałem oprawić zeszyt zupełnie podobny do ojcowskiego i szukając starannie w zapyłkach ojca najdrobniejszych zatrudnień jego życia, starałem się kierować wedle nich. Tak więc o każdej porze dnia zegar, wybijając godziny, sprowadzał mi łzy do oczu: „Oto — mówiłem sobie — co ojciec robił o tej godzinie”; i, czy to było czytanie, przechadzka lub posiłek, nie omieszkalem go naśladować. Przyzwyczailem się w ten sposób do spokojnego, regularnego życia; ta ścisła punktualność miała nieskończony urok dla mego serca. Kładłem się z uczuciem błogości, które smutek mój czynił tym miłszym. Ojciec zajmował się wiele ogrodem; resztę dnia wypełniały mu książki, przechadzki, roztropny podział między ćwiczenia ciała a zabawy ducha. Równocześnie przejąłem i jego dobroczynność i w dalszym ciągu wspierałem biedaków, którymi on się zajmował. Wypytywałem się w czasie moich wycieczek o ludzi, którym mogłem dopomóc; nie brakło ich w okolicy. Niebawem biedni nauczyli się drogi do mego domu; mamż rzec? tak, powiem śmiało: gdzie serce jest dobre, tam boleść jest zdrowa. Po raz pierwszy w życiu byłem szczęśliwy; Bóg błogosławił moje łzy, a boleść uczyła mnie cnoty.

ROZDZIAŁ III

Przechadzając się jednego wieczora po lipowej alei wiodącej ku wiosce, ujrzałem wychodzącą z ustronnego domku młodą kobietę. Była ubrana bardzo skromnie i zakwefiona, tak iż nie mogłem rozpoznać jej twarzy; kibić i chód zdały mi się wszelako tak urocze, iż mimo woli wiodłem za nią jakiś czas spojrzeniem. Kiedy przechodziła przez sąsiednią łąkę, biała kózka pasąca się swobodnie w polu podbiegła ku niej; nieznajoma popieściła się z nią trochę i rzuciła oczyma dokoła, jak gdyby szukając jej ulubionego ziela. Ujrzałem w pobliżu dziką morwę; urwałem gałąź i podszedłem, trzymając ją w ręce. Kózka zbliżyła się z wolna i lekliwie; po czym zatrzymała się niepewna. Pani ośmieliła ją gestem, ale bydłatko spoglądało na nią niespokojnie; wówczas podeszła ku mnie i dotknęła ręką gałęzi: natychmiast kózka zaczęła skubać liście. Skłoniłem się i nieznajoma poszła swoją drogą.

Wróciwszy do domu, pociągnąłem za język Larive'a: opisałem mu ów domek z ogródkiem i spytałem, czy nie wie, kto tam mieszka. Okazało się, iż zamieszkują go dwie kobiety: jedna starsza, ciesząca się sławą wielkiej nabożności, i druga młoda, nazwiskiem pani Pierson. Ją to właśnie spotkałem. Spytałem, kim jest i czy bywała u ojca; objaśnił mnie, że jest wdową, że prowadzi życie bardzo ciche i że widywał ją u ojca niekiedy, ale rzadko. Na tym skończył się mój wywiad; za czym wyszedłszy znowu, udałem się z powrotem do alei lipowej, gdzie usiadłem na ławce.

Na widok kózki, która podeszła ku mnie, ogarnął mnie nagle jakiś nieokreślony smutek. Wstałem, nie bardzo wiedząc co robię, i pobiegłszy okiem ku ścieżce, którą oddaliła się pani Pierson, puściłem się nią zadumany. Niebawem znalazłem się bardzo głęboko wśród gór.

Była blisko jedenasta wieczór, kiedy pomyślałem o powrocie; wyczerpany długim marszem, skierowałem się ku jakiejś zagrodzie, aby poprosić o szklanek mleka i kawałek

Arkadia, Kobieta

chleba. Równocześnie spadły duże krople deszczu, zwiastując burzę. Mimo iż w domu świeciło się i słyszałem wewnątrz jakiś ruch, nikt nie odpowiedział na moje pukanie; zbliżyłem się tedy do okna, aby zajrzeć, co się tam dzieje.

Ujrzałem dużą izbę, w której na kominku płonął tęgi ogień; gospodarz, znajomy mi, siedział w podłe łóżka. Zapukałem w szybę, wołając go po imieniu. W tej samej chwili drzwi otworzyły się; z wielkim zdumieniem ujrzałem panią Pierson (poznałem ją natychmiast), która spytała, kto puka.

Tak dalece nie spodziewałem się jej tam zastać, iż musiała spostrzec moje zdziwienie. Wszedłem do izby, prosząc o użyczenie mi przytułku. Nie wyobrażałem sobie, co mogła robić o tej porze w chacie stojącej niemal w szczerym polu; naraz żalospny głos wychodzący z łóżka sprawił, iż odwróciłem głowę i ujrzałem żonę gospodarza wyciągniętą na pościeli, ze śmiercią na obliczu.

Wróciwszy za mną do izby, pani Pierson usiadła na wprost biednego człowieka, który zdawał się złamany bólem; dała mi znak, abym nie robił hałasu: chora spała. Wziąłem krzesło i siadłem w kącie, czekając, aż burza przejdzie.

Siedząc tak, widziałem, jak ona od czasu do czasu wstaje, podchodzi do łóżka, mówi coś do gospodarza. Jedno z dzieci, które wziąłem na kolana, powiedziało mi, iż pani Pierson przychodzi co wieczór od czasu, jak matka jest chora, a niekiedy spędza tam i noc. Pełniła zadania siostry miłosierdzia; nie było innej w całej okolicy i tylko jeden lekarz, wielki nieuk.

— To Brygida-Różyczka — rzekło dziecko po cichu — czy pan jej nie zna?

— Nie — odparłem tak samo po cichu — dlaczego ją tak zowią?

Dziecko odparło że nie wie: może dlatego, iż swego czasu otrzymała nagrodę cnoty³⁵ i że zostało jej to miano.

Tym razem pani Pierson nie miała welonu; mogłem przyjrzeć się swobodnie jej ryzom; skoro dziecko zbiegło mi z kolan, podniosłem głowę. Stała przy łóżku, trzymała w ręku filiżankę, podając ją gospodyni, która się obudziła właśnie. Wydała mi się blada i bardzo szczupła; włosy miała blond o popielatym odcieniu. Rysy nie były regularnie piękne, jak to określić zresztą? Wielkie jej czarne oczy zatapiały się w oczach chorej, a ta biedna, bliska śmierci istota patrzyła na nią również. Była jakaś niewymowna piękność w tym prostym obcowaniu miłosierdzia i wdzięczności.

Deszcz wzmagał się; głęboka ciemność zaległa po pustych polach, rozświetlanych od czasu do czasu gwałtownym uderzeniem piorunu. Huk burzy, wycie wiatru, wściekłość żywiołów srożąc się po słomianym dachu, stanowiły osobliwy kontrast z uroczystą ciszą panującą w chacie i przydawały tej scenie coś jeszcze bardziej wielkiego i świętego. Patrzyłem na to legowisko, na szyby ociekające wodą, na kłęby gęstego dymu pędzone burzą do izby, na tępe przygnębienie gospodarza, zabobonną groźbę dzieci, na furję żywiołów szturmującą do śmiertelnego łoża; i kiedy wśród tego wszystkiego widziałem tę słodką i bladą kobietę krzątającą się na końcach palców, wciąż cierpliwą, wciąż dobroczynną, nieświadomą, zda się, niczego, ani burzy, ani naszej obecności, ani własnego poświęcenia, prócz tego jednego, iż ktoś jej potrzebuje, zdało mi się, iż jest w tym cichym dziele coś bardziej pogodnego niż najczystsze niebo bez chmurki i że musi być nadludzką istotą ta kobieta, która otoczona tyłą okropności nie zwątpiła ani na chwilę w swego Boga.

„Kto jest ta kobieta? — pytałem sam siebie. — Skąd się wzięła? Odkąd bawi tutaj? Od dawna chyba, skoro pamiętają tu jej lata dziewczęce. Jakim cudem nie słyszałem o niej? Przychodzi sama do tej chaty, o tej porze? Skoro jedno nieszczęście przestanie ją wzywać, poszuka drugiego? Tak, poprzez wszystkie te burze, lasy, góry, idzie skromna i zakwefiona, niosąc życie tam, gdzie go brak, trzymając tę kruchą filiżankę, pieszcząc koźlątko po drodze. Tym cichym i spokojnym krokiem sama idzie ku śmierci. Oto, co robiła w tej dolinie, podczas gdy ja tarzałem się w szynkowniach; urodziła się z pewnością tutaj i pochowają ją tutaj kiedyś, opodal mego ukochanego ojca. Tak umrze ta nieznaną kobieta, którą nikt się nie zajmuje, a o którą dzieci pytają: »Jak to, pan jej nie zna?«”.

Nie umiem oddać tego, co odczuwałem; stałem nieruchomo w kącie, oddychałem jedynie ze drżeniem; miałem uczucie, że gdybym spróbował jej pomóc, gdybym wy-

³⁵nagroda cnoty — Istnieje we Francji na wsi dawny zwyczaj wieńczenia dziewczyny, która wyróżnia się cnotą i obyczajnością; dziewczyna taka nazywa się *la rosière*. [przypis tłumacza]

ciągnął rękę, aby jej oszczędzić bodaj kroku, popełniłbym świętokradztwo, dotknąłbym poświęcanego naczynia.

Burza trwała blisko dwie godziny. Skoro ucichła, chora, usiadłszy na łóżku, rzekła, iż czuje się lepiej i że posiłek skrzepił ją. Natychmiast dzieci podbiegły do łóżka, przyglądając się matce wielkimi oczami, na wpół radośnie na wpół z niepokojem; równocześnie czepiały się sukien pani Pierson.

— Myślę sobie — rzekł mąż, który nie ruszył się z miejsca — zakupiliśmy przecież mszę, kosztowało mnie to słono!

Na to gminne i głupie odezwanie spojrziałem na panią Pierson; podkrążone oczy, bladość, cała postawa, zdradzały jasno zmęczenie i wyczerpanie bezsennością.

— Och, mój pocziwy — rzekła chora — niech ci to Bóg odpłaci!

Nie mogłem wytrzymać; zerwałem się wzburzony tępotą tych bydląt, które chciwość proboszcza składały dzięki za poświęcenie anioła; już miałem wymówić im tę szpetną niewdzięczność i potraktować ich tak, jak zasługiwali. Pani Pierson podniosła w ramionach któreś z dzieci i rzekła z uśmiechem: „Uściskaj matkę; jest ocalona”. Zatrzymałem się, słysząc te słowa; nigdy szczerze zadowolenie szczęśliwej i dobroczynnej duszy nie odmawiało się z taką prostotą na równie słodkiej twarzy, tej chwili nie znać było bladości ani zmęczenia; promieniała cała czystą radością; i ona również składała dzięki Bogu. Chora przemówiła; cóż znaczy, co powiedziała?

Niebawem pani Pierson kazała dzieciom zbudzić parobka, aby ją odprowadził. Ofiarowałem moją opiekę; nadmienilem iż zbyt ciężkie jest budzić chłopca, skoro ja idę w tę samą stronę i będę sobie uważał za zaszczyt towarzyszyć jej. Spytała, czy nie jestem Oktaw de T***. Odparłem twierdząco, dodając, iż przypomina sobie może mego ojca. Uderzyło mnie, iż to pytanie sprowadziło na jej wargi uśmiech; przyjęła wesoło moje ramię i puściliśmy się w drogę.

ROZDZIAŁ IV

Szliśmy w milczeniu; wiatr przycichł, drzewa drżały lekko otrząsając krople z gałęzi. Od czasu do czasu łyskało się jeszcze w dali; ochłodzona atmosfera przesycona była zapachem wilgotnej zieloności. Wreszcie niebo wyjaśniło się zupełnie i księżyc oświecił góry.

Mimo woli dumiałem nad szczególnym trafem, który w ciągu tak niewielu godzin, pozwolił mi oto znaleźć się samemu, w nocy, w szczerym polu, w towarzystwie kobiety, której istnienia nieświadom byłem jeszcze poprzedniego ranka. Przyjęła opiekę na wiarę mego nazwiska i szła swobodnie, wspierając się z lekka na moim ramieniu. Ufność ta budziła we mnie wrażenie wielkiej śmiałości albo wielkiej prostoty; musiało być w niej w istocie i to, i to, z każdym bowiem krokiem czułem, iż serce moje wzbiera dumą i niewinnością.

Zrazu rozmawialiśmy o chorej, o potocznych przedmiotach; nie przyszło nam do głowy zadawać sobie wzajem pytań, jak przy świeżej znajomości. Wspomniała o moim ojcu, zawsze tym samym tonem, co kiedy go przypominałem jej po raz pierwszy, to znaczy prawie wesoło. W miarę, jak słuchałem, zdawało mi się, że ją rozumiem; mówiła w ten sposób nie tylko o śmierci, ale o życiu, o cierpieniu i o wszystkim w świecie. Niedole ludzkie nie nasuwały jej nic, co by mogło być oskarżeniem Boga; czułem coś anielskiego w jej uśmiechu.

Opowiedziałem jej, jakie samotne życie pędziłem. Ciotka jej (rzekła mi) widywała ojca częściej niż ona sama; robili często partyjkę po obiedzie. Zaprosiła mnie do niej, uręczając, iż będę mile widziany.

W połowie drogi mniej więcej czuła się zmęczona; przysiadła na ławce, którą gąszcz drzew ubezpieczył od deszczu. Stałem na wprost niej i przyglądałem się bladym promieniom księżyca, padającym na jej czoło. Po chwili milczenia wstała i, widząc moją zadumę, rzekła:

— O czym pan myśli? czas wędrować dalej.

— Zastanawiałem się — odparłem — dlaczego Bóg panią stworzył, i powiadałem sobie, że po to, aby leczyć cierpiących.

— W pana ustach — rzekła — to słowo może być jedynie prostą uprzejmością.

— Czemu?

Choroba, Religia, Żona,
Pieniądz, Miłosierdzie,
Czyn

Młodość, Dorosłość,
Wiedza, Słowo

— Bo mi się pan wydaje bardzo młody.
— Zdarza się niekiedy — odparłem — iż ktoś jest starszym od własnej twarzy.
— Tak — odparła, śmiejąc się — i zdarza się także, że jest młodszym od swoich słów.
— Nie wierzy pani w doświadczenie?
— Wiem, że ludzie chętnie dają to miano swoim szaleństwom i swoim zgryzotom; co można znać w pana wieku?

— Pani, w dwudziestu latach mężczyzna mógł więcej przeżyć niż kobieta w trzydziestu. Swoboda, jakiej zażywają mężczyźni prowadzi ich o wiele szybciej do dna wszystkich rzeczy; pędzą bez przeszkód ku wszystkiemu, co ich wabi; próbują wszystkiego. Z chwilą, gdy żywią nadzieję, puszczają się w drogę, idą, spieszą się. Przybywszy do celu, oglądają się za siebie; nadzieja została gdzieś w drodze, a szczęście chybiło słowu.

Podczas gdy tak mówiłem, znaleźliśmy się na szczycie pagórka, który spadał ku dolinie; pani Pierson, jakby skuszona byстрыm spadkiem, puściła się w lekkich podskokach. Bezwiednie poszedłem w jej ślady; zaczęliśmy biec, nie przestając trzymać się pod rękę; śliska trawa ciągnęła nas. Wreszcie, niby dwa rozigrane ptaszki, śmiejąc się i skacząc, znaleźliśmy się u stóp zbocza.

— Niech pan patrzy — rzekła pani Pierson — byłam zmęczona przed chwilą, teraz już nie. Wierzą mi pan — dodała z nieopisanym wdziękiem — niech pan potraktuje swoje doświadczenie tak, jak ja moje zmęczenie. Zrobiliśmy sobie spacer i będziemy wieszczać z apetytem.

ROZDZIAŁ V

Odwiedziłem ją nazajutrz. Zastałem panią Pierson przy fortepianie, starą ciotkę z hafcikiem przy oknie, pokoik pełen kwiatów, cudne słońce wdzierające się przez żaluzje i dużą klatkę z ptakami.

Spodziewałem się znaleźć w pani Pierson niemal zakonnicę, a przynajmniej jedną z owych mieszkanek prowincji niemających pojęcia, co się dzieje o dwie mile poza obrębem wioski, i żyjących w pewnym ciasnym kręgu. Przyznaję, że te pokątne istnienia zagrzebane tu i ówdzie pod tysiącami nieznanymi dachów, przerażały mnie zawsze niby zatęchłe studnie; nie podobna tam oddychać. We wszystkim, co jest na ziemi zapomnieniem, jest coś ze śmierci.

U pani Pierson leżały na stole dzienniki i nowe książki; prawda, że nie tykała ich. Mimo prostoty całej ramy, mebli, stroju, czuło się powiew mody, to znaczy nowości, życia; nie dbała o to, ani nie starała się, ale było już tak samo z siebie. Gusta jej nie miały w sobie nic dziwactwa, wszystko było młode i miłe. Rozmowa zdradzała staranne wychowanie; nie było przedmiotu, o którym by nie mówiła trafnie i swobodnie. Równocześnie z prostotą natura jej zdradzała głębię i bogactwo; rozległa i śmiała inteligencja jednoczyła się z niewinnością serca i przyzwyczajeniami ustronnego życia. Tak jaskółka morska, szybując w lazurze, unosi się nad ździebelkiem trawy, na którym usłała gniazdko.

Mówiliśmy o literaturze, muzyce, niemal o polityce. Pani Pierson była w ciągu zimy w Paryżu, od czasu do czasu ocierała się o świat; mówiła o nim z tego, co widziała, a odgadywała resztę.

Ale co ją wyróżniało przede wszystkim, to wesołość, która, mimo iż nie objawiała się głośno, towarzyszyła jej ciągle; można by rzec, iż urodziła się kwiatem i że zapachem jej była wesołość.

Z jej bladocią, z jej wielkimi czarnymi oczami, stanowiło to połączenie bardzo oryginalne; tym więcej, iż od czasu do czasu z pewnych słów, z pewnych spojrzeń, jasne było, że ta kobieta poznała cierpienie i że przeorało ją życie. Coś nieokreślonego mówiło w niej, że słodka pogoda jej czoła nie była z tego świata, ale że ją otrzymała od Boga i że mu ją odniesie wiernie, wbrew światu i ludziom, nic z niej nie uroniwszy; bywały chwile, w których przypominało się sobie skrzętną gospodynię zaslanającą dłonią światło przed podmuchem wiatru.

Spędziwszy ledwo pół godziny w jej pokoju, nie mogłem się powstrzymać, aby nie powiedzieć wszystkiego, co miałem na sercu. Myślałem o swym ubiegłym życiu, strapieniach, przykrościach; chodziłem, krążyłem, pochylając się nad kwiatami, wdychając powietrze, patrząc na igrające promyki słońca. Przypomniało mi się powiedzenie Monta-

Kobieta, Mężczyzna,
Wiedza, Nadzieja,
Rozczarowanie, Młodość

Smutek

igne'a: „Nie lubię ani nie cenię smutku, mimo iż świat jakby się zawziął, aby go obdarzać szczególną łaską; ubierają weń mądrość, cnotę, sumienie; głupia i pokraczna zaiste ozdoba!”

— Cóż za szczęście — wykrzyknąłem mimo woli — cóż za odpoczynek! co za radość! co za zapomnienie!

Pocziwa ciotka podniosła głowę i popatrzała zdziwionym wzrokiem; pani Pierson urwała nagle. Obląłem się pąsem, czując swoją niedorzeczność; usiadłem w kącie, nie mówiąc słowa.

Przeszliśmy do ogrodu. Biała kózka, którą widziałem wczoraj, leżała na trawie; spostrzegłszy panią, natychmiast podbiegła do niej i szła za nami poufale.

Ledwie raz obeszlśmy ogród, zjawił się przy furtce wysoki młody człowiek, o bladej twarzy, ubrany w czarny surdut duchownego kroju. Wszedł, nie dzwoniąc, i zbliżył się z powitaniem do pani Pierson; miałem wrażenie, iż fizjonomia jego, która od pierwszego wrażenia uderzyła mnie dość niemile, zachmurzyła się nieco na mój widok. Był to ksiądz, którego widziałem już gdzieś przelotnie; nazywał się Merkanson; wyszedł właśnie z Saint-Sulpice i był krewnym miejscowego proboszcza.

Był równocześnie pulchny i blade; rzecz która mnie zawsze brzydziła i która w istocie jest przykra; jest coś anormalnego w takim chorobliwym zdrowiu. Prócz tego miał wolny i przerywany sposób mówienia zwiastujący pedanta. Chód jego nawet, wyzuty z młodości i swobody, raził mnie; co się tyczy spojrzenia, można powiedzieć, że go wcale nie miał. Nie wiem, co myśleć o człowieku, którego oczy nic mi nie mówią. Oto znaki, z których sądziłem Merkansona, i które, nieszczęściem, nie omyliły mnie.

Usiadł na ławce i zaczął mówić o Paryżu, mieniając go nowożytnym Babilonem. Przybywał stamtąd, znał całe miasto; bywał u pani de B***, istnego anioła, i miewał kazania w jej salonie, słuchano ich na kolanach. (Najgorsze, że to była prawda.) Przyjaciela, który go tam wprowadził, wypędzono świeżo z kolegium za to, że uwiódł jakąś dziewczynę: okropna, smutna historia! Rozwiódł się w zachwytach nad panią Pierson z powodu miłosiernych nawyków, jakich nabrała na wsi; słyszał o jej dobrodziejstwach, o opiece, jaką otacza chorych tak dalece, iż osobiście czuwa przy nich. To bardzo pięknie, bardzo wzniosłe: nie omieszka wspomnieć o tym w Saint-Sulpice. Miało się wrażenie, iż upewnia, że opowie o tym Bogu.

Znużony tym kazaniem, nie chcąc zdradzić zniecierpliwienia, położyłem się w trawie i bawiłem się z kózką. Merkanson skierował na mnie swoje oko bez blasku i życia:

— Słynny Vergniaud — rzekł — miał tę manię, iż siadał na ziemi i bawił się ze zwierzętami.

— Mania bardzo niewinna — odparłem. — Gdyby były tylko takie, świat dałby sobie radę bez pomocy gorliwych opiekunów.

Odpowiedź moja nie przypadła mu do smaku: zmarszczył brwi i odmienił przedmiot. Miał pewne zlecenie: krewniak jego, miejscowy proboszcz, wspomniał mu o jakimś biedaku bez pracy i chleba. Mieszka tam a tam; on sam był tam osobiście, zajął się nim; ma nadzieję, że pani Pierson...

Patrzałem na nią i czekałem jej odpowiedzi, jak gdyby dźwięk jej głosu miał mnie uleczyć z głosu księdza. Skłoniła tylko głowę, po czym gość się pożegnał.

Po jego odejściu wesołość wróciła nam. Udaliśmy się do cieplarni położonej w głębi ogrodu.

Pani Pierson dbała o kwiaty jak o swoje ptaszki i o swoich chłopów; trzeba było, aby wszystkiemu było dobrze w jej pobliżu, aby każdy miał swoją kroplę wody i promień słońca, iżby ona sama mogła być wesoła i szczęśliwa jak dobry anioł; toteż niepodobna sobie wyobrazić czegoś bardziej schludnego i milego niż jej mała cieplarnia. Skorośmy ją obesli, rzekła:

— Panie de T***, oto mój świeatek; widział pan wszystko, co posiadam, tu kończy się moje królestwo.

— Pani — rzekłem — niech imię mego ojca, które zjednało mi wstęp do tego domu, pozwoli mi doń wrócić czasem, a uwierzę, iż szczęście nie zupełnie zapomniało o mnie.

Podala mi rękę, którą uściśnąłem z szacunkiem, nie śmiejąc podnieść do ust.

Skoro zapadł wieczór, wróciłem do domu, zamknąłem drzwi i położyłem się do łóżka. Miałem przed oczyma mały, biały domek; wyobrażałem sobie, jak po obiedzie mijam wieś

Gospodyni, Opieka

i aleję i pukam do furtki. „O moje biedne — serce! — wykrzyknąłem — Bogu niech będzie chwała! młodeś jest jeszcze, możesz żyć, możesz kochać!”

ROZDZIAŁ VI

Pewnego wieczora byłem u pani Pierson. Od owego dnia upłynęły trzy miesiące, w ciągu których widywałem ją prawie codziennie. I cóż wam powiem o tym czasie prócz tego, że ją widywałem? „Być z osobą, którą się kocha — powiada la Bruyère — to wystarcza; marzyć, mówić do niej, nie mówić do niej, myśleć o niej, myśleć o najobojętniejszych rzeczach, ale przy niej; wszystko jedno”.

Kochałem. Od trzech miesięcy odbywaliśmy wspólnie dalekie przechadzki; dopuściła mnie do tajemnic swego skromnego miłosierdzia; wędrowaliśmy przez ciemne aleje, ona na koniku, ja pieszo z prętem w dłoni; i tak w pół marząc, w pół gwarząc, pukaliśmy do chatki. U wejścia do lasu była mała ławeczka, gdzie oczekiwałem jej po obiedzie; spotykaliśmy się jak gdyby przypadkiem a stale. Rano muzyka, czytanie; wieczór partyjka z ciotką przy kominku, jak niegdyś ojciec; i zawsze, w każdym miejscu ona przy mnie; i wciąż uśmiech jej i obecność wypełniały moje serce. Jaką drogą, o Opatrzności, przywiódłś mnie do nieszczęścia? jakież nieodwołalny los trzeba mi było wypełnić? Jak to! życie tak swobodne, tak urocza zażyłość, tyle spokoju, rodząca się nadzieja!... O Boże! na cóż żalą się ludzie? cóż jest słodsze niż kochać?

Żyć tak, czuć silnie, głęboko, że się istnieje, że się jest człowiekiem, tworem Boga, oto pierwsze, największe dobrodziejstwo miłości. Nie ma wątplenia, miłość jest niewytłumaczoną tajemnicą. Mimo wszelkich kajdanów, nędz, można rzec, mimo całej ohydy, jaką świat ją otoczył, zagrzebana pod górą przesądów, które ją wynaturzają i każą poprzez wszystkie kałuże, w jakich ją wloką, miłość, żywa, niepokonana miłość, jest mimo to niebieskim prawem równie potężnym i niezrozumiałym jak to, mocą którego słońce zawisło na niebie. Cóż to jest, pytam, węzeł trwalszy i silniejszy od żelaza, którego nie da się widzieć ani dotknąć? Co to jest spotkać kobietę, spojrzeć na nią, rzec do niej słowo i nigdy jej już nie zapomnieć? Czemu ta a nie inna? Wezwijcie rozum, przyzwyczajenie, zmysły, głowę, serce i wytłumaczcie, jeśli zdołacie. Znajdziecie dwa odrębne ciała, a między nimi, co? powietrze, przestrzeń, nieskończoność. O szaleńcy, którzy uważacie się za ludzi i umiecie rozumować o miłości! czy macie ją w sobie, aby mówić o niej? Nie, uczuliście ją. Wymieniliście spojrzenie z mijającą was nieznaną istotą i nagle wyfrunęło z was coś nieokreślonego, co nie ma nazwy. Wpuściliście korzeń w ziemię, niby ziarno ukryte w trawie, które czuje, iż życie je rozpiera i że ma wydać plon.

Byliśmy sami, przy otwartym oknie; dochodził do nas szelest źródelka sączącego się w głębi ogrodu. O Boże! chciałbym policzyć, kroplę po kropli, wszystką wodę która spłynęła zeń, podczas gdyśmy siedzieli razem, gdy ona mówiła do mnie, a ja odpowiedziałem. Tam to upajałem się nią aż do utraty rozumu.

Powiadają, że nie ma nic równie szybkiego jak uczucie antypatii; ale sądzę, iż jeszcze szybsze jest uczucie wzajemnego porozumienia i rodzącej się miłości. Jakież ceny nabierają wówczas najdrobniejsze słowa! Cóż znaczy, o czym mówią wargi, skoro się słyszy rozmowę serc? Jakaż nieskończona słodycz w pierwszych spojrzeniach kobiety, do której czujemy pociąg! Zrazu wszystko, co się mówi z sobą, to jak gdyby nieśmiały zarys, jak gdyby lekkie próby, niebawem rodzi się osobliwa radość; czuje się, iż się zbudziło echo, tętni się podwójnym życiem. Cóż za dreszcze! cóż za zbliżenia! I kiedy się jest pewnym, że się kocha, kiedy się odczuło w drogiej istocie marzone braterstwo, co za pogoda w duszy! Słowa zamierają same z siebie; wiadomo z góry, co się sobie powie; dusze rozprzestrzeniają się, wargi milkną. Och! cóż za milczenie! jakie zapomnienie wszystkiego!

Mimo że miłość moja, zrodzona od pierwszego dnia, powiększyła się bezmiernie, szacunek, jaki miałem dla pani Pierson, zamykał mi usta. Gdyby mnie była mniej łatwo dopuściła do zażyłości, byłbym może śmielszy; czyniła bowiem na mnie wrażenie tak silne, iż nigdy nie zdarzyło mi się z nią rozstać bez gwałtownych wzruszeń miłości. Ale w tej właśnie szczerości i zaufaniu, jakie mi objawiała, było coś, co mnie wstrzymywało; przy tym początek jej przyjaźni zawdzięczałem nazwisku ojca. Wzgląd ten sprawiał, iż stawałem się wobec niej jeszcze bardziej pełny szacunku; zależało mi na tym, aby się okazać godnym tego nazwiska.

Miłość

Miłość, Wzrok, Ziarno

Miłość, Słowo, Milczenie

„Mówić o miłości znaczy oddawać się po trosze”. Mówiliśmy o niej rzadko. Za każdym razem, kiedy zdarzyło mi się mimochodem dotknąć tego przedmiotu, pani Pierson puszczała to mimo uszu i zaczynała mówić o czym innym. Nie zdawałem sobie sprawy z jej pobudek, nie była to bowiem pruderia, ale zdawało mi się niekiedy, że twarz jej przybiera wówczas lekki odcień surowości, a nawet cierpienia. Ponieważ nigdy nie zadawałem i nie chciałem zadawać jej pytań co do ubiegłego życia, nie pytałem też o nic.

Co niedzielę odbywały się we wsi tańce, chodziła na nie prawie zawsze. W te dni strój jej, mimo że zawsze prosty, był bardziej wyszukany; kwiat we włosach, weselsza wstążka, jakiś drobiazg; ale w całej osobie było coś młodszego, swobodniejszego. Taniec, który z natury bardzo lubiła, ot, po prostu, jako zabawną igraszkę, rodził w niej pustą wesołość; miała swoje miejsce opodal małej miejscowej orkiestry, przybywała w podskokach, śmiejąc się z dziewczętami wiejskimi, które znały ją prawie wszystkie. Raz porwana wirami, nie ustawała w zapale. Wówczas zdawało mi się, że odnosi się do mnie z większą swobodą niż zazwyczaj; zdradzała równocześnie jakąś niezwykłą poufałość. Nie tańczyłem, będąc jeszcze w żałobie; ale stałem za jej krzesłem, i widząc ją w tak dobrym usposobieniu, niejedną raz miałem pokusę wyznać, że ją kocham.

Ale, nie wiem dlaczego, ilekroć uświadomiłem to sobie, czułem nieprzewycięzoną trwożę; sama myśl o wyznaniu przejmowała mnie powagą wśród najweselszej rozmowy. Próbowałem niekiedy napisać jej to, ale paliłem list, zaledwie doszedłszy do połowy.

Pewnego wieczora byłem u niej na obiedzie; patrzyłem na harmonię tego zacisza, myślałem o spokojnym życiu, jakie wiodę, o moim szczęściu od czasu, jak ją znam, i powiedziałem sobie: „Po co iść dalej? — czy ci to nie wystarcza? Kto wie? Bóg może nie przeznaczył ci więcej. Gdybym jej powiedział, że ją kocham, cóż by wynikło? zabroniłaby mi może przychodzić. Czy tym wyznaniem uczynię ją bardziej szczęśliwą niż jest dzisiaj? czy sam będę przez nie szczęśliwszy?”

Oparłem się o klawikord i w miarę, jak mi napływały te myśli, ogarniał mnie smutek. Zapadał mrok; pani Pierson zapaliła świecę; siadając z powrotem koło mnie, ujrzała łzę, która wymknęła mi się z oczu.

— Co panu? — rzekła.

Odwrociłem głowę.

Szukałem wymówki i nie umiałem znaleźć; lękałem się spotkać jej spojrzenia. Wstałem i podszedłem do okna. Wieczór był ciepły, księżyc wschodził poza aleją lipową, tą, w której ujrzałem ją po raz pierwszy. Popadłem w głęboką zadumę, zapomniałem nawet o jej obecności. Wyciągnąłem ramiona ku niebu, szloch wydarł mi się z piersi.

Wstała i podeszła ku mnie.

— No, co to? — spytała jeszcze.

Odparłem, iż widok tej rozległej pustej doliny uprzytomnił mi śmierć ojca; pożegnałem się i wyszedłem.

Dlaczego postanowiłem zamilczeć mą miłość, tego nie mogłem zrozumieć. Ale zamiast wracać do domu, zacząłem błądzić jak szalowiec po polach i lasach. Przysiadłem na każdej ławce po drodze, to znów zrywałem się spiesźnie. Około północy znalazłem się pod domem pani Pierson; stała w oknie. Na jej widok uczułem iż drzę, chciałem uciekać, byłem jak urzeczony, podszedłem wolno i smutnie, aby usiąść pod jej oknem.

Nie wiem, czy mnie poznała; byłem tam już od kilku chwil, kiedy usłyszałem jej świeży i słodki głos nucący refren piosenki, równocześnie zaś trącił mnie kwiat, padając mi na ramię. Była to róża, którą, tegoż samego wieczoru, widziałem na jej piersi; podniosłem ją i przycisnąłem do ust.

— Kto to — rzekła — o tej porze? czy to pan? — Nazwała mnie po imieniu.

Furtka była uchylona; wstałem w milczeniu i wszedłem. Zatrzymałem się w połowie trawnika; kroczyłem jak lunatyk, nie wiedząc, co czynię.

Naraz ujrzałem ją w drzwiach domu; zdawała się niepewna i patrzyła uważnie w migocący księżyc. Podeszła nieco ku mnie, ja zbliżyłem się. Nie mogłem mówić; padłem na kolana i ująłem jej rękę.

— Słuchaj, Oktawie — rzekła — ja wiem wszystko: ale jeżeli to aż do tego stopnia, trzeba jechać. Bywasz tu codziennie, czy nie witam cię mile? czy to nie dosyć? Cóż ja mogę więcej? masz moją przyjaźń; byłabym pragnęła, abys miał siłę zachować mi dłuższą swoją.

ROZDZIAŁ VII

Po tych słowach pani Pierson zmilknęła, jakby czekając odpowiedzi. Ponieważ trwałem tak przygnieciony smutkiem, wysunęła łagodnie rękę, odeszła kilka kroków, zatrzymała się jeszcze, następnie wróciła z wolna do domu.

Zostałem tak na trawniku. Spodziewałem się tego, co mi rzekła; natychmiast powziąłem postanowienie, zamyśliłem wyjechać. Podniosłem się z sercem zbolałym, ale mężnym, i obszedłem ogród dokoła. Patrzałem na dom, na jej okno; wychodząc, zamknąłem furtkę i przyłożyłem wargi do zamku.

Wróciwszy do domu, kazałem służącemu, aby narządził, co trzeba, jako że mam zamiar wyjechać o świcie. Nieborak zdumiał się, ale dałem znak, aby słuchał i nie pytał o nic. Przyniósł walizę i zaczęliśmy czynić przygotowania.

Była piąta rano; zaczynało dzień, kiedy zapytałem sam siebie, dokąd się mam udać. Na tę myśl tak prostą, która mi wszelako nie przyszła dotąd do głowy, uczułem nieprzeparłe zniechęcenie. Spojrzałem na pola, wodząc oczyma po widnokręgu. Ogarnęła mnie wielka niemoc; czułem się bezgranicznie znużony. Usiadłem w fotelu; stopniowo ogarniał mnie jakiś zamęt; przytknąłem rękę do czoła, było złane potem. Gwałtowna febra wstrząsała wszystkie moje członki; zaledwie miałem siłę zawlec się do łóżka przy pomocy służącego. Myśli moje były tak mętne, iż z trudnością przypominałem sobie to, co zaszło. Tak upłynął dzień; nad wieczorem usłyszałem dźwięki orkiestry. Była to niedzielna zabawa; posłałem Larive'a, aby zjrzał i dowiedział się, czy pani Pierson tam jest. Nie zastał jej; wysłałem go do domu. Okiennice były zamknięte; służąca oznajmiła iż pani wyjechała wraz z ciotką i że mają spędzić kilka dni u krewnego w N***, małym miasteczku, dość odległym. Zarazem przyniósł mi list, skreślony w tych słowach:

„Od trzech miesięcy znam pana, od miesiąca zaś spostrzegłam, iż budzi się w panu to, co w twoim wieku nazywa się miłością. Miałam wrażenie, że pan postanowił ukryć przede mną to uczucie i przewyciężyć je. Ceniłam pana już wprzód, to pomnożyło jeszcze mój szacunek. Nie czynię żadnych wymówek za to, co się stało, ani za to, że wola nie dopisała panu.

To, co pan bierze za miłość, jest tylko pragnieniem. Wiem, że wiele kobiet sili się je obudzić; byłoby z ich strony lepiej zrozumianą ambicją sprawić, aby nie było im potrzeba tego środka dla pozyskania czyjejś sympatii; ale nawet i ta próżność jest snadź niebezpieczna, skoro przychodzi mi żalować, iż dopuściłam jej w stosunku do pana.

Jestem starsza od pana o kilka lat i proszę, abyś nie starał się już mnie widzieć. Na próżno siliłby się pan zapomnieć chwilę słabości; to co zaszło między nami, nie może się ani powtórzyć, ani też nie da się zupełnie zapomnieć.

Opuszczam pana nie bez smutku; oddalam się na kilka dni; jeżeli za powrotem nie zastanę już pana, zachowam wdzięczność za tę ostatnią oznakę przyjaźni i szacunku.

Brygida Pierson”.

ROZDZIAŁ VIII

Gorączka zatrzymała mnie tydzień w łóżku. Z chwilą, gdy byłem zdolny pisać, odpowiedziałem pani Pierson, że wola jej będzie spełniona, i że wyjadę. Przyrzekałem to z dobrą wiarą i bez żadnego zamiaru oszukiwania, ale nie przyszło zgoła do spełnienia obietnicy. Zaledwie zrobiwszy dwie mile, krzyknąłem na woźnicę, aby stanął, i wysiadłem. Zacząłem się przechadzać po gościńcu. Nie mogłem oderwać oczu od wioski mającej w oddali. Wreszcie po chwili straszliwego wahania, uczułem, iż nie podobna mi jechać dalej i że raczej skonam na miejscu niżbym wsiadł z powrotem do powozu. Kazałem pocztylionowi nawracać i zamiast jechać do Paryża, jak to oznajmiłem, puściłem się wprost do N***.

Przybyłem o dziesiątej wieczór. Zaledwie wysiadłszy w gospodzie, kazałem sobie przez chłopca wskazać dom owego krewniaka i nie zastanawiając się, co czynię, udałem się tam bezzwłocznie. Otwarła mi służąca; spytałem o panią Pierson i kazałem oznajmić, iż ktoś pragnie ją widzieć na zlecenie ks. Desprez. Było to nazwisko naszego proboszcza.

Podczas gdy służąca odeszła, czekałem w małym dość ciemnym dziedzińcu; ponieważ padał deszcz, posunąłem się aż do sionki koło schodów, również nieoświetlonej. Niebawem nadeszła pani Pierson, wyprzedzając służącą. Zeszła szybko i nie dojrzała mnie w ciemności; postąpiłem parę kroków i dotknąłem jej ramienia. Rzuciła się w tył ze zgrozą i krzyknęła:

— Czego pan chce ode mnie?

Głos jej drżał; kiedy służąca zjawiła się z lampą, ujrzałem, iż jest tak blada, że nie wiedziałem, co myśleć. Czy podobna, aby moja niespodziana obecność zmieszała ją do tego stopnia? Myśl ta przeszła mi przez głowę; ale rzekłem sobie, iż był to bez wątpienia jedynie odruch przestachu, naturalny u kobiety.

Pani Pierson spokojniejszym już głosem powtórzyła pytanie.

— Trzeba — rzekłem — aby mi pani jeszcze raz pozwoliła pomówić z sobą. Wyjadę, opuszczę te strony; będę posłuszny, przysięgam, i to ponad pani życzenia; sprzedam ojcowiznę, wszystko, i przeniosę się za granicę. Ale tylko pod tym warunkiem, że zobaczę się z panią jeszcze raz; inaczej zostaję; niech się pani nie lęka niczego z mej strony, ale postanowienie moje jest nieodwołalne.

Zmarszczyła brew i powiodła wkoło oczyma z dziwnym wyrazem twarzy; po czym odpowiedziała mi niemal laskawie:

— Niech pan przyjdzie jutro, przyjmę pana.

Z tym odeszła.

Przybyłem nazajutrz w południe. Wprowadzono mnie do pokoju pełnego staroświeckich mebli i dywanów. Zastałem panią Pierson samą, siedzącą na sofie. Usiadłem na wprost niej.

— Pani — rzekłem — nie przychodzę ani mówić o tym, co cierpię, ani zapierać się mej miłości. Napisłaś mi, że tego, co zaszło między nami nie da się zapomnieć; i to jest prawda. Ale powiada pani, iż z tej przyczyny nie możemy się widywać jak wprzódy, i w tym się mylisz. Kocham cię, ale cię nie obraziłem; nic nie zmieniło się dla pani, skoro mnie nie kochasz. O ile bym panią widywał, chodzi więc tylko o gwarancję z mej strony; ręczy zaś pani za mnie właśnie moja miłość.

Chciała przerwać.

— Pozwól mi pani skończyć, jeśli łaska. Nikt lepiej ode mnie nie wie, iż, mimo całego mego szacunku i na przekór wszystkim zakłębom, miłość jest silniejsza. Powtarzam, nie myślę się zapierać tego, co czuję. Ale, jak sama powiadasz, nie od dzisiaj wie pani, że ją kocham. Cóż mi bronilo tedy wyznać to dotychczas? Obawa, aby pani nie stracić; bałem się, iż nie zechce mnie pani widywać; i tak się stało. Niech pani postawi jako warunek, iż za pierwszym słowem, za pierwszym gestem lub myślą, które by się oddalały od najgłębszego szacunku, drzwi pani zamkną się dla mnie; jak umiałem milczeć dotąd, tak zmilczę na przyszłość. Pani sądzi, że ja panią kocham od miesiąca? nie! od pierwszego dnia. Kiedy pani się spostrzegła, nie przestała pani mimo to mnie przyjmować. Jeżeli pani szanowała mnie wówczas na tyle, aby wierzyć, iż jestem niezdolny panią obrazić, dlaczego miałbym stracić ten szacunek? O niego to przychodzę się upominać. I cóż ja uczyniłem? Ukląkłem; nie rzekłem nawet słowa. Co wyznałem? już to pani wiedziała. Byłem słaby, ponieważ cierpiałem. Otóż, pani, mam dwadzieścia lat; to co widziałem w życiu, wzbudziło we mnie taką odrazę (mógłbym użyć silniejszego słowa), iż nie ma dziś na ziemi, ani wśród ludzi, ani w samotności nawet, tak małego i nie znaczącego miejsca, które bym chciał zajmować. Przestrzeń objęta czterema murami pani ogrodu jest jedynym miejscem na świecie, w którym żyję; pani jesteś jedyną istotą ludzką, która budzi we mnie miłość Boga. Wyrzekłem się wszystkiego, zanim jeszcze cię poznałem; dlaczego chcesz mi odbierać jedyny promień słońca, który Opatrzność mi zostawiła? Jeśli przez obawę, w czym mogłem ją obudzić? Jeśli za karę, w czym zawiniłem? Jeśli przez litość, dlatego że cierpię, myli się pani, sądząc, iż mogę się uleczyć. Mogłem może przed dwoma miesiącami: wolałem raczej żyć przy tobie i cierpieć, i nie żałuję tego, co bądź się stanie. Jedyne nieszczęście, jakie może mnie dosięgnąć, to stracić ciebie. Wystaw mnie na próbę. Jeżeli kiedykolwiek uczuję, że nasz układ jest dla mnie zbyt bolesny, wyjadę; możesz na tym polegać, skoro oddalasz mnie dzisiaj, a ja gotów jestem wyjechać. Cóż pani naraża, przyzwalając mi jeszcze miesiąc albo dwa jedynego szczęścia, jakiego zaznam kiedykolwiek?

Czekałem odpowiedzi. Pani Pierson wstała nagle, po czym usiadła z powrotem. Milczała przez chwilę.

— Niech pan będzie przekonany — rzekła — że to nie jest tak.

Miałem uczucie, że szuka wyrażenia, które by się nie wydały zbyt surowe, i że pragnie mi odpowiedzieć łagodnie.

— Jedno słowo — rzekłem wstając — jedno słowo i nic więcej. Wiem, kto pani jest, i jeżeli jest w pani sercu jakiś ślad współczucia, dziękuję za nie; powiedz słowo! ta chwila rozstrzyga o moim życiu.

Wstrząsnęła głową, ujrzałem, iż się waha.

— Sądzi pani, że ja się wyleczę? — wykrzyknąłem — niechaj ci Bóg zostawi tę myśl, jeśli mnie wypędzisz...

Mówiąc te słowa, patrzałem na widnokrąg; na myśl, że mam jechać, czułem aż do głębi duszy tak straszliwą samotność, iż krew mi się ścinała. Stałem nieruchomo, z oczyma wlepionymi w nią, czekając, aby przemówiła; wszystkie siły mego życia zawisły u jej warg.

— A więc — rzekła — posłuchaj, Oktawie. Przyjazd pański tutaj, to krok bardzo nierozważny; nie trzeba, aby się zdawało, że pan dla mnie tu przybył. Dam panu zlecenie do pewnego przyjaciela mojej rodziny; może się to panu wyda nieco daleko, ale będzie to dla pana sposobność oddalenia się na pewien czas: dłuższy, jeśli pan zechce, ale w każdym razie niezbyt krótki. Co bądź byś mówił — dodała z uśmiechem — mała podróż uspokoi pana. Zatrzyma się pan w Wogezach, po czym uda się pan do Strasburga. Za miesiąc, powiedzmy za dwa miesiące, wróci pan zdać mi sprawę ze zlecenia; zobaczymy się i będziemy mogli lepiej się porozumieć.

ROZDZIAŁ IX

Tegoż samego dnia wieczór otrzymałem od pani Pierson list zaadresowany do p. R. U. w Strasburgu. W ciągu trzech tygodni załatwiłem zlecenie i wróciłem.

W czasie podróży myślałem tylko o niej i straciłem wszelką nadzieję, aby ją kiedy zapomnieć. Jednakże postanowiłem milczeć; niebezpieczeństwo postradania jej, na jakie się naraziłem przez nierozwagę, kosztowało mnie zbyt wiele cierpień, abym się miał wystawiać na nie znowu. Szacunek mój nie pozwalał mi wątpić o jej dobrej wierze; w nagłym wyjeździe nie widziałem nic, co by było podobne do obłudy. Miałem niezbite przekonanie, iż za pierwszym słowem straciłbym wstęp do jej domu.

Zastałem panią Pierson wychudłą i zmienioną. Zwyczajny jej uśmiech jak gdyby omdlewał na białych wargach. Rzekła, iż była cierpiąca.

Nie było mowy o tym, co zaszło. Ona robiła wrażenie, że nie chce pamiętać, ja zaś nie chciałem mówić o tym. Wróciliśmy niebawem do dawnych sąsiedzkich przyzwyczajzeń; było w tym jednak pewne skrępowanie i jakby sztuczna poufalskość. Zdawało się czasem, jakbyśmy mówili: „Było tak niegdyś, niechże znów będzie tak samo”. Ufność jej była niby moją rehabilitacją, niepozabawioną zresztą dla mnie uroku. Ale gawędy nasze wiele straciły na ożywieniu przez to samo, iż podczas gdyśmy mówili, spojrzenia nasze wiodły niemią rozmowę. W słowach naszych nie było już nic do zgadywania. Nie staraliśmy się jak wprzódy, wnikać wzajem w swoją duszę; nie było już tej zagadki w każdym wyrazie, w każdym uczuciu, tego dawnego ciekawego odważania. Pani Pierson odnosiła się do mnie z dobrocią, ale nawet jej dobroć przyjmowałem z nieufnością; przechadzaliśmy się po ogrodzie, ale nie podjęliśmy już wspólnych wycieczek, nie przebiegaliśmy razem lasów i dolin. Kiedy byliśmy sami, Brygida siadała do fortepianu: dźwięk jej głosu nie budził już w moim sercu owych porywów młodości, owych radosnych uniesień, które są niby łkania wezbrane nadzieją. Kiedy odchodziłem, podawała mi zawsze rękę, ale ręka ta była martwa. Było wiele przymusu w naszej swobodzie, wiele namysłu w najdrobniejszych odezvaniach, wiele smutku na dnie tego wszystkiego.

Czuliśmy dobrze, że jest między nami jakby ktoś trzeci: miłość moja do niej. Nic nie zdradzało jej w moich postępkach, ale rychło odbiła się na mej twarzy: straciłem owo wesele, rześkość i zdrowie, jakie wprzód tryskały mi z policzków. Nim miesiąc upłynął, niepodobny byłem do samego siebie.

Jednakże ilekroć rozmawiałem z Brygidą, podkreślałem zawsze moją odrazę do świata, niechęć, jaką budziła we mnie myśl o powrocie między ludzi. Siliłem się dać jej uczuć, iż

Miłość, Przemiana

nie powinna sobie wyrzucać, że mnie dopuściła na nowo do siebie. Malowałem ubiegłe życie w najbardziej posępnych kolorach, dając do zrozumienia, iż gdyby mi przyszło się z nią rozłączyć, czekałaby mnie samotność gorsza od śmierci; mówiłem, że mam wstręt do społeczeństwa, wierny zaś obraz mego życia, jaki równocześnie kreśliłem, świadczył, że jestem szczerzy. To znów udawałem wesołość, która była bardzo daleka od mego serca, aby jej dowieść, iż pozwalając mi się widywać, ocaliła mnie od najstraszniejszego nieszczęścia; dziękowałem jej prawie za każdym razem, kiedy byłem u niej, aby móc wrócić wieczorem i nazajutrz.

— Wszystkie moje marzenia o szczęściu — mówiłem — wszystkie nadzieje, ambicje, zamykają się w tym zakątku, który pani zamieszkuje; poza powietrzem, którym ty oddychasz, nie ma dla mnie życia.

Brygida widziała, co cierpię, i nie mogła się wstrzymać, aby mnie nie żałować. Wytrwanie moje budziło w niej litość; wszystkie jej słowa, gesty nawet, całe zachowanie, miały w sobie coś tkliwego. Czuła walkę, jaka się we mnie toczy: posłuszeństwo moje schlebiali jej dumie; ale bladeść moja budziła w niej instynkty siostry miłosierdzia. Czasem była podrażniona, prawie zalotna; mówiła kapryśnym tonem: „Jutro niech pan nie przychodzi, nie będzie mnie w domu”. Potem, kiedy odchodziłem smutny i zrezygnowany, miękła nagle i dodawała: „Nie wiem zresztą, niech pan w każdym razie zajrzy”; lub też żegnała mnie serdecznie, odprowadzając do furtki smutnym i łagodnym spojrzeniem.

— Nie wątp o tym, Brygido — mówiłem — to Opatrzność przywiodła mnie do ciebie. Gdybym cię nie poznał, byłbym może popadł na nowo w dawne szaleństwa. Bóg zesłał cię niby jasnego anioła, aby mnie wyrwać z otchłani. Niebo powierzyło ci świętą misję; gdybym cię stracił, kto wie, dokąd by mnie mógł zawieść trawiący mnie smutek, nieszczęsne doświadczenie, którego nabyłem tak wczesnie, i straszliwa walka mej młodości z moim znudzeniem?

Ta myśl, wyrażana bardzo szczerze, miała największy wpływ na kobietę głęboko religijną, o duszy równie nabożnej, jak żarliwej. Kto wie, może dla tej jednej przyczyny pani Pierson pozwoliła mi się widywać.

Wybierałem się właśnie do niej pewnego dnia, kiedy ktoś zapukał. Był to Merkanson, ów ksiądz, którego spotkałem u Brygidy za pierwszą bytnością. Zaczął od usprawiedliwień równie mdłych jak on sam, iż zjawia się, nie mając zaszczytu być mi znany; odparłem, iż znam go bardzo dobrze jako bratanka miejscowego proboszcza i spytałem, o co chodzi.

Kręcił się na wszystkie strony z niewyraźną miną, szukając wyrazów i dotykając wszystkiego, co leżało na stole, jak człowiek, który nie wie, co powiedzieć. Wreszcie oznajmił, że pani Pierson jest chora i zawiadamia, że mnie nie może dziś przyjąć.

— Chora? Ależ pożegnałem ją wczoraj dość późno i miała się zupełnie dobrze!

Sklonił się.

Ależ księżu, jeżeli jest chora, dlaczegoż uwiadamia mnie o tym przez obcą osobę? Nie mieszka znów tak daleko i nie byłoby nieszczęścia, gdybym odbył tę drogę daremnie.

Ten sam gest z jego strony. Nie mogłem pojąć, co znaczy jego wizyta, a tym mniej zlecenie, jakie mu poruczono.

— Dobrze — odparłem — będę u pani Pierson jutro, wytłumaczy mi wszystko.

Znów zaczął się kręcić: „Pani Pierson powiedziała jeszcze... miał mi powiedzieć... podjął się...”

— Cóż wreszcie? — wykrzyknąłem zniecierpliwiony.

— Łaskawy pan jest bardzo nagły. Zdaje się, że pani Pierson jest dość poważnie chora; nie będzie mogła pana przyjąć cały tydzień.

Znów skłonił się i wyszedł.

Jasne było, że w tym tkwi jakaś tajemnica: albo pani Pierson nie chce mnie już widywać (i nie rozumiałem czemu), albo Merkanson wmieszał się z własnego popędu.

Odczekałem dzień; nazajutrz, rano już, znalazłem się u drzwi Brygidy. Służąca oświadczyła mi, iż w istocie pani jest bardzo chora; mimo nalegań nie chciała ani przyjąć pieńędzy, które jej wciskałem, ani słuchać pytań.

Wracając, spotkałem w alei Merkansona; otoczony był dziatwą uczęszczającą na lekcje do proboszcza. Przerwałem mu jakiś wykład i poprosiłem o dwa słowa.

Udał się za mną; tym razem mnie się język plątał, nie wiedziałem bowiem, jak wziąć się do rzeczy, aby zeń wydobyć tajemnicę.

— Księżę — rzekłem — błagam, abys mi powiedział, czy to, co mi rzekłeś wczoraj, było prawdą, czy też kryje się coś innego na dnie. Poza tym iż nie ma w okolicy lekarza, któremu by można zaufać, mam niezmiernie ważne przyczyny, aby się dowiedzieć istotnej prawdy.

Bronił się na wszystkie sposoby, utrzymując, iż pani Pierson jest chora; co do niego, nie wie nic, prócz tego, iż wysłała poń i dała mu to zlecenie. Tak, wśród rozmowy, zaszliśmy dość daleko, w odludne miejsce. Widząc, iż na nic się nie zdadzą podstęp ani prośba, zwróciłem się nagle i chwyciłem go za ramiona.

— Co to ma znaczyć? Czy chce pan użyć gwałtu?

— Nie, ale chcę, aby ksiądz mówił szczerze.

— Pogrożek się nie ulęknę, a powiedziałem to, com był powinien.

— To, co ksiądz powinien, a nie to, co wie. Pani Pierson nie jest chora; wiem, jestem pewny.

— Na jakiej podstawie?

— Służąca mi powiedziała. Dlaczego broni mi wstępu i to za pośrednictwem pana?

Przechodził jakiś wieśniak.

— Piotrze — zawołał nań po imieniu Merkanson — zaczekajcie na mnie, mam z wami do pomówienia.

Wieśniak zbliżył się; tego właśnie pragnął klecha, licząc, iż przy świadku nie będę śmiał się nań porwać. Puściłem go w istocie, ale tak szorstkim ruchem, iż zatoczył się i uderzył plecami o drzewo. Zacisnął pięść i odszedł bez słowa.

Przebyłem cały tydzień w najgwałtowniejszym poruszeniu, pukając po trzy razy dziennie do pani Pierson i zastając drzwi zamknięte. Otrzymałem od niej list; pisała, iż moja natarczywość ściąga plotki całej okolicy, dlatego prosi, abym na przyszłość odwiedzał ją mniej często. Żadnej wzmianki o Merkansonie ani o chorobie.

Skrupuł ten był tak niezgodny z jej charakterem i stanowił taką sprzeczność z obojętną dumą, jaką objawiała zawsze na gadania tego rodzaju, iż trudno mi wręcz było uwierzyć w tę pobudkę. Mimo to nie umiając znaleźć innego wytłumaczenia, odpowiedziałem, iż wola jej jest dla mnie zawsze najświętszym rozkazem. Ale mimowiednie słowa, w jakich skreśliłem mą odpowiedź, miały odcień goryczy.

Odwlekałem nawet samochcąc dzień, w którym wolno mi było ją odwiedzić, i nie posyłałem dowiadywać się o zdrowie, aby okazać, iż nie wierzę w jej chorobę. Nie wiedziałem, z jakiej przyczyny ta banicja; ale byłem w istocie tak nieszczęśliwy, iż myślałem niekiedy poważnie, aby skończyć z tym nieznośnym życiem. Spędzałem dnie całe w lesie; pewnego dnia przypadek urządził, iż Brygida spotkała mnie tam w stanie godnym współczucia.

Zaledwie zdobyłem się na to, aby ją prosić o jakieś wyjaśnienia; nie odpowiedziała szczerze, ja zaś nie wróciłem już do tego przedmiotu. Nie pozostało mi nic, jak tylko liczyć dni spędzone z dala od niej i żyć tygodnie całe nadzieją widzenia jej. Raz po raz czułem ochotę rzucenia się do jej kolan i odmalowania mojej rozpacz. Powiadałem sobie, że nie może być tak nieczuła, aby mi nie odpłacić bodaj paru słowami litości; ale przypomniałem sobie ów nagły wyjazd i jej surowość: drżałem, aby jej nie stracić, wołałem raczej umrzeć niż narazić się na to.

Przy takim życiu, nie mając nawet możliwości zwierzenia mych męczarni, podupadałem coraz więcej na zdrowiu. Smutno wlokłem się do domu Brygidy: czułem, iż każde odwiedziny dadzą mi tylko nowy powód do zgryzoty; przy każdym pożegnaniu coś się darło we mnie tak, jakbym już nigdy nie miał jej oglądać.

Ona również nie miała ze mną dawnej swobody; mówiła o planach, podróży; rozmyślnie lekkim tonem zwierzała mi, iż ma ochotę opuścić te strony; ja zaś, słysząc to, martwiałem za każdym razem. Jeżeli przez chwilę była ze mną naturalniejsza, natychmiast potem zamykała się w rozpaczliwym chłodziu. Jednego dnia nie mogłem się powstrzymać, aby nie zapłakać z bólu. Ujrzałem, iż mimo woli zbladła. Kiedym już odchodził, rzekła:

— Wybieram się jutro do Sainte-Luce — była to wioska w okolicy — to za daleko, aby iść pieszo. Proszę wstąpić po mnie konno wczesnym rankiem, jeśli pan nie ma nic do czynienia; odprowadzi mnie pan.

Stawiłem się, jak można sobie wyobrazić, punktualnie. Układając się poprzedniego dnia do snu, nie posiadałem się z radości; ale wyjeżdżając z domu, doświadczałem, przeciwnie, uczucia niezwalzonego smutku. Krok ten wydał mi się ze strony Brygidy okrutnym kaprysem, jeśli mnie nie kochała; wiedziała, ile cierpię; po cóż tedy wystawiała na próbę moje męstwo, o ile nie zmieniła poglądów?

Myśl ta, która nawiedziła mnie mimo woli, podziałała na mnie zupełnie niezwykle. Serce biło mi, kiedy podawałem Brygidzie strzemię; ale nie wiem, czy to było z miłości czy z gniewu. „Jeśli mi sprzyja — powiadałem sobie — po co tyle surowości? jeśli jest tylko zalotnicą, czemu tyle swobody?”

Tacy są mężczyźni. Za pierwszym moim słowem spostrzegła, że patrzę koso i że twarz mi się mieni. Zmilkłem i trzymałem się drugiej strony drogi. Póki jechaliśmy przez równinę, Brygida zdawała się spokojna; jedynie od czasu do czasu odwracała głowę dla przekonania się, czy jadę za nią. Ale skoro wjechaliśmy do lasu i kiedy stąpania koni zaczęły się rozlegać pod cienistym sklepieniem, ujrzałem nagle, że drży. Zatrzymała się, jak gdyby czekając na mnie, trzymałem się bowiem wciąż nieco z tyłu; z chwilą, gdyśmy się zrównali, puszczała się galopa. Niebawem dotarliśmy do stoku góry; trzeba było jechać stępa. Wówczas zbliżyłem się do niej, ale oboje spuściliśmy głowy; nadeszła chwila, wziąłem ją za rękę.

— Brygido — rzekłem — czy cię nużyłem skargami? Od czasu, jak wróciłem, widuję cię niemal co dzień; co wieczór, wracając do domu, pytam sam siebie, kiedy mi trzeba będzie umrzeć: czy cię tym dręczyłem? Od dwóch miesięcy, przez które tracę spokój, siły i nadzieję, czy rzekłem choć słowo o tej nieszczęsnej miłości, która mnie pożera i która mnie zabija, nie wiesz o tym? Spójrz na mnie; czy trzeba ci mówić? Czy nie widzisz, że cierpię i że noce moje spływają we łzach? czy nie spotkałaś kędyś w tym posępnym lesie nieszczęśnika siedzącego z czołem utopionym w dłoniach? czy nie dostrzegłaś nigdy łez na tych zaroślach? Spójrz na mnie; spójrz na te góry; czy pamiętasz, że cię kocham? One to wiedzą, one były świadkami; te skały, pustkowie wiedzą o tym. Po co wiesz mi przed tych świadków? czy nie jestem dość nieszczęśliwy? czy zbrakło mi męstwa? czy nie dość byłem posuszny? Na jaką próbę, na jakie męczeństwo wydałaś mnie i za jakie zbrodnie? Jeśli mnie nie kochasz, po co tu jesteś ze mną?

— Jedźmy — rzekła — wracajmy.

Chwyciłem konia za uzdę.

— Nie — odparłem — złamałem układ, wszak prawda? Jeśli wrócimy, stracę cię, wiem o tym; skoro znajdziemy się w domu, wiem z góry, co mi powiesz. Chciałaś się przekonać, dokąd sięga moja cierpliwość, wydałaś na próbę mą męczarnię umyślnie może, aby mieć prawo mnie wypędzić; znużył cię ten smętny kochanek, który cierpiał bez skargi i z rezygnacją pił gorzki kielich twej wzgardy! wiedziałaś, iż znalazłszy się sam z tobą, w obliczu tych lasów, tych ustroni, gdzie zaczęła się miłość moja, nie zdołam zachować milczenia! chciałaś, abym cię obraził: więc dobrze, pani, stracę cię: niech się spełni! dość płakałem, dość cierpiałem, dość gnębiłem w wym sercu szaloną miłość, która mnie pożera; dosyć już byłaś okrutna!

Uczyniła ruch, jakby chcąc zeskoczyć z konia, chwyciłem ją w ramiona i przyłgnąłem wargami do jej warg. Ale w tej samej chwili oczy jej zamknęły się, puściła cugle i osunęła się na ziemię.

— Boże miłosierny — krzyknąłem — kocha mnie! — Uczułem, iż oddała mi pocałunek.

Zeskoczyłem z konia i podbiegłem. Brygida leżała na trawie. Podniosłem ją, otwarła oczy; wstrząsnęła się cała jakby od nagłej grozy; odepchnęła z siłą mą rękę i uciekła.

Stałem na kraju drogi i napawałem się jej pięknnością. Zatrzymała się, wsparta o drzewo; włosy jej rozsypały się na ramiona, ręce drżały od wzruszenia, policzki powleczone rumieńcem błyszczały purpurą i perłami.

— Nie zbliżaj się pan! — krzyknęła — nie zbliżaj się ani na krok.

— O moja ukochana — rzekłem — nie lękaj się; jeśli cię obraziłem przed chwilą, możesz mnie ukarać; to był napad szału i bóleści; zrób ze mną, co chcesz, możesz jechać teraz, wyprawić mnie, gdzie zechcesz! Wiem, że mnie kochasz, Brygido, jesteś tutaj bardziej bezpieczną niż królowie świata w swoich pałacach.

Miłość, Cierpienie,
Pocałunek, Szczęście,
Kobieta, Mężczyzna

Na te słowa pani Pierson utkwiała we mnie wilgotne oczy; ujrzałem, jak szczęście mego życia idzie ku mnie w jednej błyskawicy. Podbiegiem i ukląknłem przed nią. Ach, słabo kocha ten, kto może powtórzyć słowa, jakich użyła jego ubóstwiana, aby mu wyznać swą miłość.

Miłość, Słowo

ROZDZIAŁ X

Gdybym był jubilerem i gdybym wyjął ze swego skarbcza naszyjnik pereł, aby zeń uczynić podarek przyjacielowi, zdaje mi się, iż sprawiłoby mi wielką radość włożyć mu go samemu na szyję; ale gdybym był tym przyjacielem, raczej bym umarł, niżbym wydarł ów naszyjnik z rąk jubilera.

Wiem, iż większość mężczyzn kwapi się co prędzej posiąść kobietę, która ich kocha; ja robiłem zawsze przeciwnie, nie z wyrachowania, ale z instynktu serca. Kobieta, która kocha trochę i która się opiera, nie kocha dosyć; ta zaś, która kocha dosyć i opiera się, nie czuje się dosyć kochaną.

Miłość, Seks

Wyznawszy mi, że mnie kocha, pani Pierson stała się bardziej ufną i wylaną niż kiedykolwiek. Szacunek, jaki okazałem, natchnął ją tak słodką radością, iż piękna jej twarz stała się niby rozwity kwiat. To wybuchała szaloną wesołością, to zatrzymywała się nagle zamyślona; to, chwilami, traktowała mnie niemal jak dziecko, to znów patrzyła na mnie z oczyma pełnymi łez; wymyślała tysiąc żarcików, aby znaleźć pozór do poufalszego słowa lub niewinnej pieszczoty; za chwilę opuszczała mnie, aby przysiąść na uboczu i utonąć w zadumie. Czy może istnieć bardziej lubie widowisko? Kiedy wracała ku mnie, znajdowała mnie opodal, na ścieżce, z której przyglądałem się jej z dala.

— O moja ulubiona — mówiłem — sam Bóg się cieszy, widząc, jak jesteś kochana.

Nie mogłem jej wszelako ukryć ani gwałtowności mych pragnień, ani mąk, o jakie mnie przyprawia walka z nimi. Jednego dnia, kiedy byłem u niej, wspomniałem, iż tego samego rana dowiedziałem się o przegranej ważnego procesu, który powodował poważną zmianę moich stosunków.

— Czym się dzieje³⁶ — spytała — iż oznajmia mi to pan ze śmiechem?

— Jest — rzekłem — maksyma perskiego poety: „Ten, kto posiada miłość pięknej kobiety, bezpieczny jest od gromów losu”.

Pani Pierson nie odpowiedziała; przez cały wieczór była weselsza jeszcze niż zazwyczaj. W czasie zwykłej partyjki z ciotką, przekomarzała się ze mną bez ustanku, mówiąc, że nie mam pojęcia o grze, i zakładając się wciąż przeciw mnie, tak iż ograła mnie do szeląga. Skoro staruszka pożegnała się z nami, Brygida przeszła na balkon, ja zaś udałem się w milczeniu za nią.

Noc była cudowna; księżyc zachodził, a gwiazdy płynęły tym żywszym blaskiem na ciemnym lazurze nieba. Żaden podmuch wiatru nie poruszał drzew; powietrze było ciepłe i balsamiczne.

Brygida oparła się na łokciu, z oczyma utopionymi w niebie; pochylilem się koło niej i przyglądałem się jej zadumie. Niebawem i ja podniosłem oczy; melancholijna rozkosz upajała nas oboje. Wdychaliśmy wspólnie ciepłe opary idące od szpalerów grabiny; śledziliśmy w oddali, w przestrzeni, ostatnie poblaski, jakie błady księżyc włócił za sobą, kryjąc się poza ciemną masą kasztanów. Przypomniałem sobie pewien dzień, w którym patrzyłem z rozpaczą na olbrzymią pustkę tego pięknego nieba; wspomnienie to przejęło mnie dreszczem; wszystko było tak pełne w tej chwili! Uczulem, iż hymn łaski wznosi się w moim sercu i miłość nasza wzbija się do Boga. Okoliłem ramieniem kibić ubóstwianej; obróciła miękko głowę; oczy jej tonęły we łzach. Ciało jej ugięło się jak trzcina, rozchylone wargi przyłgnęły do moich i zapomnieliśmy o całym świecie.

ROZDZIAŁ XI

Aniele wiekuisty szczęśliwych nocy, któż opowie twoje milczenie? O pocałunku! tajemniczy napoju, który usta sączą sobie niby spragnione puchary! o pijaństwo zmysłów, o rozkoszy! Tak jak Bóg, i ty jesteś nieśmiertelna! Szczytny wlocie stworzenia, wspólnie to powszechna istot, rozkoszy po trzykroć święta, co rzekli o tobie ci, którzy cię sławili? nazwali cię przelotną, o twórczyni! I rzekli, iż twój krótki błysk rozświetla ich uciekające

Pocałunek, Rozkosz

Miłość, Rozkosz, Seks,
Pocałunek, Oko

³⁶*czym się dzieje* — dziś: jak to się dzieje. [przypis edytorski]

życie. O słowo krótsze zaiste niż oddech konającego! prawdziwe słowo zmysłowego bydlęcia, które dziwi się, że żyje godzinę, i które jasność wiekuiestej lampy bierze za iskierkę tryskającą z krzemienia! Miłości, o treści świata! kosztowny płomieniu, którego natura cała, niby czujna westalka, strzeże bez ustanku w świątyni Boga! ognisko wszystkiego, przez które wszystko istnieje! Duchy zniszczenia nawet zginęłyby, zgasiwszy ciebie! Nie dziwię się, iż ludzie bluźnią twemu imieniu; nie wiedzą bowiem, kim jesteś ci, którzy myślą, iż spojrzeli ci w twarz, ponieważ otworzyli oczy; kiedy zaś spotkasz swoich prawdziwych wyznawców zespolonych na ziemi pocałunkiem, każesz ich powiekom zawrzeć się niby zasłonom, iżby nie ujrano szczęścia.

Ale wy, o rozkosze, wy, omdlewające uśmiechy, pierwsze pieszczoty, nieśmiałe *tykania*, pierwsze szczebioty kochanki, wy, które można widzieć, które jesteście nasze! czyż wy jesteście dla Boga czymś mniej niż wszystko inne, wy, piękne cherubiny, które bujacie w alkowie i przywodzicie z powrotem na ziemię człowieka zbudzonego z boskiego snu! Ach! drogie dzieci rozkoszy, jakże wasza matka was kocha! To wy, ciekawe rozmowy, które uchylacie rąbka pierwszych tajemnic, wy drzące i jeszcze niewinne dotknięcia, spojrzenia już nienasycone, zaczynające znaczyć w sercu, niby w nieśmiałym zarysie, niezatarty obraz ubóstwianej piękności! O królestwo! o zdobyczy! wy to tworzyście świat dla kochanków. A ty, prawdziwy diadem, ty, pogoda szczęścia! pierwsze spojrzenie zwrócone ku życiu, pierwszy powrót ludzi szczęśliwych do tylu obojętnych przedmiotów, które widzą już tylko poprzez swoją radość, pierwsze kroki stawiane w świecie obok ukochanej! kto was odmaluje? jakież ludzkie słowo wyrazi kiedy bodaj najslabszą pieszczotę?

Ten, który w świeży poranek, w pełni młodości, wyszedł pewnego dnia wolnym krokiem, podczas gdy ubóstwiana ręka zamykała za nim tajemne drzwiczki; który szedł, nie wiedząc gdzie, spoglądając na lasy i równiny; który przeszedł przez ludną ulicę, nie słysząc, że ktoś doń mówi; który usiadł w samotnym miejscu, śmiejąc się i płacząc bez przyczyny; który przytknął ręce do twarzy, aby wdychać z nich resztkę zapachu; który zapomniał nagle, co aż do tej pory robił na ziemi; który mówił do drzew przydrożnych i przelatujących ptaków; który wreszcie pośród ludzi wybuchnął szaloną radością, a potem upadł na kolana i dziękował Bogu; ten umrze nie skarżąc się: posiadał kobietę, którą kochał.

Miłość

Kochanek, Kobieta, Miłość,
Seks

CZĘŚĆ CZWARTA

ROZDZIAŁ I

Mam opowiedzieć teraz dzieje mej młodości i zmianę, jaka we mnie zaszła. Jaką rację tej zmiany mogę podać? Żadnej prócz tej, że opowiadam i że mogę rzec: „To jest prawda”.

Od dwóch dni, nie mniej i nie więcej, byłem kochankiem pani Pierson. Wychodziłem z kąpeli o jedenastej wieczór i w cudną noc przebywałem aleję udając się do niej. Czulem taką pełnię cielesnego szczęścia i tyle zadowolenia w duszy, że idąc, podskakiwałem z radości i wyciągałem ramiona ku niebu. Zastawałem ją na piętrze pochyloną przez poręcz, że świecą na ziemi u nóg. Czekala na mnie; ledwie mnie spostrzegła, biegła na moje spotkanie. Niebawem byliśmy w jej pokoju, zaryglowawszy drzwi za sobą.

Pokazywała mi, jak zmieniła uczesanie, które mi się nie podobało, i jak spędziła dzień na układaniu włosów w kształt, który lubiłem; jak usunęła z alkowy duży brzydki obraz, który zdawał mi się ponury; jak zmieniła kwiaty w wazonach, tak iż cały pokój był jak ogród. Opowiadała wszystko, co robiła od czasu, jak się znamy; jak widziała, co ja cierpię i jak cierpiała sama; jak po tysiąc razy chciała opuścić te strony i uciec przed swą miłością; jak na wszystkie sposoby broniła się przede mną; jak radziła się ciotki, Merkansonowa i proboszcza; jak przysięgła sobie samej, że raczej umrze niż ulegnie, i jak to wszystko rozwiło się za pewnym słowem, które wyrzekłem, za pewnym spojrzeniem w takich a takich okolicznościach: a przy każdym zwierzeniu pocałunek. Wszystko, co mi się spodobało w jej pokoju, wszystko, co ściągnęło moją uwagę pośród drobiazgów leżących na stołach, wszystko chciała mi dawać, abym zabrał jeszcze tego wieczora i ustawił u siebie na kominku; dalej abym ustanowił, wedle ochoty, co ona będzie odtąd robić rano, wieczór, o każdej porze... Mówiła, że nie dba o nic; gadania świata nic jej nie obchodzi; jeżeli udawała, że się z nimi liczy, to jedynie aby mnie oddalić; chce być szczęśliwa i zatkać sobie oba uszy; właśnie skończyła trzydzieści lat i niewiele jej zostało czasu na to, abym ją kochał. „A ty, powiedz, czy będziesz mnie kochał długo? Czy jest trochę prawdy w tych pięknych słówkach, którymi mnie urzekłeś?” I na to sypały się lube wyrzuty, że późno przychodzę, że jestem zalotny; że zanadto się upachniłem w kąpeli albo nie dosyć, albo nie tak jak lubi; że została w samych pantofelkach, abym widział jej bosą nóżkę, iż jest taka sama biała jak ręka; ale że zresztą ona sama wcale nie jest ładna, że chciałaby być sto razy ładniejsza, że była ładna, kiedy miała piętnaście lat. Chodziła, kręciła się po pokoju, oszalała z miłości, cała różowa od szczęścia; nie wiedziała, co wymyślić, co robić, co rzec, aby się dać i dać jeszcze, z ciałem i duszą, i wszystkim, co posiadała.

Leżałem na sofie, za każdym jej słowem czulem, jak opada i odchodzi ode mnie zła godzina minionego życia. Patrzałem, jak gwiazda miłości wschodzi nad mą niwą; zdawało mi się, że jestem jak drzewo pełne soku, które strząsa na wiatr suche liście, aby się oblec świeżą zielonością.

Usiadła do fortepianu, mówiąc, że zagra melodię Stradelli. Lubię nad wszystko tę zbożną muzykę; utwór ten, który już raz mi śpiewała, wydał mi się bardzo piękny.

— A teraz — rzekła skończywszy — powiem mojemu panu, że się bardzo omylił; to moja kompozycja, wywiodłam cię w pole.

— Twoja?...

— Tak, powiedziałam, że to Stradella, aby usłyszeć twoje zdanie. Nie grywam nigdy swoich utworów, kiedy mi się zdarzy coś ułożyć; ale chciałam zrobić próbę i widzisz, że mi się powiodło, skoro dałeś się oszukać.

Człowiek to potworne stworzenie! Cóż mogło być niewinniejszego? Lada sprytniejsze dziecko wymyśliłoby tę sztuczkę, aby złapać nauczyciela. Śmiała się z całego serca, opowiadając mi ją; ale ja uczułem nagle niby chmurę, która mnie ogarnia; zmieniłem się na twarzy:

— Co tobie? — spytała — co ci się dzieje?

— Nic, przegraj mi jeszcze raz tę melodię.

Podczas gdy grała, przechadzałem się po pokoju; wodziłem ręką po czole, jak gdyby chcąc spędzić mgłę; tupiałem nogą, wzruszałem ramionami nad własnym szaleństwem; wreszcie usiadłem na ziemi na jakiejś poduszce, która się osunęła; Brygida podeszła ku

Mężczyzna, Kobieta, Miłość

Kłamstwo, Miłość,
Przemiana

mnie. Im więcej chciałem walczyć z duchem ciemności, który mnie ogarniał, tym bardziej gęsta noc zasnuwała się w mej głowie.

— Doprawdy — rzekłem — tak dobrze kłamiesz? Tak! więc to twoja kompozycja? umiesz tedy kłamać tak łatwo?

Spojrzała na mnie zdumiona.

— Co tobie? — rzekła.

Niewymowny niepokój malował się na jej twarzy. Oczywiście nie mogła przypuszczać, iżbym był tak szalonym i czynił jej naprawdę wymówkę za niewinny żarcik; serio brała jedynie smutek, jaki mną owładnął; ale im bardziej przyczyna była błaha, tym bardziej mógł ją dziwić. Chciała wierzyć przez chwilę, że to ja teraz żartuję; ale widząc mnie wciąż bladym i jakby bliskim omdlenia, znieruchomiała z rozwartymi ustami, z pochylonym ciałem, niby posąg.

— Boże miłosierny! — wykrzyknęła — czy to możebne?

Uśmiechasz się może, czytelniku, czytając tę stronicę; ale ja, pisząc ją, drzę jeszcze. Nieszczęścia mają swoje symptomy jak choroby; nie masz nic równie groźnego na morzu jak mały, czarny punkcik na widnokręgu.

Tymczasem zaczęło świtać; droga Brygida wysunęła na środek pokoju biały, okrągły stoliczek i zastawiła przybór do wieczery lub, aby rzec lepiej, do śniadania, już bowiem ptaszki śpiewały i pszczoły brzęczały w ogrodzie. Przygotowała wszystko sama; nie wypilem ani kropli, iżby wprzód nie przytknęła szklanki do ust. Niebieskawe światło brzasku, przechodząc przez pstre płócienko firanek, oświecało jej uroczą twarz i wielkie, nieco podkrążone oczy; czuła się senna; jakoż, ściskając mnie i szepcząc słowa pieśnyczoty, osunęła głowę na moje ramię.

Nie mogłem walczyć przeciw tak lubej ufności, serce moje znów otwierało się słodczy; zdawało mi się, że się już zupełnie otrząsnął ze złego snu, jaki przebyłem. Przeprosiłem Brygidę za chwilę niewytłumaczonego szaleństwa.

— Ukochana moja — rzekłem z głębi serca — bardzo mi przykro, że ci uczynił niesłuszną wymówkę za niewinny żarcik; ale, jeżeli mnie kochasz, nie kłam mi nigdy, nawet w najdrobniejszych rzeczach: kłamstwo mi się zdaje czymś okropnym, nie mogę go znieść.

Brygida położyła się; była trzecia rano; rzekłem, iż pragnę zostać, dopóki nie usnie. Ujrzałem, jak zamyka piękne oczy; usłyszałem, jak w pierwszym śnie szepce coś z uśmiechem, podczas gdy ja, nachylony nad wezglowiem, dawałem jej pożegnalny całunek. Wreszcie wyszedłem ze spokojnym sercem, przyrzekając sobie cieszyć się swoim szczęściem, nie dopuszczając najlżejszej chmurki.

Ale zaraz nazajutrz Brygida rzekła jak gdyby przypadkiem:

— Mam gruby zeszyt, w którym spisuję wszystkie myśli, co mi tylko przechodzi przez głowę; dam ci przeczytać, co pisałam o tobie w pierwszych dniach naszego poznania.

Czytaliśmy razem to, co mnie tyczyło, przeplatając tysiadcem żartów; po czym zacząłem machinalnie przeglądać książkę. Pośród szybko obracanych stronic wpadło mi w oczy jakieś zdanie skreślone dużym pismem; pochwyciłem kilka słów, dość zresztą nieznaczących, i miałem czytać dalej, kiedy Brygida rzekła:

— Nie czytaj tego.

Rzuciłem dziennik na fotel.

— Prawda; zapomniałem się, przepraszam.

— Czy znowu bierzesz to serio? — odparła śmiejąc się i widząc w tym z pewnością nawrót mej choroby — weźże ten dziennik, chcę abyś przeczytał.

— Nie mówmy już o tym. Cóż mógłbym znaleźć tak ciekawego? Twoje tajemnice należą do ciebie, moja droga.

Dziennik leżał na fotelu, ja zaś, mimo wszelkich wysiłków, nie spuszczałem zeń oka. Usłyszałem nagle niby głos szepczący mi do ucha i ujrzałem przed sobą suchą twarz Desgenais'go wykrzywioną lodowatym uśmiechem. „Skąd tu Desgenais?” — spytałem sam siebie, jak gdybym ujrzał go w rzeczywistości. Ukazał mi się tak, jak go widziałem pewnego wieczora, z czołem pochylonym nad lampą, kiedy świszczącym głosem recytował swój katechizm libertyna.

Miałem wciąż oczy utkwione w dziennik; w pamięci mojej błąkały się mętnie jakieś słowa słyszane dawno temu, ale tkwiące gdzieś na dnie serca. Duch zwątpienia zawieszony

Tajemnica, Miłość,
Trucizna

nad mą głową wsączył mi w żyły kroplę trucizny; opar jej uderzył mi na mózg, uczulem pierwszy zawrót złowrogiego pijaństwa. Jaką tajemnicę ukrywała mi Brygida? Wiedziałem dobrze, że wystarczy mi schylić się i otworzyć dziennik; ale w którym miejscu? jak odszukać stronicę, na którą przypadek naprowadził mnie wpródy?

Zresztą duma broniła mi wziąć dziennik; była to w istocie duma? „O Boże — mówiłem sobie ze straszliwym smutkiem — czyż przeszłość jest jak widmo? czy wstaje z grobu? Och, ja nędzny, czyżbym niezdolny był już kochać?”

Wszystkie moje wzgardliwe pojęcia o kobietach, wszystkie drwiące fanfaronady, potwarzane niby lekcja i niby rola przez czas mego szalonego życia, przeszły mi nagle przez mózg. Rzecz dziwna! niegdyś popisując się nimi, nie wierzyłem w nie; obecnie zdało mi się, że są lub bodaj były prawdą.

Znałem panią Pierson od czterech miesięcy, ale nie wiedziałem nic o jej przeszłym życiu i nie pytałem o nie nigdy. Oddałem się mej miłości z bezgraniczną ufnością i wyłaniem. Znajdowałem jakąś rozkosz w tym, aby nie pytać o nic tyżącego jej osoby ani nikogo, ani jej samej: zresztą podejrzliwość i zazdrość tak dalece nie leżą w moim charakterze, iż bardziej od samej Brygidy byłem zdumiony tym ich przejawem. Nigdy za czasu mej pierwszej miłości ani poza tym w życiu, nie byłem nieufny; raczej, przeciwnie, śmiały, niewątpiący, aby tak rzec, o niczym. Trzeba mi było na własne oczy ujrzeć zdradę kochanki, abym uwierzył, że może mnie oszukiwać. Desgenais nawet, katechizując mnie na swój sposób, dworował sobie ustawicznie z mojej podatności do oszukaństwa. Dzieje całego mego życia były dowodem, że jestem raczej łatwowierny niż podejrzliwy; toteż kiedy widok tego dziennika uderzył mnie nagle, zdało mi się, jakbym uczuł w sobie nową, nieznaną istotę. Rozum mój buntował się przeciwko temu, czego doświadczałem, nie śmiałem pytać, dokąd mnie to zaprowadzi.

Ale męki, jakie wycierpiałem, wspomnienie zdrad, jakich byłem świadkiem, okropna kuracja, jaką sobie nałożyłem, rozmowy przyjaciół, zepsuty świat, przez który przeszedłem, smutne prawdy, jakie tam widziałem, oraz te, które, nie poznawszy ich wprost, zrozumiałem i odgadłem wszelako złowrogą intuicją — rozpusta wreszcie, pogarda dla miłości, nadużycie wszystkiego, oto co miałem w sercu, nie domyślając się tego jeszcze; w chwili gdym mniemał, iż odradzam się do nowego życia, wszystkie te uśpione furie chwyciły mnie za gardło, krzycząc, że są tuż przy mnie.

Schyliłem się i otwarłem dziennik, po czym zamknąłem go natychmiast i rzuciłem na stół. Brygida patrzyła na mnie; w pięknych oczach nie było zranionej dumy ani gniewu; był tylko tkliwy niepokój, jakby miała przed sobą chorego.

— Czy myślisz w istocie, że mam jaką tajemnicę? — rzekła ściskając mnie.

— Nie — odparłem — nic nie myślę prócz tego, że jesteś piękna i że chcę umrzeć w twoich ramionach.

Wróciwszy do domu, przy obiedzie spytałem Larive'a: „Kto to właściwie jest, ta pani Pierson?”

Obrócił się zdziwiony.

— Mieszkasz — rzekłem — tutaj od wielu lat; musisz ją znać lepiej ode mnie. Co mówią o niej? co o niej myślą we wsi? jakie życie wiodła zanim ją poznałem? z kim żyła bliżej?

— Mój Boże, proszę pana, zawsze robiła to co i teraz; robiła wycieczki w okolice, grywała w pikietę z ciotką i troszczyła się o ubogich. Wieśniacy kochają ją; nigdy nie słyszałem o niej złego słowa z niczyich ust, chyba to że ugania po wsiach sama jedna, nie dbając, czy jest noc czy dzień; ale czyni to w tak chwalebny cel! Toć ona jest Opatrznością okolicy. Z ludzi widuje jedynie proboszcza, no i pana de Dalens podczas wakacji.

— Cóż to za pan de Dalens?

— Właściciel zamku tam za górą; przyjeżdża tu tylko dla polowania.

— Młody?

— Tak, proszę pana.

— Czy to krewny pani Pierson?

— Nie; był przyjacielem jej męża.

— Dawno mąż umarł?

- Będzie pięć lat na Wszystkich Świętych; zacności był człowiek.
- A ten pan de Dalens, czy mówią, że zalecał się do niej?
- Niby, myśli pan, do wdowy? Ba, prawdę rzekłszy... — urwał z zakłopotaną miną.
- Będziesz gadał?
- Mówiono i nie mówiono... Ja tam nie wiem, nic nie widziałem.
- Wszak rzekłeś przed chwilą, że nic nie gadają o niej w okolicy?
- Nie mówiono zresztą nigdy nic, a myślałem, że pan to wie.
- Ostatecznie mówią o tym, czy nie mówią?
- Tak, proszę pana; zdaje mi się przynajmniej.

Wstałem od stołu i wyszedłem w aleję; spotkałem Merkansona. Sądziłem, iż będzie mnie unikał; ale przeciwnie, sam podszedł.

— Drogi panie — rzekł — ostatnim razem rozstał się pan ze mną cokolwiek gniewny; ale człowiek, który nosi tę sukienkę nie chowa takich rzeczy w pamięci. Pospieszam wyrazić moje ubolewanie, iż podjąłem się tego niepożądanego zlecenia — lubował się w takich długich słowach — i ośmieliłem się stawać z pewnym natręctwem na wspak pańskim zamiarom.

Odpowiedziałem coś równie uprzejmego, sądząc, iż rozstaniemy się na tym; ale ksiądz szedł dalej obok mnie.

„Dalens! Dalens! — mruzczałem przez zęby — kto mi powie co o tym Dalensie? Larive bowiem powiedział mi tylko tyle, ile może powiedzieć służący. Skąd wiedział? od kogoś ze służby lub jakiego wieśniaka. Trzeba mi było świadka, który by widywał Dalensa u pani Pierson i wiedział, co o tym rozumieć”. Ów Dalens nie wychodził mi z głowy; nie mogąc mówić o niczym innym, zagadnąłem ón natychmiast Merkansona.

Czy Merkanson był człowiekiem złym, czy też głupim lub przebiegłym, tego nigdy jasno nie rozwikłałem; to pewna, iż musiał mnie nienawidzić i że postąpił ze mną niegodziwie. Pani Pierson, która żywiła (i słusznie) serdeczną przyjaźń dla proboszcza, powzięła w końcu prawie mimo woli pewną sympatię dla jego siostrzeńca. Był z tego dumny, a tym samym zazdrosny. Nie tylko sama miłość rodzi zazdrość; okazana przychylność, życzliwe słowo, uśmiech pięknych ust mogą ją obudzić w pewnych ludziach i to aż do zapamiętania.

Zazdrość

Zrazu Merkanson, podobnie jak Larive, wydał się zdziwiony moimi pytaniami. Ja byłem nimi zdziwiony bardziej jeszcze; ale któż zna samego siebie?

Z pierwszych odpowiedzi księdza ujrzałem, iż rozumie, o co mi chodzi, i że nie chce mówić.

— W jaki sposób to być może, drogi panie, iż pan, który znasz panią Pierson od dość dawna i żyjesz z nią dość blisko (tak sądzę przynajmniej), nie spotkałeś u niej nigdy pana de Dalens? Widać ma pan jakąś przyczynę (którą nie do mnie należy zgłębiać), aby się wywiadywać o niego dzisiaj. Mogę powiedzieć tyle, że jest to godny człowiek, dobry, miłosierny; bywał, podobnie jak pan, bardzo często u pani Pierson; ma piękną sforę i prowadzi dom co się zowie otwarty. Bardzo lubił muzykować, jak i pan, drogi panie, u pani Pierson. Co się tyczy obowiązków miłosierdzia, wypełniał je bardzo punktualnie; kiedy bawił w naszych stronach, towarzyszył, jak i pan nieraz, pani Pierson w wycieczkach w okolicę. Rodzina jego cieszy się w Paryżu najlepszą reputacją; zdarzało mi się spotykać go u pani Pierson prawie za każdym razem, kiedy tam zaszedłem; uchodzi za człowieka o nieposzlakowanym życiu. Zresztą zgaduje pan, drogi panie, że mam tu na myśli jedynie godziwą zażyłość, jak przystało między osobami tych cnót. Sądzę, że przyjeżdża tu tylko dla polowania; był przyjacielem męża; powiadają, że jest bardzo bogaty i bardzo hojny; zresztą prawie go nie znam, chyba ze słyszenia...

Męczyzna, Kobieta,
Zazdrość, Kobieta "upadła"

Ilomaż krętymi zdaniem przywalił mnie ten kat o ciężkiej dłoni! Patrzałem nań, wstydzając się, że go słucham, nie śmiejąc ani pytać, ani powstrzymać jego gadulstwa. Spotwarzał tyle i tak długo, ile sam zechciał; obracał mi do woli zakrzywioną klingę w sercu; kiedy już skończył, pożegnał mnie, nie pozwalając się zatrzymać, i ostatecznie nic nie powiedział.

Zostałem sam w alei; zaczynało się zmierzchać. Nie wiem, czy przeważała we mnie wściekłość czy smutek. Ufność, z jaką oddałem się ślepo mej miłości, była mi tak luba i tak zgodna z mą naturą, iż nie mogłem uwierzyć, że tyle szczęścia było jeno oszukaństwem.

Naiwne i wierzące uczucie, które mnie przywiodło do niej bez żadnej walki lub wątpienia z mej strony, wydało mi się samo przez się dowodem, że była go godna. Byłoby tedy możliwe, aby te tak szczęsne cztery miesiące stały się już tylko snem?

„Hm — rzekłem znowuż do siebie — ostatecznie ta kobieta oddała się bardzo prędko. Czy nie był kłamstwem ów zamiar ucieczki przede mną, który objawiła zrazu, a który rozwiało jedno słowo? Czy nie miałem przypadkiem do czynienia z kobietą, jakich się spotyka tyle? Tak, w ten sposób one wszystkie biorą się do rzeczy: uciekają po to, aby je gonić. Nawet sarny robią to samo: to instynkt samicy. Czyż nie z własnego popędu wyznała mi miłość w samejże chwili, gdy myślałem, że nigdy nie będzie moją? Pierwszego dnia, kiedy ją ujrzałem, czyż nie przyjęła mego ramienia, nie znając mnie, z łatwością, która powinna była obudzić mą nieufność? Jeśli ten Dalens był jej kochankiem, prawdopodobnie jest nim jeszcze: to są owe światowe stosunki, które nie zaczynają się ani nie kończą; kiedy się ludzie widzą, wracają do siebie, a zapominają o sobie, kiedy się rozstają. Jeśli ten człowiek wróci tu na wakacje, Brygida będzie go widywała z pewnością i prawdopodobnie nie zrywając ze mną. Któż jest ta ciotka, cóż to jest owo tajemnicze życie, mające za godło miłosierdzie; cóż to jest owa wolnomyślność nietroszcząca się o ludzkie języki? Czyżby te dwie kobiety ze swoim domkiem, swoją surowością i cnotą, które tak łatwo mają ludzi, były po prostu awanturkami? To jasne, wpadłem ot, z zamkniętymi oczami w awanturkę, którą wziąłem za wielką miłość; ale co teraz począć? Nie znam tu nikogo prócz tego księdza, który nie chce mówić jasno, i jego wuja, który tym bardziej nic nie powie. O mój Boże! kto mnie ocali? jak dowiedzieć się prawdy?”

Tak mówiła zazdrość; tak, zapominając tyłu łez i wszystkiego, co wycierpiałem, zaczynałem po upływie dwóch dni niepokoić się tym, że Brygida mi uległa. Jak wszyscy ludzie, którzy wątpią, odkładałem już na bok uczucia i myśli, aby dysputować z faktami, czepiać się litery i sekcjonować mą miłość.

Zatapiając się w dumaniach, zbliżałem się z wolna do domu Brygidy. Furtka była otwarta; mijając dziedziniec, ujrzałem światło w kuchni. Przyszło mi na myśl pociągnąć za język służącą. Skierowałem się więc w tę stronę i obracając w kieszeni parę sztuk monety, zbliżyłem się do progu.

Powstrzymało mnie wrażenie wstrętu. Służąca ta, była to chuda i pomarszczona starsuszka z plecami zawsze zgiętymi, jak ludzie pracujący na roli. Zastałem ją myjącą naczynia nad brudnym ściekiem. Ohydna lojówka drżała jej w ręku; dokoła niej rondle, półmiski, resztki obiadu które obwąchiwał pies-przybłęda, wkradłszy się tam, jak ja, wstydliwie; ciepły i mdły zapach wychodził z wilgotnych murów. Spostrzegłszy mnie, stara spojrziała z uśmiechem, z porozumiewawczą miną; widziała mnie wyslizgującego się rano z pokoju pani. Zadrżałem z obrzydzenia do samego siebie i do tego, co zamierzałem robić w miejscu tak dostrojonym do szpetnego postętku, który miałem w myśli. Uciekłem od tej starej niby od mojej ucieleśnionej zazdrości i jak gdyby woń pomyj wyszła z mego własnego serca.

Brygida stała przy oknie, podlewając ukochane kwiaty; dziecko jednej z sąsiadek, usadowione w berżerce wśród stosu poduszek, czepiało się jej rękawa, z buzią pełną cukierków wygłaszając w swoim pociesnym i niezrozumiałym narzeczu wielką przemowę. Usiadłem koło Brygidy i ucałowałem dziecko w pyzate policzki, jak gdyby chcąc wrócić własnemu sercu nieco niewinności. Brygida przywitała mnie z lękiem; ujrzała w spojrzeniach moich obraz swój już zmacony. Ja z mojej strony unikałem jej oczu; im więcej podziwiałem jej piękność i niewinne wejście, tym bardziej mówiłem sobie, że podobna kobieta, o ile nie jest aniołem, jest potworem przewrotności. Sililem się przypomnieć każde słowo Merkansona; zestawiałem niejako jego domyślności z rysami kochanki i z uroczym owalem jej twarzy. „Jest bardzo piękna — mówiłem sobie — bardzo niebezpieczna, jeżeli umie zwodzić; ale trafiła kosa na kamień; dowie się kim jestem”.

— Czy wiesz, Brygido — rzekłem po długim milczeniu — dałem właśnie pewną radę przyjacielowi, który zasięgał mego zdania. Jest to młodzieniec dość sobie naiwny; pisze mi, iż odkrył, że kobieta, która mu się właśnie oddała, ma równocześnie innego kochanka. Pytał mnie, co ma uczynić.

— Cóżś odpowiedział?

Sluga, Kuchnia

Wzrok

Miłość, Gra, Kobieta,

Męczyzna

— Dwoma pytaniami: Czy jest ładna? i czy ją kochasz? Jeśli kochasz, zapomnij o niej; jeśli jest ładna, a nie kochasz jej, zabaw się nią, póki masz ochotę; zawsze będziesz miał czas ją rzucić, o ile wiąże cię tylko jej ciało. Ta czy inna, wszystko jedno.

Słyszając te słowa, Brygida puściła dziecko, z którym się bawiła, cofnęła się w głąb i usiadła. W pokoju nie było światła; księżyc oświetlający miejsce, na którym Brygida stała przed chwilą, rzucał głęboki cień na sofę, gdzie usiadła. Słowa moje miały znaczenie tak brutalne, tak okrutne, iż byłem sam w rozpaczę że je wyrzekłem; serce miałem wezbrane żalem. Dziecko, niespokojne, wołało Brygidę i wodziło po nas smutnymi oczyma. Jego wesołe krzyki, dziecinny szczebiot umilkły z wolna; usnęło na sofie. Tak trwaliśmy wszyscy troje w milczeniu; księżyc przesłoniła chmura.

Weszła służąca, aby zabrać dziecko; wniesiono światło. Wstałem, a równocześnie ze mną i Brygida; ale przyłożyła tylko obie ręce do serca i padła na ziemię u stóp łóżka.

Podbiegłem przestraszony; nie straciła przytomności i prosiła, abym nie wołał nikogo. Rzekła, iż od młodu podlega takim gwałtownym palpacyjom, ale że poza tym ataki te niczym nie grożą i nie wymagają żadnego lekarstwa. Klęczałem tuż przy niej, otwierała mi miękko ramiona; ująłem jej głowę i przytuliłem do piersi.

— Och, Oktawie — rzekła — żal mi ciebie.

— Słuchaj — szepnąłem — jestem nędznym szaleńcem, ale nie mogę z tym żyć. Kto jest ów pan Dalens, który mieszka tu w górach i odwiedza cię niekiedy?

Zdawała się zdziwiona, iż słyszy to nazwisko.

— Dalens? — rzekła — to przyjaciel mego męża.

Patrzała na mnie, jak gdyby mówiąc: „Z jakiego powodu to pytanie?” Zdawało mi się, że twarz jej pociemniała. Zagryzłem wargi. „Jeśli chce mnie oszukać — pomyślałem — żłem zrobił, żem się wygadał”.

Brygida podniosła się z trudem; wzięła wachlarz i zaczęła wielkimi krokami chodzić po pokoju. Oddychała z wysiłkiem; zraniłem ją. Przez jakiś czas trwała w zamyśleniu; wymieniliśmy parę spojrzeń prawie zimnych i niemal wrogich. Podeszła do sekretarzyka, otworzyła go, wydobyla pakiet listów związanych pasmem jedwabiu i cisnęła mi je bez słowa.

Nie patrzyłem ani na nią, ani na listy; rzuciłem oto kamień w przepaść i nadśluchiwałem echa. Pierwszy raz na twarzy Brygidy pojawiła się obrażona duma. Nie było już w jej oczach ani niepokoju, ani litości; tak samo jak ja uczułem się zupełnie innym, niż byłem kiedykolwiek, tak i w niej ujrzałem kobietę, której nie znałem.

— Niech pan to przeczyta — rzekła wreszcie.

Podszedłem i wyciągnąłem ku niej rękę.

— Proszę czytać, proszę czytać! — powtórzyła lodowatym tonem.

Trzymałem w ręku listy. Czulem się w tej chwili tak przekonany o jej niewinności, wydawałem się sobie tak niesprawiedliwym, iż ogarnęła mnie głęboka skrucha.

— Przypominasz mi — rzekła — że winna ci jestem historię mego życia; siadaj, a usłyszysz wszystko. Otworzysz następnie te szuflady i przeczytasz wszystko, co tu jest pisanego, moją albo cudzą ręką.

Usiadła i wskazała mi fotel. Widziałem, z jakim wysiłkiem mówiła. Błada była jak śmierć; zmieniony głos zaledwie wydobywał się ze ściśniętego gardła.

— Brygido! Brygido! — wykrzyknąłem — na miłość boską, nic nie mów! Bóg mi świadkiem, nie urodziłem się takim, jak myślisz; nie byłem nigdy w życiu ani podejrzliwym, ani nieufnym. Zgubiono mnie, spaczono mi serce. Oplakane doświadczenie zawiodło mnie w przepaść; od roku widziałem jedynie to, co jest najgorszego na ziemi. Bóg mi świadkiem, że aż do tego dnia sam nie przypuszczałem, abym był zdolny do tej roli ohydnej, ostatniej ze wszystkich roli zazdrośnika. Aż dotąd miałem do czynienia tylko z kobietami, które mnie oszukiwały albo też były niegodne miłości. Pędziłem życie rozpustnika; mam w sercu wspomnienia, które nie zatrą się nigdy. Czy to moja wina, jeżeli potwarz, jeżeli najbardziej mętne, najbardziej bezzasadne oskarżenie porusza dziś w tym sercu struny jeszcze obolałe, gotowe przyjąć wszystko, co tylko jest, cierpieniem? Wspomniano mi dziś o człowieku, którego nie znam, o którego istnieniu nie wiedziałem; dano mi do zrozumienia, że języki ludzkie łączyły wasze imiona; nie chcę o nic pytać; cierpiałem, dałem ci to uczuć; to błąd nie do naprawienia. Ale raczej wrzucę wszystko w ogień, niżbym się miał zgodzić na to, co mi ofiarujesz. Och! ubóstwiana moja, nie upokarzaj

Zazdrość, Miłość, Kobieta,
Męczyzna, Kochanek,
Kłótnia, Tajemnica,
Kłamstwo

mnie; nie zniżaj się do usprawiedliwień, nie karz mnie za to, że cierpiał. W jaki sposób mógłbym w głębi serca podejrzewać cię o oszukaństwo? Nie, jesteś piękna i jesteś szczerą; jedno spojrzenie twoje, Brygido, mówi mi więcej niż trzeba, aby cię ubóstwiać. Gdybyś wiedziała, jakie ohydy, jakie potworne zdrady widziało to dziecko, które stoi przed tobą! Gdybyś wiedziała, jak się z nim świat obszedł; jak wydrwiono wszystko, co w nim jest dobrego, jak silono się mu zaszczyć wszystko, co może prowadzić do zwątpienia, zazdrości, rozpacz! Ach, tak, najdroższa moja, gdybyś mogła wiedzieć, kogo kochasz! Nie czyn mi wymówek; ach, raczej uzał się nade mną; potrzeba mi zapomnieć, że istnieją inne kobiety prócz ciebie. Kto wie, jakie próby, jakie okropne chwile męki trzeba mi będzie przeżyć! Nie podejrzewałem, że może przyjść do tego, nie przypuszczałem, iż trzeba mi będzie walczyć. Od czasu jak jesteś moją, widzę, co uczyniłem; pieścąc cię, uczułem, jak bardzo wargi moje są zbrukane. Na imię nieba, pomóż mi żyć! Bóg mnie uczynił lepszym, niż się wydaję.

Brygida wyciągnęła ramiona, utuliła mnie najtkliwszymi pieścotami. Prosiła, abym jej opowiedział, co dało powód do tej smutnej sceny. Powtórzyłem tylko to, co mi rzekł Larive; nie śmiałem wyznać, iż badałem Merkansona. Chciała koniecznie, abym wysłuchał jej wyjaśnień. Pan de Dalens kochał ją niegdyś; ale był to człowiek lekki, bardzo światowy i bardzo niestały; dała mu do zrozumienia, iż nie mając zamiaru powtórnie wyjść za mąż, nie życzy sobie jego nadskakiwań. Poddął się jej żądaniu bez urazy; ale od tego czasu bywał u niej coraz rzadziej, a dziś przestał już być zupełnie. Wydobyła z całego pliku jeden list o dacie bardzo świeżej i pokazała mi go; nie mogłem się powstrzymać od rumieńca, znajdując potwierdzenie wszystkiego, co mówiła; upewniła mnie, że mi przebacza; wymogła za całą karę przyrzeczenie, iż odtąd podzielę się z nią natychmiast wszystkim, co mogłoby obudzić we mnie jakieś podejrzenie. Układ przypieczętowaliśmy pocałunkiem i kiedy żegnałem się z nią o świcie, zapomnieliśmy dawno oboje, że pan Dalens istnieje na świecie.

ROZDZIAŁ II

Jakis martwy bezwład zamącony gorzką rozkoszą, oto stan zwyczajny rozpustnikom. Jest to następstwo życia pod znakiem kaprysu, gdzie nic nie wspiera się na potrzebach ciała, ale na zachceniach myśli, i gdzie ciało musi być wciąż gotowe do posłuchu. Młodość i wola mogą oprzeć się nadużyciom; ale natura mści się w milczeniu i w dniu, w którym postanowi odbudować swoje siły, wola umiera, aby czekać na nie i aby nadużyć ich znówu.

W tym stanie, widząc dokoła siebie przedmioty, które kusiły go poprzedniego dnia, człowiek, który nie ma już siły po nie sięgnąć, znajduje wobec tego, co go otacza, jedynie uśmiech przesytu. Zważcie, iż do tych przedmiotów, które budziły jego pragnienia, nie zbliżał się nigdy z zimną krwią; do wszystkiego co go nęci, rozpustnik wyciąga ręce z całą gwałtownością; życie jego jest ciągłą gorączką; zmysły jego, chcąc znaleźć rozkosz, zniewolone są dotrzymywać kroku palącym napojom, kurtyzanom i bezsennym nocom, w ciągu dni tedy wypełnionych nudą i lenistwem czuje większy daleko niż inni ludzie rozdźwięk między swoją niemocą a swymi pokusami. Aby się im oprzeć, potrzebuje, aby przyszła mu na pomoc duma i wmówiła weń, że nimi gardzi. Tak oto plwa bez ustanku na wszystkie biesiady życia i pomiędzy palącym pragnieniem a głębokim przesytem gnuśna próżność wiedzie go ku śmierci.

Mimo iż nie byłem już rozpustnikiem, stało się nagle, iż ciało moje przypominało sobie, że byłem nim niegdyś, bardzo proste jest, iż aż dotąd nie spostrzegłem się na tym. Wobec boleści spowodowanej zgonem ojca wszystko w pierwszej chwili umilkło. Przyszła gwałtowna miłość; dopóki żyłem samotnie, nuda nie miała pola do walki. Smutek, wesołość, wszystkie te zmiany atmosferyczne, cóż znaczą człowiekowi, który jest sam?

Tak jak cynk, ów półmetal wydobyty z sinawej żyły, w której drzemie, rodzi sam z siebie promień słońca, skoro zbliży się do dziewiczej miedzi, tak pocałunki Brygidy obudziły stopniowo w moim sercu to, co w nim było zagrzebane. Z chwilą gdy się znalazłem wobec niej, spostrzegłem, czym jestem.

Bywały dni, w których czułem się od rana w stanie ducha tak osobliwym, iż niepodobna go określić. Budziłem się bez przyczyny, jak człowiek, który poprzedniego dnia nadużył rozkoszy stołu. Wszystkie wrażenia z zewnątrz nużyły mnie niewypowiedzianie,

Pożądanie, Ciało, Pokusa

Sobowtór, Miłość,
Mężczyzna, Kobieta

wszystkie znane i zwykle przedmioty mierzyły mnie i nudziły; jeśli się odzywałem, to tylko po to aby obrócić w śmieszność to, co mówiła ona albo ja sam myślałem. Wówczas wyciągnięty na kanapie, jakby niezdolny do ruchu, udaremniałem z rozmysłu wszystkie projekty spacerów planowane w wilie; siliłem się odnaleźć w pamięci wszystko to, co w moich dobrych chwilach mogłem powiedzieć szczerego i tkliwego, i nie miałem spokoju, dopóki moje ironiczne żarciki nie zepsuły i nie zatrwały tych szczęśliwych wspomnień.

— Czy nie mogłeś mi tego zostawić? — pytała smutno Brygida. — Jeśli są w tobie dwaj różni ludzie, czy nie mógłbyś, wówczas kiedy zły wstaje, zadowolić się tym, aby zapomnieć o dobrym?

Cierpliwość, z jaką Brygida znosiła te szaleństwa, podsyciała jedynie mój pośepny humor. Dziwna rzecz, aby człowiek, który cierpi, potrzebował zadawać cierpienie ukochanej istocie! Taki brak władzy nad sobą, czyż to nie jest okropna choroba? Cóż okrutniejszego dla kobiety, jak widzieć mężczyznę, który, zaledwie wyszedłszy z jej ramion, obraca, przez jakieś szaleństwo nie do wybaczenia, w pośmiewisko to, co jest najbardziej świętego i tajemniczego w szczęśliwych nocach miłości? Brygida nie opuszczała mnie wszelako w owych chwilach; siedziała przy mnie, pochylona nad haftem, podczas gdy ja w napadzie okrucieństwa znieważałem miłość i miotalem bluźnierstwa ustami wilgotnymi jeszcze od jej pocałunków.

W te dni wbrew memu zwyczajowi bawiło mnie mówić o Paryżu i przedstawiać swoje hulaszczę życie jako najlepszą rzecz pod słońcem.

— Ty jesteś ot, dewotka — mówiłem, śmiejąc się, do Brygidy — nie wiesz, co to życie. Nie ma nic lepszego niż ludzie, co o nic nie dbają i bawią się w miłość, nie wierząc w nią.

Czyż to nie znaczyło wyraźnie, że ja nie wierzę w miłość?

— Więc dobrze — odpowiadała Brygida — naucz mnie, co robić, aby ci się zawsze podobać. Jestem, być może, równie ładna jak te damy, do których wzdychasz; jeśli nie jestem równie dowcipna i zabawna, mam najlepszą wolę po temu. Rób tak, jakbyś mnie nie kochał, i pozwól, bym cię kochała, nie mówiąc ci o tym. Jestem religijna nie tylko w kościele, ale i w miłości. Co trzeba robić, abyś w to uwierzył?

I stawała przed lustrem, ubierając się w biały dzień niby na bal lub na zabawę, udając zalotność, której nie mogła znieść, siląc się dostroić do mego tonu, śmiejąc się i skacząc po pokoju.

— Czy podobam ci się? — pytała. — Do której z kochanek wydaję ci się podobna? Czy jestem dość ładna, aby ci dać zapomnieć, że można jeszcze wierzyć w miłość? Czy wyglądam na taką, co sobie drwi ze wszystkiego?

Nagle wśród tej sztucznej wesołości odwracała się plecami i mimowolny dreszcz wstrząsał na jej włosach smutne kwiaty, które upinała. Rzuciłem się do jej stóp.

— Przestań — mówiłem — zanadto podobna jesteś do tych, które chcesz naśladować, a które moje nieczne usta śmią wspominać przy tobie. Zdejm te kwiaty, zdejm tę suknię. Obmyjmy tę wesołość szczerymi łzami; nie każ mi przypominać sobie, że jestem marnotrawnym synem; zanadto dobrze znam swoją przeszłość.

Ale nawet ta skrucza była okrucieństwem: dowodziła, że widma, jakie miałem w sercu, były czymś bardzo realnym. Poddając się uczuciu grozy, mówiłem jej tym samym jasno, że jej poddanie i chęć podobania się przywodzą mi jedynie nieczyste obrazy.

I była to prawda. Wchodziłem w dom Brygidy przepelniony radością, przysięgając zapomnieć w jej ramionach mych cierpień i minionego życia; zaklinałem się na kolanach o mym szacunku aż do samej krawędzi jej łóżka; wchodziłem w nie jak do sanktuarium; wyciągałem do niej ramiona, wylewając łzy. I oto zdejmując suknię, Brygida uczyniła ruch, zbliżając się do mnie, wyrzekła jakieś słowo; — i nagle przypominałem sobie jakąś dziewczkę, która, zdejmując suknię wieczór i zbliżając się do mego łóżka, uczyniła ten sam gest, wyrzekła to samo słowo.

Biedna, oddana duszo! coś ty cierpiała wówczas, widząc, jak blednę przy tobie, kiedy moje ramiona, gotowe cię przyjąć, opadały martwo na twoje gładkie i świeże ramię! kiedy pocałunek obumierał na mej wardze i kiedy pełen miłości wzrok, ten czysty promień bożego światła, cofał się w moich oczach niby strzała odwrócona wiatrem! Ach, Brygi-

do, jakie diamenty spływały z twych powiek! w jakich skarbach wzniosłego miłosierdzia czerpałaś cierpliwą ręką swoją miłość tak smutną i pełną współczucia!

Przez długi czas dobre i złe dni następowały po sobie prawie regularnie; bywałem na przemian twardy i szyderski, tkliwy i oddany, suchy i wyniosły, żalujący i uległy. Twarz Desgenais'go, która ukazała mi się zrazu niby ostrzeżenie, była ciągle obecna mej myśli. W czasie dni zwątpienia i chłodu rozmawiałem, można powiedzieć, z nim; często w tej samej chwili, gdy obraziłem Brygidę jakim dotkliwym szyderstwem, powiadałem sobie: „Gdyby on był na moim miejscu, inaczej jeszcze brałby się do rzeczy!”

Niekiedy znów kładąc kapelusz, aby się udać do Brygidy, spoglądałem w lustro i mówiłem sobie: „Et, i cóż w tym za nieszczęście? Ostatecznie, mam ładną kochankę; oddała się rozpustnikowi, niech mnie bierze takim, jakim jestem”. Przybywałem uśmiechnięty, rzucałem się na fotel z niedbałą i obojętną miną. Brygida podchodziła, patrząc we mnie z niepokojem swymi dużymi oczami; brałem w ręce jej drobne białe rączki i tonąłem w zadumie bez końca.

Jak dać nazwę rzeczy bez nazwy? Czy byłem dobry czy zły? nieufny czy szalony? Nie trzeba się zastanawiać, trzeba iść dalej; *tak było*.

W sąsiedztwie naszym mieszkała młoda kobieta nazwiskiem pani Daniel; wcale ładna, a bardziej jeszcze zalotna. Była biedna, a chciała uchodzić za bogatą; odwiedzała nas po obiedzie i grywała z nami starając się podwyższać grę, mimo że przegrana była dla niej bardzo kłopotliwa; śpiewała, a nie miała głosu. Na tej zapadłej wsi, gdzie nieżyczliwy los ją zagrzebał, pożerało ją niesłychane pragnienie uciech. Mówiła tylko o Paryżu, gdzie bywała parę dni w roku; siliła się zdążyć za modą; dobra Brygida pomagała jej w tym, jak mogła, uśmiechając się miłosiernie. Mąż jej był urzędnikiem w katastrze: w świąteczne dni wioził ją do powiatowego miasta, gdzie wyfloczona w najparadniejsze stroje kobiecina z zapalem wytańcowywała w salonach prefektury z całym garnizonem. Wracała z błyszczącymi oczyma, nie czując nóg i kości; przybiegała do nas, aby opowiedzieć swoje tryumfy i strapienia swoich rywalek. Przez resztę czasu czytywała romanse, nie troszcząc się wcale o dom, który też nie był zbyt apetyczny.

Za każdym razem, kiedy ją widziałem, podrwiałem sobie z niej, tak bardzo jej rzekoma światowość zdawała mi się pocieszna. Przerywałem jej opowiadania o balach, aby pytać nowin o mężu i teściu, których nienawidziła z całej duszy; jednego, ponieważ był jej mężem, drugiego, ponieważ był tylko chłopem; słowem, nie zdarzyło się nam rozmawiać, aby się o coś nie posprzeczć.

Wpadłem na myśl w okresie moich złych dni, aby się zacząć umizgać do tej damuli, jedynie dla sprawienia przykrości Brygidzie.

— Patrz — mówiłem — jak pani Daniel doskonale bierze życie! Cóż za wesołe usposobienie! czy można sobie wyobrazić miłszą kochankę?

Dopieroż zaczynałem panegiryk: jej pusty szczebiot stawał się pełną dowcipu żywością, przesadne pretensje naturalną chęcią podobania się: czy to jej wina, że była uboga? Ta przynajmniej myśli jedynie o przyjemności i wyznaje to szczerze; nie moralizuje sama i nie słucha niczyich kazań. Dochodziło do tego, iż mówiłem wręcz Brygidzie, aby ją sobie wzięła za wzór i że to jest typ kobiety najzupełniej wedle mego smaku.

Nieboraczka ta podchwyciła w oczach Brygidy pewien odcień melancholii. Była to dziwna istota; równie dobra i szczerą kiedy wyszła z kręgu swoich szmatek, jak głupia wówczas, gdy je miała w głowie. W tej okoliczności zdobyła się na uczynek zupełnie podobny do niej, to znaczy równocześnie dobry i głupi. Jednego dnia na przechadzce, kiedy były same, rzuciła się Brygidzie w ramiona; powiedziała, iż spostrzega, że ja zaczynam się do niej zalecać i że zwracam się do niej w sposób, którego intencyj niepodobna dwójako rozumieć; ale ona wie, że należą do innej, i raczej by umarła, niżby miała zniweczyć szczęście przyjaciółki. Brygida podziękowała jej, po czym pani Daniel, uspokoiwszy sumienie, nie szczędziła zabójczych spojrzeń, aby mnie do reszty pogrążyć.

Skoro wieczorem odeszła, Brygida powtórzyła mi surowym tonem rozmowę w lasku; prosiła, abym jej oszczędził podobnych afrontów na przyszłość.

— Nie dlatego — rzekła — abym przywiązywała do tego wagę albo wierzyła w te żarty; ale, jeżeli czujesz coś dla mnie, zdaje mi się, że zbytecznym jest powiadamiać osoby trzecie, iż uczucie twoje podlega kaprysom.

Kobieta, Mężczyzna, Gra,
Miłość, Zazdrość

— Czy podobna — odparłem śmiejąc się — aby ci chodziło o to? Widzisz dobrze, że sobie z niej żartuję i że to ot, dla zabicia czasu.

— Och, Oktawie, Oktawie — rzekła Brygida — to całe nieszczęście, że czujesz potrzebę zabijania czasu.

W kilka dni potem zacząłem ją namawiać, abyśmy i my wybrali się do prefektury przypatrzeć się płasom pani Daniel; zgodziła się z przykrością. Podczas gdy Brygida kończyła się ubierać, stałem koło kominka; zacząłem jej czynić wyrzuty, iż traci dawną wesołość.

— Co tobie? — pytałem (wiedziałem równie dobrze jak ona) — czemu ta żalobna mina, która już cię nie opuszcza? W istocie, sprawisz, iż nasze sam na sam zaczną być trochę smutne. Pamiętam w tobie niegdyś usposobienie bardziej wesołe, bardziej swobodne i otwarte; nie jest pochlebny dla mnie widzieć, iż ja je tak zmieniłem. Ale ty masz coś z zakonnicy: urodziłaś się do klasztoru.

Była to niedziela; kiedyśmy mijali aleję, Brygida zatrzymała pojazd, aby przywitać gromadkę znajomych wiejskich dziewcząt, świeżych i dziarskich, które spieszyły na tańce. Rozstawszy się z nimi, długo wyglądała przez okno powozu; wspomnienie wiejskiego baliku było jej drogicę; przyłożyła chustkę do oczu.

Zastaliśmy w prefekturze panią Daniel w pełni upojenia. Tańczyłem z nią tyle, iż zwróciło to uwagę; nadszkakiwałem jej, co wlezie, co ona przyjmowała z równym zapałem.

Brygida siedziała naprzeciwko; spojrzenie jej nie opuszczało nas. Trudno opisać to, czego doświadczałem: była to razem przyjemność i przykrość. Widziałem, że jest zazdrośna; ale zamiast się tym wzruszyć, robiłem, co mogłem, aby ją tym więcej zaniepokoić.

Spodziewałem się za powrotem wymówek z jej strony; nie tylko nie czyniła mi żadnych, ale przez następne dwa dni zachowała posępne milczenie. Za moim zjawieniem podchodziła i ścisła mnie; po czym siadaliśmy naprzeciwko, oboje pogrążeni w zadumie, wymieniając jedynie parę nieznaczących słów. Trzeciego dnia przemówiła wreszcie; wybuchnęła gorzkimi wyrzutami, rzekła, iż postępowanie moje jest niezrozumiałe, że nie wie, co o nim myśleć, chyba to, że jej już nie kocham; ale nie może dłużej znieść tego życia i raczej gotowa jest na wszystko, niżby miała znosić moje dziwactwa i humory. Miała oczy pełne łez i już miałem błagać ją o przebaczenie, kiedy nagle wymknęło się jej parę słów tak gorzkich, iż duma moja stanęła dęba. Odparłem z tego samego tonu i sprzeczka zaogniła się. Rzekłem, iż śmiesznym jest, abym nie miał u niej tyle zaufania, by mogła polegać na mnie w najzwyczajniejszych okolicznościach; pani Daniel jest tylko pozorem; ona wie dobrze, że mi nie w głowie myśleć o tej kobiecie; ta rzekoma zazdrość jest jedynie bardzo prawdziwym despotyzmem. Zresztą jeśli ją to życie mężczy, od niej jedynie zależy przerwać je.

— Więc dobrze — odparła. — Wiem tyle, iż od czasu, jak należą do ciebie, nie poznaję cię; grałeś zapewne komedię, aby mnie przekonać, że mnie kochasz; ta komedia cię nuży i znajdujesz już dla mnie tylko same przykrości. Za pierwszym słowem, które ktoś ci rzuci, posądzasz mnie, że cię oszukuję; a ja nie mam prawa odczuć zniewagi, jaką mi wyrządzasz. Nie jesteś już tym Oktawem, którego kochałam.

— Wiem — rzekłem — co to są te twoje cierpienia. Czemuż by nie miały się objawiać za każdym krokiem, który zrobisz? Niebawem nie będzie mi wolno odezwać się do innej kobiety prócz ciebie. Udajesz męczennicę, aby móc sama obrzucać mnie obelgami; oskarżasz mnie o tyranie, aby ze mnie zrobić niewolnika. Skoro mącą twój spokój, miejże go do syta; nie ujrzyś mnie już więcej.

Rozstaliśmy się w gniewie i spędziłem dzień bez widzenia się z Brygidą. Nazajutrz około północy uczułem taki smutek, że nie mogłem dać sobie rady. Z oczu puścił mi się strumień łez; obsypałem się zniewagami, na które zasługiwałem. Rzekłem sobie, że jestem szaleńcem, i to nędznym szaleńcem, aby tak dręczyć najszlachetniejszą, najlepszą istotę. Pobiegłem rzucić się do stóp Brygidy.

Wchodząc do ogrodu, ujrzałem w jej pokoju światło; podejrzliwa myśl przeszła mi przez głowę. „Nie spodziewa się mnie o tej porze — pomyślałem — kto wie, co ona robi? Zostawiłem ją wczoraj we łzach; zastanę ją może ze śpiewem na ustach, równie mało troszczącą się o mnie, co gdybym nie istniał. Stroi się może przy gotowalni jak tamta. Muszę wejść po cichu, iżbym wiedział, czego się trzymać”.

Kobieta, Mężczyzna,
Kłótnia, Miłość

Zakradłem się na palcach, że zaś drzwi były przypadkiem uchylone, mogłem widzieć Brygidę, nie będąc widziany.

Siedziała przy stole i pisała w tym samym dzienniku, który obudził pierwsze moje podejrzenia. Trzymała w lewej ręce białe drewniane puzderko, na które spoglądała od czasu do czasu z nerwowym drżeniem. Było coś dziwnie złowróżbnego w nerwowym spokoju, jaki tu panował. Sekretarzyk był otwarty, leżały na nim papiery w kilku plikach, jak gdyby świeżo uporządkowane.

Pchnąłem drzwi, czyniąc lekki hałas. Brygida wstała, podeszła do sekretarzyka, aby go zamknąć, następnie zbliżyła się do mnie z uśmiechem.

— Oktawie — rzekła — jesteśmy istne dzieci. Ta cała sprzeczka nie ma najmniejszego sensu, i gdybyś nie przyszedł dziś wieczór, ja byłabym u ciebie jeszcze tej nocy. Daruj mi, to ja zawiniłam. Pani Daniel będzie jutro na obiedzie; ukarż mnie, jeśli chcesz, za to co nazywasz moim despotyzmem. Bylebyś mnie kochał, jestem szczęśliwa; zapomnijmy o tym, co się stało, i nie psujmy naszego szczęścia.

ROZDZIAŁ III

Sprzeczka nasza była, aby tak rzec, mniej smutna niż to pojednanie; w postępowaniu Brygidy tkwiła jakaś tajemnica, która przeraziła mnie w pierwszej chwili, a która później zostawiła mi w duszy ustawiczny niepokój.

Im dalej brnąłem, tym bardziej rozwijały się we mnie, mimo wszelkich wysiłków, dwa czynniki nieszczęścia, mające źródło w przeszłości: to wściekła zazdrość pełna wyrzutów i obelg, to okrutna wesołość, udana płochosć, znieważająca wśród żartu to, co mi było najdroższe. Tak oto ścigały mnie bez chwili przerwy nieubłagane wspomnienia. Brygida, widząc, iż obchodzi się z nią na przemian niby z niewierną kochanką lub z płatną dziewczyną, zapadała stopniowo w smutek, który zżerał całe nasze życie; a co najgorsze, iż ten smutek, mimo że znałem jego przyczyny i czułem się jego sprawcą, niemniej był mi ciężarem. Byłem młody i lubiłem życie; to codzienne sam na sam z kobietą starszą ode mnie, która cierpiała i wiodła, ta coraz bardziej poważna twarz, którą miałem, przed sobą, wszystko to pobudzało do buntu moją młodość i rodziło we mnie gorzkie tęsknoty za straconą wolnością.

Kiedy w piękną noc księżycową wędrowaliśmy z wolna przez las, pławiliśmy się oboje w głębokiej melancholii. Brygida patrzyła na mnie ze współczuciem. Siadaliśmy na skale wznoszącej się nad pustym wąwozem; spędzaliśmy tam całe godziny; oczy jej, na wpół przysłonięte, zatapiały się w me serce poprzez moje oczy, po czym Brygida obracała je znów na przyrodę, na niebo, na dolinę.

— Ach, drogie dziecko — mówiła — jak mi cię żal! ty mnie nie kochasz!

Aby dotrzeć do tej skały, trzeba było zrobić dwie mile lasem; tyleż z powrotem: razem cztery. Brygida nie lękała się zmęczenia ani nocy. Wyruszyliśmy o jedenastej wieczór, aby wrócić niekiedy aż rano. Kiedy puszczaliśmy się na takie wyprawy, brała niebieską bluzę i męski strój, mówiąc wesoło, że jej zwyczajne suknie nie nadają się do drogi przez gąszcze. Szła przede mną po piasku śmiałym krokiem, z tak uroczym połączeniem kobiecej delikatności i płochosci dziecinnej, iż zatrzymywałem się co chwilę, aby na nią popatrzeć. Zdawałoby się, skoro raz puściliśmy się w drogę, iż ma do spełnienia zadanie ciężkie, ale święte; szła naprzód jak żołnierz, kołysząc rękami i śpiewając na całe gardło: nagle odwracała się, podchodziła do mnie i całowała mnie. Tak było, kiedyśmy szli; za powrotem opierała się na mym ramieniu: wówczas już milkła piosenka, wówczas przychodziły zwierzenia, tkliwe słówka szeptane półgłosem, mimo że byliśmy sami na więcej niż dwie mile wkoło. Nie przypominam sobie jednego słowa wymienionego w czasie powrotu, które by nie było wylewem miłości lub przyjaźni.

Jednego wieczora puściliśmy się do skały drogą naszego wymysłu, to znaczy brnęliśmy przez las bez żadnej drogi. Brygida wędrowała tak ochoczo, aksamitny kaszkiecik na bujnych blond włosach nadawał jej tak dobrze wejrzenie rezolutnego urwisa, iż kiedy przychodziło nam przebyć jakieś trudniejsze miejsce, zapomniałem, że jest kobietą. Nie raz była zmuszona przywoływać mnie, abym jej pomógł drapać się na skalę, wówczas gdy nie troszcząc się o nią, pomknąłem sam wyżej. Nie umiem opisać wrażenia, jakie wywierał wówczas, w owej jasnej i wspaniałej nocy, pośród lasów, ten kobiecy głos na wpół

radosny a na wpół skarżący się, wychodzący z drobnego chłopięcego ciała uczepionego jałowców i korzeni i niezdolnego posuwać się dalej. Brałem ją w ramiona.

— Chodź, laskawa pani — mówiłem ze śmiechem; widzę że z ciebie dzielny i zwinny góralik; ale kaleczysz sobie białe rączki: mimo twoich grubych trzewików, tęgiego kija i marsowej miny, widzę, iż trzeba będzie cię zanieść.

Przybyliśmy zdyszani; miałem na sobie rzemienny pas, u którego wisiała oplatana butelka. Skoro znaleźliśmy się na skale, moja złota Brygida poprosiła o butelkę; zgubiłem ją, zarówno jak krzesiwo, które służyło nam do odczytywania napisów na drogowskazach, wówczas kiedyśmy zbłądzili, co nam się zdarzało regularnie. Drapałem się wówczas na drogowskazy i cała sztuka była w tym, aby skrzesać iskry w dobrą chwilę i w lot przeczytać wpółzatarłe litery; ot, bawiliśmy się jak para dzieciaków. Gdyby nas kto widział dopiero na skrzyżowaniu dróg, gdzie trzeba było odczytać nie jeden napis, ale pięć lub sześć, aż w końcu znajdzie się dobry! Ale tego wieczora cały nasz przybór został gdzieś w trawie...

— Trudno — rzekła Brygida — spędzimy noc tutaj, czuję się też zmęczona. Ta skała jest nieco przytwarda na łóżko; wyścielimy ją suchymi liśćmi. Siadajmy i nie myślimy o tym więcej.

Wieczór był wspaniały: księżyc wschodził poza nami; widzę go jeszcze, po lewej ręce. Brygida patrzyła nań długo, podczas gdy się wynurzał z wolna z czarnych koronek jakimi zalesione pagórki rysowały się na horyzoncie. W miarę jak błyszcząca tarcza wyłaniała się z gąszczy i wpływała na niebo, piosnka Brygidy stawała się wolniejsza i bardziej melancholijna. Niebawem, Brygida pochyliła się nade mną i owijając mi ramiona koło szyi, rzekła:

— Nie sądzę, że ja nie rozumiem twego serca i że ci robię wymówki za wszystko, co przez ciebie cierpię. To nie twoja wina, drogi mój, jeśli nie masz dość sił, aby zapomnieć dawnego życia; pokochałeś mnie w dobrej wierze, nie pożałuję też nigdy dnia, w którym się oddałam, choćbym miała życiem przyplacić twą miłość. Wierzyłeś w swoje odrodzenie; wierzyłeś, iż w moich ramionach zapomnisz kobiet, które cię zgubiły. Ach! Oktawie, niegdyś uśmiechałam się z tego, co mówiłeś o swym przedwczesnym doświadczeniu; myślałam, że się nim chęlpisz jak dzieci, które nie mają pojęcia o życiu. Sądziłam, że wystarczy mi chcieć i że wszystko, co jest dobrego w twym sercu, spłynie ci na wargi za pierwszym moim pocałunkiem. Ty sam w to wierzyłeś: pomyliliśmy się oboje. O dziecko, nosisz w sercu ranę, która nie chce się zgoić; musiałeś bardzo kochać tę kobietę, która cię oszukała! tak, więcej niż mnie, o wiele więcej, niestety! skoro całą mą biedną miłością nie mogę zatrzeć jej obrazu; musiała cię też zwieść bardzo okrutnie, skoro na próżno ja ci jestem wierna! A inne, te nędzнице, cóż one uczyniły, aby ci zatruć młodość? Rozkosze, które ci sprzedawały, były snadź bardzo żywe i bardzo straszne, skoro żądasz ode mnie, abym była do nich podobna! Pamiętasz o nich, będąc przy mnie! Ach! dziecko moje, to jest najokropniejsze. Wolę raczej znosić, jak, niesprawiedliwy i wściekły, wyrzucasz mi urojone zbrodnie i mścisz się na mnie za krzywdę, jaką ci wyrządziła pierwsza kochanka, niż widzieć na twojej twarzy tę okropną wesołość, to wejrzenie drwiącego libertyna, które nagle zjawia się niby gipsowa maska między naszymi ustami. Powiedz, Oktawie, po co to, po co te dni, w których mówisz o miłości ze wzdrgną i w których wyszydzasz tak smutno nawet nasze najśodsze upojenia? Jakże głęboko wżarło ci się w krew okropne życie, jakie wiodłeś, iż podobne zniewagi wypływają ci jeszcze mimo twej woli na wargi? Tak, mimo woli serce bowiem masz szlachetne, sam rumienisz się za to, co czynisz; z nadto mnie kochasz, aby nie cierpieć, gdy widzisz, że ja cierpię. Och, znam cię teraz. Za pierwszym razem, kiedy ujrzałam cię takim, chwycił mnie lęk, o jakim nic ci nie może dać wyobrażenia. Sądziłam, że jesteś do szpiku zepsuty, żeś mnie z rozmysłu oszukał pozorami miłości, której nie czuleś, i że cię widzę takim, jakim jesteś naprawdę. O, mój jedyny! chciałam się zabić; o, jakąż noc spędziłam! Nie znasz mego życia; nie wiesz, że ja, która oto mówię do ciebie, przesłam doświadczenia nie mniej bolesne od twego. Ach tak! życie jest słodkie, ale dla tych, którzy go nie znają.

Nie jesteś, drogi Oktawie, pierwszym człowiekiem, którego kochałam. Jest na dnie mego serca nieszczęsna historia, którą pragnę, abys poznał. Ojciec przeznaczył mnie bardzo młodo jeszcze jednemu synowi starego przyjaciela. Sąsiadowali z sobą i posiadali dwa małe folwarczki, mniej więcej równej wartości. Obie rodziny widywały się codziennie i żyły na stopie serdecznej poufałości. Ojciec umarł; od dawna już straciliśmy matkę.

Chowałam się pod opieką ciotki; tej którą znasz. Zmuszona podjąć jakąś podróż, powierzyła mnie na czas swej nieobecności przyszłemu teściowi. Nie nazywał mnie nigdy inaczej jak swoją córką i było tak wiadomym w okolicy, że mam zaślubić jego syna, iż zostawiano nas razem z największą swobodą.

Ów młody człowiek, którego nazwisko zbytby wymieniać, zawsze okazywał mi żywe uczucie. To, co było od lat dziecinną przyjaźnią, stało się z czasem miłością. Ilekroć byliśmy sami, mówił mi o szczęściu, które nas czeka; malował mi swą niecierpliwłość. Byłam tylko rok młodsza od niego; ale on wszedł w sąsiedztwie w zażyłość z człowiekiem lichego życia, awanturnikiem, którego radom zaczął ulegać. Podczas gdy ja poddawałam się jego pieśczętom z ufnością dziecka, on postanowił oszukać ojca, chybić wiary obu rodzinom i porzucić mnie, zgubiwszy mnie wprzód.

Jednego rana, ojciec wezwał nas do swego pokoju i w obecności całego domu naznaczył dzień naszego ślubu. Wieczorem tego samego dnia narzeczony mój spotkał mnie w ogrodzie, wynurzył mi swoją miłość żywiej niż kiedykolwiek, oświadczył iż, skoro termin ślubu jest postanowiony, on uważa się za mego męża, i że jest nim wobec Boga od swego urodzenia. Na moje usprawiedliwienie mogę przytoczyć jedynie mą młodość, nieświadomość i ufność, jaką w nim pokładałam. Oddałam mu się, zanim zostałam jego żoną, a w tydzień później opuścił dom ojcowski; uciekł z jakąś kobietą, z którą zapoznał go nowy przyjaciel; napisał, że jedzie do Niemiec i nigdyśmy go już nie ujrzeli.

Oto w jednym słowie dzieje mego życia; mąż mój znał je tak, jak ty je znasz teraz. Mam wiele dumy, moje dziecko; poprzysięgłam sobie w mojej samotności, że nigdy przez żadnego mężczyznę nie wycierpię drugi raz tego, co wycierpiałam wówczas. Ujrzałam cię i zapomniałam mojej przysięgi, ale nie mego bólu. Trzeba się ze mną obchodzić łagodnie; jeśli ty jesteś chory, ja nią jestem również; trzeba się nam pielęgnować wzajem. Widzisz, Oktawie, ja wiem także, co to jest wspomnienie przeszłości. I we mnie budzi ono, gdy jestem przy tobie, chwile straszliwej grozy; zdobędę się na więcej męstwa niż ty, ponieważ więcej może wycierpiałam. Do mnie należy zacząć; serce moje jest jeszcze bardzo niepewne siebie, jestem jeszcze bardzo słaba; życie moje w tej wiosce było tak spokojne, zanim ty przybyłeś! tak przyrzekałam sobie nic w nim nie zmieniać! Wszystko to czyni mnie wymagającą. Ale mniejsza, jestem twoją. Mówiłeś mi w swoich dobrych chwilach, iż Opatrzność stworzyła mnie, iżbym czuwała nad tobą niby matka. To prawda, drogi mój; ja nie co dzień jestem twoją kochanką; są dni, w których jestem, w których chcę być twoją matką. Tak, kiedy znęcasz się nade mną, wówczas nie widzę już w tobie kochankę; jesteś wówczas dla mnie jedynie dzieckiem chorym, dzikim lub kapryśnym, które trzeba mi pielęgnować i leczyć, aby odnaleźć tego, którego kocham i kochać chcę zawsze. Niechaj Bóg da mi tę siłę! — dodała patrząc w niebo. — Niechaj Bóg, który nas widzi, który mnie słyszy, niechaj Bóg matek i kochanek pozwoli mi dopełnić tego zadania! Gdybym nawet paść miała pod nim; gdyby duma moja, która się burzy, moje biedne serce, które się łamie mimo mej woli, gdyby całe moje życie...

Nie dokończyła; łzy przerwały jej słowa. O Boże! widzę ją tam na kolanach, ze złożonymi rękami, pochyloną na kamieniu; wiatr kołysał ją przed moimi oczami niby krzę, które nas otaczały. Wątpła i wzniosła istota! modliła się za swoją miłość. Objąłem ją i podniosłem.

— O moja jedyna przyjaciółko — wykrzyknąłem — o moja kochanko, matko moja i sestro! módl się także za mnie, bym cię mógł kochać tak, jak na to zasługujesz. Proś, abym mógł żyć; aby moje serce obmyło się w twoich łzach; aby się stało hostią bez plamy i abyśmy się nią podzielili w obliczu Boga!

Wyciągnęliśmy się na kamieniu. Wszystko milczało wkoło nas; ponad naszymi głowami roztaczało się niebo błyszczące od gwiazd.

— Czy poznajesz je? — rzekłem — czy przypominasz sobie pierwszy dzień?

Bogu dzięki, od tego wieczoru nie byliśmy nigdy u tej skały. Ołtarz ten został czysty; jedyne prawie widmo mego życia, które jest jeszcze odziane białą, kiedy mi się przesuwają przed oczami.

ROZDZIAŁ IV

Przechodząc przez wieś, natknąłem się pewnego wieczora na dwóch ludzi, z których jeden mówił dość głośno:

— Podobno znęca się nad nią.

— To jej wina — odparł drugi — jak można wybrać podobnego człowieka? Miewał do czynienia jedynie z ulicznikami; Brygida ponosi karę za swoje szaleństwo.

Podsunałem się w ciemności, aby rozpoznać osoby mówiących i starać się posłyszeć coś więcej, ale na mój widok oddalili się.

Zastałem Brygidę zaniepokojoną; ciotka była poważnie chora; zaledwie miała czas szepnąć mi parę słów. Nie mogłem dotrzeć do niej przez cały tydzień; wiedziałem, że sprowadzała lekarza z Paryża; wreszcie jednego dnia posłała po mnie.

— Ciotka umarła — rzekła — straciłam jedyną istotę, jaką miałam jeszcze na ziemi. Jestem obecnie sama na świecie; wyjadę stąd.

— Czyż w istocie nie jestem niczym dla ciebie?

— Owszem, drogi mój, wiesz, że cię kocham i wierzę często, że ty mnie kochasz. Ale w jaki sposób mogłabym liczyć na ciebie? Ja jestem twoją, ale ty, niestety, nie jesteś moim. Ciebie to Szekspir określił tym smutnym słowem: „Kaź sobie zrobić ubranie z mieniającej tafty, serce twoje bowiem podobne jest do opalu o tysiącznych kolorach”. A ja, Oktawie — dodała wskazując żalobną suknię — skazana jestem na jeden kolor i na długo już go nie zmienię.

— Wyjdziesz stąd, jeśli chcesz; zabiję się albo pójdę za tobą. Ach, Brygido — dodałem padając na kolana — myślałaś że jesteś sama, dlatego że straciłaś ciotkę! To najokrutniejsza kara, jaką mi mogłaś wymierzyć; nigdy boleśniej nie odczułem, jak nędzną jest moja miłość do ciebie. Musisz cofnąć tę okropną myśl; zasługuję na nią, ale mnie zabija. O Boże! byłoby prawdą, iż nie liczę się za nic w twoim życiu lub też gram w nim rolę jedynie przez ból, jaki ci zadaje!

— Nie wiem — rzekła — kto się zajmuje nami; ale od pewnego czasu rozchodzą się tu i w okolicy osobliwe powieści. Jedni mówią, że cię gubię; obwiniają mnie o nierozwagę i szaleństwo; drudzy przedstawiają ciebie jako okrutnego i niebezpiecznego człowieka. Wcisnęli się, nie wiem w jaki sposób, w nasze najpoufniejsze myśli; to, co sądziłam, że wiadome jest tylko mnie, owe nierówności twego postępowania i smutne sceny, jakie z nich wynikły, wszystko to jest publiczną tajemnicą; biedna ciotka wspomniała mi o tym, a od dawna wiedziała, nic nie mówiąc. Kto wie, czy to wszystko nie przyspieszyło, nie zatrzymało jej zgonu? Gdy spotkam na przechadzce dawne przyjaciółki, witają mnie chłodno lub oddalają się za mym zbliżeniem; nawet moje kochane wieśniaczki, te dobre dziewczyny, które mnie tak kochały, wzruszają ramionami, kiedy widzą moje miejsce próżne tuż koło orkiestry na tańcach. Dlaczego, jak się to dzieje? nie wiem, ty także z pewnością; ale trzeba mi jechać stąd, nie zniosę tego. I ta śmierć, ta nagła i okropna choroba; a ponad wszystko ta samotność! ten pusty pokój! Brak mi odwagi; jedyny mój, drogi, nie opuszczaj mnie!

Plakała; ujrzałem w sąsiednim pokoju suknie w nieładzie, walizę stojącą na ziemi, wszystkie oznaki przygotowań do wyjazdu. Jasnym było, iż po śmierci ciotki, Brygida chciała wyjechać bez mnie i że nie miała siły. Była w istocie tak przybita, iż ledwie mogła mówić; położenie jej było straszne i to ja byłem jego sprawcą. Nie tylko była nieszczęśliwa, ale lżono ją publicznie, a człowiek, w którym powinna była znaleźć podporę i pociechę, był dla niej jedynie obfitym jeszcze źródłem niepokoju i udręczeń.

Uczułem tak żywo moje winy, iż zawstydzilem się sam siebie. Po tylu przyrzeczeniach, tylu próżnych zapalach, tylu zamiarach i nadziejach, oto w rezultacie, com uczynił i to w przeciągu trzech miesięcy! Sądziłem, że mam w sercu skarb, a wysączyła się zeń jedynie gorzka żółć, czczy majak i nieszczęście kobiety, którą ubóstwiałem. Po raz pierwszy spojrzałem sobie prosto w oczy; Brygida nie wyrzucała mi nic; chciała wyjechać i nie mogła; gotowa była cierpieć jeszcze. Spytałem nagle sam siebie, czy nie powinienem jej opuścić, czy nie mnie to należało się oddalić i uwolnić ją od tej plagi.

Wstałem i przeszedłszy do sąsiedniego pokoju, usiadłem na walizie. Utopiłem czoło w rękach i zapadłem w jakąś martwość. Patrzałem dokoła siebie na wszystkie te na wpół gotowe pakunki, na suknie rozrzucone po sprzętach; ach, znałem je tak dobrze;

Strój, Serce

coś z mego serca było we wszystkim, co się jej dotknęło. Zacząłem przechodzić w myśli wszystkie krzywdy, jakie jej wyrządziłem; ujrzałem mą słodką Brygidę przechodzącą pod lipami i białą kózkę biegnącą za nią.

— Ha! — wykrzyknąłem — jakim prawem? Kto cię ośmielił zbliżyć się do niej i ściągać rękę na tę kobietę? Kto zezwolił, aby istota ludzka cierpiała dla ciebie? Trefisz włosy przed lustrem i idziesz jak fircyk na podboje, do smętnej kochanki; rzucasz się na poduszki, na których ona przed chwilą modliła się za ciebie i za siebie i trącasz lekko, z niedbałą miną, te wątłe ręce, które drżą jeszcze. Umiesz wcale nieźle rozpalać swoją biedną głowę; w chwilach miłosnych uniesień jesteś dosyć wymowny; podobnie jak ów adwokat, który wychodzi z czerwonymi oczami z audyencji, na której przegrał szalbierczy proces. Bawisz się w zepsute dziecko, igrasz sobie z cierpieniem; za pomocą szpilki od włosów dopuszczasz się wytwornego morderstwa. Co powiesz żywemu Bogu, skoro dokończysz swego dzieła? Jaki los czeka kobietę, która cię kocha? Dokąd ty się osuwasz, gdzie padasz, wówczas gdy ona wspiera się na tobie? Z jaką twarzą pogrzebiesz pewnego dnia swą bladą i nieszczęsną kochankę, tak jak ona pogrzebała dziś ostatnią istotę, która była jej obroną? Tak, tak, to pewne, pogrzebiesz ją; miłość twoja bowiem zabija ją i żżera; rzuciłeś ją na łup swoim furiom, ona to je nasycą. Jeżeli pójdziesz za tę kobietą, umrze przez ciebie. Strzeż się! jej dobry anioł waha się; uderzył w ten dom, aby zeń wygnać nieszczęsną i haniebną namiętność! natchnął Brygidę zamiarem wyjazdu; daje jej może w tej chwili do ucha ostatnią przestrożę. O morderco! o kacie! strzeż się! chodzi o śmierć i życie!

Tak mówiłem sam do siebie; ale równocześnie ujrzałem na sofie perkalową sukienkę w prążki, już złożoną do zapakowania. Sukienka ta była świadkiem jednego z niewielu naszych szczęśliwych dni. Ująłem ją w rękę.

— Ja opuścić ciebie! — rzekłem — ja stracić ciebie! O ty perkalikowa sukienko, chcesz jechać beze mnie?

Nie, nie mogę opuścić Brygidy; w tej chwili to by była podłość. Straciła ciotkę, została sama; gnębi ją potwarz jakiegoś ukrytego wroga. To może być tylko Merkanson; rozgadał z pewnością naszą rozmowę o Dalensie: przejrawszy mą zazdrość, domyślił się już reszty. Oto z pewnością jaszczurka, która ośliniła swym jadem mój ukochany kwiat. Trzeba mi najpierw go ukarać, następnie zaś naprawić krzywdę, jaką uczyniłem Brygidzie. Ja szalony! zamierzam ją opuścić, wówczas gdy trzeba jej poświęcić życie, odpokutować błędy; kiedy trzeba szczęściem, opieką i miłością spłacić wszystkie lzy, jakie wylała przeze mnie! kiedy jestem na całym świecie jej jedynym oparciem, jedynym przyjacielem, orężem! kiedy powinienem iść za nią na kraj świata, osłonić ją własnym ciałem, pocieszyć za to, że pokochała mnie i że mi się oddała!

— Brygido! — wykrzyknąłem wchodząc do pokoju, w którym ona została — zaczekaj godzinę, ja wrócę.

— Dokąd idziesz? — spytała.

— Zaczekaj — rzekłem — nie jedź beze mnie. Przypomnij sobie słowa Ruth: „Gdziekolwiek się udasz, twój lud będzie moim ludem, twój Bóg moim Bogiem; ziemia, w której umrzesz, ujrzy i moją śmierć i pochowają mnie tam, gdzie i ciebie”.

Wyszedłem spiesznie i pobiegłem do Merkansona; powiedziano mi, że wyszedł, postanowiłem zaczekać.

Usiadłem w kącie, w skórzanym fotelu księdza, przy czarnym i brudnym stole. Zaczynał mi się czas dłużyć, kiedy nagle przypomniałem sobie pojedynek o pierwszą kochankę.

„Wyniosłem zeń — pomyślałem — tęgi strzał z pistoletu i opinię skończonego dudka. Po co ja tu przyszedłem? Ksiądz nie będzie się przecież strzelał; jeżeli zechcę z nim szukać sprzeczki, odpowie, iż sukienka uwalnia go od rozmów tego rodzaju; po moim odejściu będzie miał tylko nowy przedmiot do plotek. Co zresztą gadają? O co tak chodzi Brygidzie? Mówią, że gubi swoją dobrą sławę, że ja się znęcam nad nią i że źle czyni, pozwalając na to. Cóż za głupstwo! to wszystko nic nikogo nie obchodzi; jedyny sposób to dać się ludziom wygadać; zaprzętać się podobnymi bredniami, znaczy nadawać im wagę. Czy można mieszkańcom zapadłej dziury zabronić, aby się zajmowali sąsiadami? Czy można przeszkodzić dewotkom w obmawianiu kobiety, która ma kochankę? Jakim cudem zdołałby kto zapobiec ludzkim gadaniom? Jeśli mówią, że się znęcam nad Brygidą, do mnie należy zaprzeczyć temu moim postępowaniem, a nie gwałtem. Byłoby równie

nedorzecznym szukać zwady z Merkansonem, co wynosić się stąd dla jakichś plotek. Nie, nie trzeba wyjeżdżać; toby była zła taktyka; toby znaczyło oznajmić całemu światu, że miał słuszność i zgotować tryumf plotkarzom. Nie trzeba ani wyjeżdżać, ani zwracać uwagi na gadania”.

Wróciłem do Brygidy. Nie minęło pół godziny, a ja już trzy razy odmieniłem poglądy. Odradziłem jej wyjazd, opowiedziałem mój krok i przyczyny, dla których go poniechałem. Słuchała powolnie³⁷; mimo to chciała jechać; ten dom, gdzie ciotka jej umarła, stał się jej wstrętny, trzeba było wielu wysiłków z mej strony, aby ją odwieść od zamiaru; udało mi się wreszcie. Powtarzaliśmy sobie, że gardzimy ludzkimi językami, że nie trzeba im w niczym ustępować ani też nic zmieniać w naszym trybie. Przysięgałem, że miłość moja wynagrodzi jej wszystkie zgryzoty; udała, że wierzy temu. Rzekłem, iż jasno widzę dziś swoje winy; że postępowanie moje dowiedzie jej mojej skruchy; że chcę odpędzić niby złe widziadło wszelki zły zacyzn, jaki został w mym sercu; że odtąd nie trzeba się już lękać napadów mojej dumy lub kaprysu. I tak Brygida, smutna i uległa, wciąż opleciona koło mej szyi, poddała się czystemu kaprynowi, który ja sam brałem za światło rozumu.

ROZDZIAŁ V

Jednego dnia, wszedłszy do jej domu, ujrzałem otwarty mały pokój, który Brygida nazywała swoją modlitewnią; w istocie, był tam za cały sprzęt jedynie klęcznik oraz ołtarzyk: na nim krzyż i parę doniczek z kwiatami. Ściany, firanki, wszystko było białe jak śnieg. Brygida zamykała się tam niekiedy, ale od czasu jak żyliśmy z sobą rzadko.

Uchyliłem drzwi i ujrzałem ją siedzącą na ziemi pośród porzuconych kwiatów. Trzymała w ręku wianuszek uwity jakby z zeschniętych ziół i kruszyła go w palcach.

— Co ty robisz? — spytałem.

Zadrżała i podniosła się.

— To nic — odparła — ot, dziecinna zabawka; dawny wianuszek z róż, który zwiądl w tej modlitewni; dawno już temu zawiesiłam go tutaj; przyszedł, aby zmienić kwiaty.

Głos jej drżał, dawała się bliska omdlenia. Przypomniałem sobie miano Brygidy-Róży, które niegdyś dawano jej we wsi. Spytałem, czy przypadkiem kwiaty, które kruszy, to nie ów wieniec dziewiczej cnoty.

— Nie — odparła, blednąc.

— Tak! — wykrzyknąłem — na mą duszę! daj mi te szczątki!

Zebrałem je i złożyłem na ołtarzu, po czym stałem niemy z oczyma utkwionymi w te resztki.

— Czyż nie słusznie uczyniłam — rzekła — gdyby to był mój wieniec, iż zdjęłam go ze ściany, gdzie wisiał tak długo? Na co te strzępy? Brygidy-Róży nie ma już na świecie, tak samo jak róż, od których wzięła miano.

Wyszła; usłyszałem szloch i drzwi zamknęły się za mną; padłem na kolana na kamiennej posadzce i zapłakałem gorzko.

Skoro udałem się za Brygidą, siedziała przy stole; obiad był gotów, czekała na mnie. Zająłem w milczeniu miejsce i nie było mowy o tym, co mieliśmy w sercu.

ROZDZIAŁ VI

W istocie, to Merkanson rozpowiedział we wsi i okolicznych dworach rozmowę naszą o Dalensie i podejrzenia, jakie mimo woli wyraźnie zdradziłem. Wiadomo, w jaki sposób na prowincji rozchodzi się obmowa, jak biegnie z ust do ust i rośnie; i to właśnie się zdarzyło.

W stosunku moim do Brygidy zaszła zmiana. Mimo iż zamiar wyjazdu objawiła dość miękko, był on wszelako faktem. Została na moją prośbę; tkwiło w tym dla mnie zobowiązanie. Zobowiązałem się nie mącić jej spokoju ani zazdrością, ani płochością; każde twarde i szydercze słowo z mej strony było występkiem, każde smutne spojrzenie Brygidy dotkliwym i zasłużonym wyrzutem.

Dzięki swej dobrej i prostej naturze, znajdowała zrazu w swym osamotnieniu jedynie nowy urok; mogła mnie widywać o każdej porze, bez żadnego skrępowania. Być może

³⁷powolnie (daw.) — posłusznie. [przypis edytorski]

korzystała z tej swobody z umysłu, aby mi dowieść, iż przekłada swą miłość ponad dobrą sławę; zdawało się, iż żałuje uprzedniej wrażliwości na gadania plotkarzy. Faktem jest, iż zamiast przestrzegać pozorów i chronić się przed ciekawością, przyjęliśmy, przeciwnie, tryb życia bardziej swobodny i wyzywający niż kiedykolwiek.

Zjawiałem się w porze śniadania; nie mając nic do roboty przez cały dzień, wychodziłem tylko z nią. Zatrzymywała mnie na obiedzie, wieczór rozumiał się sam przez się. Niebawem skoro nadchodziła godzina rozstania, wymyśliliśmy oboje tysiąc pozorów, tysiąc złudnych osłonek, które nikogo nie były zdolne oszukać. Słowem, mieszkaliśmy po prostu razem, a udawaliśmy oboje, że nikt o tym nie wie.

Dotrzymałem jakiś czas słowa i żadna chmurka nie zmaciła naszego sam na sam. Były to szczęsne dni; nie o tych też trzeba mi mówić.

Opowiadano wszędzie w okolicy, że Brygida żyje publicznie z hulaką przybyłym z Paryża; że kochanek znęca się nad nią; że ustawicznie tylko się rozchodzą i schodzą, ale że to wszystko źle się skończy. Z równym zapalem, z jakim przedtem wysławiano prowadzenie Brygidy, potępiano ją obecnie. Nawet w dawniejszym prowadzeniu, tak godnym wszelkich pochwał, nie było okoliczności, której by nie nicowano, aby jej nadać ujemne znaczenie. Jej samotne wycieczki, których celem było czynienie dobrego i które nigdy nie obudziły żadnego posądzenia, stały się nagle przedmiotem szyderstw i domyslników. Mówiono o niej jak o kobiecie, która zatraciła wszelki wstyd i którą słusznie czekają nieuchronne i straszne nieszczęścia.

Powtarzałem Brygidzie, iż trzeba pozwolić ludziom gadać, i nie chciałem zdradzić, że mnie te sądy obchodzą, ale faktem jest, iż stały mi się nie do zniesienia. Niekiedy umyślnie wybierałem się w odwiedzinę gdzieś w okolicę, aby posłyszeć jakieś słówko, o które mógłbym się ucześcić i zażądać porachunku. Nadsluchiwałem bacznie wszystkiego, co mówiono, ale nie mogłem nic podchwycić; aby mnie wziąć na języki, czekano mego odejścia. Wracałem tedy do domu i mówiłem Brygidzie, że wszystkie te bajania to wielkie nic i że trzeba być szalonym, aby się nimi zaprzętać; że mogą o nas mówić, ile się komu podoba, i że nie chcę nic o tym wiedzieć.

Czyż nie byłem winny ponad wszelki wyraz? Jeżeli Brygida była nierozważna, czyż nie moją rzeczą było mieć zastanowienie i ostrzec ją o niebezpieczeństwie? Zupełnie przeciwnie, stawałem, można powiedzieć, po stronie świata, przeciwko niej.

Zaczęło się od braku względów, niebawem doszło do jawnej złośliwości z mej strony.

— W istocie — mówiłem — świat krytykuje mocno twoje nocne wyprawy. Czy jesteś tak pewna, że nie ma słuszności? Czy nic się nie działo w alejach i grotach tego romantycznego lasu? Czy nigdy, wracając o zmroku, nie przyjęłaś ramienia obcego mężczyzny, tak jak przyjęłaś moje? Czy jedynie miłosierdzie było ci bóstwem w tej zieleni strojnej świątyni, którą przebywałaś tak odważnie?

Nie zapomnę nigdy pierwszego spojrzenia Brygidy, kiedy zacząłem przybierać ten ton: zadrżałem pod nim. „A, ba! — pomyślałem — gdybym kruszył kopie za nią, zrobiłaby jak moja pierwsza kochanka: pokazywałaby mnie palcem jako pociesznego dudka i zapłaciłbym w oczach publiczności za wszystkich”.

Od zwątpienia o kimś do zaparcia się droga jest niedaleka. Wszelki filozof jest krewniakiem niedowiarka. Rzuciwszy Brygidzie w oczy, iż wątpię o jej ubiegłym prowadzeniu, zwątpiłem o nim rzeczywiście; a z chwilą gdy zwątpiłem, przestałem w nią wierzyć.

Doszło do tego, iż mówiłem sobie, że Brygida mnie oszukuje; ona, której nie opuszczałem ani na godzinę; niekiedy oddalałem się z umysłu na czas dość długi i wmawiałem w siebie, iż czynię to, aby ją wypróbować; ale w gruncie chodziło mi bezwiednie tylko o to, aby znaleźć okazję do wątpienia i szyderstwa. Skwapliwie dawałem jej wówczas do zrozumienia, że nie tylko nie jestem już zazdrosny, ale zgoła nie dbam o te szalone obawy, jakie niegdyś dręczyły mą duszę, co oczywiście znaczyło, iż nie cenię jej na tyle, aby być zazdrosnym.

Zrazu zachowywałem dla siebie refleksje tego rodzaju; niebawem znajdowałem przyjemność w tym, aby je wyrażać głośno. Wychodziliśmy na przykład na przechadzkę: „Ładna sukienka — mówiłem — jedna dziewczyna, moja znajoma, ma, zdaje mi się, podobną”. To znów przy stole: „Słuchaj, dziecko; moja dawna kochanka miała zwyczaj nucić przy deserze; miło by mi było, gdybyś podtrzymała tę tradycję”. Siadała do klawikordu:

Plotka, Kobieta "upadła",
Obyczaje, Mężczyzna

Kobieta, Mężczyzna,
Kochanek, Plotka,
Okrucieństwo

Wiara, Zwątpienie, Plotka

„Ach, proszę, zagraj mi walca, który był w modzie ubiegłej zimy; to mi przypomina dobre czasy”.

Czytelniku, to trwało pół roku: przez całe pół roku Brygida spotwarzana, wystawiona na zniewagi świata, musiała znosić z mej strony wszystko lekceważenie i wszystkie obelgi, jakimi zgryźliwy i okrutny rozpustnik może smagać płatną dziewczynę.

Po takich scenach, w których mózg mój wysiłał się w torturach i rozdzierał me własne serce, na przemian oskarżając i szydząc, ale wciąż chciwy męki i nawrotów do przeszłości, po tych scenach przychodził paroksyzm jakiejś dzikiej, do szału dochodzącej miłości, w którym korzyłem się przed Brygidą jak przed świętością, przed bóstwem. W kwadrans po wybuchu zniewag, włożyłem się przed nią na kolanach; z chwilą gdy nie miotałem oskarżeń, kajałem się; z chwilą gdy przestałem drwić, płakałem. Wówczas chwycił mnie jakiś niesłychany spazm, gorączka szczęścia; w upojeniu radości, w szale uniesień odchodziłem niemal od rozumu, nie wiedziałem, co mówić, co robić, co wymyślić, aby naprawić zło, jakie wyrządziłem. Tulilem Brygidę w objęciach; kazałem powtarzać po sto, po tysiąc razy, że mnie kocha i że przebacza. W napadzie skruchy zapowiadałem, że sobie strzelę w łeb, gdybym znów miał znęcać się nad nią. Te serdeczne wylewy trwały przez całe noce, w ciągu których nie przestawałem płakać, mówić, tarzać się u nóg Brygidy i upijać się miłością bez granic, wyczerpującą, szaloną. Przychodził ranek, dniało; padałem bez sił, zasypiałem i budziłem się z uśmiechem na ustach, drwiąc sobie ze wszystkiego i nie wierząc w nic.

W ciągu tych nocy straszliwej rozkoszy Brygida jakby zapomniała, że był we mnie inny człowiek niż ten, którego miała przed oczyma. Gdy ją prosiłem o przebaczenie, wzruszała ramionami, jak gdyby mówiąc: „Czy nie wiesz, że ci przebaczam?” Gorączka moja udzielała się jej. Ileż to razy, blada z rozkoszy i miłości, powtarzała mi, że kocha mnie takim, że te burze to jej życie; że cierpienia, jakie znosi, są jej drogie, skoro opłacam je tą ceną. Mówiła, że nie uzali się nigdy, dopóki przetrwa w mym sercu bodaj iskierka naszej miłości; wie, że umrze z tego, ale ma nadzieję, że i ja także; wszystko, co pochodzi ode mnie, jest jej dobre i miłe, zarówno zniewagi jak i łzy; te rozkosze są jej grobem.

Dni biegly, a moja choroba wzmagala się bez ustanku; napady dokuczliwosci i ironii przybieraly odcien ponury i wrogi. W pełni mych szaleństw nawiedzały mnie prawdziwe napady gorączki, nagle jak uderzenie gromu; budziłem się, drżąc na całym ciele, oblańny zimnym potem. Lada odruch zdziwienia, niespodziane wrażenie, przyprawiały mnie o dreszcz zdolny przestraszyć kogoś, kto by mnie widział w tej chwili. Także Brygida, mimo że się nie skarżyła, nosiła na twarzy ślady głębokich przeżyć. Kiedy zaczynałem jej dokuczać, wychodziła bez słowa i zamykała się. Bogu dzięki, nigdy nie podniosłem ręki na nią: w najgorszych napadach szału, raczej bym padł trupem, niż jej dotknął.

Jednego wieczora deszcz dzwonił po szybach; siedzieliśmy sami przy zapuszczonych storach.

— Jestem w pysznym humorze — rzekłem — ale ten ohydny czas zasmuca mnie mimo mej woli. Nie trzeba się poddawać: jeżeli nie masz nic przeciw temu, zabawimy się na przekór burzy.

Wstałem i zapaliłem wszystkie świece; nieduży pokoik rozbłysnął nagle niby od iluminacji. Równocześnie jarzący ogień (było to w zimie) rozlewał duszące gorąco.

— No — rzekłem — co by tu zrobić, zanim będzie pora na wieczerzę?

Przypomniałem sobie, iż w Paryżu był to czas karnawału. Zdało mi się, że widzę przed oczyma powozy pełne masek krzyżujące się na bulwarach. Słyszałem radosny tłum, jak szumi i iskrzy się konceptami u wejścia do teatrów; widziałem lubieżne tańce, barwne kostiumy, wino, szaleństwo; cała moja młodość zakipiała mi w sercu.

— Przebierzmy się — rzekłem. — Tylko dla siebie samych; czemu nie? Nie mamy kostiumów, ale możemy je sporządzić; tym lepiej się nabawimy.

Wydobyliśmy z szafy suknie, szale, płaszcze, wstążki, sztuczne kwiaty, Brygida, jak zawsze, objawiała łagodną wesołość. Przebraliśmy się oboje; sama mnie uczesała; uróżkowaliśmy się i upudrowali; wszystkie potrzebne przybory znalazły się w starej szkatulce pozostałej, zdaje się, po ciotce. Po upływie godziny, byliśmy do niepoznania. Wieczór przeszedł wśród śpiewów i pustoty; około pierwszej nad ranem nadeszła pora wieczerzy.

Przeszukaliśmy wszystkie szafy; jedna w pobliżu mnie została uchylona. Siadając do stołu, spostrzegłem na półce dziennik, o którym już wspominałem.

— Czy to nie jest ów zbiorek twoich myśli? — spytałem wyciągając rękę po dziennik.
— Jeśli to nie będzie niedyskrecją, pozwól mi rzucić okiem.

Otwarłem dziennik, mimo iż Brygida starała się mi przeszkodzić; na pierwszej stronie natrafiłem na te słowa: *Mój testament*.

Był to długi ustęp nakreślony spokojną ręką. Znalazłem tam wierny, mimo iż wolny od goryczy i gniewu, opis wszystkiego, co Brygida wycierpiała przeze mnie od czasu, jak była mą kochanką. Oznajmiała, iż ma stanowczą wolę znieść wszystko, dopóki będę ją kochał, umrzeć zaś, kiedy ją opuszczę. Poczyniła wszystkie zarządzenia; zdawała sprawę dzień po dniu z ofiary swego życia. Wszystko, co straciła, czego się spodziewała; uczucie okropnego osamotnienia, jakiego doznawała nawet w mych ramionach; wciąż rosnąca zapora, jaka się wznosi między nami; okrucieństwa, jakimi płacę jej miłość i oddanie; wszystko to opowiadała bez jednej skargi: starała się, przeciwnie, usprawiedliwić mnie. Wreszcie przechodziła do spraw osobistych i rozporządzeń majątkowych. Trucizna (pi-sała) położyła koniec jej życiu. Umrze z własnej woli i zabrania stanowczo, aby jej pamięć posłużyła kiedy za pozór do jakich kroków przeciwko mnie. „Módlcie się za niego!” oto były jej ostatnie słowa.

Ujrzałem w szafie na tej samej półce puzderko, które już raz widziałem, pełne deli-katnego, sinawego proszku podobnego do soli.

— Co to takiego? — spytałem, zbliżając puszkę do ust.

Wydała straszliwy krzyk i rzuciła się ku mnie.

— Brygido — rzekłem — pożegnaj się ze mną. Zabieram to puzderko; zapomnisz o mnie i będziesz żyła, jeżeli chcesz mi oszczędzić morderstwa. Wyjadę jeszcze tej nocy. Nie proszę cię o przebaczenie; choćbyś ty mi przebaczyła, Bóg by mi nie przebaczył. Daj mi ostatni pocałunek.

Schyliłem się i ucałowałem ją w czoło.

— Jeszcze nie! — krzyknęła z rozpaczą.

Odepchnąłem ją na sofę i wypadłem z pokoju.

W trzy godziny później byłem gotów do wyjazdu; konie pocztowe czekały przed do-mem. Deszcz padał ciągle, wsiadałem do powozu po omacku. Natychmiast pocztylion ruszył; ale równocześnie uczulem parę ramion, które mnie obejmowały, i szloch, który przyklejał mi się do ust.

Była to Brygida. Czyniłem wszystko w świetle, aby ją skłonić do pozostania; krzyk-nąłem na woźnicę, aby stanął; używałem wszystkich argumentów; przyrzekałem nawet powrócić kiedyś do niej, wówczas gdy czas i podróże wymażą wspomnienie krzywd, ja-kie jej uczyniłem. Siłiłem się dowieść, że to, co było wczoraj, wróci jutro; powtarzałem, że mogę ją uczynić tylko nieszczęśliwą, że wiązać się ze mną znaczy uczynić ze mnie mordercę. Używałem prośb, zaklęć, groźby nawet; odpowiadała tylko jedno:

— Jedziesz, weź mnie z sobą, opuśćmy te strony, opuśćmy przeszłość. Nie możemy żyć tutaj, jedźmy gdzie indziej, gdzie zechcesz; zagrzebmy się w jakimś zakątku. Musimy, musimy znaleźć szczęście, ja w tobie, ty we mnie.

Uściskałem ją z takim uniesieniem, iż zdawało mi się, że serce mi pęknie.

— Ruszaj! — krzyknąłem na pocztyliona.

Rzuciliśmy się sobie w ramiona i konie ruszyły galopa.

Podróż, Kochanek,
Ucieczka

CZĘŚĆ PIĄTA

ROZDZIAŁ I

Przybyliśmy do Paryża z zamiarem puszczenia się w długą podróż. Konieczne przygotowania oraz różne interesy wymagały czasu; wynajęliśmy tedy na miesiąc umeblowane mieszkanie.

Postanowienie opuszczenia Francji zmieniło fizjonomię wszystkiego: radość, nadzieja, ufność, wszystko wróciło naraz; żadnych zgryzot, żadnych klótni wobec myśli o rychłym wyjeździe. Zostały jedynie same marzenia o szczęściu, przysiędgi wiecznej miłości; chciałem wreszcie na dobre dać zapomnieć mej drogiej kochance wszystkie męczarnie, jakie wycierpiała. Jak mógłbym się oprzeć tylu dowodom tkliwego przywiązania i mężnej rezygnacji? Nie tylko Brygida przebaczyła mi, ale gotowała się uczynić dla mnie największe poświęcenie i opuścić wszystko, aby iść za mną. O ile czułem się niegodnym tego oddania, o tyle chciałem na przyszłość, aby miłość moja wynagrodziła ją za nie; dobry mój anioł tryumfował wreszcie, podziw i miłość wzięły górę w mym sercu.

Pochylona obok mnie Brygida szukała na mapie miejscowości, gdzie mieliśmy się zażrebać; nie oznaczyliśmy jej jeszcze i znajdowaliśmy w tej niepewności tak żywą i nową przyjemność, iż udawaliśmy niejako niemożność powzięcia jakiegokolwiek decyzji. W czasie tych wędrówek po mapie czoła nasze stykały się, ramię moje obejmowało kibić Brygidy. „Dokąd pojedziemy? co zrobimy? gdzie zacznie się nowe życie?” Jak wyrazić to, co odczuwałem, gdy pośród tylu nadziei podniosłem niekiedy głowę? Jakież żal przenikał mnie na widok tej pięknej i spokojnej twarzy, która uśmiechała się do przeszłości błada jeszcze od minionych cierpień! Kiedy ją tak obejmowałem i kiedy palec jej błądził po mapie, podczas gdy ona mówiła półgłosem o swoich sprawach, o swoich życzeniach, o naszym przyszłym schronieniu, byłbym krew oddał za nią. Zamysły szczęścia, wy może jesteście jedynym prawdziwym szczęściem tu na ziemi!

Od tygodnia blisko życie sphywało nam na bieganiu i sprawunkach, kiedy zjawił się u nas pewien młody człowiek; przynosił listy dla Brygidy. Znalazłem ją smutną i przybitą po tych odwiedzinach; ale nie mogłem się dowiedzieć nic prócz tego, że listy pochodzą z N***, tegoż samego miasta, gdzie po raz pierwszy wyznałem jej miłość i gdzie mieszkali jedyni krewni, jakich Brygida jeszcze posiadała.

Wśród tego, przygotowania postępowały szybko. W sercu moim było miejsce jedynie na niecierpliwosć wyjazdu; równocześnie radość, jakiej doznawałem, zaledwie zostawiała mi chwilę wytchnienia. Kiedy wstawałem rano, a słońce świeciło nam w okna, czułem taki przypływ radości, iż byłem jak pijany; wchodziłem na końcach palców do pokoju, gdzie spała Brygida. Raz budząc się, zastała mnie na kolanach w nogach łóżka; patrzyłem na nią, gdy spała, i nie mogłem wstrzymać łez; nie wiedziałem, jak ją przekonać o szczerości mego żalu. Jeśli miłość do pierwszej kochanki popychała mnie niegdyś do szaleństw, tym razem robiłem ich sto razy więcej: rzucałem się z furią we wszystkie wybryki, jakimi może natchnąć namiętność posunięta do ostatnich krańców. To co czułem dla Brygidy, to był istny kult; mimo iż żyliśmy z sobą przeszło od pół roku, ilekroć zbliżałem się do niej, miałem wrażenie, że widzę ją po raz pierwszy; zaledwie śmiałem całować kraj sukni tej kobiety, nad którą tak długo się znęcałem. Każde jej słowo przyprawiało mnie o dreszcz, jak gdyby jej głos był dla mnie czymś nowym; to szlochając, rzucałem się w jej ramiona, to bez powodu wybuchałem śmiechem. O mym minionym postępowaniu mówiłem jedynie ze wstrętem i zgrozą; byłbym pragnął, aby istniała gdzieś świątynia poświęcona miłości, iżbym się tam obmył niby w jakimś chrzcie i odział poświęconą szatą, której by już nie zdołało ze mnie zdeprzeć.

Widziałem Tycjanowskiego świętego Tomasza kładącego palec na ranie Chrystusa i często myślałem o nim: gdybym się ośmielił przyrównać miłość człowieka wierze w swego Boga, powiedziałbym, iż byłem doń podobny. Jakie imię dać uczuciu, które wyraża niespokojną głowę, prawie wąpiąca jeszcze, a już pełna ubóstwienia? Dotyka rany; bluźnierstwo zdumione zatrzymuje się na rozchylonych wargach, na których z wolna wykwiata modlitwa. Czy to wyznawca? czy niedowiarek? czy kaja się tyle, ile obraził? Ani on sam,

Podróż, Miłość, Szczęście

Religia, Miłość, Miłość
romantyczna

ani malarz, ani ty, który patrzysz, nie wiecie; zbawiciel uśmiecha się i wszystko roztapia się niby krople rosy w promieniu bezmiernej dobroci.

Tak ja w obliczu Brygidy byłem niemy i jakby bez ustanku zdziwiony; drzałem, aby nie zachowała lęku, i aby pamięć tylu zmian we mnie nie uczyniła jej nieufną. Ale po upływie dwóch tygodni nauczyła się jasno czytać w moim sercu; zrozumiała, iż widząc ją szczerą i ja stałem się szczerym wzajem; że zaś miłość moja była dziełem mego charakteru, nie wątpiła już o niej ani o mnie.

Pokój nasz był pełen porozrzucanych sukien, albumów, ołówków, książek, paczek, a na tym wszystkim wciąż szeroko rozpostarta droga mapa, którąśmy tak kochali. Ciągłeśmy się kręcili, krzatali, zatrzymywałem się co chwile, aby się rzucić do kolan Brygidy, która wymyślała mi od leniuchów, mówiąc ze śmiechem, że ona musi robić wszystko, a ja jestem do niczego; wśród tego zaś pakowania kufrów projektem nie było końca... Sycylia, hm, to bardzo daleko; ale zima tam jest tak miła: klimat najrozkoszniejszy w świecie. Genua ładna, ani słowa: malowane domy, zielone szpalery na tle Apeninów... Ale co za zgiełk! co za ciżba! Na trzech ludzi spotkanych na ulicy jeden mnich i jeden żołnierz. Florencja smutna, to wieki średnie, jeszcze żywe pośród nas. Brrr, te zakratowane okna, ten obrzydliwy brunatny kolor, którym powleczone są wszystkie domy. Do Rzymu? po co: nie jedziemy po to, aby się zachwycać, ani tym mniej, aby się uczyć. Gdyby tak nad brzegi Renu? ale to już będzie po sezonie; mimo że nie szukamy ludzi, smutną jest zawsze pustka miejsca, które wprzód wrzało życiem. A Hiszpania? nadto kłopotu; trzeba podróżować jak w czasie wojny i oczekiwać wszystkiego wyjąwszy spokoju. Jedźmy do Szwajcarii! niech głupców to mierzi, że taka już *wyjeżdżona*; tam to lśnią w całym blasku trzy najmiłsze Bogu barwy: lazur nieba, zieloność łąk i biel śniegu na szczytach lodowców.

— Jedźmy, jedźmy — mówiła Brygida — pofruńmy jak dwoje ptasząt. Wyobraźmy sobie, drogi Oktawie, że znamy się dopiero od wczoraj. Spotkałeś mnie na balu, spodobałam ci się i zakochałam się w tobie; opowiadasz mi, że o kilka mil stąd w jakiejś tam małej mieścinie kochałeś niejaką panią Pierson; ani chcę wiedzieć o tym, co tam było między wami. Nie będziesz mi się przecież zwierzał z amatorów z kobietą, którą opuściłeś dla mnie? Ja znowuż zwierzyłam ci po cichu, że niedawno temu jeszcze kochałam wielkiego ladaco, który mnie dosyć nadręczył; ty żałujesz mnie, zamykasz mi usta i staje układ, że już nigdy o tym nie będzie między nami mowy.

Kiedy Brygida mówiła w ten sposób, doznawałem uczuć podobnych do uczucia skąpca: tuliłem ją z całych sił w drżących ramionach.

— O Boże! — wykrzykiwałem — nie wiem, czy ja drżę z radości czy z obawy. Zabiorę cię, mój skarbie. W obliczu tego niezmiernego widnokregu jesteś moja; jedziemy. Niech umrze moja młodość, niech umrą wspomnienia, niech umrą troski i żale! O ty moja dobra, moja dzielna! z dziecka uczyniłaś mężczyźnę! gdybym cię stracił teraz, nigdy nie potrafiłbym pokochać. Być może zanim cię poznałem, inna kobieta mogłaby mnie uleczyć; ale teraz ty jedna w świecie możesz mnie zabić lub ocalić, krzywdy bowiem, jakie ci wyrządziłem, czynią me serce niby jedną ranę. Byłem niewdzięczny, ślepy, okrutny. Bogu niech będzie chwała! kochasz mnie jeszcze. Jeśli kiedykolwiek wrócisz do wioski, gdzie cię ujrzałem pod lipami, spójrz na ów opustoszały dom: musi się tam błąkać widmo, człowiek bowiem, który opuścił ten dom wraz z tobą, nie jest tym samym człowiekiem, który doń wszedł.

— Więc to prawda? — mówiła Brygida, a piękne jej czoło promienne miłością wznosiło się ku niebu — więc to prawda, że jestem twoją? Tak, z dała od tego wstrętnego świata, który postarzył cię przed czasem, tak, dziecko, będziesz mnie kochał. Będę cię miała takim, jakim jesteś; a w jakimkolwiek zakątku świata rozpoczniemy życie, możesz mnie tam porzucić bez wyrzutu w dniu, w którym przestaniesz mnie kochać. Posłannictwo moje będzie spełnione i zawsze mi zostanie w górze Bóg, iżbym mu dziękowała za nie.

Jakimż bolesnym i strasznym wspomnieniem napelniają mnie jeszcze te słowa! Wreszcie, zapadło postanowienie, że udamy się najpierw do Genewy i wyszukamy u stóp Alp spokojne miejsce, aby tam spędzić wiosnę. Już Brygida sławiła piękności jeziora; już wdychałem w sercu powiew wiatru, który je porusza i ożywczy zapach zielonej doliny. Lozana, Vevey, Oberland i poza wierzchołkami Monterosa, olbrzymia równina Lombardii...

Podróż, Miłość
romantyczna

Miłość romantyczna,
Podróż

Już zapomnienie, spokój, ucieczka od świata, wszystkie duchy szczęśliwej samotności zapraszały nas i przyzywały; kiedy wieczorem ze złączonymi dłońmi patrzyliśmy na siebie w milczeniu, czuliśmy, iż wznosi się w nas owo pełne osobliwej wielkości uczucie, jakie ogarnia serce w przeddzień dalekich podróży; tajemniczy i niewytłumaczony zawrót, który ma coś zarazem z grozy wygnania i z nadziei pielgrzymstwa. O Boże! twój to głos woła wówczas i ostrzega człowieka, że ma zbliżyć się do ciebie. Czyż myśl ludzka nie posiada jak gdyby skrzydeł, które drżą i dźwięcznych strun, które się napinają? Cóż wam powiem? czy nie mieści się cały świat w tych paru słowach: „Wszystko było gotowe, mieliśmy jechać”.

Naraz Brygidzie robi się słabo; opuszcza głowę, milknie. Kiedy jej pytam, czy cierpi, odpowiada zgasłym głosem, że nie; kiedy mówię o dniu wyjazdu, wstaje zimna i zrezygnowana i krząta się koło przygotowań; kiedy jej przysięgam, że będzie szczęśliwa i że chcę jej poświęcić życie, zamyka się i płacze; kiedy ją obejmuję, blednie i odwraca oczy podając mi wargi; kiedy jej mówię, że nic się jeszcze nie stało, że może przekreślić nasze plany, marszczy brew z twardą i surową twarzą; kiedy ją błagam, aby mi otworzyła serce, kiedy powtarzam, że choćbym miał umrzeć, poświęcę moje szczęście, o ile ma być okupione jej żalem, rzuca mi się na szyję, następnie martwieje i odpycha mnie jakby mimo woli. Wreszcie jednego dnia wchodzi do pokoju, trzymając w ręku bilet dla nas obojga aż do Besançon. Zbliżam się do niej, kładę jej bilet na kolana, ona wyciąga rękę, wydaje krzyk i pada bezprzytomna u mych stóp.

ROZDZIAŁ II

Wszystkie moje wysiłki, aby odgadnąć przyczynę tak niespodziewanej zmiany pozostały daremne, również wszystkie pytania, które zadawałem. Brygida była chora i milczała uparcie. Strawiwszy cały dzień na błaganiu jej o wyjaśnienia, to na gubieniu się w domysłach, wyszedłem, nie wiedząc, dokąd idę. Kiedy przechodziłem koło opery, postugacz podsunął mi bilet i machinalnie wszedłem, jak zwykłem był niegdyś.

Nie byłem zdolny zwrócić uwagi na to, co się działo na scenie ani na sali: byłem przejęty taką boleścią, a równocześnie tak zdumiony, iż żyłem, można powiedzieć, jedynie wewnątrz, a zewnętrzne przedmioty nie dochodziły mej świadomości. Wszystkie moje siły skupiły się na jednej myśli, a im dłużej w niej się grzebałem, tym stawała mi się mętniejsza. Jaka straszliwa przeszkoda obalała tak nagle w wilię wyjazdu tyle planów i nadziei? Jeśli chodziło o zwyczajny wypadek lub nawet prawdziwe nieszczęście, jak klęska majątkowa lub strata przyjaciela, dlaczego to uparte milczenie? Po wszystkim, co uczyniła Brygida, w chwili gdy nasze najdroższe sny zdawały się bliskie ziszczenia, jakież natury mogła być tajemnica, która niweczyła nasze szczęście, a której ona wzbierała mi się powierzyć? Jak to! kryje się przede mną! Jeśli zgryzoty, interesy, wreszcie obawa przyszłości, jakiś przyływ smutku, nieufności lub gniewu zatrzymują ją na jakiś czas lub też każą wyrzec się na zawsze tej tak upragnionej podróży, dlaczego nie wyzna mi wszystkiego? W ówczesnym stanie mego serca nie mogłem wszelako przypuszczać, aby w postępowaniu Brygidy mogło być coś zdrożnego. Sam cień podejrzenia oburzał mnie i przejmował grozą. Jak, z drugiej strony, przypuszczać jedynie zmienność lub kaprys w kobiecie takiej, jaką znałem Brygidę? Gubiłem się w otchłani, nie widząc nawet najsłabszego światelka, najmniejszego punktu, który by mi mógł wytyczyć kierunek.

Naprzeciw mnie na balkonie siedział młody człowiek, którego rysy nie były mi obce. Jak często się zdarza, kiedy umysł jest mocno pochłonięty, patrzyłem nań bezwiednie i siłą się rozpoznać te rysy. Naraz przejrzałem: to on, jak wspominałem wyżej, przywiózł Brygidzie listy z N***. Niepodobna mi było przedostać się doń nie niepokojąc znacznej ilości widzów, byłem tedy zmuszony doczekać końca aktu.

Pierwszym odruchem moim była myśl, że, jeżeli kto może mnie oświecić w przedmiocie mej jedynej i gnębiącej troski, to on. Zachodził do pani Pierson od kilku dni na dłuższe rozmowy; przypomniałem sobie, iż kiedy ją opuszczał, zawsze zastawałem ją smutną, nie tylko pierwszego dnia, ale za każdym razem. Był u niej jeszcze wczoraj rano, tego samego dnia, którego zasłała. Brygida nie pokazała mi listów, które przywiózł, być może on zna istotną przyczynę, która opóźniła nasz wyjazd. Nie wie może wszystkiego, ale zdoła mnie niechybnie objaśnić bodaj, co mieściło się w listach; miałem zaś prawo

sądzić, iż zdaje sobie na tyle sprawę z mego stosunku do Brygidy, abym mógł pytać bez obawy. Uszczęśliwiony tym spotkaniem pobiegłem, aby go dopaść w korytarzu. Nie wiem, czy mnie zauważył, ale oddalił się i wszedł do jakiejś łoży. Postanowiłem zaczekać; przechadzałem się dobry kwadrans z oczyma wciąż utkwionymi w drzwi. Otwary się wreszcie, młody człowiek wyszedł; skłoniłem się z daleka i posunąłem się ku niemu. Postąpił kilka kroków z widocznym wahaniem; następnie zwróciwszy się nagle, skręcił ku schodom i znikł.

Objawilem zamiar zbliżenia się tak wyraźnie, iż w postępku tym musiałem widzieć stanowczą chęć unikania mnie. Musiał mnie znać z widzenia; a zresztą, gdyby nawet nie znał, człowiek który widzi, iż ktoś drugi podchodzi ku niemu, powinien bodaj zaczekać. Byliśmy wówczas w korytarzu sami; jasne było tedy, że nie chce ze mną mówić. Nie dopatrywałem się w tym chęci obrażenia mnie: człowiek, który bywał codziennie w moim pomieszkaniu, którego, ilekroć zdarzyło się nam spotkać, witałem zawsze najgrzeczniej, człowiek wreszcie o uprzejmym i skromnym obejściu, jak przypuścić, aby mnie chciał znieważać? Chciał jedynie umknąć przede mną i uniknąć przykrej rozmowy. Ale dlaczego? Ta druga tajemnica zaskoczyła mnie niemal tak samo jak pierwsza. Co bądź czyniłem, aby oddalić tę myśl, ucieczka tego młodego człowieka kojarzyła się nieodbitnie w mej głowie z upartym milczeniem Brygidy.

Niepewność jest ze wszystkich męczarni najtrudniejszą do zniesienia; w wielu okolicznościach życia naraziłem się na wielkie nieszczęścia, dlatego że nie umiałem spokojnie czekać. Wróciwszy do domu, zastałem Brygidę czytającą właśnie owe fatalne listy z N***. Oświadczyłem jej, iż niepodobna mi dłużej zostać w tym stanie ducha, że muszę się wydobyc zeń za każdą cenę; jaki bądź jest powód nagłej zmiany, jaka w niej zaszła, chcę go poznać; jeśli mi odmówi odpowiedzi, będę uważał jej milczenie za stanowczą odmowę jechania ze mną, a nawet za stanowcze zerwanie.

Z wielką niechęcią pokazała mi list, który trzymała w ręce. Krewni pisali jej, że ten wyjazd okrywa ją hańbą na zawsze, że nikomu nie jest tajną jego przyczyna i że czują się zmuszeni oświadczyć jej z góry jakie będą jego następstwa; że żyje ze mną publicznie jako moja kochanka; że, mimo że jest wdową i wolną, ma pewne obowiązki względem nazwiska, które nosi; że ani oni, ani nikt z dawnych przyjaciół nie zechce widzieć jej na oczy, o ile odważy się upierać; wreszcie za pomocą wszelkiego rodzaju gróźb i upomnień nakłaniali ją, aby wróciła do swej dawniejszej siedziby.

Ton listu oburzył mnie; zrazu odczułem go jedynie jako obelgę.

— Ów młody panicz, który przynosi ci takie upomnienia — wykrzyknąłem — podjął się zapewne powtarzać ci je jeszcze ustnie i sumiennie tego dopełnia, nieprawdaż?

Głęboki smutek Brygidy przywiódł mnie do zastanowienia i ochłodził mój gniew.

— Zrobisz — rzekła — co zechcesz i zgubisz mnie do reszty. Tak, los mój jest w twoich rękach; od dawna jesteś jego panem. Mścij się, jak ci się podoba za to ostatnie usiłowanie, jakie podjęli moi starzy przyjaciele, aby mnie przywołać do rozsądku, do świata, który szanowałam niegdyś, i do czci, którą straciłam. Nie mam ani słowa do powiedzenia; jeżeli chcesz sam podyktować odpowiedź, dam taką, jakiej sobie życzysz.

— Życzę sobie jedynie — odparłem — poznać twoje intencje; do mnie to, przeciwnie, należy nagiąć się do nich i przysięgam ci, jestem gotów to uczynić. Powiedz mi, czy zostajesz, czy jedziesz lub czy trzeba jechać mi samemu.

— Czemu to pytanie? — rzekła Brygida — czy powiedziałam, iż odmieniłam zamiar? Jestem cierpiąca i nie mogę jechać w tym stanie; ale skoro będę zdrowa lub przynajmniej zdolna się podnieść, jedziemy do Genewy, jak postanowione.

Rozstaliśmy się na tych słowach, a śmiertelny chłód, z jakim Brygida je wymówiła, zasmucił mnie bardziej, niżby to sprawiła odmowa. Nie pierwszy to raz silono się za pomocą tego rodzaju ostrzeżeń rozerwać nasz związek; ale aż dotąd mimo wrażenia, jakie podobne listy czyniły na Brygidzie, rychło otrząsała się z niego. Jak przypuścić, aby ta jedna pobudka miała dziś tyle siły, wówczas gdy nie mogła nic sprawić w czasach mniej szczęśliwych? Łamałem sobie głowę, czy od czasu, jak byliśmy w Paryżu, nie mam sobie nic do wyrzucenia w moim postępowaniu. „Byłaby to — mówiłem sobie — jedynie słabość kobiety, która chciała popełnić szaleństwo i która w chwili wykonania cofa się przed własną wolą? Byłoby to to, co cynicy nazywają ostatnim skrupulem? Ale ta wesołość,

List, Kobieta, Mężczyzna,
Kochanek, Obyczaję,
Rodzina, Kobieta "upadła"

którą przed tygodniem Brygida okazywała od rana do wieczora, te lube projekty porzucane i podejmowane bez ustanku, te przyrzeczenia, zaklęcia, wszystko to było wszelako szczerze, prawdziwe, bez żadnego przymusu. Chciała przecież jechać wbrew moim perswazjom. Nie, jest w tym jakaś tajemnica; ale jak ją przeniknąć, skoro teraz, kiedy ją pytam, zbywa mnie argumentem, który nie może być prawdziwym? Nie mogę jej powiedzieć, że kłamie, ani zmusić, by podała co innego. Powiada, iż wciąż chce jechać; ale skoro mówi to tym tonem, czyż nie należy mi bezwarunkowo odmówić? Czy mogę przyjąć takie poświęcenie, kiedy je ktoś spełnia jak obowiązek, jak wyrok? kiedy to, co uważałem za ofiarę miłości, przychodzi mi niejako wymuszać na mocy danego słowa? O Boże! czyż tę oto bladą i omdlewającą osobę przyjdzie mi unieść w ramionach? Czy mam uwieźć daleko od ojczyzny, na długo, na całe życie może, jedynie zrezygnowaną ofiarę? Uczynię, rzekła, co sobie życzysz! Nie, to pewna, nie życzę sobie nic zawdzięczać uległości; jeśli mam bodaj tydzień jeszcze patrzeć na tę zbolalą twarz, jeśli uprze się milczeć, raczej pojedę sam”.

O ja szalony! alboż miałem siłę? Zanadto byłem szczęśliwy od dwóch tygodni, aby odważyć się spojrzeć wstecz; nie tylko nie czułem w sobie tej odwagi, ale myślałem jedynie o sposobach uwiezienia Brygidy. Całą noc nie zmrugałem oka; wczesnym rankiem postanowiłem, co bądź padnie, udać się do młodego człowieka, którego widziałem w Operze. Nie wiem, czy popychał mnie gniew, czy ciekawość, ani co w gruncie rzeczy chciałem od niego; ale myślałem, że w ten sposób bodaj nie będzie mógł mi się wymknąć, a o to jedno mi chodziło.

Nie znałem jego adresu, wszedłem tedy do pokoju Brygidy, aby on poprosić. Jako pozór podałem obowiązek grzeczności wobec jego kilkakrotnych odwiedzin; nie wspominałem bowiem ani słowa o spotkaniu w teatrze. Brygida była jeszcze w łóżku; zmęczone oczy zdradzały, że płakała. Skoro wszedłem, podała mi rękę i rzekła:

— Czego sobie życzysz?

Głos jej był smutny, ale tkliwy. Wymieniliśmy parę przyjaznych słów i wyszedłem z sercem mniej osmuconym.

Młody człowiek, do którego szedłem, nazywał się Smith; mieszkał w pobliżu. Kiedy zapukał do drzwi, zdjął mnie jakiś dziwny niepokój; wszedłem z wolna, jakby olśniony niespodzianym światłem. Za pierwszym jego ruchem krew mi się ścięła. Leżał w łóżku i z tym samym akcentem, co przed chwilą Brygida, z twarzą równie bladą i zmienioną, podał mi rękę i wyrzekł te same słowa:

— Czego pan sobie życzy?

Mówcie, co chcecie, ale istnieją w życiu przypadki, których rozum ludzki nie umiałby wytłumaczyć. Usiadłem, nie mogąc nic odpowiedzieć; jak gdyby obudzony ze snu, powtórzyłem sam sobie pytanie, które mi zadał. W istocie, co ja robiłem u niego? jak powiedzieć, co mnie sprowadza? Przypuściwszy, iż mnie byłoby na rękę zadać mu parę pytań, skąd miałem prawo wnosić, iż on zechce odpowiadać? Przywiózł listy i znał osoby, które je pisały; ale po tym, co mi Brygida pokazała, czyż nie wiedziałem w tej kwestii tyle, co i on?

Słowa nie chciały mi przejść przez gardło; lękałem się, aby się nie domyślił, co się dzieje w moim sercu. Pierwsze zdania, któreśmy wymienili, były grzeczne i nieznaczące. Podziękowałem mu, iż się podjął zleceń od rodziny pani Pierson; natrąciłem, iż opuszczając Francję, poprosimy go i my, aby nam wyświadczył pewne usługi; po czym zmilknęliśmy zdumieni, iż znaleźliśmy się oto naprzeciw siebie.

Wodziłem oczyma dokoła, jak czynią ludzie zakłopotani. Pokój młodego człowieka znajdował się na czwartym piętrze; wszystko w nim zwiastowało uczciwe a pracowite ubóstwo. Nieco książek, narzędzia muzyczne, białe drewniane półki, papiery leżące w porządku na stole nakrytym dywanem, stary fotel, kilka krzeseł, oto wszystko; ale całość nosiła ujmujące znamię schludności i ładu. Co się tyczy samego Smitha, bystra i ożywna jego fizjonomia uprzedzała od razu na jego korzyść. Spozstrzegłem na kominku portret starszej osoby; zbliżyłem się na wpuł zamyślony; powiedział mi, że to jego matka.

Przypomniałem sobie wówczas, iż Brygida mówiła mi często o nim, i tysiąc zapomnianych rysów stanęło mi w pamięci. Dawniej widywała go niekiedy w N***; ale od czasu mego przybycia wybrała się tam tylko raz, a Smitha wówczas nie było. Tylko zatem przypadkiem dowiedziałem się o nim paru szczegółów, które mnie wszelako uderzyły. Zajmował skromny urząd, przy pomocy którego utrzymywał matkę i siostrę. Postę-

powanie jego wobec tych kobiet było ponad wszelkie pochwały; dla nich wyrzekł się wszystkiego. Mimo że posiadał niepospolite talenty muzyczne, które mogły mu otworzyć świetne widoki, uczciwość jego i skromność zawsze kazały mu przekładać spokój zaciszego życia. Słowem, należał do tej szczupłej liczby istot, które żyją bez rozgłosu i wdzięczne są ludziom, iż nie poznają się na ich wartości.

Przytaczano mi z jego życia parę rysów wystarczających, aby odmalować człowieka. Kochał gorąco piękną dziewczynę w sąsiedztwie i po roku starań uzyskał przyrzeczenie jej ręki. Była równie biedna jak on. Już miało się podpisywać kontrakt ślubny i wszystko było gotowe do wesela, kiedy matka rzekła doń: „A kto wyda za mąż twoją siostrę?” To jedno słowo otworzyło mu oczy; zrozumiał, iż jeśli się ożeni, wyda na dom wszystko, co zarobi swą pracą i że tym samym siostra nie będzie miała posagu. Zerwał natychmiast wszystkie przygotowania i wyrzekł się po rycersku małżeństwa i miłości; wówczas to przybył do Paryża i uzyskał posadę, którą obecnie zajmował.

Ilekroć zdarzyło mi się słyszeć tę historię znaną w całej okolicy, zawsze odczuwałem chęć poznania jej bohatera. To spokojne i ciche poświęcenie wydało mi się godniejszym podziwu niż wszystkie chwały wojenne. Widząc portret matki Smitha, przypomniałem sobie natychmiast wszystko; spojrzałem nań i zdziwiłem się, widząc go tak młodym. Nie mogłem się powstrzymać, aby go nie zapytać o wiek; byliśmy rówieśnikami. Wybiła ósma; Smith wstał.

Zaledwie uczynił parę kroków, ujrzałem, iż się chwiejce; potrzęsął głową.

— Co panu? — spytałem.

Odpowiedział, iż jest to godzina, w której udaje się do biura, ale że nie czuje się na siłach.

— Czy pan chory?

— Mam gorączkę i czuję się bardzo cierpiący.

— Wczoraj wieczór miał się pan lepiej; widziałem pana, o ile mi się zdaje, w Operze.

— Przepraszam, że pana nie poznałem. Mam wolny wstęp do tego teatru i spodziewam się spotkać tam pana jeszcze.

Im baczniej przyglądałem się temu młodemu człowiekowi, pokojowi, domowi, tym mniej czułem się zdolny przystąpić do właściwego przedmiotu odwiedzin. Wczorajsze przypuszczenie, iż Smith mógł mi zaszkodzić w umyśle Brygidy, rozwiało się mimo woli; było w jego twarzy coś szczerzego i surowego zarazem, co mnie pociągało i onieśmiało. Stopniowo myśli moje poszły odmiennym biegiem; patrzałem nań uważnie, a miałem wrażenie, że i on również obserwuje mnie z ciekawością.

Mieliśmy obaj po dwadzieścia jeden lat, a jaka różnica! On, przyzwyczajony do życia wykreślonego miarowym dźwiękiem zegara; znający jedynie drogę z ustronnej izdebki do biura mieszczącego się gdzieś kątem w ministerstwie; posyłający matce nawet swoje oszczędności, ową odrobinę uciechy życia, którą każda pracująca ręka ścisła tak zazdrośnie; skarżący się na noc cierpień, ponieważ pozbawiała go dnia trudu; mający tylko jedną myśl, jedno szczęście, to jest troskać się o szczęście drugiej istoty, i to od dzieciństwa, od czasu gdy był zdolny unieść ciężar pracy! A ja, co zrobiłem z tym kosztownym, chyżym, nieoszacowanym czasem? czy byłem mężczyzną? Któryż z nas żył?

Wystarczyło nam jedno spojrzenie, aby wyczuć to, co tu piszę na całej stronie. Oczy nasze spotkały się i nie mogły się rozłączyć. Smith wspominał o naszej podróży i o kraju, który mieliśmy zwiedzić.

— Kiedy państwo jadą? — spytał.

— Nie wiem; pani Pierson jest cierpiąca i nie wstaje od trzech dni.

— Od trzech dni! — powtórzył z mimowolnym gestem.

— Tak; w czym to pana dziwi?

Wstał i osunął się na mnie z wyciągniętymi ramionami i błędnym wzrokiem. Wstrząsał nim straszliwy dreszcz.

— Czy panu słabo? — rzekłem ujmując go za rękę. Podniósł ją do oczu i nie mogąc zdławić łez, powłókł się ku łóżku.

Patrzałem nań ze zdumieniem; wstrząsał nim gwałtowny napad febry. Wahalem się, czy go mam zostawić w tym stanie, i znów przysunąłem się do łóżka. Odepchnął mnie silnie, jakby w przystępie dziwnej grozy. Przyszedszy wreszcie do siebie, rzekł słabym głosem:

Poświęcenie, Brat, Siostra,
Obyczaje, Małżeństwo,
Pieniądz

Mężczyzna, Praca, Czas

— Pan daruję, niezdolny dziś jestem do rozmowy. Niech pan będzie łaskaw mnie zostawić; skoro siły mi pozwolą, pospieszę podziękować panu za jego uprzejmość.

ROZDZIAŁ III

Brygida wracała do zdrowia. Jak zapowiedziała, chciała jechać, skoro tylko uczuła się lepiej. Ale ja się sprzeciwiłem; mieliśmy czekać jeszcze dwa tygodnie, aż będzie mogła znieść trudy podróży.

Była wciąż smutna i milcząca, życzliwa wszelako. Co bądź czyniłem, aby ją skłonić do wynurzeń, wciąż powtarzała, iż wiadomy list jest jedyną przyczyną jej melancholii, i prosiła, aby już nie poruszać tej sprawy. Tak więc zmuszony milczeć jak i ona, na próżno starałem się odgadnąć, co się dzieje w jej sercu. Sam na sam ciężło nam obojgu, chodziliśmy tedy codziennie do teatru. Tam, siedząc koło siebie w głębi łoży, ściskaliśmy się niekiedy za ręce; od czasu do czasu jakaś piękna fraza muzyczna, jakieś słowo, które nas uderzyło, sprawiało, iż wymienialiśmy przyjazne spojrzenia; ale w drodze, zarówno tam jak z powrotem, pozostawaliśmy niemi, zatopieni w myślach. Dwadzieścia razy na dzień chciałem się rzucić do jej stóp i błagać, aby mi zadała śmiertelny cios lub wróciła szczęście, które mi rozbłysło; dwadzieścia razy w chwili, gdy miałem to uczynić, widziałem, iż Brygida mieni się na twarzy; wstawała i oddalała się lub chłodnym słowem ścinała mi serce na wargach.

Smith przychodził prawie codziennie. Mimo że jego zjawienie stało się przyczyną wszystkiego złego i mimo że bytność w jego domu została w mym umyśle osobliwe podejrzenia, sposób, w jaki mówił o naszej podróży, jego dobra wiara i prostota wracały mi ufność. Wspomniałem mu o listach, które przywiózł; wydawał się nie tak oburzony, ale bardziej jeszcze zasmucony nimi ode mnie. Nie znał wprzód ich treści; na mocy zaś dawnej przyjaźni, jaką żywił dla Brygidy, potępiał głośno postępek jej rodziny. Nie byłby się podjął doręczenia listów (mówił), gdyby wiedział, co zawierają. Z powściągliwego tonu, z jakim pani Pierson odnosiła się do Smitha, nie mogłem przypuszczać, aby mu się zwierzała. Widywałem go tedy w domu z przyjemnością, mimo iż wciąż trwało między nami pewne skrępowanie i ceremonialność. Podjął się po naszym wyjeździe być pośrednikiem między Brygidą a jej rodziną i zapobiec jawnemu zerwaniu. Szacunek, jakiego zażywał w tamtych stronach mógł mieć niemałe znaczenie w tej negocjacji; niepodobna mi było nie czuć dlań za to wdzięczności. Trudno sobie wyobrazić szlachetniejszy charakter. Kiedyśmy byli we troje, ilekroć spostrzegł jakiś chłód albo przymus, dokładał wszelkich wysiłków, aby sprowadzić między nas wesołość; jeżeli zdawał się niepokoić tym, co się dzieje, czynił to zawsze bez niedyskrecji, z widoczną troską o nasze szczęście; ilekroć mówił o naszym związku, zawsze czynił to z odcieniem szacunku, jak człowiek, dla którego miłość jest węzłem świętym wobec Boga; słowem odnosił się do nas jak przyjaciel i budził we mnie zupełne zaufanie.

Ale pomimo wszystko i wbrew własnym usiłowaniom był smutny; jakoż nie mogłem przewyciężyć osobliwych myśli, jakie mnie oblegały. Łzy, które widziałem płynące z ócz tego młodzieńca, zasłabnięcie jego równoczesne z chorobą Brygidy, jakaś nieokreślona melancholijna sympatia zadziergnięta między nimi, wszystko to dawało mi do myślenia i niepokoiło mnie. Niespełna miesiąc wprzód najłżejsze podejrzenie wystarczyłoby, aby mnie przypawić o furie zazdrości; ale obecnie o co podejrzewać Brygidę? Jakiej bądź natury był sekret, który mi ukrywała, czyż nie miała jechać ze mną? Gdyby nawet Smith był powiernikiem jakiejś tajemnicy, której ja nie znałem, jakiego rodzaju mogła być ta tajemnica? Co mogło być nagannego w ich smutku i przyjaźni? Znała go dzieckiem; spotykała go po latach, w chwili gdy miała opuścić Francję; znajdowała się w przykrym położeniu, przypadek zaś chciał, aby on wiedział o tym, aby stał się nawet, poniekąd, narzędziem jej niedoli. Czyż nie było zupełnie proste, iż wymieniali niekiedy smutne spojrzenia, że widok tego młodego człowieka przypominał Brygidzie przeszłość, z którą łączyły się wspominki i żale? Czy znowuż on mógł bez lęku patrzeć na jej wyjazd, nie pomyślawszy mimo woli o niebezpieczeństwach długiej podróży, o przykrościach życia koczowniczego odtąd, niemal poza nawiasem społeczeństwa? Niewątpliwie tak być musiało; i czułem, kiedy myślałem o tym, że do mnie to należało wstać, podejść do nich dwojga, upewnić ich, wzbudzić w nich wiarę we mnie, powiedzieć jej, iż ramię moje

będzie ją podtrzymywać, dopóki zechce przyjąć to oparcie, jemu zaś, że wdzięcznym mu jestem za przywiązanie, jakie nam objawia i za przyrzeczone usługi. Czułem to i nie mogłem tego uczynić. Śmiertelny chłód ścisnął mi serce; nie mogłem ruszyć się z fotela.

Wieczorem skoro Smith odszedł, albo milczeliśmy, albo mówiliśmy o nim. Jakiś niezrozumiały pęd kazał mi domagać się od Brygidy co dzień nowych szczegółów o tym człowieku. Nie umiała mi wszelako powiedzieć nic więcej, niż ja powiedziałem czytelnikowi; życie jego nie miało żadnych zakłóceń: było biedne, ciche i uczciwe. Nie trzeba było wielu słów, aby je opowiedzieć; ale kazałem je sobie powtarzać bez ustanku i sam nie wiem dlaczego, zaciekało mnie ono.

Ścisłe rzecz wzięwszy, było na dnie mego serca tajemne cierpienie, do którego nie przyznawałem się przed sobą. Gdyby ów młody człowiek zjawił się za naszych szczęśliwych dni, gdyby przyniósł Brygidzie jakiś obojętny list, czyż byłbym nań zwrócił jaką bądź uwagę? Czyby mnie poznał w Operze czy nie, czyby mu się wymknęły w mojej obecności lzy, których bym przyczyny nie znał, i cóż by mi to znaczyło, gdybym był szczęśliwy? Ale jakkolwiek nie umiałem odgadnąć pobudek smutku Brygidy, rozumiałem dobrze, iż co bądź by mówiła, dawne moje postępowanie nie było i dziś obcym jej zgryzotem. Gdybym od sześciu miesięcy naszego pożycia był tym, czym powinienem, nic w świecie — wiedziałem o tym — nie byłoby zdolne zmącić naszej miłości. Smith był, ot, przeciętnym człowiekiem, ale był dobry, oddany; jego proste i skromne przymioty podobne były do wielkich czystych linii, które oko ogarnia bez trudu i od razu; w ciągu kwadransa znało się go, budził zaufanie, jeśli nie podziw. Nie mogłem się powstrzymać od myśli, że gdyby był kochankiem Brygidy, pojechałaby z nim z radością.

Opóźniłem wyjazd z własnej woli i oto już żałowałem tego. Brygida także czasami nagliła:

— Co nas wstrzymuje? — mówiła — jestem już zdrowa, wszystko gotowe.

Co mnie wstrzymywało w istocie? Nie wiem.

Siedząc podłóżki, wlepiam wzrok kolejno w Smitha i w Brygidę. Oboje byli bladzi, poważni, niemi. Nie wiedziałem, czemu są tacy; mimo woli powtarzałem sobie, że może to wynikać z jednej i tej samej przyczyny, i że te dwie zagadki mieszczą się być może w jednej. Ale nie było to jedno z owych mętnych chorobliwych podejrzeń, jakie mnie dręczyły niegdyś; był to niezwykły, fatalny instynkt. Cóż za dziwna rzecz, człowiek! znajdowałem przyjemność w tym, aby ich zostawiać samych przy kominku, a sam iść dumać włączając się nad Sekwaną lub oprzeć się o parapet i patrzeć bezmyślnie w wodę.

Kiedy wspominali pobyt swój w N*** i kiedy Brygida prawie rozbawiona przybiegała macierzyński tonik, przypominając mi wspólnie spędzone dni, miałem uczucie, że cierpię, a mimo to znajdowałem w tym przyjemność. Zadawałem im pytania, mówiłem ze Smithem o matce, o jego zajęciach, planach. Dawałem mu sposobność pokazania się w korzystnym świetle i niewoliłem jego skromność, aby odsłoniła jego przymioty.

— Kocha pan bardzo siostrę, nieprawdaż? — pytałem — kiedy spodziewa się pan wydać ją za mąż?

Rumieniąc się, odpowiadał, że prowadzenie domu wiele kosztuje, że może to nastąpić za dwa lata, może wcześniej, jeżeli zdrowie pozwoli mu na parę nadliczbowych prac, za które uzyska gratyfikację; znajduje się w okolicy dostatnia rodzina, której syn jest jego przyjacielem; już się prawie porozumieli w tej kwestii i szczęście może przyjść pewnego dnia jak spokój, na wpół bezwiednie. Zrzekł się na rzecz siostry swej części małego dziedzictwa, które ojciec zostawił; matka sprzeciwiała się temu, ale on postawił na swoim: młody człowiek powinien żyć z własnej pracy, podczas gdy o losie panny rozstrzyga małżeństwo. Tak, pomalutką, roztaczał nam całe swoje życie i całą duszę: patrzałem, jak Brygida go słuchała. Następnie kiedy się już żegnał, przeprowadzałem go aż do drzwi i stałem w zamyśleniu, bez ruchu, dopóki odgłos kroków nie zgubił się na schodach.

Wracałem do pokoju i zastawałem Brygidę zaczynającą się rozbierać. Patrzałem chciwie na to urocze ciało, na te skarby piękności, które tyle razy posiadałem. Patrzałem, jak czesała długie włosy, zawiązywała fular i kiedy suknia opadała na ziemię, odwracała się niby Diana wchodząca do kąpieli. Kładła się do łóżka, ja kładłem się w moim; nie mogło mi przyjść do głowy, aby Brygida mnie oszukiwała, ani aby Smith był w niej zakochany; nie starałem się ich śledzić ani podchwytować. Nie zdawałem sobie sprawy z niczego.

Mówiłem sobie: „Jest bardzo ładna, a ten biedny Smith jest uczciwy chłopak; mają oboje wielkie zmartwienie i ja także”. Serce mi się ścisnęło, a zarazem odczuwałem ulgę.

Przepatrując nasze walizy, zauważyliśmy, że brak nam jeszcze paru drobiazgów; Smith podjął się wystarać o nie. Obdarzony był niestrudzoną energią; powiadał, iż wyświadcza mu łaskę, kto mu powierza jakieś zlecenie. Pewnego dnia wróciwszy do domu, zastałem go siedzącego na ziemi i zapinającego jakiś tłumok. Brygida siedziała przy klawikordzie, który wynajęliśmy na czas pobytu w Paryżu. Grała owe dawne pieśni, w które kładła tyle wyrazu i które tak lubiłem. Zatrzymałem się w przedpokoju, drzwi były otwarte: każda nuta wnikała mi do duszy; nigdy jeszcze nie śpiewała tak smutno i tak, można rzec, święcie.

Smith słuchał z rozkoszą; klęczał trzymając rzemień tłumoka. Upuścił go, spojrzął na rzeczy, które sam dopiero co złożył i owinął w prześcieradło. Trwał długo w ten sposób, mimo iż śpiew przebrzmiał; Brygida z rękami na klawikordzie patrzyła w dal, na widnokrąg. Po raz drugi ujrzałem łzy ciekące z jego oczu; sam byłem bliski łez; nie wiedząc, co się dzieje we mnie, wszedłem i podałem mu rękę.

— Byłeś tutaj? — spytała Brygida. Zadrżała i wydała się zdziwiona.

— Tak, byłem — odparłem. — Śpiewaj, błagam cię. Niech usłyszę jeszcze twój głos!

Nie odpowiadając, zaczęła śpiewać; i dla niej było to wspomnienie. Widziała wzruszenie moje i Smitha; głos jej mienił się. Ostatnie tony, na wpół zatarte, zdawały się gubić w błękitach; wstała i pocałowała mnie. Smith trzymał jeszcze moją rękę; ścisnął ją z konwulsyjną siłą; błąd był jak śmierć.

Innego dnia przyniosłem album litografii przedstawiających widoki Szwajcarii. Przeglądaliśmy się im wszyscy troje; od czasu do czasu Brygida, natrafiwszy na widok, który się jej podobał, zatrzymywała się, aby mu się przyjrzeć. Jeden zwłaszcza zachwycił ją; był to krajobraz z kantonu Vaud; zielona dolina obsadzona jabłoniemi, bydło pasące się w cieniu, w oddali kilkanaście domków rozrzuconych po łące i po otaczających pagórkach. Na pierwszym planie młoda dziewczyna w dużym słomkowym kapeluszu siedziała u stóp drzewa, przed nią stał chłopiec z okutym kijem w dłoni i zdawał się jej wskazywać drogę, którą przebył: krętą ścieżkę gubiącą się w górach. Ponad nimi widać było Alpy, obraz zaś wieńczyły trzy szczyty pokryte śniegiem, iskrzące się w odblaskach zachodu słońca. Trudno o coś prostszego a piękniejszego zarazem niż ten krajobraz. Dolina podobna była do jeziora zieleni, oko zaś obejmowało jego zarysy z najdoskonalszym spokojem.

— Czy tam pojedziemy? — spytałem. Wziąłem ołówek i nakreśliłem na sztychu kilka kresek.

— Co ty robisz? — spytała.

— Próbuję — rzekłem — czy przy pewnej zręczności dużo trzeba by zmieniać w tej postaci, aby była podobna do ciebie. Kapelusz tej młodej dziewczyny byłby ci, jak sądzę, cudownie do twarzy; temu zaś dzielnemu góralowi udałoby mi się może nadać niejaki podobieństwo ze mną.

Koncept spodobał się Brygidzie; chwyciła nożyk i w mig zatarła na rycinie twarz chłopca i dziewczyny. I dalejże ja zacząłem kreślić jej portret, ona mój. Figurki były bardzo małe, toteż nie wybredzaliśmy zbyt; zgodziliśmy się, że portrety są ładnie podobne, i w istocie przy dobrej woli, można w nich było odnaleźć nasze rysy. Naśmiawszy się do syta, porzuciliśmy album; za chwilę służący wywołał mnie w jakiejś sprawie i wyszedłem.

Skoro wróciłem, Smith stał oparty o stół i wpatrywał się w rycinę z taką uwagą, iż nie zauważył mego wejścia. Pogrążony był w głębokiej zadumie; dopiero po pierwszym słowie, z jakim zwróciłem się do Brygidy, podniósł głowę. Popatrzył na nas przez chwilę; po czym pożegnał się spiesźnie. Kiedy przechodził przez jadalnię, spostrzegłem, iż uderzył się w czoło.

Kiedy byłem świadkiem tych oznak boleści, wstawałem i biegłem zamknąć się w swoim pokoju. „Cóż to jest? co to jest?” powtarzałem. Następnie składałem ręce, aby błagać... kogo? nie wiem; może mego dobrego anioła, może mego złego losu.

ROZDZIAŁ IV

Serce nawoływało mnie, aby jechać, a mimo to wciąż zwlekałem; tajemna i gorzka rozkosz przykuwała mnie co wieczór do miejsca. Kiedy Smith miał przyjść, nie miałem spokoju, póki nie usłyszałem dźwięku dzwonka. Czym się dzieje, iż jest w nas coś niepojętego, co się lubuje w nieszczęściu?

Każdego dnia jakiś nagły błysk, spojrzenie, przyprawiły mnie o dreszcz; każdego dnia inne słowo, inne spojrzenie, mocą sprzecznego działania, pogrążyły mnie z powrotem w niepewności. Mocą jakiej niezrozumiałej tajemnicy byli oboje tacy smutni? Mocą jakiej znów tajemnicy trwałem nieruchomy jak posąg patrząc na nich, podczas gdy nieraz w podobnej okoliczności bywałem gwałtowny aż do szału? Nie miałem siły aby się ruszyć, ja, który, ilekroć kochałem, podlegałem owym dzikim niemal napadom zazdrości, jakie widuje cię na Wschodzie. Spędzałem dni na wyczekiwaniu, a nie umiałbym powiedzieć na co. Siadałem wieczór na łóżku i mówiłem sobie; „Spróbujmyż myśleć o tym”. Topiłem głowę w rękach, po czym wykrzykiwałem: „To niemożliwe!” i nazajutrz rozpoczynałem na nowo.

W obecności Smitha Brygida okazywała mi więcej serdeczności, niż kiedy byliśmy sami. Jednego wieczora zjawił się w chwili, gdyśmy dopiero co wymienili kilka słów dość twardych; kiedy usłyszała jego głos w przedpokoju, podeszła, aby mi usiąść na kolanach. On był zawsze spokojny i smutny; zdawało się, iż zadaje sobie nieustanny gwałt. Każdy gest był odmierzony; mówił mało i wolno; ale nagłe poruszenia, które mu się wymykały czasem, tym bardziej były uderzające przez sprzeczność z jego zwyczajnym zachowaniem.

W okolicznościach, w jakich się znajdowałem, czyż mogę nazwać ciekawością niecierpliwość, która mnie pożerała? Cóż bym odpowiedział, gdyby mi ktoś rzekł: „Co ci o to? Jesteś bardzo ciekawy”. Być może wszelako nie było to co innego.

Przypominam sobie, iż pewnego dnia pod królewskim mostem widziałem tonącego. Puściłem się wraz z kilkoma przyjaciółmi na pełną wodę; za nami płynęło czółno, na którym byli dwaj nauczyciele pływania. Było to w czasie upałów letnich; nasza gromadka spotkała się z drugą, tak iż razem było nas pod wielkim łukiem mostu więcej niż trzydziestu. Naraz któremuś z kąpiących zrobiło się słabo. Słyszę krzyk i odwracam się. Widzę dwie ręce poruszające się na powierzchni, po czym wszystko znika. Daliśmy natychmiast nurka; na próżno: ledwo w godzinę później wydobyto trupa zapchanego pod ładunek drzewa.

Wrażenie, jakiego doznałem nurkując w rzece, nie wyjdzie mi nigdy z pamięci. Rozglądałem się na wszystkie strony w ciemnych i głębokich warstwach wody, które spływały mnie z głuchym szmerem. Dopóki mogłem wstrzymać oddech, posuwałem się w głąb; następnie wracałem na powierzchnię, wymieniałem pytania z jakimś innym pływakiem, równie zaniepokojonym jak ja, po czym wracałem pod wodę. Wstrząsała mną na przemian groza i nadzieja; myśl, iż może mnie pochwycić para konwulsyjnych ramion przejmowała mnie niewymowną radością i przerażeniem; dopiero zupełne wyczerpanie skłoniło mnie do powrotu na łódkę.

O ile rozpusta nie stępi zupełnie człowieka, jednym z jej nieuchronnych następstw jest dziwna ciekawość. Opisałem wyżej ową ciekawość, jaką odczułem za pierwszą bytnością u Desgenais'go. Wytłumaczę się jaśniej.

Prawda, ów szkielet pozorów, żąda, aby wszelki człowiek bez względu na to, kim jest, dotknął w swoim dniu i godzinie jej wiekiustych piszczeleli na dnie jakiejś przemijającej rany. To się nazywa *znać świat*; tą ceną opłaca się doświadczenie.

Owóż zdarza się, iż w obliczu tej próby jedni cofają się w przerażeniu; drudzy, słabi i wylęknieni, powstają chwiejni niby cienie. Niektóre istoty, najlepsze może, nie są zdolne tego przeżyć. Większość zapomina i tak wszystko płynie ku śmierci.

Ale są ludzie — nieszczęśliwi, to pewna! — którzy nie cofają się ani się nie chwieją, nie umierają ani nie zapominają; kiedy przychodzi na nich kolej, aby dotknąć palcem nieszczęścia, inaczej mówiąc prawdy, zbliżają się doń pewnym krokiem, wyciągają rękę i, rzecz straszna! rodzi się w nich uczucie miłości dla siniego topielca, którego ujrzeni na dnie wód. Chwytają go, macają, ściskają; pijani pragnieniem poznania, wszystko, na co patrzą, chcą przejrzeć na wylot; już tylko wątpią i kuszą; szperają w świecie niby szpiegi boże; myśli ich robią się ostre jak strzały, ryś czai się w ich piersi.

Prawda, Obraz świata,
Kondycja ludzka

Prawda, Upadek, Kondycja
ludzka

Rozpustnicy bardziej od innych podlegają temu szaleństwu, a przyczyna tego jest bardzo prosta; jeśli przyrównamy zwykle życie do gładkiej i przezroczystej powierzchni, rozpustnicy, płynąc w wartkich wirach, co chwila dotykają dna. Wychodząc z balu na przykład, spieszą do podejrzanego domu. Naściskawszy się do woli w tańcu wstydliwych dłoni dziewicy, przyprawiwszy ją może o drżenie, wychodzą, biegną, rzucają płaszcz i rozwalają się u stołu zacierając ręce. Ostatnie zdanie zwrócone do pięknej i uczciwej kobiety drga im jeszcze na ustach; powtarzają je wybuchając śmiechem. Co mówię? czyż za kilka sztuk monety nie podnoszą owego stroju będącego istotą wstydu, chcę rzec, sukni: owej tajemniczej zasłony, zdającej się otaczać szacunkiem istotę, którą zdobi i którą okala, nie dotykając jej? Jakież pojęcie muszą sobie tedy tworzyć o świecie? czują się w nim raz po raz niby aktor za kulisami. Kto bardziej od nich przyzwyczajony jest do owego szukania samego dna rzeczy i, jeśli można tak rzec, do tych poufnych i cynicznych obmacywań? Posłuchajcie, jak oni mówią o wszystkim: zawsze określenia najbardziej jaskrawe, grube, ohydne; te tylko wydają się im prawdziwe, reszta to tylko szych, pozór, przesady. Jeśli opowiadają jakieś wydarzenie, jeśli zdają sprawę z własnych wrażeń: zawsze słowo plugawe, ziemskie, zawsze dosłowna litera, zawsze śmierć! Nie powiedzą: „Ta kobieta mnie kochała”, ale: „Miałem tę kobietę”; nie mówią: „Kocham”, ale: „Pałę się”; nie mówią nigdy: „Jeśli Bóg zechce!”, mówią zawsze: „Gdybym ja zechciał!” Sam już nie wiem, co myślą o sobie samych i co wyplatają w swoich monologach!

Stąd nieodbitnie lenistwo albo ciekawość; podczas bowiem gdy się tak ćwiczą w widzeniu we wszystkim najgorszej strony, widzą wszelako, że inni nadal wierzą w dobro. O ile zatem w obojętności swojej nie posuwają się aż do zatkania sobie uszu, musi ich budzić nagle od czasu do czasu odgłos owego innego świata. Ojciec pozwala synowi chodzić tam, gdzie chodzi tyłu innych, gdzie chadzał sam Kato; powiada, iż młodość musi się wyszumieć. Ale za powrotem syn spogląda na swą siostrę; i patrzcie, co sprawiła godzina spędzona sam na sam z bydlęcą rzeczywistością! musi sobie powtarzać: Siostra moja nie ma nic wspólnego z tamtą kobietą! i od tego dnia odczuwa niepokój.

Ciekawość zła jest to plugawa choroba, która rodzi się z wszelkiego nieczystego zekłknięcia. Jest to natrętny pęd upiórów podnoszący grobowe płyty; jest to niewytłumaczona męczarnia, którą Bóg karze tych, co upadli; chcieliby wierzyć, że wszystko stworzone jest do upadku, a być może sprawiłoby to im rozpacz. Ale szperają, szukają, dysputują; przekrzywiają głowę na bok niby budowniczy, który ustawia węgielnicę, i siłą się w ten sposób widzieć rzeczy tak, jak pragną. Zło stwierdzone oglądają z uśmiechem; na zło wątpliwe gotowi by przysięgać; gdy widzą dobro, chcą je obejrzeć od tyłu. *Kto wie?* oto arcyformuła, pierwsze słowo, które wyrzekł szatan, skoro ujrzał, iż niebo jest dlań zamknięte. Ach! iluż to słowo uczyniło nieszczęśliwych! ileż klęsk i śmierci, ileż straszliwych zamachów kosi w poczynające kielkować zasiewy! ile serc, ile roślin, które są jedną ruiną od czasu, gdy to słowo w nich zabrzmiało! *Kto wie? Kto wie?* bezecny wyraz! Nim się je wymówi, raczej być jak owe barany, które nie wiedzą, gdzie jest rzeźnia i idą do niej szczypiąc trawę. To więcej warte, niż być „trzeźwą głową” i czytywać la Rochefoucaulda.

Jakież mogę dać tego lepszy przykład niż to, co opowiadałem w tej chwili? Brygida chciała jechać, wystarczyło mi powiedzieć słowo. Wiedziałem, że jest smutna, dlaczegóż zwlekałem? co byłoby się stało, gdybyśmy wyjechali? Skończyłoby się na przelotnej chwili lęku; nie byłibyśmy ani trzech dni w drodze, a już wszystko poszłoby w niepamięć. Skoro byłbym z nią sam, myślałaby tylko o mnie; cóż mi zależało na poznaniu tajemnicy, która nie groziła memu szczęściu? Zgadzała się; w tym zamykało się wszystko. Wystarczyło jednego pocałunku w usta; zamiast tego, patrzcież co ja robię.

Jednego wieczora, kiedy Smith był u nas na obiedzie, wysunąłem się i zostawiłem ich razem. Zamykając drzwi za sobą, usłyszałem, że Brygida prosi o herbatę. Nazajutrz wchodząc do pokoju, zbliżyłem się przypadkiem do stołu i obok imbryka ujrzałem jedną tylko filiżankę. Nikt nie wchodził tam przede mną, tym samym służący nie mógł nic zabrać ze sprzętu, który podano wczoraj. Rozglądałem się po wszystkich meblach, czy nie zobaczę drugiej filiżanki; upewniłem się, że nie.

- Smith długo siedział? — spytałem Brygidy.
- Blisko do północy.
- Czy położyłaś się sama, czy dzwoniłaś na pokojową?
- Sama; wszystko spało w domu.

Ojciec, Syn, Brat, Siostra,
Kobieta "upadła", Obyczaj

Zło, Choroba, Obraz świata,
Kondycja ludzka, Upadek

Szukałem ciągle; ręce mi drżały. W jakiejż farsie znalazłby się zazdrośnik dość śmieszny, aby dochodzić, co się stało z filiżanką? Z jakiej racji Smith i pani Pierson mieliby pić z jednej filiżanki? W istocie, szlachetna myśl przychodziła mi do głowy! Trzymałem wszelako w rękę filiżankę i krążyłem po pokoju. Nie mogłem się powstrzymać, aby nie wybuchnąć śmiechem, i rzuciłem ją na podłogę. Rozsypała się na tysiąc cząstek, które zmiążdżyłem obcasem.

Brygida patrzyła, nie mówiąc słowa. Przez dwa następne dni odnosiła się do mnie z chłodem, który miał odcień pogardy, wobec Smitha zaś miała ton swobodniejszy i życzliwszy niż zwyczajnie. Nazywała go po chrzestnym imieniu, Henrykiem i uśmiechała się doń poufale.

— Mam ochotę przejść się trochę — rzekła po obiedzie — czy pójdziesz do Opery, Oktawie? poszłabym piechotą.

— Nie, zostaję; idźcie sami.

Ujęła pod ramię Smitha i wyszła. Zostałem sam przez cały wieczór; miałem przed sobą ćwiartkę papieru, chciałem utrwalić swoje myśli, ale nie mogłem.

Podobnie jak kochanek z chwilą, gdy się znajdzie sam, wydobywa ukryty na łonie list swej lubej i tonie w słodkim marzeniu, tak ja pogrążałem się z rozkoszą w uczuciu głębokiej samotności i zamykałem się, aby wątpić. Miałem przed oczyma dwa puste krzesła, które Smith i Brygida zajmowali przed chwilą; patrzyłem na nie chciwym okiem, jak gdyby mi mogły coś powiedzieć. Przechodziłem po tysiąc razy w głowie wszystko, co widziałem i słyszałem; od czasu do czasu szedłem do drzwi i spoglądałem na walizy ustawione pod ścianą, gotowe do drogi od miesiąca; odchylałem je ostrożnie, oglądałem suknie, książki ułożone w porządku przez staranne i delikatne rączki; wsłuchiwałem się w turkoty pojazdów; hałas ich przyprawiał mnie o bicie serca. Rozkładałem na stole mapę Europy, niegdyś świadka tak słodkich planów; i oto w obliczu wszystkich mych nadziei, w tym pokoju, gdzie je powziąłem i gdzie zdawały mi się tak bliskie urzeczywistnienia, oddawałem się bez hamulca najokropniejszym przecuciom.

Jak to było możliwe? Nie doznawałem gniewu ani zazdrości; czułem wszelako bezgraniczny ból. Nie podejrzewałem, a jednak wątpiłem. Umysł ludzki jest tak dziwny, że umie sobie ukuć z tego, co widzi i mimo tego, co widzi, sto przyczyn do cierpienia. W istocie mózg nasz podobny jest do tych więzień z czasów Inkwizycji, gdzie mury pokryte są tyloma narzędziami tortury, iż nie rozumiemy ani ich przeznaczenia, ani kształtu i patrząc na nie, pytamy samych siebie, czy to są kleszcze czy zabawki. Powiedzcie mi, proszę, czy nie na jedno wychodzi powiedzieć kochance: „Wszystkie kobiety oszukują”, a powiedzieć: „Ty mnie oszukujesz”?

To co się działo w mej głowie było wszelako może równie subtelne jak najrzęczniejszy sofizmat; był to rodzaj dialogu między rozumem a sumieniem. „Gdybym miał stracić Brygidę? — mówił rozum. — Jedź z tobą — odpowiadało sumienie. — Gdyby mnie oszukiwała? — W jaki sposób mogłaby cię oszukiwać, ona, która sporządziła testament, gdzie zaleca modlić się za ciebie! — A jeśli Smith ją kocha? — Szaleńcze, cóż ci o to, skoro wiesz, że ona kocha ciebie? — Skoro mnie kocha, czemu jest smutna? — To jej tajemnica, uszanuj ją. — Jeśli ją wywiozę stąd, czy będzie szczęśliwa? — Kochaj ją, a będzie. — Dlaczego, kiedy ten człowiek patrzy na nią, ona jak gdyby lęka się spotkać jego oczu? — Ponieważ jest kobietą, a on jest młody. — Dlaczego, kiedy ona nań patrzy, on nagle blednie? — Ponieważ jest mężczyzną, a ona jest piękna. — Dlaczego, kiedy go odwiedził, rzucił się z płaczem w moje ramiona? Dlaczego któregoś dnia uderzył się w czoło? — Nie pytaj o to, czegoś nie powinien wiedzieć. — Dlaczego nie powinienem? — Ponieważ jesteś lichy i ułomny, a wszelka tajemnica należy do Boga. — Ale dlaczego ja cierpię? dlaczego nie mogę myśleć o tym bez przerażenia w duszy? — Myśl o swoim ojcu i o tym, aby czynić dobrze. — Dlaczegoż nie mogę? dlaczego zło ciągnie mnie do siebie? — Padnij na kolana, wypowiadaj się; jeżeli wierzysz w zło, tym samym je czyniłeś. — Jeśli je czyniłem, czy to moja wina? dlaczego dobro mnie zdradziło? — Iż jesteś w ciemnościach, czy to racja, aby przeczyć światłu? jeśli istnieją zdrajcy, czemu jesteś z ich liczby? — Bo lękam się być zwiedzionym. — Dlaczego spędzasz nocę na czuwaniu? Niemowlęta śpią o tej porze. Czemu jesteś sam w tej chwili? — Ponieważ myślę, wątpię i lękam się. — Kiedyż zmówisz pacierz? — Wówczas gdy uwierzę. Dlaczego mi

Kochanek, Mężczyzna,
Kobieta, Kłamstwo

Sumienie, Rozum, Miłość,
Kobieta, Mężczyzna

skłamano? — Dlaczego ty kłamiesz, tchórze, w teje chwili? Czemu nie umierasz, skoro nie umiesz cierpieć?”

Tak mówiły i jęczały we mnie dwa straszliwe i sprzeczne głosy, trzeci zaś krzyczał jeszcze: „Och, och, niewinności moja; och, och, minione dni!”

ROZDZIAŁ V

Myśl ludzka, cóż to za straszliwa potęga! to nasza obrona i nasza ucieczka, najpiękniejszy podarek, jaki Bóg nam uczynił. Należy do nas i jest nam posłuszna; możemy pchnąć ją w przestrzeń; ale skoro raz znajdzie się poza tą wątlą czaszką, już przepadło, nie mamy nad nią władzy.

Podczas gdy tak z dnia na dzień odkładałem nieustannie wyjazd, traciłem siły i sen; stopniowo bez mej wiedzy życie uciekało ze mnie. Siadając do stołu, czułem śmiertelny wstręt; w nocy te dwie blade twarze, Smitha i Brygidy, które śledziłem przez cały dzień, prześladowały mnie w okropnych widzeniach. Gdy wieczorem szli do teatru, nie chciałem iść z nimi; szedłem osobno, kryłem się na parterze i stamtąd śledziłem ich. Udawałem, że mam coś do załatwienia w sąsiednim pokoju, i spędzałem tam godzinę podsłuchując. To chwyciła mnie z całą gwałtownością myśl, aby poszukać zwady ze Smithem i zmusić go do pojedynku; odwracałem się doń plecami, gdy do mnie mówił; przyglądałem mu się z udanym zdziwieniem, kiedy podchodził z wyciągniętą ręką. To znów kiedy byłem sam w nocy i wszystko w domu spało, doznawałem pokusy, aby się dobyć do sekretarzyka Brygidy i wykraść jej papiery. Raz wręcz musiałem wyjść z domu, aby się temu oprzeć. Cóż mam rzec? jednego dnia chciałem z nożem w ręku zagrozić im, że ich zabiję, jeśli mi nie powiedzą, czemu są tak smutni; innego dnia chciałem zwrócić wściekłość przeciwko sobie. Z jakim wstydem przychodzi mi to napisać! A gdyby mnie ktoś zapytał, co w gruncie rzeczy kazało mi tak postępować, nie wiedziałbym, co odpowiedzieć.

Widzieć, wiedzieć, wątpić, szperać, niepokoić cię i doprowadzać się do rozpacz, przeżywać dni z nastawionym uchem, a w nocy tonąć we łzach; powtarzać sobie, że umrę z bólu i wierzyć, że mam przyczyny po temu; czuć, jak odosobnienie i słabość wydzierają nadzieję z mego serca; wyobrażać sobie, że ich szpieguję, podczas gdy nadsluchiwałem w mroku jedynie uderzeń mego gorączkowego tętna; przeżuwać bez końca owe wytarte i oklepiane zdania: „Życie jest snem, nie ma nic stałego na ziemi”; wreszcie złorzeczyć, bluźnić Bogu mieszkającemu we mnie przez własną nędzę i kaprys; oto jakie były moje rozkosze, moje ulubione zatrudnienie, dla którego wyrzekałem się miłości, powietrza, swobody!

Wiekuisty Boże, swoboda! tak, bywały chwile, w których, mimo wszystko, myślałem o niej jeszcze. Pośród tej otchłani szaleństwa, dziwactwa i głupoty, zdarzało mi się nagle, jednym skokiem, wyrwać z samego siebie. Fala powietrza, która uderzała mnie w twarz, skoro wychodziłem z mego więzienia; stronica książki, którą czytałem, o ile w ogóle zdarzyło mi się wziąć do rąk inną książkę niż utwory owych nowożytnych sykofantów, których mienią pamflecistami, a którym powinno by się zabronić, po prostu z racji zdrowotności publicznej, ich dłuźbania i mędrkowania. Skoro mówię o tych dobrych chwilach, były one tak rzadkie, iż chcę przytoczyć jedną. Czytałem jednego wieczora pamiętniki Constanta; znalazłem następujący ustęp:

„Salsdorf, chirurg saski przy osobie księcia Chrystiana, otrzymał w bitwie pod Wagram pocisk granatu, który mu złamał nogę. O piętnaście kroków od niego Amadeusz de Kerbourg, adiutant (nie pamiętam czyj), kontuzjonowany w piersi, pada i rzyga krwią. Salsdorf widzi, że jeśli ktoś nie udzieli młodzieńcowi pomocy, umrze z apopleksji; zbiera siły, pelza ku niemu na czworakach, puszcza krew i ratuje mu życie. Tuż potem Salsdorf umarł w Wiedniu w cztery dni po amputacji”.

Przeczytawszy te słowa, zamknąłem książkę i zalałem się łzami. Nie żał mi tych łez, zawdzięczam im dobry dzień: mówiłem tylko o Salsdorfie i zapomniałem o wszystkim innym. Nie przyszło mi do głowy, to pewna, podejrzewać kogoś tego dnia. Ja biedny marzyciel! trzebaż mi było wówczas przypominać sobie, że kiedyś byłem dobry? Na co mi się to zdało? aby wyciągać ku niebu znękaną ramioną, aby się pytać, po co żyję na świecie, i rozglądać się dokoła, czy nie spadnie też jakiś granat, który by mnie wyzwolił na wieczność. Niestety, to był tylko błysk, który rozdarł na chwilę noc mojej duszy.

Jak owi obląkani derwisze, którzy w zawrocie głowy osiągają ekstazę, tak myśl nasza, kiedy kręcąc się sama koło siebie, znuży się własnym grzebaniem, wyczerpana bezużyteczną pracą, zatrzymuje się przestraszona. Można by rzec, iż człowiek jest pusty wewnątrz i że wstępując coraz głębiej w siebie, dociera aż do ostatniego stopnia krętych schodów. Tam, jak na szczycie gór, jak w głębi kopalni, brak jest powietrza i Bóg zabrania iść dalej. Wówczas rażone śmiertelnym zimnem serce, jak gdyby żądne zapomnienia, chciałoby wydrzeć się na zewnątrz, aby odżyć; pije życie ze wszystkiego, co je otacza, wdycha chciwie powietrze; ale znajduje dokoła siebie jedynie własne chimery, które ożywia uciekającą zeń siłą i które, stworzone przez nie, oblegają je niby bezlitosne upiory.

Niepodobna było, aby rzeczy ciągnęły się długo w ten sposób. Znużony niepewnością umyśliłem podjąć próbę celem odkrycia prawdy.

Poszedłem zamówić konie pocztowe na dziesiątą wieczór. Mieliliśmy już najętą kolasę, kazałem tedy, aby wszystko było gotowe na oznaczoną godzinę, zabraniając równocześnie wspominać cokolwiek pani Pierson. Smith był tego dnia na obiedzie. Siadając do stołu, z rozmysłu starałem się być weselszy niż zwykle, przy czym nie uprzedzając nic o zamiarze, sprowadziłem rozmowę na naszą podróż. Wyrzekłbym się tej podróży, mówiłem, gdybym przypuszczał, że Brygidzie nie tyle na niej zależy; czuję się tak dobrze w Paryżu, iż najchętniej zostałbym tam, póki się jej spodoba. Zacząłem słać przyjemności, jakie można znaleźć tylko w tym mieście; bale, teatry, sposobność do rozrywki na każdym kroku. Krótko mówiąc, skoro czujemy się szczęśliwi, nie widzę, czemu mielibyśmy zmieniać miejsce: co do mnie, nie myślę wyjeżdżać tak rychło.

Spodziewałem się, że Brygida będzie obstawać przy naszym genewskim projekcie, i w istocie tak się stało. Nalegała wprawdzie dość słabo; ale na pierwsze słowa udałem, iż poddaję się jej życzeniom; następnie zmieniając przedmiot rozmowy, zacząłem mówić o rzeczach obojętnych, tak jakby tamto było załatwione.

— Czemu — dodałem — Smith nie miałby jechać z nami? Prawda, ma tu zajęcia, które go zatrzymują; ale czyż nie może dostać urlopu? Zresztą czyż talenty, które posiada, a z których nie chce korzystać, nie powinny mu zapewnić wszędzie swobodnej i przyzwoitej egzystencji? Niech jedzie z nami bez ceremonii; powóz jest duży, ofiarujemy mu miejsce. Trzeba, aby młody człowiek przetał się w świecie; nie masz nic tak smutnego w jego wieku, jak zamykać się w ciasnym kole. Nieprawdaż? — zwróciłem się do Brygidy. — No, moja droga, może ty uzyskasz swoim wpływem to, czego mnie by odmówił; nakłoń go, aby nam poświęcił jakie sześć tygodni. Odbędziemy podróż razem, a wspólna przejażdżka po Szwajcarii pozwoli mu z tym większą przyjemnością powitać swój gabinet i swoje prace.

Brygida poparła mnie, jakkolwiek wiedziała, iż to zaproszenie było jedynie żartem. Smith nie mógł opuścić Paryża pod groźą utraty miejsca; nie bez żalu tedy odmówił, przytaczając ten powód. Kazałem tymczasem przynieść butelkę dobrego wina i tak, wśród moich nalegań, pół żartem pół serio, rozbawiliśmy się wszyscy troje. Po obiedzie wyszedłem na kwadrans, aby się upewnić, że wykonano moje rozkazy; wróciłem z wesołą miną i siadając do klawikordu, zaprosiłem nieco muzyki.

— Zostańmy wieczór w domu — rzekłem — wiercie mi, nie chodźmy do teatru; nie jestem zdolny współdziałać z wami, ale umiem słuchać i rozumieć. Gdyby się Smith nudził, każemy mu grać i spędzimy czas milej niż poza domem.

Brygida nie dała się prosić; chętnie zaczęła śpiewać, Smith towarzyszył jej na wiolonczeli. Podano przybór do ponczu i niebawem płomień palącego się rumu rozweselił nas swoim blaskiem. Przenieśliśmy się od klawikordu do stołu, znalazły się i karty. Wszystko poszło tak, jak sobie życzyłem; zapanowała atmosfera szczerego rozbawienia.

Miałem oczy wlepione w zegar i czekałem niecierpliwie, aż wskazówka wskaże dziesiątą. Pożerał mnie niepokój, ale miałem tę siłę, aby go nie zdradzić. Wreszcie chwila nadeszła; usłyszałem bicz pocztyliona i odgłos kopyt końskich w dziedzińcu. Brygida siedziała obok mnie; wziąłem ją za rękę i spytałem, czy jest gotowa do drogi. Spojrzała ze zdziwieniem, myśląc zapewne, że to żarty. Odparłem, że w czasie obiadu wydała mi się tak zdecydowana, iż nie zwlekając, poszedłem zamówić konie i właśnie w tym celu wyszedłem. Równocześnie wszedł służący hotelowy z oznajmieniem, iż rzeczy są już w powozie i że czekają tylko na nas.

— Czy to serio? — spytała Brygida — chcesz jechać tej nocy?

— Czemu nie — odparłem — skorośmy się zgodzili oboje, że mamy opuścić Paryż?

— Jak to! teraz? w tej chwili?

— Oczywiście; czyż nie jest wszystko gotowe od miesiąca? Widzisz przecie, że trzeba było jedynie przytroczyć walizy; z chwilą gdy stanęło na tym, że nie zostajemy tutaj, czyż nie lepiej jechać jak najprędzej? Uważam, że trzeba wszystko robić w ten sposób i niczego nie odkładać do nazajutrz. Jesteś dziś wieczór w wienie do podróży: chwytam tedy w lot sposobność. Po co czekać i odwlekać bez końca? Nie mógłbym znieść tego życia. Chcesz jechać, nieprawdaż? jedźmy tedy; zależy tylko od ciebie.

Zapanowała chwila głębokiego milczenia. Brygida podeszła do okna i ujrzała, że w istocie zaprzężono. Zresztą ton, jakim mówiłem, nie mógł zostawić żadnej wątpliwości. Mimo że postanowienie było nagłe, ostatecznie wyszło ono od niej: nie mogła się zaprzeczyć własnych słów, ani wymyślić przyczyn do odwłoki. Jakoż powzięła decyzję; zadała mi kilka pytań, jakby dla upewnienia się, czy wszystko jest w porządku; po czym widząc, iż niczego nie zaniedbano, rozejrzała się koło siebie. Wzięła szal i kapelusz, odłożyła je, przepatrzyła jeszcze pokoje.

— Jestem gotowa — rzekła — służę ci; jedziemy tedy? mamy jechać?

Wzięła światło, przeszukała mój pokój, potem swój, otworzyła kufry i szafy. Poprosiła o klucz od sekretarzyka, który, jak mówiła, zarzucił się jej. Gdzież on mógł być? miała go w ręku przed godziną.

— Prędko, prędko, jestem gotowa — powtarzała w nadzwyczajnym podnieceniu — jedźmy, Oktawie, schodźmy.

To mówiąc, szukała ciągle; wreszcie podeszła, aby usiąść obok nas.

Siedziałem na kanapie i patrzyłem na Smitha stojącego przede mną. Nie zmienił zachowania, nie wydawał się ani zmieszany, ani zdziwiony; ale dwie krople potu spływały mu po skroniach. Słyszałem, jak w palcach jego trzeszczy żeton kościany, który trzymał w ręku i którego kawałki upadły na ziemię. Wyciągnął ku nam obie ręce.

— Szczęśliwej podróży, przyjaciele! — rzekł.

Znów zapanowało milczenie; przyglądałem się wciąż Smithowi i czekałem, aby dodał słowo. „Jeżeli tu jest jakaś tajemnica — myślałem — kiedyż ją przejrzę, jeśli nie w tej chwili? Muszą ją oboje mieć na ustach. Niech wyjdzie z nich bodaj cień, a pochwyć ją”.

— Słuchaj Oktawie — rzekła Brygida — gdzie sądzisz, że się zatrzymamy? Napisze pan do nas, nieprawdaż, panie Henryku? nie zapomni pan o mojej rodzinie i zrobi pan w tej sprawie, co pan będzie mógł?

Odpowiedział wzruszonym głosem, ale z pozornym spokojem, że zobowiązuje się z całego serca być jej pomocny i że doloży starań w tej mierze.

— Nie mogę — rzekł — ręczyć za nic; wobec listów, jakie pani otrzymała, nadzieja jest niewielka. Ale nie będzie to z pewnością moja wina, jeżeli mimo wszystko nie będę mógł pani niedługo przesłać jakiej pomyślnej wiadomości. Niech pani liczy na mnie, jestem jej szczerze oddany.

Dodawszy jeszcze kilka uprzejmych słów dla nas obojga, miał się ku wyjściu. Wstałem i wyprzedziłem go; chciałem ostatni raz zostawić ich jeszcze na chwilę razem. Zaledwie zamknąłem drzwi za sobą, ogarnięty szalem zawiedzionej zazdrości przyłgnałem czołem do zamku.

— Kiedy panią zobaczę? — spytał Smith.

— Nigdy — odparła Brygida — bądź pan zdrow, Henryku.

Podala mu rękę. Skłonił się, podniósł rękę do ust. Zaledwie miałem czas rzucić się w tył w ciemności; minął mnie, nie widząc, i wyszedł.

Zostawszy sam z Brygidą, uczulem w sercu bezgraniczny smutek. Czekala na mnie z płaszczem przewieszonym przez ramię; wzruszenie, jakie malowało się na jej twarzy, było zbyt jasne, aby się móc omylić. Znalazła klucz, którego szukała; sekretarzyk był otwarty. Usiadłem z powrotem koło kominka.

— Słuchaj — rzekłem — zawiniłem tyle wobec ciebie, iż trzeba mi czekać i cierpieć bez prawa do skargi. Zmiana, jaka zaszła w tobie, wtrąciła mnie w taką rozpacz, że nie mogłem się powściągnąć, aby nie spytać o przyczynę; dziś już nie pytam. Czy bardzo ci ciężko wyjechać? powiedz tylko; poddam się.

— Jedźmy! jedźmy! — odparła.

— Jak zechcesz; ale bądź szczerą. Jaki bądź cios mnie czeka, nie wolno mi nawet pytać, skąd pochodzi; poddam się bez szemrania. Ale jeśli mam cię stracić kiedyś, nie wracaj mi nadziei; Bóg widzi bowiem, nie przeżyłbym tego.

Zwróciła się ku mnie żywo.

— Mów mi — rzekła — o swojej miłości, nie mów o swoim cierpieniu.

— A więc, kocham cię nad własne życie! Wobec mojej miłości cierpienie moje jest tylko snem. Pójdź ze mną na koniec świata: albo umrę, albo będę żył przez ciebie!

Wymawiając te słowa, postąpiłem ku niej; zbladła i cofnęła się. Czyniła daremny wysiłek, aby skurczone wargi zmusić do uśmiechu; schylając się nad sekretarzykiem, rzekła:

— Chwilę, chwilę jeszcze; pragnę spalić nieco papierów.

Pokazała mi listy z N***, podarła je i rzuciła w ogień; inne przejrzała i ułożyła na stole. Były to rachunki ze sklepów, niektóre jeszcze niezapłacone. Przeglądając je, zaczęła nerwowo mówić z policzkami płonącymi jak w febrze. Przepraszała mnie za swoje uparte milczenie i za całe postępowanie od czasu przyjazdu. Objawiła mi więcej tkliwości, więcej zaufania niż kiedykolwiek. Klaskała w ręce, śmiejąc się i obiecywała sobie najmiłszą podróż; słowem, oddychała miłością lub co najmniej jej pozorem. Nie umiem powiedzieć, jaką mękę zadawała mi ta sztuczna radość; był w tej boleści, która kłamała samej sobie, smutek okropniejszy niż lzy i bardziej gorzki niż wymówki. Byłbym raczej wolał chłód i obojętność niż ten przymus; miałem uczucie, iż widzę parodię najszcześniejszych momentów. Były to te same słowa, ta sama kobieta, te same pieszczoty; i to, co dwa tygodnie wprzód upajało mnie miłością i szczęściem, powtórzony w ten sposób przejmowało mnie grozą.

— Brygido — rzekłem nagle — co ty za tajemnicę ukrywasz? Jeśli mnie kochasz, jaką okropną komedię grasz oto przede mną?

— Ja! — rzekła prawie z obrazą. — Skąd przypuszczenie, że gram komedię?

— Skąd? Przyznaj się, moja droga, że masz śmierć w duszy i że cierpisz męki. Oto moje ramiona gotowe cię przyjąć: wtul w nie głowę i płacz. Wówczas wezmę cię z sobą może; ale, zaiste, nie tak.

— Jedźmy! jedźmy! — powtórzyła jeszcze.

— Nie, na mą duszę! nie, nie teraz; nie, dopóki jest między nami kłamstwo lub maska. Wolę raczej nieszczęście niż tę wesołość.

Zmilkła, zmieszana tym, iż nie dałem się omamić jej słowom i że ją odgaduję mimo jej wysiłków.

— Po co się oszukiwać? — ciągnąłem — Czy tak nisko spadłem w twoim szacunku, że mogłabyś udawać przede mną? Czy uważasz się za skazaną na tę smutną i nieszczęsną podróż? Czy jestem tyranem, samowładcą? Katem, który cię wlecze na stracenie? Czegóż się lękasz z mej strony, aby się chwycić podobnych wykrętów? jakiż postrach każe ci tak kłamać?

— Mylisz cię — odparła — proszę cię, ani słowa więcej.

— Czemuż tedy taki brak szczerości? Jeśli nie jestem twoim powiernikiem, czyż nie możesz mnie bodaj uważać za przyjaciela? jeśli nie wolno mi znać źródła twoich łez, czyż nie mogę bodaj patrzeć, jak płyną? Czy nie ufasz mi nawet na tyle, aby wierzyć, iż uszanuję twą zgryzotę? Cóż uczyniłem, abyś się kryła przede mną? czy nie można by znaleźć lekarstwa?

— Nie — odparła — idziesz fałszywą drogą; wpędzisz w nieszczęście nas oboje, jeśli zechcesz nalegać dłużej. Czyż nie dosyć, że jedziemy?

— Jakże chcesz, abym jechał z tobą, skoro wystarczy na ciebie popatrzeć, aby wiedzieć, że ta podróż cię mierzi, że jedziesz z niechęcią, że już żałujesz tego? Co to jest, wielki Boże! co ty ukrywasz? Na co spierać się o słowa, kiedy myśl jest tak jasna jak to lustro? Czy nie byłbym ostatnim z ludzi, gdybym przyjął bez szemrania to, co ty mi dajesz z takim żalem? Jakże mi wszelako odmówić? co mogę zrobić, jeśli ty nie powiesz prawdy?

— Nie, nie jadę z niechęcią; mylisz się; kocham cię, Oktawie, przestań mnie dręczyć.

Rzekła to z taką słodyczą, iż rzuciłem się do jej kolan. Kto zdołałby się oprzeć jej spojrzeniu i boskiemu dźwiękowi głosu?

— Mój Boże! — wykrzyknąłem — kochasz mnie, Brygido? Kochanko moja najmiłsza, kochasz mnie?

— Tak, kocham cię; tak, jestem twoja; rób ze mną co zechcesz. Pójdę za tobą; jedźmy razem; chodź, Oktawie, czekają na nas. — Tuliła moją rękę w dłoniach i pocałowała mnie w czoło. — Tak trzeba — szepnęła — tak, chcę tego, aż do ostatniego tchnienia.

— *Trzeba?* — rzekłem sam do siebie. Wstałem.

Została na stole już tylko jedna ćwiartka papieru; Brygida przebiegła ją oczami, wzięła, obróciła, następnie upuściła na ziemię.

— Czy to wszystko? — spytałem.

— Tak, wszystko.

Zamawiając konie, nie czyniłem tego z myślą, abyśmy w istocie mieli jechać. Chciałem jedynie zrobić próbę, ale siłą rzeczy stała się ona rzeczywistością. Otwarłem drzwi.

— Trzeba! — mówiłem sobie — trzeba! — powtórzyłem głośno. — Co znaczy to słowo, Brygido? co się kryje w tym wszystkim? Wytlumacz się, inaczej zostaję. Dlaczego trzeba, abys mnie kochała?

Padła na kanapę, łamiąc ręce z bólu.

— Ach, nieszczęśliwy, nieszczęśliwy! — rzekła — ty nigdy nie będziesz umiał kochać!

— Więc tak, być może, tak, masz słuszność; ale, na imię Boga, umiem cierpieć. *Trzeba*, abys mnie kochała, nieprawdaż? a więc trzeba także odpowiedzieć, skoro pytam. Gdybym cię miał stracić na zawsze, gdyby te mury miały mi się zawalić na głowę, nie wyjdę stąd, póki się nie dowiem tajemnicy, która mnie dręczy od miesiąca. Powiesz wszystko albo odchodzę na zawsze. Być może jestem wariatem, opętańcem; może psuję sobie z umysłu życie; może pytam o to, czego powinien bym z umysłu nie widzieć; może to wyjaśnienie zniszczy na zawsze nasze szczęście i wzniesie odtąd między nami nieprzezwyciężoną zaporę; może uniemożliwi ten wyjazd, którego tak pragnąłem; ale co bądź by to mogło kosztować nas oboje, albo powiesz, albo wyrzekam się wszystkiego.

— Nie, nie, nie powiem!

— Powiesz! Czy może przypuszczasz, że ja dałem się omamić twoim kłamstwom? Kiedy z dnia na dzień stajesz się bardziej różną od siebie samej niż dzień od nocy, czy myślisz, że ja nie zdaję sobie z tego sprawy? Kiedy jako powód podajesz mi jakieś listy, ot, nie warte trudu czytania, czy wyobrażasz sobie, że ja się zadowolę pierwszą z brzegu baśnią, dlatego że nie masz ochoty szukać innej? Czy twoja twarz jest z kamienia, aby tak trudno było wyczytać na niej, co się dzieje w twoim sercu? Jakież ty masz o mnie rozumienie? Nie jestem tak łatwowierny, jak mniemasz: uważaj tedy, aby w braku słów milczenie twoje nie powiedziało mi tego, co ukrywasz tak uparcie.

— Co ukrywam?

— Co? ty mnie o to pytasz? Czy zadajesz mi to pytanie, aby mi urągać w żywe oczy? czy aby mnie przywieść do ostateczności i pozbyć się mnie? Tak, to pewna: nie wyzywaj mojej obrażonej dumy; aż nazbyt łatwo może wybuchnąć. Gdybym się wytłumaczył jasno, miałabyś na swoje usługi całą kobiecą obłudę; czekasz mego oskarżenia, aby mi odpowiedzieć, iż kobieta taka jak ty nie zniża się do usprawiedliwień. W jakież spojrzenia wzdargliwej dumy umięją się zawijać nawet najbardziej winne i najbardziej przewrotne! Twoją siłą jest milczenie; wiem o tym nie od dzisiaj. Chcesz wyciągnąć mnie na zniewagi; milczysz, aż do tego nie przyjdzie; nie, nie: walcz z moim sercem, znajdziesz je tam, gdzie bije twoje; ale nie próbuj walczyć z moją głową, twardsza jest niż żelazo i nie gorzej od ciebie zna się na tej szermierce!

— Biedny chłopcie! — szepnęła Brygida — nie chcesz tedy jechać?

— Nie! jadę tylko z moją kochanką, a ty nie jesteś nią teraz. Dostyc walczyłem, dostyc cierpiałem, dostyc sobie zżarłem serce! Czas, aby zrobił się dzień; dość długo błądziłem w nocy. Tak albo nie; chcesz odpowiadać?

— Nie.

— Jak ci się podoba; zaczekam.

Usiadłem w drugim kącie pokoju z niezłomnym postanowieniem nieruszania się z miejsca, póki nie dowiem się tego, co chcę. Brygida zdawała się zastanawiać, chodząc po pokoju wzdłuż i wszerz.

Biegłem za nią chciwym okiem, a jej wytrwale milczenie pomnażało stopniowo mój gniew. Nie chciałem, aby to spostrzegła; nie wiedziałem, co począć. Otwarłem okno:

— Niech wyprzęgną — krzyknąłem — i proszę zapłacić pocztyliona! nie jadę dziś wieczór.

— Biedny człowiek! — rzekła Brygida.

Zamknąłem spokojnie okno i usiadłem, udając, że nie słyszę; ale kipiałem wewnątrz taką wściekłością, że nie mogłem jej opanować. To zimne milczenie, ta bierna siła, doprowadzały mnie do szaleństwa. Gdybym w istocie miał niezbite dowody zdrady ukochanej kobiety, nie mógłbym gorzej cierpieć. Z chwilą gdy skazałem sam siebie na pozostanie w Paryżu, rzekłem sobie, iż za każdą cenę Brygida musi przemówić. Daremnie szukałem w głowie sposobu zmuszenia jej; ale, aby go znaleźć w tej chwili, byłbym oddał wszystko, com posiadał. Co począć? co rzec? Siedziała tuż spokojna, patrząc na mnie ze smutkiem. Usłyszałem, jak wyprzęgają konie; odeszły truchtem, hałas dzwonek zgubił się niebawem w ulicach. Wystarczyło mi odwrócić się, aby je przyzwać z powrotem, a mimo to miałem uczucie, iż odeszły nieodwołalnie. Zaryglowałem drzwi; jakiś tajemny głos szeptał mi do ucha: „Oto jesteś sam, oko w oko z istotą, która ma ci dać życie albo śmierć”.

Podczas gdy, gubiąc się w myślach, siłem się znaleźć sposób wiodący mnie do prawdy, przypomniałem sobie powieść Diderota³⁸, w której kobieta zazdrosna o kochanka wpada, dla rozjaśnienia swych podejrzeń, na dość osobliwy pomysł. Oświadcza mu, że go nie kocha i że go zamierza porzucić. Margrabia des Arcis (to nazwisko kochanka) daje się chwycić w pułapkę i wyznaje, że on sam również znużony jest tym związkiem. Ta dziwaczna scena, którą czytałem zbyt młodo, uderzyła mnie jako sprytna finta, a wspomnienie jej przypawało mi o uśmiech. „Kto wie? — pomyślałem — gdybym postąpił tak samo, Brygida złapałaby się może i zdradziłaby swą tajemnicę”.

Z wściekłego gniewu przeszedłem nagle w sferę chytrych i dyplomacji. Czyż tak trudno zmusić kobietę, by zechciała mówić? Ta kobieta jest mą kochanką; byłbym wielkim niedołęgą, gdybym tego nie uzyskał. Rzuciłem się na sofę ze swobodną i obojętną miną.

— I cóż, dziecko — rzekłem — nie jesteśmy tedy w humorku do zwierzeń?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Och, mój Boże, tak — ciągnąłem — trzebaż przecie, abyśmy wcześniej lub później doszli do wywnętrzeń. Ot, aby ci dać przykład, miałbym ochotę zacząć; to cię natchnie ufnością, a nie masz nic lepszego jak szczerść między przyjaciółmi.

Tak mówiłem, ale twarz moja niewątpliwie zdradzała mnie; Brygida zdawała się nie rozumieć i przechadzała się dalej.

— Czy wiesz — rzekłem — że ostatecznie żyjemy z sobą już pół roku? Życie, jakie pędzimy, nie jest w istocie zbyt uciężne. Jesteś młoda, ja także; gdyby się zdarzyło, że owo sam na sam przestałoby dla ciebie mieć urok, czy miałabyś odwagę to wyznać? Co do mnie, gdyby tak było, powiedziałbym ci szczerze. Czemu nie? czyż to zbrodnia kochać? nie może tedy być zbrodnią kochać mniej albo nie kochać wcale. Cóż byłoby dziwnego, gdybyśmy w naszym wieku uczuli potrzebę odmiany?

Zatrzymała się.

— W naszym wieku! — rzekła. — Do mnie się z tym zwracasz? Cóż ty za komedię odgrywasz?

Krew wystąpiła mi na twarz. Chwyciłem Brygidę za rękę.

— Usiądź — rzekłem — i słuchaj mnie.

— Po co? To nie ty mówisz.

Zawstydziłem się własnej sztuczki i poniechałem jej.

— Słuchaj! — powtórzyłem z siłą — błagam cię, usiądź tu przy mnie. Jeśli sama chcesz milczeć, bądź przynajmniej łaskawa mnie wysłuchać.

— Słucham; co masz mi do powiedzenia?

— Gdyby mi kto rzekł dzisiaj: „Jesteś tchórz!” mam dwadzieścia dwa lata i już się pojedykowałem; całe moje jestestwo, serce moje, wzburzyłyby się na to. Czyżbym nie miał w sobie świadomości tego, czym jestem? Trzeba byłoby wszelako stawać na placu oko w oko z pierwszym lepszym trutniem, trzeba by grać w orla i reszkę o moje i jego życie; dlaczego? aby dowieść, że nie jestem tchórzem; w przeciwnym razie świat by w to uwierzył. Samo to słowo wymaga tej odpowiedzi za każdym razem, kiedy padnie, bez względu z czyich ust.

— To prawda; ale dokąd zmierzasz?

Tchórzostwo, Odwaga,
Honor, Kobieta,
Męczyzna, Pojedynek,
Milczenie

³⁸powieść Diderota — *Kubuś fatalista i jego pan*. [przypis tłumacza]

— Kobiety się nie biją; ale taki jest porządek społeczeństwa, że nie istnieje jednostka, bez względu na płeć, która by w pewnych momentach życia — choćby to życie było uregulowane jak zegarek, trwale jak żelazo — nie musiała odczuć, iż wszystko jest zagrożone. Zastanów się; czy widzisz kogo, kto by się zdołał umknąć temu prawu? parę osób może; ale widzisz, co stąd wynika: jeśli to mężczyzna, hańba; jeśli kobieta, co? zapomnienie. Wszelka istota, która żyje prawdziwym życiem, musi tym samym dać dowód, że żyje. Zachodzi tedy dla kobiety jak i dla mężczyzny okoliczność, w której istność jej jest zagrożona. Jeśli kobieta jest dzielna, wstaje, odpowiada na apel i siada z powrotem. Pchnięcie szpady nie stanowi dla niej żadnego dowodu. Nie tylko musi się bronić, ale musi sama sobie ukuć broń. Podejrzewają ją; kto? ktoś obojętny? może i powinna tym wzgardzić. Kochanek i ona kocha tego kochanka? jeśli go kocha, chodzi tu o jej życie, nie może tego zlekceważyć.

— Jej jedyną odpowiedzią jest milczenie.

— Mylisz się; kochanek, który ją podejrzewa, obraża tym samym całe jej życie; co ręczy za nią, nieprawdaż? jedynie jej łzy, jej ubiegłe prowadzenie, jej oddanie i powolność. Co się stanie, jeżeli będzie milczeć? to iż kochanek straci ją z własnej winy i że czas odda jej sprawiedliwość. Czy nie to myślałaś?

— Być może; milczenie przede wszystkim.

— Być może, mówisz? to pewna, iż cię stracę, jeżeli nie zechcesz odpowiadać; postanowienie moje jest niezłomne; jadę sam.

— Zatem, Oktawie...

— Zatem — wykrzyknąłem — czas odda ci sprawiedliwość? Dokończ; na to przynajmniej odpowiedz tak czy nie.

— Tak, mam nadzieję.

— Masz nadzieję! proszę, rozmów się szczerze sama z sobą. Ostatni to raz bez wątplenia będziesz miała po temu sposobność wobec mnie. Mówisz, że mnie kochasz, wierzę ci. Otóż, podejrzewam cię; czy twoim zamiarem jest, abym odjechał i aby czas oddał ci sprawiedliwość?

— I o cóż mnie podejrzewasz?

— Nie chciałem ci tego mówić, widzę bowiem, że to bezcelowe. Ale, ostatecznie, ma się skończyć tak czy inaczej, niech się spełni. Okłamujesz mnie; kochasz innego; oto nasza tajemnica.

— Kogóż? — spytała.

— Smitha.

Położyła mi rękę na ustach; odwróciła się. Nie mogłem rzec nic więcej; trwaliśmy oboje w zadumie, z oczyma utkwionymi w ziemię.

— Słuchaj mnie — rzekła Brygida z wysiłkiem. — Wiele wycierpiałam i biorę niebo za świadka, że dałabym życie za ciebie. Dopóki mi zostanie w świecie najslabszy błysk nadziei, gotowa jestem cierpieć jeszcze; ale gdybym nawet miała na nowo obudzić twój gniew, mówiąc ci, że jestem kobietą, jestem nią wszelako, Oktawie. Nie trzeba iść dalej niż siły ludzkie starczą. Nie odpowiem nigdy na to pytanie. Wszystko co mogę w tej chwili, to klęknąć ostatni raz przed tobą i błagać jeszcze raz, abyśmy jechali.

Pochyliła się przy tych słowach. Wstałem.

— O szalony — rzekłem z goryczą — szalony zaiste ten, kto raz w życiu chce wydobyć prawdę z kobiety! Spotka się jedynie ze wzgardą i zasłużył na nią w istocie! Prawda! zna ją ten, kto przekupuje pokojówki lub czai się u wezglowia kobiet wówczas, gdy mówią we śnie; zna ją ten, kto sam się stanie kobietą i którego własna nikczemność wtajemniczy we wszystko, co się porusza w mroku! Ale człowiek, który pyta szczerze, który prostodusznie wyciąga dłoń, aby otrzymać tę złowrogą jałmużnę, nie otrzyma jej nigdy! Przed tym kobieta ma się na baczności; za całą odpowiedź wrusza ramionami; o ile zaś mężczyźnie braknie cierpliwości, prostuje się w swojej cnocie niby obrażona westalka i rzuca z wysokości swych ust to wielkie kobiece słowo, iż posądzenie zabija miłość i że niepodobna przebaczyć tego, na co się nie może odpowiedzieć. Och, dobry Boże! jakież to męczące! kiedyż się to wszystko skończy?

— Kiedy zechcesz — odparła lodowatym tonem — jestem równie zmęczona jak ty.

— Natychmiast zatem; opuszczam cię na zawsze i niechaj czas odda ci sprawiedliwość! Czas! czas! o kobieto z lodu! zapamiętaj sobie to pożegnanie. Czas! a twoja piękność,

Prawda, Słowo, Kobieta,
Mężczyzna

Miłość, Zazdrość,
Kochanek, Kobieta, Czas

twoja miłość, a szczęście, gdzie będą wówczas? Bez żalu tedy tracisz mnie w ten sposób? Och! bez wątpienia w dniu, w którym zazdrosny kochanek pozna, że był niesprawiedliwy, w dniu, w którym ujrzy dowody, zrozumie, jakie serce zranił, nieprawdaż? obleje łzami swój wstyd; straci sen i spokój, będzie żył jedynie wspomnianiem, iż mógł być niegdyś szczęśliwy. Ale w tym samym dniu dumna kochanka zblednie może z żalu, patrząc na swą pomstę; pomyśli: „Gdybym to była uczyniła wcześniej!”. I wierzaj mi, jeśli kochała, duma jej nie pocieszy.

Siliłem się, aby mówić spokojnie, ale nie byłem już panem siebie: teraz ja biegałem gorączkowo po pokoju. Są spojrzenia, które są niby pchnięcia szpady, ścierają się jak stal; takie spojrzenia zamieniliśmy z Brygidą w tej chwili. Patrzałem na nią tak, jak więzień patrzy na bramę więzienia. Aby skruszyć pieczęć na jej ustach i zmusić ją, by przemówiła, byłbym postawił na kartę jej i swoje życie.

— Dokąd ty zmierzasz? — spytała — co mam ci powiedzieć?

— To co masz w sercu! Czy nie jest okrucieństwem kazać mi to powtarzać w ten sposób?

— A ty, a ty — wykrzyknęła — czy nie jesteś stokroć bardziej okrutny? Ha! szalony, powiadasz, kto chce dowiedzieć się prawdy! Szalona, mogę ja znów powiedzieć, kobieta, która może przypuszczać, że jej uwierzą! Chcesz wiedzieć moją tajemnicę, a moja tajemnica to to, że cię kocham. Ja szalona! ty szukasz innej prawdy. Tę bladość, która jest twoim dziełem, ty oskarżasz, bierzesz na śledztwo. Szalona! chciałam cierpieć w milczeniu, chciałam uczynić ci ofiarę z mej rezygnacji, chciałam ukryć przed tobą moje łzy: ty je szpiegujesz niby świadków zbrodni. Szalona! chciałam przebyć morza, wyrwać się wraz z tobą z Francji, zagrzebać się z dala od wszystkich, którzy mnie kochali, na tym sercu, które wątpi o mnie. Szalona! sądziłam, że prawda ma spojrzenie, akcent, które się poznaje, które się szanuje! Och! kiedy o tym myślę, łzy mnie dławią. Po co, jeśli miało się skończyć na tym, pociągać mnie do kroku, który niweczy na zawsze mój spokój? Głowa mi się mąci, nie wiem, co się ze mną dzieje!

Pochyliła się nade mną płacząc. „Szalona! szalona!” powtarzała rozdzierającym głosem.

— I co to jest? — ciągnęła — dokąd to będzie trwało? Co mogę powiedzieć na te wciąż odradzające się, coraz to inne podejrzenia? Trzeba mi, powiadasz, usprawiedliwić się! Z czego? z tego że jadę, że kocham, że umieram, że jestem w rozpacz? a jeśli udaję przymuszoną wesołość, ta wesołość nawet jest ci zbrodnią. Poświęcam wszystko, aby jechać z tobą, a ty jeszcze nie zrobisz mili, a już będziesz oglądał się wstecz. Wszędzie, zawsze, co bądź bym uczyniła, obelga, gniew! Ach, dziecko drogie, gdybyś wiedział, co to za śmiertelny chłód, co za cierpienie widzieć, iż najszczęśliwszy głos serca spotyka się z wątpieniem i szyderstwem! Pozbawiasz się jedyne szczęścia, jakie istnieje: kochać z ufnością. Zabijesz w każdym kochającym sercu wszelkie podniosłe i delikatne uczucie; dojdiesz do tego, iż będziesz wierzył jedynie w to, co najgrubsze; zostanie ci z miłości to, co widzialne i dotykalne. Jesteś młody, Oktawie, czeka cię jeszcze długie życie; znajdziesz jeszcze inne kochanki. Tak, dobrze mówisz, duma to bardzo niewiele i nie ona to mnie pocieszy; ale dałby Bóg, aby twoja łza zapłaciła mi kiedyś łzy, które wyciskasz mi w tej chwili!

Wstała.

— Mamż powiedzieć tedy? trzebaż, abys wiedział, iż od pół roku ani razu nie zasnęłam wieczór, bym sobie nie powtarzała, że wszystko jest bezcelowe i że nie wyleczysz się nigdy; abym wstając rano, nie powiedziała sobie, że trzeba próbować; że nie rzekłes ani jednego słowa, po którym bym nie czuła, że mam powinna cię opuścić; nie dałes jednej pieszczoty, bym nie czuła, że wolałabym raczej umrzeć; iż dzień po dniu, minuta po minucie, wciąż między obawą a nadzieją, po tysiąc razy siliłam się pokonać albo moją miłość albo moją rozpacz; że ilekroć otwierałam ci moje serce, rzucałes drwiące spojrzenie aż do samych trzewi, skoro je zaś zamknęłam, zdawało mi się, iż mam w nim skarb, który ty jeden mógłbyś zużyć? Mamż opowiadać wszystkie te słabości i tajemnice tak dziecinne w oczach tych, którzy ich nie szanują? mamż mówić, że kiedy ty mnie opuszczałes w gniewie, ja zamykałam się, aby odczytywać twoje pierwsze listy; że jest pewien ukochany walc, którego nigdy nie grałam na próżno, kiedy nazbyt żywo odczuwałam tęsknotę za chwilą twego przybycia? Och! ja nieszczęśliwa! jakże drogo będą cię kosztowały wszystkie te

Miłość, Zazdrość, Prawda,
Szpieg, Kochanek, Kobieta,
Męczyzna

nieznane łzy, wszystkie te szaleństwa tak drogie słabym istotom! Płacz teraz; nawet ta męka, nawet ta boleść nie zdała się na nic.

Chciałem przerwać.

— Zostaw, zostaw — rzekła — trzebaż, abym raz wreszcie powiedziała ci wszystko. Powiedz, dlaczego wątpisz o mnie? Od pół roku myślą, ciałem, duszą należałam tylko do ciebie. O co śmiesz mnie podejrzewać? Chcesz jechać do Szwajcarii? jestem gotowa, widzisz. Sądzisz, że masz rywala? Napisz doń list, który ja podpiszę, sam oddasz go na pocztę. Co robimy, dokąd jedziemy? postanówmy coś. Czy nie jesteśmy zawsze razem? Czemu mnie tedy opuszczasz? nie mogę być równocześnie blisko i daleko ciebie. Trzeba, powiadasz, móc zawierzyć kochance, to prawda. Albo miłość jest dobrem, albo złem; jeśli dobrem, trzeba w nią wierzyć; jeśli złem, trzeba się z niej wyleczyć. Wszystko to, widzisz, to niby jakaś gra; ale stawką są w niej nasze serca, nasze życie i to jest straszne! Chcesz umrzeć? gotowam. Czymże jestem tedy, abyś wątpił o mnie?

Zatrzymała się przed lustrem.

— Czym jestem? — powtarzała — czym jestem tedy? Zastanów się: spójrz na moją twarz.

— Wątpią o tobie! — wykrzyknęła, zwracając się do własnego obrazu — biedna blada głowo, podejrzewają ciebie! biedne wychudłe policzki, biedne zmęczone oczy, wątpią o was i o waszych łzach! Więc dobrze, skończcie cierpieć; niechaj te pocałunki, które was wysuszyły, zamkną wam powieki! Zstąp w tę wilgotną ziemię, biedne wątłe ciało, które zaledwie trzymasz się o własnej sile! Kiedy się tam znajdziesz, uwierzą temu może, o ile zwątpienie wierzy w śmierć. O, smętne widmo! nad jakim wybrzeżem chcesz tedy błądzić i jęczeć? jakież ogień cię pożera? Robisz plany podróży, ty, co jedną nogą stoisz w grobie! Umieraj! Bóg ci świadkiem, że chciałeś kochać! Ha! jakież bogactwa, jakież potęgi miłości zbudzono w twym sercu! Ha! jakież marzenia pozwolono ci śnić i jakimiż truciznami je zabito! Jakąż zbrodnię popełniłeś, iżby cię w ciebie sączono tę palącą gorączkę, która cię zżera? Jakież szal porusza tym szaleńcem, który cię nogą popycha do trumny, podczas gdy usta jego mówią ci o miłości? Co się z tobą stanie, jeśli będziesz żyć jeszcze? Czy nie czas? Czy już nie dosyć tego? Jakież dasz dowód swej boleści, iżby ci uwierzono, skoro tobie, tobie samej, biedny żywy dowodzie, biedny świadku, nie chcą wierzyć? Jakież torturze chcesz się poddać, której byś już nie zużyła? Przez jakie męki, jakie poświęcenia uśmierzysz tę chciwą, nienasyconą miłość? Będziesz jedynie przedmiotem pośmiewiska; na próżno będziesz szukała pustej ulicy, gdzie by przechodnie nie wytykali cię palcem. Stracisz wszelki wstyd, nawet pozór tej ułomnej cnoty, która ci była tak drogą; a człowiek, dla którego się tak poniżysz, pierwszy cię za to ukarze. Poczyta ci za złe to, że żyjesz dla niego jednego, że rzuciłeś światu rękawicę dla niego; podczas gdy twój własny przyjaciele będą szemrali koło ciebie, on będzie śledził w ich spojrzaniach, czy nie ujrzy za wiele współczucia; będzie cię oskarżał, że go oszukujesz, skoro jakaś ręka uściśnie twoją i skoro w pustyni swego życia znajdziesz przypadkiem kogoś, kto mimochodem użali się ciebie. O Boże! czy przypominasz sobie ów letni dzień, w którym włożono na twoją głowę wianuszek z białych róż? Czy to, to czoło go nosiło? Ha! ta ręka, która zawiesiła go na murach modlitewni, nie rozsypała się w proch jak ów wieniec! O moja cicha dolino! o moja stara ciotko, która śpisz teraz w pokoju! o moje lipy, o moja biała kózko, moi zacni wieśniacy, którzyście mnie tak kochali! czy pamiętacie, żeście mnie widzieli szczęśliwą, dumną, spokojną i otoczoną szacunkiem? Któż tedy pchnął na mą drogę tego obcego człowieka, który chce mnie z niej ściągnąć? kto mu dał prawo przechodzić ścieżką mojej wioski? Ha! nieszczęśliwa! dlaczegoś odwróciłaś się pierwszego dnia, kiedy szedł za tobą? dlaczegoś go przyjęła jak brata? dlaczego otwarłaś drzwi i podałaś mu rękę? Oktawie, Oktawie, dlaczego mnie pokochałeś, skoro wszystko miało się tak skończyć!

Była bliską omdlenia; doniosłem ją do fotelu, gdzie osunęła się głową na moje ramię. Straszliwy wysilek, o jaki przyprawił ją ten wybuch goryczy, złamał ją. W miejsce obrażonej kochanki, znalazłem nagle jedynie skarżące się i cierpiące dziecko. Przymknęła oczy; okoliłem ją ramionami i trwała tak bez ruchu.

Skoro odzyskała przytomność, żaliła się na wielkie osłabienie i prosiła tklwym głosem, abym jej pozwolił się położyć. Zaledwie mogła iść; zaniósłem ją do alkowy i ułożyłem ostrożnie na łóżku. Nie zdradzała żadnych objawów cierpienia; wypoczywała po swej boleści jak po utrudzeniu i zdawała się nie pamiętać jej. Słaba i delikatna jej natura

Zazdrość, Miłość, Wiara,
Upadek, Kobieta,
Męczyzna, Śmierć, Miłość
romantyczna, Lustro

ustępowała bez walki; jak sama powiedziała, poszedłem dalej niż jej siły. Trzymała moją rękę w dłoniach; uściskałem ją i wargi nasze, jeszcze kochające, spoily się jakby bez naszej wiedzy, i tuż po tak okrutnej scenie usnęła na mym sercu, uśmiechając się jak pierwszego dnia.

ROZDZIAŁ VI

Brygida spała. Niemy, bez ruchu siedziałem u jej wezglowia. Jak rolnik po burzy liczy kłosa na spustoszonej polu, tak ja zaczynałem zstępować w samego siebie i badać klęskę, jaką sprawilem.

Zaledwie ogarnąłem ją myślą, zrozumiałem, że jest nie do naprawienia. Pewne cierpienia przez sam swój nadmiar, ostrzegają nas o swoim kresie; im więcej doznawałem wstydu i wyrzutów, tym bardziej czułem, iż po takiej scenie pozostało nam jedynie pożegnać się. Jaką bądź byłyby wytrwałość Brygidy, wypila aż do fuzu gorzki kielich swej smutnej miłości: jeśli nie chciałem oglądać jej zgonu, trzeba było dać jej odpocząć. Często zdarzało się, iż czyniła mi okrutne wymówki, może nawet wkładała w nie więcej gniewu niż tym razem; ale tym razem to, co rzekła, to nie były już czcze słowa podyktowane obrażoną dumą; to była prawda, która zdławiona w głębi serca złamała je, aby się wydobyć. Okoliczność, w jakiej się to stało, fakt, iż odmówiłem jechania z nią, udaremniały zresztą wszelką nadzieję: gdyby nawet chciała przebaczyć, byłoby to ponad jej siły. Ten sen nawet, ta chwilowa śmierć istoty niezdolnej już cierpieć, dostatecznie o tym świadczył; to nagłe milczenie, ta słodycz, jaką objawiła przy tak smutnym powrocie do życia, ta blada twarz, nawet sam ten pocałunek, wszystko mówiło mi, że to już koniec i że skruszyłem na zawsze wszystkie więzy między nami. Tak samo jak spała teraz, jasnym było, iż za pierwszym cierpieniem, jakie jej zadam, usnie snem wiecznym. Zegar wydzwonił godzinę; uczułem, że ta godzina uniosła z sobą i moje życie.

Nie chcąc wołać nikogo, zapaliłem lampę; patrzyłem na ten wątły blask, a myśli moje zdawały się bujać w cieniu jak jego chwiejne promienie.

Co bądź mogłem mówić lub czynić, nigdy myśl o stracie Brygidy nie nastęczyła mi się jeszcze. Po sto razy chciałem się z nią rozstać; ale któż z tych, którzy kochali, nie zna tego uczucia? było to jedynie pod wpływem rozpaczki lub gniewu. Dopóki wiedziałem, że ona mnie kocha, byłem pewien, że kocham ją także; nieubłagana konieczność wyrosła między nami po raz pierwszy. Odczuwałem jakąś tępą apatię, w której nie umiałem jasno nic rozróżnić. Siedziałem pochylony blisko łóżka; mimo że od pierwszej chwili widziałem całą doniosłość nieszczęścia, nie doznawałem cierpienia. Umysł mój rozumiał; dusza, słaba i wylękniona, siliła się nic nie widzieć. „Tak — mówiłem sobie — to pewne; chciałem tego i zrobiłem; nie ma najmniejszej wątpliwości, że nie możemy żyć razem; nie chcę być przyczyną śmierci tej kobiety, nie pozostaje mi tedy nic, jak ją opuścić. Stało się, wyjadę jutro”. Tak mówiąc do siebie, nie myślałem ani o swoich winach, ani przeszłości, ani o przyszłości; nie pamiętałem w tej chwili ani o Smicie, ani w ogóle o niczym; nie byłbym umiał powiedzieć, ani co mnie tu sprowadziło, ani co robiłem od godziny. Wodziłem oczyma po ścianach pokoju i sądzę, że jedyną rzeczą, jaka mnie zajmowała, to było rozważanie, jakim dyliżansem wyjadę następnego dnia.

Przetrwiałem dość długo w stanie tego dziwnego spokoju. Tak człowiek ugodzony sztyletem czuje zrazu jedynie chłód żelaza; idzie jeszcze kilka kroków przed siebie i zdumiony, z błędnymi oczyma, pyta, co mu się przytrafiło. Ale pomału krew zbiera kropla po kropli, rana otwiera się i daje jej upust, ziemia barwi się ciemną purpurą, nadchodzi śmierć; za jej zbliżeniem człowiek drży od grozy i pada jak rażony piorunem. Tak ja, spokojny na pozór słuchałem, jak nadchodzi nieszczęście; powtarzałem sobie szeptem to, co mi rzekła Brygida, i ustawałem z przyzwyczajenia drobiazgi, którymi wiedziałem, iż otacza się na noc; następnie patrzyłem na nią, szedłem do okna i trwałem tak z czołem przylepionym do szyby w obliczu ciemnego i ciężkiego firmamentu; po czym zbliżałem się znów do łóżka. Jechać jutro, to była moja jedyna myśl; stopniowo to słowo *jechać* stawało mi się zrozumiałe:

— Ach, Boże! — wykrzyknąłem nagle — najmilsza moja, tracę cię i nie umiałem cię kochać.

Zadrzałem na te słowa, jak gdyby je wymówił kto inny, nie ja; rozległy się w całym mym jestestwie niby w napiętej harfie uderzenie wichru, które ma ją zerwać. W tej jednej chwili, serce moje ścisnęło się dwoma latami męki; po czym jako ich następstwo i ich ostatni wyraz stanęła mi przed oczyma terażniejszość. W jaki sposób oddać podobną boleść? Jednym słowem może dla tych, którzy kochali. Ująłem rękę Brygidy, ona zaś, marząc zapewne we śnie, wymówiła moje imię.

Wstałem i zacząłem chodzić po pokoju: strumień łez puścił mi się z ocz. Wyciągnąłem ramiona, jak gdyby chcąc pochwycić całą tę przeszłość, która mi się wymykała.

— Czy to możliwe? — powtarzałem — jak to! tracę cię? mogę kochać jedynie ciebie. Jak to! odchodzisz? skończone na zawsze? Jak to! ty, moje życie, moja ubóstwiana kochanka, uciekasz ode mnie, już cię nie ujrzę? Nigdy, nigdy! — mówiłem głośno.

Zwracałem się do uspiętej Brygidy, jak gdyby mogła mnie słyszeć:

— Nigdy, nigdy, nie spodziewaj się tego; nigdy się nie zgodzę! I o co chodzi? po co tyle dumy? Czy nie ma już żadnego sposobu naprawienia zniewagi? proszę cię, pomóż mi, zastanówmy się razem. Czy nie przebaczyłaś mi tysiąc razy? Ale ty mnie kochasz, nie będziesz mogła odejść, zabraknie ci odwagi. Cóż chcesz, abyśmy uczynili potem?

Straszliwe, przerażające szaleństwo owładnęło mną nagle: chodziłem tam i z powrotem, wyrzucając bezładne słowa, szukając wkoło siebie jakiegoś morderczego narzędzia. Padłem wreszcie na kolana, bijąc głową o łóżko. Brygida drgnęła; opanowałem się natychmiast.

— Obudzę ją! — szepnąłem drżąc na całym ciele. — Co ty robisz, biedny szaleńcze? Pozwól jej spać do rana; jeszcze jedną noc możesz na nią patrzeć.

Usiadłem z powrotem; w panicznym lęku, aby się Brygida nie obudziła, zaledwie ważyłem się oddychać. Można by rzec, iż serce zastygło we mnie równocześnie z łzami. Czulem w ciele przejmujący chłód; drżałem cały; aby się zmusić do milczenia, powtarzałem sobie: „Patrz na nią, patrz na nią, wolno ci jeszcze”.

Wreszcie zdołałem się uspokoić; łzy spływające po moich licach stały się mniej gorzkie. Po wściekłości następowało rozczulenie. Miałem wrażenie, jakby jakiś żaloszny krzyk rozdzierał powietrze; pochyliłem się nad wezglowiem i zacząłem się przyglądać Brygidzie, jak gdyby po raz ostatni mój dobry anioł szepnął mi, abym wyrzył w mej duszy obraz jej drogich rysów!

Jakaż była błada! Długie powieki otoczone sinawym kręgiem błyszcząły jeszcze wilgotne od łez; kibić jej, niegdyś tak lekka, ugiwała się niby pod ciężarem; wychudły i odbarwiony policzek spoczywał na wiotkiej dłoni; czoło zdawało się nosić ślad owego diademu ze skrzwawionych cierni, w jaki stroi się rezygnacja. Przypomniałem sobie chatę. Jakaż była młoda pół roku temu! jak wesola, swobodna, niefrasobliwa! Cóż zrobiłem z tym wszystkim? Zdawało mi się, że nieznamy głos powtarza mi starą romancę, którą od dawna zapomniałem:

*Altra volta gieri biele,
Blanch' e rossa com' un' fiore;
Ma ora nô. Non son piu biele,
Consumatis dal' amore³⁹.*

Była to dawna romanca mej pierwszej kochanki: ta melancholijna gwara po raz pierwszy zdawała mi się jasna. Powtarzałem ją, jak gdybym aż dotąd przechował ją tylko w pamięci, nie rozumiejąc. Dlaczego się jej nauczyłem i czemu przypominałem ją sobie? Tak, oto mój zwiędły kwiat, bliski śmierci, zwarzony przez miłość!

— Patrz na nią — mówiłem sobie, szlochając — patrz na nią! Myśl o tych, którzy się skarżą, że kochanki ich nie kochają; twoja cię kocha, należała do ciebie i tracisz ją, i nie umiałeś jej kochać.

Ale ból był zbyt silny; wstałem i znów zacząłem chodzić.

— Tak — ciągnąłem — patrz na nią; pomyśl o tych, których żre nuda i którzy idą kędyś daleko wlec boleść niepodzielaną przez nikogo. Męki, które cierpisz, odbijały się

Miłość, Miłość
romantyczna, Rozstanie,
Sen, Kobieta, Męczyzna,
Choroba

Miłość, Samotność, Nuda,
Miłość romantyczna

³⁹*Altra volta (...) amore* — Niegdyś bylam piękna, biała i różowa jak kwiat, dziś już nie. Nie jestem już piękna, strawiła mnie miłość. [przypis edytorski]

w drugim sercu, nic w tobie nie było samotne. Pomyśl o tych, którzy żyją bez matki, bez rodziny, bez psa, bez przyjaciół; o tych, którzy szukają i nie znajdują; o tych, którzy płaczą i spotykają się z szyderstwem; którzy kochają i spotykają się ze wzgardą; którzy umierają i toną w niepamięci. Przed tobą tu, w tej alkowie spoczywa istota, którą natura może stworzyła dla ciebie. Od najgórniejszych sfer inteligencji aż do najbardziej nieprzeniknionych tajemnic materii i formy dusza ta i to ciało są ci rodzeństwem; od pół roku usta twoje nie przemówiły, serce twoje nie zabiło ani razu, aby nie odpowiedziało ci słowo, uderzenie serca; i ta kobieta, którą Bóg ci zesłał niby rosę dla ziela, ześlizgnęła się jeno po twym sercu. Ta istota, która w obliczu nieba przyszła z otwartymi ramionami, aby ci oddać życie swoje i duszę, rozwieje się jak cień i nie zostanie z niej nawet ślad rzeczywistości. Podczas gdy twoje wargi dotykały jej warg, podczas gdy twoje ramiona okalały jej szyję, podczas gdy aniołowie wiekuistej miłości oplatali was jako jedną istotę więzami krwi i rozkoszy, byliście dalej od siebie niż dwaj wygnańcy na dwóch krańcach ziemi, rozdzieleni całym światem. Patrz na nią, a zwłaszcza zachowaj ciszę. Możesz jeszcze przez całą noc ją oglądać, jeśli twoje szlochania jej nie obudzą.

Stopniowo głowa moja rozpalala się; coraz bardziej posępne myśli poruszały mnie i przerażały; nieprzewyciężona potęga wciągała mnie w głąb samego siebie.

Czynić zło! taką więc rolę nazaczyła mi Opatrzność! Ja, czynić zło! ja, któremu sumienie własne nawet w pełni mych szaleństw powiadało wszelako, że jestem dobry! ja, którego bezlitosny los włócił bez przerwy coraz głębiej w przepaść i któremu równocześnie jakaś tajemna groza ukazywała bez przerwy głębie tej przepaści! ja, który zawsze, mimo wszystko, choćbym nawet popełnił zbrodnie i przelał krew tymi oto rękoma, powtarzałbym sobie, że serce moje nie jest winne, że się omyliłem, że to nie ja działałem w ten sposób, ale mój los, mój zły duch, jakaś nieznana mi istota, która mieszka we mnie, ale która się tam nie urodziła! ja, czynić zło! Od pół roku pełniłem to zadanie: ani dzień nie minął, bym nie pracował nad tym bezbożnym dziełem, a w tej właśnie chwili miałem dowód przed oczami. Człowiekiem, który kochał Brygidę, który ją obraził, potem obsypał zniewagami, potem opuścił, porzucił, aby ją wziąć na nowo pełną lęku, zniekaną podejrzeniami, który ją wreszcie rzucił na to łóżko bóleści, człowiekiem tym byłem ja! Uderzałem się w serce i patrząc na nią, nie mogłem w to uwierzyć. Wpatrywałem się w Brygidę; dotykałem jej, jakby dla upewnienia się, że nie śnię. Moja biedna twarz, którą widziałem w lustrze, spoglądała na mnie ze zdumieniem. Któż to więc był, owa istota, która objawiała mi się pod mymi rysami? Kto to był ów człowiek bez litości, który bluźnił mymi ustami i dręczył mymi rękami? Czyż to jego matka moja nazywała Oktawem? czy to jego niegdyś, w piętnastu latach, wśród lasów i łąk, widywałem w przejrzystych źródłach, nad którymi się pochylałem z sercem czystym jak kryształ ich wód?

Zamknąłem oczy i myślałem o dniach mego dzieciństwa. Jak promień słońca, który przesywa chmurę, tysiące wspomnień przenikało mi serce.

— Nie — powtarzałem sobie — ja tego nie zrobiłem. Wszystko, co mnie otacza w tym pokoju, jest tylko niemożliwym snem.

Przypominałem sobie czas nieświadomości, w którym czułem, jak serce moje otwiera się pierwszym wrażeniom życia. Wspominałem starego żebraka, który siadał na kamiennej ławce przed bramą dworku i któremu posyłano niekiedy przeze mnie resztki naszego śniadania. Widziałem go, jak wątły i zgięty wyciąga pomarszczone ręce, błogosławiąc mnie z uśmiechem. Czułem ranny wietrzyk ślizgający się po mych skroniach, jakąś świeżość niby rosy opadającej z nieba na mą duszę. Potem nagle otwierałem oczy i przy blasku lampy odnajdywałem przed sobą rzeczywistość.

— I ty się nie czujesz winnym? — pytałem się ze zgrozą. — Dlatego że płaczesz, uważasz, że jesteś oczyszczony? to co bierzesz za dowód swego sumienia, to może tylko wyrzuty; a któryż morderca ich nie doświadcza? Jeżeli twoja cnota krzyczy i cierpi, skąd wiesz, iż to nie jest oznaką, że umiera? O nędzny! te odległe głosy, które słyszysz jęczące w swoim sercu, ty sądzisz, że to szlochania; to może tylko krzyk mewy, złowrogięgo ptaka burz, wabionego bliskim rozbiciem. Kto ci kiedy opowiedział dzieciństwo tych, którzy umierają okryci krwią? Także byli dobrzy swego czasu; także przykładają sobie rękę do czoła, aby to sobie przypomnieć niekiedy. Robisz źle i kajasz się? Tak samo czynił Neron, zabijesz matkę. Któż ci powiedział, że lzy zmywają wszystko?

A gdyby nawet tak było, gdyby było prawdą, że cząstka twej duszy nie stanie się nigdy

Zło, Cierpienie, Miłość,
Kochanek, Okrucieństwo,
Lustro, Sen

Dzieciństwo, Żebrak,
Wspomnienia

Łzy, Wina

Cnota, Zło, Konflikt
wewnętrzny

pastwą zła, co zrobisz z drugą, która będzie jego własnością? Zmacasz lewą ręką rany, które zada twoja prawa ręka; uczynisz ze swej cnoty całun, w którym pochowasz swoje zbrodnie; będziesz kaleczył i jak Brutus wyrzujesz na swym mieczu bajania Platona! Istocie, która otworzy ci ramiona, utopisz w sercu tę broń napuszczoną i już zdjętą żalem; zawiedziesz na cmentarz resztki swoich uczuć i będziesz oskubywał na ich grobie jałowy kwiatek litości; powiesz tym, którzy cię ujrzą: „Co chcecie? nauczono mnie zabijać: otóż, zważcie, że ja płacę i że Bóg uczynił mnie lepszym”. Wspomnisz o swej młodości, w mówisz w samego siebie, że niebo powinno ci przebaczyć, że nieszczęścia twoje są mimowolne; będziesz zabijał tyradami swoje bezsenne noce, iżby ci zostały nieco spokoju.

Ale kto wie? Jesteś jeszcze młody. Im bardziej zawierzysz się swemu sercu, tym bardziej zbląka cię twoja duma. Oto dziś stoisz przed pierwszą ruiną, którą zostawisz na swej drodze. Niech Brygida umrze jutro, zapłaczesz nad jej trumną; dokąd udasz się, skoro ją opuścisz? Wyjedziesz może na trzy miesiące do Włoch; zawiniesz się w płaszcz niby Anglik nękanym spleenem i powiesz sobie pewnego pięknego poranka, podpiszwszy sobie w jakiejś oberży, że twoje wyrzuty ukoili się i że czas zapomnieć, aby zacząć nowe życie. Ty, który zaczynasz płakać zbyt późno, lękaj się, iż kiedyś zgoła nie będziesz potrafił płakać. Kto wie? niech zaczną szydzić z ciebie i z twojej rzekomej boleści; niech na balu ładna kobieta uśmiechnie się z politowaniem, usłyszawszy, że wspominasz zmarłą kochankę; czy nie może się zdarzyć, iż kiedyś zaczniesz z tego czerpać chlubę i puszyć się tym, co cię dziś przejmuje rozpaczą? Gdy terażniejszość, która cię przyprawia o dreszcz i której nie śmiesz spojrzeć w twarz, stanie się przeszłością, starą historią, mętnym wspomnieniem, czyż nie może się stać, iż pewnego dnia rozeprzesz się w krześle podczas biesiady rozpustników i opowiesz z uśmiechem na ustach to, na co patrzałeś ze łzami w oczach? Tak oto dochodzi się do bezwstydu, tak kręci się ten świat. Zaczęłeś od tego, iż byłeś dobrym, stajesz się słabym, będziesz złym.

Mój biedny przyjacielu — rzekłem sobie w głębi serca — muszę ci udzielić jednej rady: sądzę, iż trzeba ci umrzeć. Skoro jesteś w tej chwili dobry, skorzystaj z tego, aby nie być złym; podczas gdy kobieta, którą kochasz, leży tu umierająca, podczas gdy czujesz wstręt do samego siebie, połóż rękę na jej piersi; żyje jeszcze, to dosyć; zamknij oczy i nie otwieraj ich już. Nie bądź świadkiem jej pogrzebu, lękam się bowiem, byś nie pocieszył się jutro; wbij sobie sztylet w łono, dopóki serce, które w nim nosisz, kocha jeszcze Boga, który je uczynił. Czy młodość twoja cię wstrzymuje? żal ci, że nie doczekasz siwizny? Niechaj twe włosy nie zbieleją nigdy, jeśli nie pobielały tej nocy.

A wreszcie, co ty chcesz robić na świecie? Jeśli opuścisz ten pokój, dokąd się udasz? Czego się spodziewasz, jeśli zostaniesz? Ha! nieprawdaż, iż patrząc na tę kobietę, zdaje ci się, że czujesz w sercu cały skarb jeszcze nietknięty? To co tracisz, nieprawdaż, to nie tyle to, co było, ile to, co mogło być; najgorszym pożegnaniem jest czuć, że nie wypowiedziało się wszystkiego? Czemuś nie znalazł słów przed godziną? Kiedy wskazówka była na tej cyfrze, mogłeś być jeszcze szczęśliwy. Jeśliś cierpiał, czemuś nie otworzył swej duszy? jeśliś kochał, czemuś nie mówił? Oto jesteś jak sknera umierający na swoim skarbie; zatrzasnąłeś drzwi, skąpcze; szamoczesz się za ryglami. Możesz je szarpać, mocne są: twoja to ręka je ukuła. O szaleńcze, któryś pragnął i któryś posiadał swe pragnienie, nie myślałeś o Bogu! Igrałeś ze szczęściem jak dziecko z zabawką; nie zastanawiałeś się, jak rzadkie i kruche było to, co trzymałeś w rękach; gardziłeś nim, uśmiechałeś się zeń, odwlekałeś kosztowanie go; nie liczyłeś modłów, jakie twój dobry anioł zanosił przez ten czas, aby ci zachować ten cień jednego dnia! Ha, jeśli jest w niebiesiech anioł stróż, który czuwał nad tobą, co się z nim dzieje w tej chwili? Usiadł przy organach, skrzydła ma na wpół rozrzucone, ręce wyciągnął na klawiszach z kości słoniowej; intonuje wiekuisty hymn, hymn miłości i nieśmiertelnego zapomnienia. Ale kolana uginają się pod nim, skrzydła opadają, głowa pochyla się niby złamana trzcina; anioł śmierci dotknął jego ramienia, znika w bezmiarze!

A ty w dwudziestu dwu latach zostajesz sam na ziemi, wówczas gdy szlachetna i wzniosła miłość, gdy siła młodości miały może zrobić coś z ciebie! Kiedy po tak długich smutkach, po tak piekących zgryzotach, po tylu błędzeniach, po tak rozrzuconej młodości, mogłeś oglądać wschodzący nad sobą spokojny i czysty dzień; kiedy życie twoje, poświęcone ubóstwianej istocie, mogło spęcznić nowym sokiem, w tej właśnie chwili wszystko zapada się w przepaść i rozwiewa się w twych oczach! Otoś został już nie z mglistymi pragnieniami, ale z rzeczywistym żalem; już nie z sercem pustym, ale spustoszone! I ty

Samobójstwo, Kochanek
romantyczny

się wahasz? Na co czekasz? Skoro ona już nie chce twego życia, niechże to życie nie liczy się już za nic! Niechaj ci, którzy kochali twą młodość, zapłaczą nad tobą! nie są liczni. Kto był niemym wobec Brygidy, powinien zostać niemym na zawsze! Niechaj ten, kto przeszedł po jej sercu, zachowa bodaj ślad jego nietknięty! Przez Boga, jeśli chcesz żyć jeszcze, czyż nie trzeba by go zatrzeć? Cóż by ci innego zostawało dla zachowania twego nędznego tchu niż skazać go do reszty? Tak, obecnie życie twoje trzeba zapłacić tą ceną. Aby je znieść, trzeba by ci nie tylko zapomnieć miłość, ale zapomnieć, że ona w ogóle istnieje; nie tylko zaprzecić się tego, co było w tobie dobre, ale zabić to, co może być jeszcze dobre; cóż bowiem począłbyś, gdybyś pamiętał? Nie mógłbyś uczynić kroku na ziemi, nie mógłbyś śmiać się ani płakać, ani dać jałmużny ubogiemu, nie mógłbyś być dobrym przez kwadrans, aby twoja krew, napływając ci do serca, nie krzyczała, iż Bóg cię uczynił dobrym po to, aby Brygida była szczęśliwą. Najdrobniejsze twoje postęпки rozbrzmiewałyby w tobie i niby dźwięczne echa budziłyby jęk twoich nieszczęść; każde poruszenie twej duszy rodziłoby w niej żal. Sama nadzieja nawet, ta boska posłanniczka niebios, ta święta przyjaciółka zapraszająca nas do życia, zmieniałaby się dla ciebie w nieubłagane widmo i stałaby się bliźniaczą siostrą przeszłości; każde twoje wyciągnięcie rąk ku czemuś byłoby jedynie długim żalem. Kiedy mężobójca kroczy w ciemności, trzyma ręce przyciśnięte do piersi z obawy, aby nie dotknąć czego i aby mury go nie oskarżyły. Tak ty musiałbyś czynić; wybieraj między duszą a ciałem; trzeba ci zabić jedno z dwojga. Wspomnienie dobrego pcha cię ku złemu, robi z ciebie trupa, jeśli nie chcesz być własnym upiorem. O dziecko, dziecko! umrzyj uczciwie, iżby można było płakać nad twoim grobem!

Padłem na ziemię przy łóżku pełen tak strasznej rozpacz, iż rozum mnie opuszczał; nie wiedziałem już, gdzie jestem, ani co robię. Brygida westchnęła i odsuwając koldrę, jak gdyby broniąc się przed uciskiem natrętnego ciężaru, odkryła białą i obnażoną pierś.

Na ten widok wszystkie zmysły stanęły we mnie dęba. Z bólu czy z pragnienia? nie wiem. Okropna myśl wstrząsnęła mną nagle.

— Jak to! — rzekłem sobie — zostawić to innemu? umrzeć, zstąpić w ziemię, podczas gdy ta biała pierś będzie oddychała powietrzem przestworzy? Boże sprawiedliwy! inna ręka miałaby spocząć na tej delikatnej i przezroczyściej skórze! inne usta na tych wargach, inna miłość w tym sercu! inny mężczyzna tu, przy tym wezglowiu! Brygida miałaby żyć szczęśliwa, ubóstwiana, a ja gniłbym gdzieś w rowie cementarnym! Ile trzeba czasu, aby zapomniała o mnie, jeśli przestanę istnieć jutro? ile łez? ani jednej może! Nie byłoby jednego przyjaciela, jednego człowieka który by się zbliżył do niej, iżby jej nie mówił, że śmierć moja jest dla niej szczęściem, który by się nie kwapił jej pocieszać, nie zaklinał, aby nie myślała już o tym! Jeżeli będzie płakać, dostarczą jej rozrywek; jeśli nawiedzi ją wspomnienie, uprzątą ją; jeśli miłość przeżyje mnie w jej sercu, będą ją leczyć z niej niby z zatrucia. Ona sama powie może pierwszego dnia, iż chce iść za mną, a za miesiąc odwróci się, aby nie widzieć wierzby płaczącej zasadzonej na mym grobie! Jak mogłoby być inaczej? Czy można płakać po kimś, będąc tak piękną? Gdyby nawet chciała umrzeć ze zgryzoty, ta toczona pierś szepnęłaby jej, że chce żyć, a lustro poparłoby te słowa; a w dniu, w którym w miejsce wysychających łez wykwitłby na twarzy pierwszy uśmiech, któż by jej nie winał powrotu do zdrowia? Po tygodniu milczenia pozwoli, aby wymawiano w jej obecności moje imię; później zacznie sama mówić o mnie z tęsknym spojrzeniem, jak gdyby chcąc powiedzieć: „Pocieszcie mnie!” A kiedy stopniowo dojdzie do tego, iż zacznie nie unikać mego wspomnienia, ale nie mówić już o nim; kiedy w piękny wiosenny poranek otworzy na oścież okno śpiewowi ptasząt; kiedy zapadnie w marzącą zadumę i powie: „Kochałam!...”, któż będzie wówczas przy niej? kto ośmieli się odpowiedzieć, iż trzeba kochać jeszcze? Ach! mnie nie będzie już wówczas! Będziesz słuchała, niewierna; pochylisz głowę, rumieniąc się jak róża, która ma rozkwitnąć; piękność twoja i młodość uderzą ci do lic. Powtarzając, iż serce twoje umarło, będziesz wydzielać z siebie tę rozkoszną aureolę, której każdy promyk wzywa pocałunku. Jak one pragną, aby je kochano, te nieszczęśliwe, które mówią, że już nie kochają! I co w tym dziwnego? Jesteś kobietą; wiesz, co warte jest to ciało, ta alabastrowa pierś; mówiono ci to; kiedy je kryjesz pod suknią, znasz cenę swego wstydu. W jaki sposób kobieta, która skosztowała dymu pochlebstw, mogłaby się bez nich obejść? czyż ona żyje, jeśli pozostaje w cieniu i jeśli zapadnie cisza dokoła jej piękności? Jej piękność to zachwycone spojrzenie kochan-

ka. Nie, nie, niepodobna wątpić; kto raz kochał, nie zdoła żyć bez miłości; kto otarł się o śmierć, czepia się życia. Brygida kocha mnie, umarłaby może dla mnie; ale niech ja się zabiję, będzie miał ją inny.

— Inny, inny! — powtarzałem schylając się nad łóżkiem, tak iż czoło moje dotykało jej ramienia. — Czyż nie jest wdową? — myślałem — czyż nie widziała już śmierci? czyż te drobne, delikatne ręce nie pielęgnowały już i nie grzebały? Łzy jej wiedzą, ile im trwania; drugie zaś trwają krócej. Ha! niech mnie Bóg chroni! cóż mnie wstrzymuje, abym jej nie zabił oto, podczas gdy śpi? Gdybym ją zbudził teraz i rzekł, że godzina jej wybiła i że umrzemy w ostatnim pocałunku, zgodziłaby się. Cóż mi o to? czy pewnym jest, że wszystko się nie kończy na tym?

Znalazłem na stole nóż i trzymałem go w ręce.

— Strach, tchórzostwo, zabobon! cóż wreszcie wiedzą ci, co bają o tym? Jeśli rozprawiamy o drugim życiu, to dla ludu i dla prostaczków, ale w duszy, na dnie, kto w nie wierzy? Któryż dozorca cmentarza widział, aby umarły wstawał z grobu i pukał do drzwi plebanii? Niegdyś widywało się upiory; policja zabroniła im pobytu w naszych cywilizowanych miastach; jeśli dobywają się krzyki z łona ziemi, to chyba krzyki żyjących pochowanych w pośpiechu. Któż zdołałby oniemić śmierć, gdyby kiedykolwiek mówiła? Czy dlatego, że procesjom nie wolno jest tłoczyć się po ulicach, duch niebios pozwala zapomnieć o sobie? Umrzeć, oto kres, oto cel. Bóg go naznaczył, ludzie podają go w wątpliwość, ale każdy nosi napisane na czole: „Rób co chcesz, umrzesz”. Co by powiedziano, gdybym zabił Brygidę? ani ona, ani ja nie dowiedzielibyśmy się o tym. Dzienniki wspomniałyby jutro, że Oktaw de T*** zabił swą kochankę, a pojutrze nie byłoby już o tym mowy. Kto by poszedł za naszą trumną? Wróciwszy do domu, każdy zjadłby spokojnie śniadanie; co do nas zaś, skoro by nas ułożono obok siebie we wnętrzu tej jednodniowej kupki błota, świat mógłby stąpać po nas bez obawy zbudzenia nas odgłosem kroków. Nieprawdaż, ukochana, nieprawdaż, byłoby nam dobrze? Ziemia to wygodne łóżko; żadne cierpienie by nas tam nie dosięgło; nie paplano by w sąsiednich grobach o naszym związku w obliczu Boga; kości nasze uściśnięłyby się w pokoju i bez dumy: śmierć to wielka pocieszycielka; co ona zwiąże, tego nie rozwiązać nikomu! Dlaczego nicość miałaby cię przerażać, ty biedne ciało, któreś jest jej zaswatane? Każda godzina, która bije, ciągnie cię ku niej; każdy krok, który stawiasz, kruszy szczebel, na którym się opierasz; karmisz się jeno umarłymi; powietrze niebios uciska cię i miażdży, ziemia, którą depcesz, ciągnie cię w siebie za stopy. Zstąp w nią, zstąp! po co tyle strachu? Czy samo słowo przejmuje cię lękiem? Powiedz tylko: „Nie będziemy żyli”. Czyż to nie jest wielki trud, po którym słodko jest odpocząć? Czym dzieje się, iż się wahamy, skoro chodzi jedynie o trochę wcześniej lub trochę później? Materia jest niezniszczalna; fizycy, jak powiadają, niezdolni są unicestwić najmniejszego pyłku, choćby go obrabiali w nieskończoność. Jeśli materia jest własnością przypadku, cóż złego czyni zmieniając torturę, jeśli nie może zmienić pana? Cóż znaczy Bogu kształt, jaki otrzymałem i to jaką liberię nosi moja boleść? Cierpienie żyje w mojej czaszce; należy do mnie, zabijam je; ale szkielet nie należy do mnie, oddaję go temu, kto mi go użyczył: niechaj poeta uczyni zeń puchar, w którym będzie pił swój moszcz! Na jakież zarzut się narażam i kto by mi go mógł uczynić? jaki nieubłagany sędzia powie mi, żem źle postąpił? Skąd wie? czy był we mnie? Jeśli każda istota ma swoje zadanie do spełnienia i jeśli zbrodnią jest zrzucić je z ramion, jakimiż zbrodniarzami są dzieci, które umierają na łonie karmicielki? dlaczego im się przebacza? Komuż zdałaby się nauka z tych rachunków składanych po śmierci? Musiałoby chyba niebo być puste, iżby człowiek poniósł karę za to, że żył; dosyć to bowiem, że ma żyć i nie wiem, czy kto prosił o to, chyba jeden Wolter na łożu śmierci; godny ostatni krzyk niemocy starego niedowiarka w rozpacz. Na co? po co tyle walk? któż tam jest w górze, kto się lubuje w tych agoniach? Kto bawi się i czyni sobie rozrywkę z widoku stworzenia wciąż rodzącego się i wciąż bliskiego śmierci? Kto patrzy na nas, jak budujemy i trawa zarasta budowlę; sadzimy i spada piorun; idziemy naprzód, a śmierć woła: „Stój!”, płaczemy, a łzy osychają; kochamy i twarz usycha w zmarszczki; modlimy się, padamy na twarz, błagamy i wyciągamy ramiona, a pola nie dają ani źdźbła zboża więcej! Któż to uczynił tyle dla przyjemności wiedzenia samemu, że to, co uczynił jest niczym? Ziemia obumiera; Herschell powiada, że to z zimna; któż więc trzyma w dłoni tę kroplę zagęszczonych oparów i patrzy na nią, jak wysycha niby rybak na odrobinę wody mor-

Morderstwo, Kochanek
romantyczny, Kobieta, Sen,
Męczyzna, Religia, Bóg

skiej, z której chce wydobyć grudkę soli? To potężne prawo przyciągania, które utrzymuje świat na swoim miejscu, zużywa go i zżera w pragnieniu bez końca; każda planeta toczy z sobą własne nędze jęcząc na swojej osi; wołają się z jednego końca niebios na drugi; niespokojne spokojem śledzą, która zatrzyma się pierwsza. Bóg wstrzymuje je; spełniają wytrwale i wiernie swą daremną i bezużyteczną pracę; obracają się, cierpią, płoną, gasną i zapalają się, zstępują i wstępują, biegną za sobą i unikają się, obejmują się jak pierścienie; noszą na swej powierzchni tysiące istot odnawiających się bez przerwy; te istoty miotają się, spotykają się także, tułają się przez godzinę jedne do drugich, potem padają i inne zajmują ich miejsce; gdzie braknie życia, ona nadbiega; gdzie w powietrzu zieje próżnia, rzuca się on; żadnego nieładu, wszystko uregulowane, oznaczone, wypisane liniami ze złota i ognistymi parabolami, wszystko posuwa się przy dźwiękach niebiańskiej muzyki po bezlitosnych i wiekuistych ścieżkach; i to wszystko jest niczym! A my, biedne majaki bez nazwy, blade i bolesne widma, niedostrzegalne efemerydy, my, których ożywiono na sekundę tchem, iżby śmierć mogła istnieć, my zadajemy sobie nieskończony trud, aby sobie dowieść, że gramy jakąś rolę i że ktośkolwiek zwraca na nas uwagę! Nie mamy odwagi, aby wymierzyć sobie w piersi metalowy instrumentek lub roztrzaskać sobie głowę z obojętnym wzruszeniem ramion; roi się nam, że jeśli my się zabijemy, chaos zapanuje na ziemi. Spisaliśmy i ogłosiliśmy prawa boskie i ludzkie i lękamy się własnych naszych katechizmów; cierpimy trzydzieści lat bez szemrania i zdaje się nam, że walczymy; wreszcie cierpienie bierze górę, walimy sobie garść prochu w świątynię inteligencji i kwiat wyrasta na naszym grobie.

Domawiając tych słów, zbliżyłem nóż, który trzymałem w ręku, do piersi Brygidy. Nie byłem już panem siebie; nie wiem, na czym skończyłoby się to szaleństwo. Odrzuciłem koldrę, aby obnażyć serce, i między dwojgiem białych piersi spostrzegłem hebanowy krzyżyk.

Cofnąłem się, tknięty lękiem; ręka moja otworzyła się, broń wypadła. To ciotka Brygida dała jej na łożu śmierci ten krzyżyk. Nie przypomniałem sobie wszelako, abym go widział kiedy; bez wątpienia w chwili wyjazdu zawiesiła go sobie na szyi niby relikwię chroniącą od niebezpieczeństw podróży. Naraz złożyłem ręce i uczulem, że coś mnie zgina ku ziemi:

— Boże wszechmogący — rzekłem ze drżeniem — Boże wszechmogący, byłeś tutaj!

Niechaj ci, którzy nie wierzą w Chrystusa, przeczytają tę stronicę: ja nie wierzyłem weń również. Ani dzieckiem, ani w szkołach, ani jako mężczyzna nie uczęszczałem zbytnio do kościoła; religia moja, jeśli miałem jaką, obywatela się bez ceremonii i symbolu; wierzyłem jedynie w Boga bez kształtu, bez obrządku i bez objawienia. Zatruty od młodu pismami ubiegłego wieku, wcześniej z nich wysąłem mleko niedowiarstwa. Duma ludzka, owo bożyszczce egoizmu, ścinała na mych ustach modlitwę, podczas gdy dusza moja, przerażona, chroniła się w nadzieję nicości. Byłem niby pijany i oszalały w chwili, gdy ujrzałem Chrystusa na piersi Brygidy; ale, mimo iż sam nie wierząc, cofnąłem się, wiedząc, iż ona wierzy. Nie był to próżny lęk, to, co w tej chwili powstrzymało mi rękę. Kto mnie widział? Byłem sam, była noc. Czy chodziło o przesady świata? cóż mi bronilo usunąć ten kawałek czarnego drzewa? Mogłem go rzucić w popiół; rzuciłem weń natomiast moją broń. Ha! jakże to uczulem w duszy i jak czuję teraz jeszcze: jakież nędzny jest ów, kto kiedykolwiek sztydził z tego, co może ocalić człowieka! Cóż znaczy nazwa, kształt, wiara? czyż nie jest świętym wszystko, co dobre? W jaki sposób ośmiela się ktoś dotknąć Boga?

Jak pod spojrzeniem słońca śnieg osuwa się z gór i z lodowca, który groził niebu, czyni potok w dolinie, tak w moje serce spływało źródło i rozlewało się po nim. Skrucha jest niby czyste kadzidło; ona to wydzielala się niby opar z mojego cierpienia. Mimo iż niemal popełniłem zbrodnię, z chwilą gdy odrzuciłem broń, uczulem, że serce moje jest niewinne. Jedna chwila wróciła mi spokój, siłę i rozum. Podeszedłem znowu do alkowy; pochylilem się nad mým bóstwem i ucałowałem krzyżyk.

— Śpij w pokoju — rzekłem — Bóg czuwa nad tobą! Podczas gdyś się uśmiechała do swego snu, uniknęłaś największego niebezpieczeństwa, jakie ci groziło w życiu. Ale ręka, która podniosła się na ciebie, nie uczyni krzywdy nikomu; przysięgam na twego Chrystusa, nie zabiję ani ciebie, ani siebie. Jestem szaleńcem bez rozumu, dzieckiem, które

sądziło, że jest mężczyzną. Bogu niech będzie chwała! Jesteś młoda i żywa, jesteś piękna, zapomnisz o mnie. Wyleczysz się z cierpień, jakie ci zadałem i możesz mi przebaczyć. Śpij w pokoju, Brygido aż wstanie dzień i wówczas rozstrzygnij o naszym losie; jakkolwiek wyrzekniesz wyrok, poddam mu się bez szemrania. A ty, Jezusie, któryś ją ocalił, odpuść mi, nie mów jej tego. Urodziłem się w wieku bezbożnym i wiele trzeba mi odpokutować. Biedny synu Boży, ty zapomniany, nie nauczono mnie kochać ciebie. Nigdy nie szukałem cię w świątyniach; ale dzięki niebu, gdziekolwiek cię znajdę, nie nauczyłem się jeszcze nie drżeć przed tobą. Raz przed śmiercią bodaj, wargi moje ucałowały cię na sercu, które jest pełne ciebie. Miej to serce w opiece, dopóki będzie biło; zostań na nim, święta obrono; pamiętaj, że nieszczęśliwy nie śmiał umrzeć w swej boleści, widząc cię przybitym na krzyżu; ocaliłeś bezbożnika od zbrodni; gdyby wierzył, byłbyś go pocieszył. Przebacz tym, którzy wszczepili weń niewiarę, skoroś ty go natchnął skrucą; przebacz wszystkim, którzy bluźnią; nie ujrzeli cię bez wątpienia nigdy wówczas, gdy byli w rozpaczy! Radości ludzkie są pełne szyderstwa, są wzgardliwe i bezlitosne; o Chryste! szczęśliwi tego świata myślą, iż nigdy nie będą potrzebowali ciebie! Przebacz; kiedy ich duma cię znieważa, własne łzy obmyją ich wcześniej lub później chrztem świętym. Żałuj ich: sądzą, że są bezpieczni od burz; aby przyjść do ciebie, potrzebują surowych lekcji nieszczęścia. Nasza mądrość, sceptycyzm są w naszych rękach niby zabawki dziecka; przebacz nam, iż się nam marzy, że jesteśmy bezbożni, ty, któryś się uśmiechał na Golgocie. Ze wszystkich naszych jednogodzinnych nędz najgorszą jest ta, iż zapominamy w nich o tobie. Ale ty widzisz: to jeno cienie, które pierzchają pod twoim spojrzeniem. Ty sam, zaliś nie był człowiekiem? Cierpienie to zrobiło cię Bogiem; narzędzie męki posłużyło ci, abys wstąpił do nieba i zaniósł cię z otwartymi ramionami na łono twego wspaniałego ojca. Nas także boleść przywiodła do ciebie, jak ciebie do ojca; jedynie w cierniowej koronie spieszymy schylić się przed twoim ołtarzem; dotykamy twoich krwawych stóp jedynie zakrwawionymi rękami. Wycierpiałeś mękę po to, aby cię kochali umęczeni.

Pierwsze promienie słońca zaczęły wnikać do pokoju; wszystko budziło się stopniowo, powietrze napelniało się odległym i mętnym gwarem. Wyczerpany znużeniem opuściłem wezłowie Brygidy, aby spocząć trochę. Kiedym wychodził, suknia porzucona na fotelu zsunęła się pod moje stopy: wypadła z niej złożona ćwiartka papieru. Podniosłem ją; był to list, poznałem pismo Brygidy. Koperta nie była zapieczętowana, otwarłem i przeczytałem co następuje:

23. grudnia 18...

„Kiedy otrzymasz ten list, będę daleko; być może nie otrzymasz go nigdy. Los mój związany jest z człowiekiem, któremu poświęciłam wszystko; żyć beze mnie jest mu niepodobieństwem, spróbuję tedy umrzeć dla niego. Kocham cię; żegnaj, żałuj nas”.

Przeczytawszy, obróciłem papier i ujrzałem adres: Do pana Henryka Smith, w N***, *poste restante*.

ROZDZIAŁ VII

Nazajutrz w południe, w słoneczny dzień grudniowy, młody człowiek i młoda kobieta szli pod rękę przez ogród *Palais-Royal*. Weszli do złotnika, gdzie wybrali dwa jednakie pierścionki i zamieniwszy je z uśmiechem, włożyli je na palec. Po krótkiej przechadzce udali się, aby spożyć śniadanie u *Braci Prowansalskich*, w jednym z pokojów, skąd rozciąga się przed oczyma najcudniejsza w świecie panorama. Znalazłszy się sam na sam, skoro służący odszedł, oparli się o okno, ściskając się łagodnie za ręce. Młodzieniec był w podróżnym ubraniu; widząc radość malującą się na jego twarzy, można by go wziąć za nowożeńca zapoznającego pierwszy raz młodą żonę z życiem i uciechami Paryża. Wesołość jego miała łagodność i spokój, jak bywa u ludzi szczęśliwych. Od czasu do czasu spoglądał na niebo, znów zwracał się do towarzyszki i wówczas łzy błyszczały w jego oczach; pozwalał im płynąć i uśmiechał się, nie ocierając ich. Kobieta była błada i zamyślona; patrzyła wciąż tylko na niego. W rysach jej malowało się jakby głębokie cierpienie; nie czyniąc wysiłków, aby je kryć, nie śmiała wszelako opierać się wesołości, jaką miała przed oczyma. Kiedy towarzysz jej uśmiechał się, uśmiechała się i ona, ale nie sama z siebie;

odpowiadała mu, gdy się zwracał do niej, jadła, co jej podsuwał, ale była w niej jakaś cisza, która zdawała się żyć jedynie chwilami. W jej leniwej bierności łatwo można było rozpoznać ową miękkość duszy, ową senność słabszej wśród dwojga istot, które się kochają, a z których jedna istnieje tylko w drugiej i ożywia się jedynie echowo. Młody człowiek odczuwał to i zdawał się dumny i wdzięczny; ale z samej jego dumy można było wyczytać, że szczęście było dlań czymś nowym. Kiedy kobieta smutniała nagle i spuszczała oczy ku ziemi, on silił się wlać w nią ducha i przybierał minę swobodną i pewną siebie; ale nie zawsze mu się to udawało; on sam niekiedy się mieszał. To skojarzenie siły i słabości, wesela i zgryzoty, niepokoju i pogody byłoby niezrozumiałym dla obojętnego widza; można by na przemian mniemać, to że ma się przed sobą dwoje najszczęśliwszych, to znów najniezszczęśliwszych istot na ziemi; ale nawet nie znając ich sekretu, wyczułoby się, że oni cierpią wspólnie i jaką bądź była ich tajemna udreka, widać było, iż położyli na swoich zgryzotach pieczęć potężniejszą od samej miłości: przyjaźń. Gdy się ściskali za ręce, spojrzenia ich pozostawały czyste; mimo iż byli sami, mówili z sobą półgłosem. Jak gdyby przygniecenymi myślami, oparli wzajem czoła o siebie, ale ich wargi nie stykały się. Patrzyli na siebie z tkliwym i uroczystym wyrazem, jak ludzie słabi, którzy chcą być dobrzy. Skoro zegar wydzwonił pierwszą, kobieta wydała głębokie westchnienie i na wół odwracając się, rzekła:

— Oktawie, a gdybyś się mylił!

— Nie, droga — odparł młody człowiek — bądź pewna, nie mylę się. Będzie ci trzeba cierpieć wiele, długo może, a mnie zawsze; ale wyleczymy się oboje: ty z pomocą czasu, ja, Boga.

— Oktawie, Oktawie — powtórzyła — czy jesteś pewien, że się nie mylisz?

— Nie sądzę, droga Brygido, abyśmy mogli zapomnieć o sobie wzajem; ale sądzę, iż w tej chwili nie możemy sobie jeszcze przebaczyć, a trzeba wszelako przebaczyć sobie koniecznie, nawet gdybyśmy nigdy nie mieli się spotkać.

— Dlaczego mielibyśmy się nigdy nie spotkać? Dlaczego kiedyś... Jesteś tak młody!

— Dodała z uśmiechem. — Za najbliższą twoją miłością spotkamy się bez niebezpieczeństwa.

— Nie, moja droga, wiedz bowiem, że nigdy nie potrafię cię ujrzyć obojętnie. Oby ten, któremu cię zostawiam, któremu cię oddaję, okazał się godnym ciebie! Smith jest dzielny, dobry i uczciwy; ale mimo całego twego uczucia dla niego widzisz sama, że jeszcze mnie kochasz; gdybym bowiem chciał zostać albo cię zabrać z sobą, zgodziłabyś się.

— To prawda — odparła kobieta.

— Prawda? prawda? — powtórzył młody człowiek, spoglądając na nią z nieopisanym wyrazem — naprawdę, gdybym zechciał, poszłabyś ze mną?

Po czym mówił łagodnie dalej.

— Dlatego właśnie nie trzeba, abyśmy się kiedy spotkali. Bywają w życiu rodzaje miłości, które mącą głowę, zmysły, umysł, serce; ale jest wśród nich wszystkich jedna, która nie mąci, która przenika na wskroś i ta umiera jedynie z istotą, w którą zapuściła korzenie.

— Ale będziesz pisał do mnie?

— Tak, z początku, przez jakiś czas; to bowiem, co trzeba mi przecierpieć jest tak okrutne, iż zupełne przecięcie naszego bliskiego i drogiego współżycia zabiłoby mnie. Wszak to pomału, ostrożnie, nieznanymi ci zrazu zbliżyłem się nie bez lęku, spoufalilem się z tobą, aż wreszcie... Nie mówmy o przeszłości. Stopniowo listy moje staną się rzadsze, aż wreszcie ustaną. W ten sposób zejdzę z pagórka, na który wstępowałem od roku. Będzie w tym wielki smutek i może też pewien urok. Kiedy się zatrzymujemy na cmentarzu przed świeżym i zieleniącym się grobem, na którym wyryte są dwa drogie imiona, doświadczamy uczucia bólu zabarwionego tajemnicą, która sprawia, iż łzy nasze płyną bez goryczy; w ten sposób pragnę niekiedy przypomnieć sobie, że byłem niegdyś żywym.

Na te słowa młoda kobieta rzuciła się na fotel i zaszlochała. On zalał się łzami; ale stał nieruchomy, jakby sam nie chcąc spostrzec własnej boleści. Skoro łzy przestały mu płynąć, zbliżył się do przyjaciółki, ujął ją za rękę i ucałował.

— Wierzaj mi — rzekł — miłość twoją, bez względu na to jakie miejsce zajmuje się w twym sercu, daje siłę i męstwo. Możesz być pewną, Brygido, nikt nie zrozumie cię lepiej ode mnie; kto inny będzie cię kochał godniej, nikt nie będzie cię kochał głębiej. Kto

inny uszanuje w tobie przymioty, które ja obrażam, otoczy cię swym uczuciem; będziesz miała lepszego kochanka, nie będziesz miała lepszego brata. Podaj mi rękę i pozwól śmiać się światu z wzniesłego słowa, którego nie rozumie: „Pozostanmy przyjaciółmi i żegnaj na zawsze”. Kiedyśmy sobie padli pierwszy raz w ramiona, od dawna już coś w nas wiedziało, że przeznaczone jest nam się zespolic. Niechaj ta cząstka nas, która zjednoczyła się w obliczu Boga, nie wie, że my się rozstajemy na ziemi; niechaj nędzna jednodniowa zwada nie niweczy naszego wiekuistego szczęścia!

Trzymał ją za rękę; wstała jeszcze zalana łzami i podchodząc do lustra z dziwnym uśmiechem, wydobyla nożyczki i ucięła sobie długie pasmo włosów; następnie przyjrzała się przez chwilę swej głowie tak zeszepeconej i pozbawionej części swej najpiękniejszej ozdoby i podała pukiel kochankowi.

Zegar znów wydzwonił godzinę; czas był opuścić pokój; mijając galerie w powrotnej drodze, wydawali się równie weseli, co kiedy szli tamtędy.

— Ładne słońce — rzekł młody człowiek.

— I ładny dzień — rzekła Brygida — i którego nic nie zatrze tutaj!

Uderzyła się energicznym ruchem w serce; przyspieszyli kroku i znikli w tłumie. W godzinę później kolaska pocztowa mijala wzgórek poza rogatkami Fontainebleau. Młody człowiek siedział w niej sam; spojrzal ostatni raz na rodzinne miasto niknące w oddali i podziękował niebiosom, iż pozwoliły, aby z trojga istot cierpiących z jego winy został tylko jeden nieszczęśliwy.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/spowiedz-dzieciececia-wieku>

Tekst opracowany na podstawie: Alfred de Musset, Spowiedź dziecięcia wieku, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Instytut Wydawniczy "Biblioteka polska", Warszawa 1920

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Tadeusz Boy-Żeleński.

ISBN 978-83-288-0570-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).